

A man with a serious, almost menacing expression, wearing a dark, heavy coat over a dark t-shirt. He is looking slightly to the right of the camera. The background is a dark, textured surface with scratches and dust, suggesting a gritty, industrial or urban environment. The lighting is dramatic, highlighting the contours of his face and coat.

Zbrodnia, korupcja i porwanie.
Granice między dobrem a złem
ZOSTAŁY ZATARTE.



N A T R O P I E

WLIACRĘKŁ



**MICHAŁ
LAREK**

NA TROPIE

 CZWARTA
STRONA

Copyright © Michał Larek, 2018
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk
Redakcja: Dawid Wiktorski
Korekta: Maria Moczko / panbook.pl
Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka /
panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka
Inspiracja typograficzna: Szymon Kaczmarek

Fotografie na okładce:
Nik Keevil / Arcangel.com
MillaF / Shutterstock.com

Fotografia autora: Karol Małolepszy / Koninfoto.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz
Nowacki

Wydanie elektroniczne 2018

eISBN 978-83-7976-937-7

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75

„...staje przede mną cała moja przeszłość...”

H. Ibsen

CZĘŚĆ

PIERWSZA

Październik 1992

I

Drgnęła, gdy za oknem rozległy się kroki. Serce podeszło jej do gardła.

To on! – pomyślała, rozpoznając charakterystyczny chód. Głośny, chwiejny, coraz szybszy.

Boże, to on!

Otworzyła oczy i przygryzła palec.

Nieśmiała nadzieja, że dzisiaj już nie wróci, że gdzieś się zaszyje, że zaśnie w cudzym mieszkaniu, u jakichś znajomych, gwałtownie umarła.

Dziewczynka odrzuciła kołdrę, usiadła na łóżku i w ogromnym skupieniu zaczęła nasłuchiwać dźwięków dobiegających z podwórka.

Tak, to on.

Słyszała, jak się zataczał, jak bełkotliwie nucił jakąś głupią piosenkę.

Był coraz bliżej. Jeszcze kilka kroków i otworzy drzwi, włączy światło i wejdzie na schody. A potem, po kilkunastu sekundach szurania, wtoczy się do domu i zacznie wrzeszczeć. Może też rzucać przedmiotami. I mamą. No chyba że potknie się na progu i zaśnie. Albo skieruje się od razu do łazienki, usiądzie na klozecie i tam urwie mu się film.

„Urwał mu się film” – tak mówili chłopcy o swoich

tatusiach, którzy wolne wieczory zazwyczaj spędzali w barze na sąsiednim osiedlu.

Drgnęła, gdy nocną ciszę zakłócił brzęk rozbitego szkła.
Pewnie to pusta butelka.

Zamknęła powieki i ujrzała brodatą twarz, przekrwione oczy i ślinę w kącikach ust. Do jej uszu doszły słowa:

Teraz wódkę pijesz, śmiejesz się wesoty / Jak nie będziesz wierny, utnę ci dzyndzoły / Nie będę, nie będę po tobie płakała / Będę wino piła, chłopakom dawała.

Na plecach poczuła zimne krople potu.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuszczała powietrze, próbując uspokoić swoje dwunastoletnie ciało.

Cisza. Nagłe skrzypnięcie otwieranych drzwi, trzask.

Wszedł na klatkę.

Chwyciła ukochanego misia za kudłatą nóżkę i przylgnęła do ściany.

Człapanie. Raz, dwa, trzy, stop. Po chwili znowu ruszył. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Stop.

– Noż kurwa. – Usłyszała i jednocześnie poczuła zimne ukłucie w sercu.

Spojrzała w stronę przeszklonych drzwi. Podłoga zaskrzypiała. Przez szybę ujrzała cień mamy, która wyszła do przedpokoju. Gdy zazgrzytał zamek, westchnęła głośno i chwyciła klamkę.

Dziewczynka zacisnęła pięści i zmrużyła oczy.

Tata wpadł z łoskotem do mieszkania i zderzył się z szafą, z której coś musiało spaść, pewnie kartony z włóczką do robótek na drutach.

Kopnął je.

– Ja pierdołę! – burknął. – Co to za burdel?!

– Cicho! – szepnęła mama. – Basia śpi.

Chciała go dotknąć, ale on brutalnie odepchnął jej rękę.

– Czego ty chcesz, kobito? – warknął.

– Basia śpi. Jest już noc, trzeba iść spać. Chodź do łóżka.

– Tylko nie tym tonem! Nie tym tonem, do kurwy nędzy!

– Połóż się, proszę.

– A niby dlaczego?

Cienie rodziców zbliżyły się do siebie. Szczupła, niska sylwetka mamy i wysoka, zwalista postać taty.

– Idź spać, jesteś pijany!

Basia skuliła się w sobie, słysząc lekko podniesiony głos mamy. Wiedziała, że to był błąd. Kiedy tata jest w takim stanie, nie wolno go drażnić. Wszystko go wtedy denerwuje, byle co może wywołać w nim agresję.

Trzeba było powiedzieć to łagodniej. Albo w ogóle nic nie mówić.

Cisza.

Uderzy? Uderzy czy nie?

A lubił uderzać znienacka. Uspokajał się, rozluźniał i nagle podnosił rękę, po czym uderzał w głowę albo w brzuch. Czasami, kiedy wpadł w furję, chwycił mamę za włosy i obijał ją o ścianę.

Uderzy czy nie?

Uderzył.

Raz. Tylko raz.

Basia usłyszała głucho plaśnięcie i zamknęła oczy.

– Nie położę się! – wykrzyknął tata. – Przestań mi rozkazywać! Bo popamiętasz – dodał. Wyszedł, z całej siły trzaskając drzwiami.

Dziewczynka, dygocząc, słyszała, jak pospiesznie zbiegał ze schodów. Gdy zniknął gdzieś w osiedlowych

ciemnościach, schowała głowę pod poduszkę i zaczęła płakać.

Ostatnia awantura miała miejsce dwa tygodnie temu, a to oznaczało, że przez najbliższe dni tata będzie przychodził do domu pijany i zły.

Ostatnia awantura. Dobrze pamiętała ten dzień, a właściwie wieczór. Mama wkładała pościel do pralki. Nagle do mieszkania wszedł tata. W milczeniu wkroczył do łazienki. Złapał mamę w pól, wrzucił do wanny i zaczął okładać pięściami...

– Córeczko! Córeczko!

Basia wyciągnęła głowę spod poduszki i spojrzała na mamę, która stanęła w progu i próbowała się uśmiechnąć.

Na jej policzku widniał czerwony ślad od uderzenia.

– Słucham? – Usiadła na łóżku i wytarła wilgotne oczy.

– Spakuj się do plecaka, pójdziemy przenocować do cioci Halinki.

Pokiwiała głową i spojrzała na krzesło, na którym tkwił plecak ozdobiony wizerunkiem Myszki Miki.

– Zaczyna się – szepnęła mama. – Nie ma co ryzykować.

II

Podinspektor Rambert, szef Wydziału Dochodzeniowo-Sledczego, spojrzal smutno na zebranych i szepnal do mikrofonu:

– Byles jednym z najlepszych policjantow, z jakimi dane mi bylo pracowac. – Westchnal. – Zegnaj, przyjacielu! – dodal i po krótkim wahaniu kontynuowal: – Moze kiedyś do nas dotrze, ze naprawde odszedles. Na zawsze. Moze. Bo teraz mamy wrazenie, ze po prostu wyjechales na dlugie wakacje, gdzieś daleko... – Oficerowi zalamal sie glos. – Zegnaj!

Katia spojrzala na drobną kobietę, którą podtrzymywalo dwóch zasepionych dwudziestolatkow. Z jej oczu poplynely lzy. Chlopcy zwiesili glowy.

Zerknela na podinspektora Buryle, naczelnika Wydziału Kryminalnego, stojacego tuż za wdową i w milczeniu wpatrujacego sie w trumne. Nieco dalej stal Miszczu, kolega z Sekcji Zabojstw i Rozbojow. Mial na sobie zbyt luzny czarny garnitur, krzywo zawiązany krawat i caly czas dotykala dlonią napuchniętego policzka. Pewnie wciaz bolal go ząb.

Jak on nazwal dentyste? Zebolog? Nawet zabawnie.

– Szef sie wzruszil – mruknal jej do ucha sierżant Ostrowski, z którym przyjechala na uroczystosc. Gdy sie nachylik, poczula przyjemny zapach perfum.

Usmiechnela sie.

– Nie wiedzialam, ze byli tak blisko zaprzyjaznieni –

odparła szeptem, spoglądając na kolejne twarze. Za Rambertem dostrzegła komendanta, który stał w towarzystwie kilku umundurowanych mężczyzn i kobiet.

Nagle uderzyło ją, jak pożółkłe liście kontrastowały z czernią ubrań żałobników. Lubiła jesień. Jej zapach, intrygujące gry kolorów, kałuże na chodnikach, coraz niższe temperatury. Właśnie, chłód, zimno. Jej matka nigdy nie mogła tego zrozumieć. „Przecież każda kobieta uwielbia ciepło, tej!” – mówiła, znienacka podnosząc intonację.

No cóż, ja jestem inna.

– Bo nie byli, ale gdzieś tu niedaleko leży jego kobieta – oznajmił półgłosem Ostry. – Zginęła w wypadku samochodowym...

– Dawno?

– Jakieś pięć lat temu.

– Żona?

– Nie. Z żoną rozstał się dzień przed wypadkiem... przyjaciółki...

Katia zmarszczyła brwi i spojrzała na kolegę, niecodziennie ubranego, bo w ciemne sztruksy i czarną marynarkę. Na chwilę porzucił swój rockowy styl.

Nieopodal trumny ustawiła się kompania honorowa uzbrojona w karabinki. Powietrze przeszyły pierwsze komendy wypowiedziane ostrym, dobitnym głosem.

– Smutna historia – szepnął sierżant.

– Ładuj! – Usłyszeli.

– Salwa!

– Pal!

Rozległ się huk wystrzałów.

Katia spojrzała na wdowę, która zapłakała głośno i wtuliła się w jednego z synów. Drugi głaskał ją czule po głowie.

– Przełoż!

– Pal!

Zawyły syreny. Ktoś zaintonował pieśń, którą podłapało parę osób. Po paru sekundach większość zebranych zaczęła nucić pod nosem:

Już zgasło słońce nad horyzontem / Dobiegł twej ziemskiej wędrówki kres / Do twego Boga zdążasz wędrowcze / By w szczęśliwości zanurzyć się¹.

Gdy Katia nieśmiało dołączyła do śpiewających, poczuła gęsią skórkę.

O co chodzi, co się ze mną dzieje?

Przecież od siedemnastych urodzin konsekwentnie i ostentacyjnie unikała kościelnych rytuałów i wzruszeń. Nucać, uprzytomniła sobie, że jest bardzo wrażliwa na religijne utwory o śmierci, a szczególnie na jeden, wielkanocny: „O śmierci, gdzie jesteś, o śmierci?”. Gdy go słyszała, z jakichś tajemniczych powodów się rozklejała. Z tajemniczych, bo przecież zupełnie nie wierzyła w zmartwychwstanie. Nie ma żadnego zmartwychwstania, jest tylko absolutny koniec wszystkiego. Do piachu, potem robale, *the end*.

Gdy pieśń wybrzmiała i atmosfera nieco się rozluźniła, podszedł do nich sierżant Kowalski. Miał na sobie nowiutki czarny garnitur, śnieżnobiałą koszulę i błyszczące lakierki.

– Jedzicie na stypę? – zapytał. – Nad Jeziorem Maltańskim będzie impreza.

1 Fragment pieśni religijnej „Już zgasło słońce” (przyp. red.).

Ostrowski spojrzał na Katię i mrugnął do niej zachęcająco.

– Masz ochotę na funeralną wyżerkę?

Posterunkowa wyszczerzyła zęby.

– Brzmi zachęcająco – odparła.

– W takim razie zapraszam do mojego dzielnego fiata sto dwadzieścia sześć pe.

• • •

Zygmunt Bossowski, komendant wojewódzki policji w Poznaniu, zwany przez podwładnych Bossem, podniósł pięćdziesiątkę mrożonej wódki i stuknął się z Buryłą.

– Za Henia – powiedział. – Oby mu się udało na tamtym świecie.

– Za Henia.

Wypili i zagryźli kiszonym ogórkiem. Chwilą milczenia uczcili pamięć zmarłego przed tygodniem Henryka Kalupy, sześćdziesięcioletniego dochodzeniowca, uważanego za jednego z ostatnich prawdziwych mistrzów w tej branży.

– Słuchaj, Andrzeju.

– No słucham cię, Zygmunccie.

Bossowski sięgnął widelcem po kawałek szynki, pochłonał go, wytarł usta i zerknął na podwładnego. Ten odwzajemnił spojrzenie, zastanawiając się, jak bardzo nieprzyjemną rzecz usłyszy. Od dłuższego czasu w firmie panowała paskudna atmosfera. Chaos, ciągłe przetasowania, coraz więcej roboty, naciski polityków.

Chwila ciszy.

– Jest pomysł, żeby w końcu zdjąć Harry’ego.

– Zdjąć?

– Ze stanowiska szefa Sekcji Zabójstw i Rozbojów.

Buryła zmarszczył brwi i lekko uniósł się na krześle.

– Kto, kurwa, wpadł na taki pomysł?

Boss odchrząknął.

– Warszawa – odparł, ściągnął usta i po chwili dodał: – Zresztą, to byłaby sensowna decyzja.

– Dlaczego? – zapytał gwałtownie Buryła. – Zakładasz, że Harry nie żyje? Nie za szybko? Owszem, gdzieś przepadł, zniknął, ale znasz go przecież...

Komendant podniósł dłoń i warknął:

– Właśnie dlatego, że go znam! Trzeba go odsunąć i przerzucić w jakieś spokojne miejsce... Byłby dobrym szkoleniowcem. Albo nawet wysłać na emeryturę, żeby mógł solidnie odpocząć, wylizać rany.

– Przecież on ledwo przekroczył czterdziestkę! – zaperzył się Buryła.

– Ale ma życiorys żołnierza, który przeżył kilka krwawych wojen – warknął Bossowski i sapnął ciężko. – Owszem, to świetny glina – dodał, zmieniając ton na nieco bardziej polubowny. – Ale na wykończeniu. Wiesz o tym dobrze. Gdyby nie twoja sympatia do niego, już dawno bym go... odstawił. Dla jego własnego dobra.

– Ale w tym momencie? To zwyczajne świństwo! Być może ważą się jego losy, a ty chcesz go zdegradować. Powinniśmy go najpierw odnaleźć!

Komendant się skrzywił. Ponownie chwycił widelec, rozejrzał się uważnie po stole, namierzył grzybki w occie, zjadł jednego i wycedził:

– Znajdźcie go, a potem... pogadamy.

Naczelnik zaśmiał się ironicznie i pokręcił głową.

Pomyślał chwilę, zmrużył oczy i zapytał:

– A kogo wielce szacowna Warszawka chce mianować na kierownika mojej sekcji?

Bossowski otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale w tym momencie jeden z grupki policjantów siedzących na drugim krańcu stołu wstał i krzyknął:

– Ze mną się nie napijesz? Ze mną? Jesteś na stypie, to pij, a nie marudź, że samochodem przyjechałeś!

Parę osób zachichotało, nie przerywając krojenia kotletów.

– Nie odmawiaj Kozakowi! – odkrzyknął ktoś i wszyscy jak na komendę dotknęli swoich kieliszków, a potem przenieśli oczy na kolegę, który otworzył butelkę żytniej i uklonił się w pas.

Komendant i naczelnik patrzyli przez chwilę na podwładnych.

– Kto ma zostać kierownikiem? – ponowił pytanie Buryła.

– Taki jeden komisarz z centrali.

– Niech zgadnę, czyjś synalek?

– Bury, poraża mnie bystrość twojego intelektu i znajomość realiów pracy w policji.

Buryła prychnął. Bossowski wzruszył ramionami.

Zamilkli na chwilę.

– Zjedz sobie grzybka – rzucił komendant. – Pyszne są.

– Wolę śledzia – zripostował naczelnik.

• • •

Rambert wznosił kieliszek, wychylił i odstawił głośno naczynie. Odczekał, aż wódka rozplynie się po ciele, a potem ugryzł ogórka. Przełknąwszy, spojrzął na swoich

słuchaczy: Katię, Ostrowskiego i Kowalskiego.

Zebrało mu się na kombatanckie wspominki.

Uroczystość pogrzebowa, podczas której pożegnali komisarza Kalupę, wprawiła go w nostalgiczny nastrój, a wódka, porządnie schłodzona i dziś wyjątkowo smaczna, obudziła w nim gawędziarza. Musiał się wygadać, musiał wyrzucić mnóstwo słów i obrazów, które od wielu lat regularnie osadzały się gdzieś na dnie umysłu.

Siedząc przy stole, obserwując swoich kolegów i koleżanki, przepijając do nich, zaczął przypominać sobie swój zawodowy życiorys. Pointa była taka: fachu nauczył go właśnie Kalupa. I o tym właśnie chciał dzisiaj snuć opowieści.

Być może w tej intensywnej potrzebie dałoby się wyczuć pewną nerwowość i powiązać ją ze wspomnieniem Julii, obok której grobu dziś przeszedł, ale z całych sił starał się nie myśleć o swojej nieżyjącej przyjaciółce. Jutro musiał wcześniej wstać i w miarę wypoczęty pójść do roboty.

– Henio to był wzór dochodzeniowca – powtórzył po raz kolejny. – Skrupulatny, rozsądny i rozbijająco pragmatyczny. – Uśmiechnął się do siebie. – Pamiętam jedno zdarzenie z cyklu „Nietypowe zatrzymanie”.

Ostrowski zerknął na Katię, która zatknęła niesforny kosmyk włosów za ucho. Uwielbiał ten jej gest.

Kowalski uchwycił rozanielone spojrzenie kolegi i zmarszczył brwi.

– Któżś dnia Henio wezwał na komendę faceta podejrzanego o kilkanaście włamań do sklepów z elektroniką – podjął Rambert. – Zrobił to jednak pod

pozorem jakichś niewinnych formalności. Lubił takie podstępny. Jego znak markowy. Uprzejme zaproszenie na spotkanko, żeby coś wyjaśnić, podpisać, a potem, oczywiście przy kawce, szereg pytań, które nagle podążają w dziwnym kierunku, i w końcu szokująca pointa: jesteś zatrzymany, kruca fuks. Dawaj rączki, muszę je zaobrączkować. – Podinspektor się roześmiał. – Klient wszedł do środka. Usiadł na krześle, a potem wstał i zaczął się nerwowo kręcić. Coś chyba przeczuwał. W pewnym momencie nieoczekiwanie włożył rękę przez okienko w pomieszczeniu dyżurki i nacisnął guzik odblokowujący drzwi do budynku. Potem błyskawicznie je otworzył i rzucił się na schody. Ktoś za nim krzyknął. Wtedy Henio wysunął głowę z pokoju i gdy zorientował się, że facet wybiegł z komendy, ruszył za nim w pogoń. Miał wtedy trzydzieści lat i całkiem niezłą kondycję. – Rambert zamilkł na chwilę. Nalał do szklanki pepsa, wziął kilka łyków i ciągnął dalej: – Szybko zorientował się, że jest szybszy i wytrzymalszy. Króliczek po kilkudziesięciu metrach ewidentnie zwalniał. Mógł go dopaść od razu, ale stwierdził, że nie chce mu się szarpać z nim na oczach przechodniów. Był ubrany po cywilnemu, mogłoby się zrobić zamieszanie, a poza tym facet był napakowany, a on nie miał pistoletu, pałki, nawet kajdanek. – Pauza na kilka kolejnych łyków. – Dlatego postanowił go najpierw zmęczyć. Zwolnił i truchtał sobie za delikwentem spokojnie. Po kilkuset metrach klient padł ze zmęczenia. Zmęczył się strasznie, nie mógł złapać oddechu, świzzczał jak parowóz. Henio podrapał się po wąsach, podszedł do niego, pomógł mu się podźwignąć i razem wrócili na komendę, gdzie

nastąpiło oficjalne zatrzymanie.

• • •

Znad Jeziora Maltańskiego powiewał przyjemny jesienny wiaterek. Mężczyźni przez chwilę wodzili wzrokiem za skrzeczącymi mewami, które unosiły się nad granatową taflą. W oddali, na drugim brzegu, majaczył całoroczny stok narciarski.

Buryła wypuścił dym, próbując uformować go w zgrabne kółeczka, po czym zdusił peta w popielniczce stojącej tuż przy wejściu.

– Poczekaj, coś ci przyniosę – rzucił i otworzył drzwi.

Z wnętrza Restauracji Maltańskiej, w której odbywała się stypa, dobiegał gwar rozmów, szczęk sztućców i zapach schabowych. Gdy podinspektor wszedł do środka, dziennikarz kiwnął głową, wyciągnął z kieszeni marynarki piersiówkę, upił spory łyk i westchnął przeciągle. Przypomniawszy sobie nagle spoczywające w trumnie zwłoki Kalupy.

Obraz kumpla, martwego kumpla, wywołał w nim lęk.

Od paru lat myśli o śmierci wprawiały go w coraz większy popłoch. Często śniły mu się pogrzeby. Parę dni temu obudził się tuż przed świtem zlany potem – przerażony stwierdził, że szedł za swoją własną trumną.

Zadrżał i na chwilę przymknął oczy. Chciał się pozbyć powidoku twarzy Henia, dziwnie zapadniętej, niepodobnej do siebie.

Czy to naprawdę był on? Co się dzieje z naszymi gębami po śmierci? – myślał gorączkowo. Dlaczego nasze mordy tak się zmieniają?

Ponure pytania przerwało głośnie chrząknięcie.

– Weź to!

Otworzył oczy i dostrzegł Buryłę, który rozgryzał coś w zębach.

– Co to? – burknął Misio, zerkając jednocześnie na szarą wiążaną teczkę, którą policjant wyciągnął w jego stronę.

– Opowieści starego szkieła.

– Że co?

Buryła podrapał się po świeżo przystrzyżonych włosach.

– Żona Henia dała mi to wczoraj – oznajmił.

Dziennikarz chwycił teczkę, lustrując ją uważnie.

– Okazuje się, że w zeszłe lato Henio zasiadł do maszyny i zaczął wystukiwać wspomnienia z policyjnego frontu – wyjaśnił podinspektor.

– Nic mi o tym nie mówił.

– Nikomu nie mówił. – Buryła wzruszył ramionami. – Ale chyba mu nie szło, bo ograniczył się do opisu jednego śledztwa. Reszta to jakieś odręczne notatki.

– Jakiego śledztwa?

– Kryptonim „Pociąg”. Pamiętasz?

Misiński zmarszczył brwi.

– Jak przez mgłę – mruknął.

– Mocna, cholernie brutalna historia. Z lat osiemdziesiątych. Zakończona skórką.

– Skórką?

– No, wyrokiem śmierci... Podstawowych pojęć nie znasz, chłopie?

Dziennikarz mimowolnie się wzdrygnął. *Pieprzona śmierć* – warknął w duchu i nagle poczuł, że musi się napić. Więcej niż zazwyczaj. Jak nie z tej, to z tamtej.

Buryła poklepał go po ramieniu.

– Przeczytaj – powiedział. – Może uda ci się to przerobić na opowiadanie albo powieść. – Poprawił pasek, który trochę się poluzował, i pogłaskał się po wydatnym brzuchu. – A teraz wybaczone, wracam na imprezę. Boss chciał ze mną zamienić parę słów.

– Udanych pogwarek. – Redaktor uśmiechnął się kwaśno.

Mężczyźni uścisnęli sobie mocno dłonie.

Podinspektor wrócił do środka, a dziennikarz przeszedł przez parking, usiadł na ławce i otworzył teczkę. W środku mieścił się plik kartek spiętych zardzewiałym spinaczem. Rzeczywiście były to „Opowieści starego szkieła”. Poślinił palce i zaczął wertować zawartość teczki.

Najważniejszą część maszynopisu stanowił tekst zatytułowany „Kryptonim «Pociąg»”, który zaczął się bardzo nastrojowo, trochę w stylu „Bestii ludzkiej”, słynnej książki Emila Zoli.

Rozsiadł się wygodnie, rozejrzał po okolicy, zatrzymał na chwilę wzrok na parze przygarbionych staruszków, który niespiesznie szli wzdłuż brzegu.

• • •

Mała stacyjka. Jesienna mgła, deszcz, zmrok, opadające liście, lekki szum wiatru. Łoskot żelaznych kół.

Z mgły, niczym ślepią potwora, wyłaniają się dwa reflektory. Stalowa bestia zatrzymuje się. Do pociągu wsiadają podróżni. Dyżurny ruchu daje sygnał odjazdu. Syk pary, stukot kół, czarny potwór rusza przed siebie, w ciemną, mglistą noc.

Nieliczni podróżni zajmują miejsca w słabo oświetlonych przedziałach. Młoda dziewczyna wyciąga z plecaka książkę. Zaczyna ją czytać. Nagle słyszy gwałtowne szarpnięcie drzwi. W progu staje mężczyzna. Brudny, spocony, zakrwawiony. Ma dziwny wyraz twarzy: lewy kącik ust opada w dół.

Szczerzy zęby, a potem rzuca się na nią gwałtownie.

• • •

Misio podniósł głowę znad maszynopisu, odłożył go na ławkę, znowu sięgnął po piersiówkę i wziął solidnego łyka.

– Pamiętam tę historię – szepnął do siebie i wrócił do lektury.

Po kilku poetyckich wstawkach narrator zrobił cięcie, przypomniał, że sprawa, którą ma zamiar zrekonstruować, „poruszyła opinię publiczną w całym kraju”, i ponownie zanurzył się w tekście.

„Był poniedziałkowy poranek, parę minut po siódmej. Porucznik Kalupa usiadł właśnie przy biurku, podmuchał gorącą kawę, sięgnął po gazetę i zaczął studiować wyniki meczów piłkarskich.

Gdy był w połowie tabeli, otworzyły się drzwi. W progu stanął chorąży Tomasz Harwey, pseudonim Harry. Przystojny trzydziestoparolatek, przypominający trochę Michaela Praeda, serialowego Robin Hooda.

– Koniec prasówki, przyjacielu – oznajmił z lekka przepitym głosem.

– Bo?

– Jedziemy do Radliczyc.

– Gdzie?

- Okolice Kalisza.
- A co tam się stało?
- Na stacji znaleziono zwłoki młodej dziewczyny. Brutalne zabójstwo.

Kalupa westchnął, spojrział tęsknym wzrokiem na kubek oraz gazetę i energicznie podźwignął się z krzesła.

– Kruca fuks – mruknął, po czym ruszył za kolegą, który wyszedł pospiesznie na korytarz, stukając obcasami swoich kowbojskich butów”.

Kowalski chwiejnym krokiem wyszedł z sali, czknął i przystanął. Oparł się o kolumnkę, czując, że alkohol zaczyna przejmować nad nim władzę.

W mordę – pomyślał. Przecież nazajutrz musiał iść do roboty.

Na korytarzu wypełnionym kłębamii dymu robiło się coraz tłoczniej i hałaśliwiej. Wokół okrągłego stolika ustawionego tuż przy drzwiach do łazienki zebrała się spora grupa mężczyzn, w większości operacyjniaków.

– Pijemy! – zakomenderował ktoś tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Sierżant przetarł oczy. To był Kozak, niewysoki, chudy i wąsaty komisarz z kryminalnego.

Wszyscy jak na komendę dotknęli językami posolonych dłoni, unieśli kieliszki, wypili, stuknęli nimi głośno o stół i zagryźli kawałkami cytryny.

- Ogień!
- Moc!
- Pierwszy raz piję tequilę!
- Dobre jak byk!

Kowalski zerknął na Ostrowskiego, który sięgnął po butelkę z charakterystyczną czerwono-żółtą naklejką,

obejrzał ją dokładnie i zapytał wyraźnie zaciekawiony:

– Kozak, skąd masz taki fajny trunek?

Komisarz poluzował krawat, zdjął go i schował do kieszeni. Wyjął z wnętrza czarnej marynarki paczkę klubowych, zapalił, wypuścił dym i mruknął:

– Od takiej jednej cwaniary... – Zachichotał i dodał: – Słodkoustej obciągary. – Cmoknął przeciągle, wywołując rechot kolegów.

Co za wieśniaki – pomyślał Kowalski, zamykając na chwilę oczy i przełykając ślinę. Zabułgotało mu w żołądku. Sięgnął do paska i niezdarnie zaczął go poluzowywać o kilka oczek. Gdy policjanci w końcu umilkli, ktoś rzucił:

– Słyszeliście? Podobno Warszawa chce zdjąć Harry'ego z kierownika Sekcji Zabójstw.

– Że co?

– Kto go zastąpi?

Kozak zaciągnął się. Gdy wypuścił dym, zdusił peta w srebrnej popielnicy. Na serdecznym palcu lewej dłoni miał sygnet z czaszką. Spojrzał na kolegów i burknął:

– Jakiś smerf ze stolicy. – Chwycił butelkę i powąchał.

– Te chuje z Wiejskiej regularnie rozpierdalają nam firmę

– warknął. – Od przełomu! – dodał i uniósł palec.

Kowalski poczuł, że zjedzone mięso zaczyna podchodzić mu do gardła. Wziął głęboki oddech.

– Zlikwidowali komendy miejskie – mówił coraz głośniej Kozak. – Powyrzucali na bruk starych majstrów, poprzyjmowali jebanych żółtodziobów, a teraz wysyłają w teren jakichś jełopów, którzy na niczym się nie znają.

Pokręcił głową i zaczął rozlewać alkohol do kieliszków. Gdy doszedł do trzeciego albo czwartego, zaczął nucić:

Nieprzespanej nocy znojnnej / Jeszcze mam na ustach ślad / U Grubego Joska przy ulicy Gnojnnej / Zebrał się ferajny kwiat².

Nagle na korytarzu pojawiła się Katia. Szybkim krokiem podeszła do drzwi i chwyciła za klamkę. Gdy Ostry dostrzegł dziewczynę kątem oka, zerwał się i ruszył za nią, wykrzykując jej imię.

Kowalski uśmiechnął się na ten widok, ale bardzo szybko zmienił wyraz twarzy, zakrył dłonią usta i pobiegł do łazienki. Jego wymiotom akompaniował chóralny śpiew chłopaków z kryminalnego:

Bez jedzenia i bez spania / Byle byłoby co pić / Kiedy na harmonii Feluś zaiwania / Trzeba tańczyć, trzeba żyć.

2 Fragment utworu „Bal na Gnojnnej” Stanisława Grzesiuka. Tekst autorstwa Juliana Krzewińskiego i Leopolda Brudzińskiego.

III

Podniósł obolałą głowę, potarł oczy i rozejrzał się po wnętrzu dziwnego pomieszczenia, w którym znalazł się przed chwilą. Wielka przestrzeń, mnóstwo ludzi patrzących przed siebie jak zahipnotyzowani.

Próbował uprzytomnić sobie, gdzie się znajduje, ale nie potrafił. Kościół, teatr, sala widowiskowa?

Co gorsza, od samego początku odnosił wrażenie, że wszystko wokół drży, faluje, naciska na niego.

Oparł się o zimną ścianę i powoli wypuścił powietrze. Mimowolnie napiął mięśnie, po czym spojrzął na mężczyznę stojącego na barokowej kazalnicy ułożonej jakieś trzydzieści metrów dalej, spoglądającego czujnie na zgromadzoną publiczność.

Szczupły, jakieś pięćdziesiąt lat, posągowa, z lekka demoniczną urodą. Kiwał głową i uśmiechał się.

Harry odchrząknął i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął i spojrzął w bok. Obok tajemniczego mężczyzny na kazalnicy stanął starzec, przeraźliwie otyły, z sumiastym wąsem, który położył mu rękę na ramieniu, odczekał chwilę, nachylił się i coś szepnął.

Oficer wyprostował się i wytężył słuch. Ku swojemu zdziwieniu usłyszał pytanie:

- Gdzie jest dziewczyna?
- Skąd mam wiedzieć? – odparł młodszy mężczyzna, z trudem kryjąc irytację.

- Stąd, że to ty ją ostatnio użytkowałeś!
- Ano tak. Ale po wszystkim ją wypuściłem.

Wąsаты starzec spurpurowiał.

Harry podszedł cicho do wielkiej kolumny, przylgnął do niej i sięgnął do kabury. Pustej! Zacisnął szczęki, po czym wychylił się i wbił wzrok w siwowłosych mężczyzn.

Byli ubrani w czarne garnitury ozdobione czerwonymi poszetkami i białe koszule z charakterystycznymi stójkami. Im dłużej się im przypatrywał, tym szybciej biło mu serce.

O kim oni mówią?!

Drgnął, gdy dobiegł go syk starca:

- Co zrobiłeś?!
- Wypuściłem ją.
- Ale dlaczego?

Harry zamknął oczy, próbując skupić swoje wewnętrzne siły. Gdzieś w tyle głowy, na dnie świadomości, usłyszał jęk, przeciągły jęk. Otworzył oczy, rozejrzał się wokół i ku swojemu zdumieniu stwierdził, że zgromadzeni zniknęli. Momentalnie wyparowali.

Co to za cyrk? Co tu się dzieje?

- Pytam się: dlaczego?!
- Bo do niczego się już nie nadawała – burknął szczyptły, po czym dotknął palcem koniuszka nosa i wzruszył ramionami.

– Coś ty jej zrobił? – Starzec podniósł głos.

– To, co zawsze. Tyle że mocniej.

Zapadła cisza.

– Ledwo żyła... Chyba trochę przesadziłem.

– To trzeba było jej poderżnąć gardło, a potem rozpuścić w kwasie! – Rozległ się wrzask. – A nie

wypuszczać na wolność, idioto!

W tym momencie budynek zadrżał w posadach, Harry omiół wzrokiem rozpadającą się z hukiem przestrzeń i uprzytomnił sobie, że coś przenosi go w inne miejsce. Zupełnie jakby był bohaterem jakiegoś tandetnego filmu akcji.

– Co jest, do chuja? – mruknął i zorientował się, że stoi na początku długiego hotelowego korytarza wyłożonego czerwonym dywanem. W oddali dostrzegł półnągą platynową blondynkę w czarnych pończochach. Biegła niezdarnie, próbując ściągnąć ze stóp bordowe szpilki.

Harry chciał za nią krzyknąć, ale nie mógł. Nie mógł mówić, nie mógł się ruszać. Był całkowicie sparaliżowany. Serce podchodziło mu do gardła.

Znał tę sylwetkę! I to bardzo dobrze.

Dziewczyna zatrzymała się na końcu korytarza i stanęła przed drzwiami pokoju. Włożyła do zamka klucz, przekręciła i pospiesznie weszła do środka, zamykając z trzaskiem drzwi.

Wtedy dostrzegł numer: tysiąc dziewięćset czterdzieści osiem. Zmarszczył brwi, czując w trzewiach, że była w tym jakaś symbolika.

Ruszył, gdy usłyszał okropny krzyk. Tym razem nic go nie powstrzymało. Po paru krokach zaczął biec. W końcu znalazł się przed drzwiami, za którymi zniknęła blondynka. Szarpnął gwałtownie klamkę, przekroczył próg i raptownie się zatrzymał.

Na krześle pośrodku pokoju siedziała dziewczyna. W kałuży krwi, która wypływała z jej poderżniętego gardła.

– Patrycja – szepnął, czując, że nogi mu miękną, oczy

zachodzą wilgocią, a w gardle robi się sucho. – Patrycja...

Podszedł do niej rozdygotany, drżące dłonie położył na twarzy, po czym powoli zamknął powieki zamordowanej przyjaciółki, brudząc palce ciepłą, lepką krwią.

Uklęknął przed kobietą, położył głowę na jej kolanach i zaczął płakać. Wkrótce płacz zamienił się szloch, w którym Harry się zatracił. Przecież jeszcze parę dni temu...

Przez głowę przeleciały mu sceny przedstawiające Patrycję w różnych sytuacjach. Usłyszał jej śmiech, zobaczył jej gesty, poczuł jej cudowny, oszałamiający zapach.

– Zrób mi jakiegoś drinka. Może być wódka z colą. I z lodem!

– Nie mam lodu.

Gdy trochę się uspokoił, wstał, sięgnął po paczkę papierosów i zapalił jednego. Wypuściwszy dym, przygryzł usta i szepnął do siebie:

– Kto ci to zrobił?

W tym momencie usłyszał zgrzyt zamka i skrzypnięcie drzwi. Ktoś warknął:

– Ja to zrobiłem. To ja ją zajebałem.

Harry odwrócił się gwałtownie i otworzył oczy. Znowu nastąpiła zmiana przestrzeni. Ale tym razem na rzeczywiście.

Przełknął ślinę i rozejrzał się wokoło.

Kolejny chujowy sen – przeszło mu przez myśl.

Parę sekundę później zorientował się, że siedzi na zimnej podłodze, przykuty do kaloryfera.

IV

Redaktor Misiński zamarł nad maszyną do pisania. Sapnął nerwowo i starł z czoła krople potu. Mnóstwo myśli przebiegało mu przez głowę, ale żadnej z nich nie mógł chwycić, usidlić, żeby w końcu ruszyć z miejsca i zacząć historię.

– Jestem dupa, nie pisarz – mamrotał rozpaczliwie pod nosem.

Przejechał palcami po literach, które układały się w słowo „Olivetti”. Stylowa maszyna była prezentem urodzinowym od zaprzyjaźnionego oficera kontrwywiadu, z którym raz w tygodniu upijał się do upadłego w Merkurym.

Jakąś godzinę temu skończył czytać maszynopis Henia. Zapisana niezgrabnie historia naprawdę przypadła mu do gustu.

Lata osiemdziesiąte, zabójstwo na kolejowym szlaku, mocne sceny, emocjonujące poszukiwania popierdolonego sprawcy – tego właśnie potrzebował! Buryła miał rację. Z tego można zrobić fajne opowiadanie, albo nawet powieść.

To jest moja szansa. Trzeba się tylko skupić, zawziąć i napięprzać w klawiaturę. A potem wydać kilka bestsellerów i rzucić tę pieprzoną robotę lokalnego gryzipiórka. Żadnych metafor. Żadnego pijackiego wodolejstwa. Proste, konkretne zdania. Jak u Hemingwaya.

Dziennikarz zatarł ręce, pomyślał chwilę i uderzył w klawiaturę, rozpoczynając swoją własną wersję milicyjnego śledztwa. Jedno zdanie, krótka pauza, drugie, potem trzecie, aż w końcu powstał cały akapit. Charakterystyczny stukot rozniósł się po całym mieszkaniu, które składało się głównie z książek, gazet i teczek z wycinkami.

Po kilku godzinach intensywnego, wręcz obsesyjnego pisania Misiński znieruchomiał. Potrząsnął głową, nalał do szklanki żytniej, opróżnił połowę naczynia jednym haustem i wykręcił ostatnią kartkę. Westchnął, zebrał zapiski, przeniósł się na fotel i zaczął czytać od momentu, w którym milicjanci, porucznik Kalupa i chorąży Harwey, ruszyli na miejsce zbrodni.

• • •

Gdy wjechali do Radliczyc, małej wioski w powiecie kaliskim, porucznik podrapał się po policzku i mruknął:

– Bronek powinien już tu być. A dobry medyk to połowa sukcesu.

Chorąży pokręcił głową.

– Chyba jedna czwarta – stwierdził, po czym zaczął zwalniać i skręcił kierownicą. Zjechawszy z asfaltowej drogi, zaparkował pod odrapanym budynkiem stacji PKP.

Byli na miejscu.

– Dlaczego jedna czwarta?

Harry otworzył drzwi.

– Później ci powiem – odparł. – Teraz nie chce mi się gadać.

Kalupa wzruszył ramionami.

– Nie znam się na ułamkach – powiedział, wyjmując z torby zielonkawą teczkę oraz długopis.

Dźwignęli się z siedzeń i wysiedli. Zrobili kilka kroków i przystanęli, omiatając wzrokiem okolicę. Za plecami mieli pola, za którymi majaczyła linia lasu, przed sobą torowisko i parę budynków. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, po lewej, nieopodal szarej hali, dostrzegli grupkę umundurowanych mężczyzn.

Milicjanci spojrzeli po sobie i skrzywili się.

– Czasami trzeba popracować w czarnej dupie – mruknął Harry.

– Ale tak bez żadnego żelu? – oburzył się Kalupa.

Choraży uśmiechnął się i sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej skórzanej kurtki. Wyciągnąwszy pierścionek, podał ją koledze. Ten wziął solidnego łyka i oddał blaszaną buteleczkę ozdobioną sylwetką wyjącego wilka.

– Teraz lepiej wejdzie, kruca fuks.

W ich kierunku zaczął iść umundurowany młody mężczyzna. Przeszedł przez tory, podszedł z nieśmiałym wyrazem twarzy, przedstawił się i wskazał palcem miejsce, gdzie znaleziono zwłoki młodej dziewczyny.

Po parunastu sekundach podeszli do krzątającej się grupki. Przywitali się z funkcjonariuszami z kaliskiej komendy, pogadali chwilę z poznańskim medykiem sądowym, doktorem Bronisławem Kulejem, który właśnie kończył jeść kanapkę, pocałowali rękę młodziutkiej i rudowłosej pani prokurator, Julii Ziębińskiej, i zapoznali się z pierwszymi ustaleniami.

Pracownik stacji szedł wzdłuż torów. Nagle zauważył fragmenty zakrwawionej damskiej odzieży. Podszedł

bliżej i zorientował się, że ślady krwi prowadzą do rampy rozładunkowej. Z łomoczącym sercem zaczął iść w jej kierunku. Po drodze znalazł kolejne strzępy ubrań i obuwie. Ktoś ewidentnie kogoś ciągnął. Gdy doszedł do rampy, dostrzegł głowę i rękę jakiejś dziewczyny przykrytej workami po cemencie. Była martwa. Nie znał jej. I póki co nikt nie zidentyfikował jej tożsamości.

Milicjanci w milczeniu wysłuchali relacji, po czym rażnym krokiem podszli do miejsca odnalezienia zwłok.

To był makabryczny widok. Rozchylone nogi, poszarpane ubranie, półnagie, zakrwawione, poranione ciało.

Harry westchnął. Wpatrując się uporczywie w zwłoki, zaczął zakładać rękawiczki, które wyjął z kieszeni dzinsów.

– Musiał nią rzucić z całej siły o coś twardego – oznajmiła pani prokurator, która stanęła obok chorążego. – Ma widoczne wgniecenie w kości czaszki.

Ten pokiwał głową.

– Znaleźliście dokumenty dziewczyny? – zapytał nagle.

– Nie.

Zmarszczył brwi i uklęknął.

– Co my tu mamy? – szepnął do siebie.

Spod ciała wyciągnął kawałek kolorowego papieru. Wstał i zaczął się w niego wpatrywać.

– Co to? – zagadnął porucznik.

– Fotka z jakiegoś świerszczyka – mruknął Harry. – Z paluchem.

Rzeczywiście, to była ilustracja wydarta z pornograficznego czasopisma. Naga, długowłosa kobieta, która zabawia się wibratorem. Na jej małych,

stożkowatych piersiach widniał ślad kciuka. Porucznik odwrócił wycinek – na drugiej stronie ktoś zostawił kolejny krwawy ślad.

– Skąd to się wzięło? – parsknął Kalupa.

– Nie wiem. Może mu wypadło podczas szarpaniny?

Chorąży podrapał się po nieogolonym policzku.

– Piękny paluszek – mruknął i poszukał wzrokiem techników. – Każda linia ładnie odbita. – Zabezpieczcie to – rzucił do jednego z nich, a potem spojrzął przeciągle na panią prokurator.

Była całkiem atrakcyjna. Szczupła twarz o kwadratowej szczęce, długie, rude włosy, granatowy płaszczyk, brązowe kozaki. I brązowe oczy.

Coraz intensywniejszy wiatr roznosił jej lawendowe perfumy.

– Jest dobrze, pani Julio. Mamy zbója.

– Na razie macie tylko fotkę gołej baby – odparła zaczepnie i pokręciła obcasem w ziemi.

Harry się roześmiał.

– Plus odciski, które zaprowadzą nas do sprawcy – rzucił.

– To się okaże.

Pojedynek na słowa zdusił w zarodku doktor Kulej, który burknął, żeby „sobie poszli pogaworzyć gdzieś na bok”, ponieważ on „musi teraz w skupieniu pogmerać przy trupie”, co jest przecież „niezwykle żmudną robotą, do cholery”. Usunęli się posłusznie.

– Dobra – rzucił Kalupa, poważniejąc i jednocześnie otwierając teczkę, którą do tej pory trzymał pod pachą. – Ja zabieram się za protokoły, a ty, Harry, sprawdź teren.

– To powiedziawszy, pstryknął długopisem, jakby chciał

dodać: „Koniec, kropka”, i zaczął wypełniać dokument.

– Właśnie – odezwała się pani prokurator. – Którędy uciekł zabójca?

Choraży się zamyślił. Wyciągnął paczkę papierosów i zaczął w milczeniu lustrować okolicę. Odwrócił się i spojrzął na tereny położone po drugiej stronie asfaltowej drogi. Pola, łąki, rowy melioracyjne, las. Kilkaset metrów dalej dostrzegł zabudowania, nad którymi dominowała dość wysoka wieżyczka.

– Co to jest? – zapytał. – Tam w oddali?

– Młyn – odpowiedział jeden z miejscowych milicjantów.

Harry zapalił papierosa, zaciągnął się i oznajmił:

– Myślę, że tam polazł. – Wskazał głową kierunek i dodał: – Nasz Tomcio Paluch.

Poszukał wzrokiem szefa ekipy z kaliskiej komendy. Przywołał go do siebie i wydał polecenie dokładnego zbadania terenu.

Wypalił do końca papierosa, wdeptał peta w ziemię i zerknął na rudowłosą prokurator.

– Idę powęszyć – powiedział, uśmiechając się promiennie.

– Powodzenia – padła odpowiedź.

– Miło było panią poznać.

– Pana również.

Harry się roześmiał.

– Da mi pani swój numer telefonu?

– A po co? – zapytała oschle Ziębińska, gorączkowo szukając czegoś w torbie.

– Myślę o służbowym, oczywiście!

Prokurator spojrziała na niego i zagryzła usta.

– Łatwo mnie pan namierzy w kaliskiej prokuraturze –

rzuciła, po czym wyjęła z torby notatnik i zanotowała coś.

Choraży ściągnął rękawiczki, schował je do kieszeni i zaczął iść w stronę drogi. Gdy przechodził przez pierwsze tory, usłyszał głos prokurator:

– Zapraszam!

Nie odwrócił się, tylko machnął ręką, a potem przyspieszył kroku, bardzo uważnie przyglądając się okolicy. W jednej sekundzie przełączył się w tryb pracy. Intuicja podpowiadała mu, że jeśli zabójca rzeczywiście tędy uciekł, dokumenty ofiary leżą w którymś z rowów. Trzeba będzie je dokładnie przeszukać.

Zatrzymał się. Szosą pędziła niebieska warszawa typu pick-up. Z głośników ustawionych na cały regulator leciała jakaś melodyjna piosenka.

You're my heart, you're my soul / Yeah, I'm feeling that our love will grow / You're my heart, you're my soul / That's the only thing I really know³.

Obok Harry'ego przystanęła grupka milicjantów oddelegowana do przeszukania terenu.

– To młody Maciaszek – powiedział jeden z nich. – Pewnie jedzie od Kasi...

– ...co w więzieniu światło gasi – rzucił drugi.

Mężczyźni zarechotali, jakby usłyszeli świetny kawał. Gdy samochód ich minął, przeszli na drugą stronę drogi i rozpoczęli czynności. Harry ruszył przed siebie.

Nucił przebój Modern Talking, który przyczepił się do niego, powoli stawiał kolejne kroki i wpatrywał się w podmokłą łąkę.

3 Fragment utworu „You're my heart, you're my soul” Modern Talking. Tekst autorstwa Dietera Bohlena.

Po kilkunastu minutach dostrzegł coś na brzegu jednego z rowów. Zatrzymał się, założył rękawiczki i przykucnął.

Dokumenty, zakrwawione. Dowód osobisty, legitymacja studencka, bilet miesięczny PKP. Przyjrzał się zdjęciom. To była ona, ofiara. Krystyna Dąbrowska, dziewiętnastoletnia studentka AWF-u, zamieszkała w Opatówku.

Choraży westchnął, wpatrując się w uśmiechniętą twarz dziewczyny. Sympatyczna buzia, krótkie czarne włosy, galowa bluzeczka.

Pociągnął z piersiówki. Rozejrzał się wokoło i odszukał wzrokiem młodych funkcjonariuszy. Stali jakieś kilkadziesiąt metrów dalej i żywo o czymś dyskutowali.

Zmarszczył brwi i poszedł w ich kierunku. Okazało się, że chłopcy znaleźli zakrwawione zdjęcie zamordowanej oraz kawałek mokrego papieru z odręcznym napisem „PV 12 6”.

– Co to może oznaczać? – zapytał ktoś.

– Chuj wie – mruknął Harry i spojrzał w stronę budynku z czerwonej cegły, przy którym stał wysoki komin. Cała posesja ogrodzona była drewnianym płotem. Na kilku sztachetach tkwiły przypalone garnki. – Pogrzebicie tu jeszcze trochę, a ja podejść do młyna i pogadam.

Raźnym krokiem ruszył dalej. W końcu podszedł do furtki. Gdy ją otworzył, głośno skrzypnęła. Wtedy zaszczeakał pies zamknięty w kojcu.

W progu stanął mężczyzna. Niewysoki, gruby, wąsaty, ubrany w jakiś poplamiony szary fartuch. Na oko czterdziestoletni.

– Dobry! – zawołał Harry.

– Dobry.

– Chorąży Tomasz Harwej z Komendy Wojewódzkiej w Poznaniu.

– O kurwa – wymamrotał młynarz i ściągnął z głowy czapkę z daszkiem. – A co pana sprowadza w moje skromne progi?

Milicjant wyciągnął piersiówkę i podał rozmówcy. Ten ochoczo sięgnął po nią, przetarł ręką ustnik i wziął solidnego łyka. Syknął z zadowoleniem.

– Dziękować – powiedział i pogładził się po zarumienionym nagle policzku.

Harry dopił resztę i schował piersiówkę.

– Zapali pan? – zapytał.

– Pewno.

Po krótkim milczeniu chorąży wyjaśnił, że szukają mężczyzny, który mógł tędy przechodzić rano.

Młynarz zaciągnął się i wypuścił dym.

– No pojawił się tu taki jeden – odparł i strzepnął popiół do puszki służącej za popielniczkę. – Obcy facio, młodzik, ze dwadzieścia lat. Był cały mokry, spypłany strasznie. I na nosie miał lekkie zadrapanie.

Milicjant drgnął i spojrzał badawczo na rozmówcę.

– O której? – zagadnął.

– Jakoś o szóstej.

– Czego chciał?

– Papierosa.

– Papierosa?

– Stałem akurat przy furtce, paliłem ćmika i obserwowałem go, jak szedł z tej samej strony co pan. Poprosił o papierosa. Gdy go wypalił, zapytał o najbliższy

przystanek PKS. Powiedziałem mu, że tu obok. Kilkaset metrów dalej. – Młynarz wzruszył ramionami i spojrzał na psa, który zaczął ujadać jak opętany. – Zamknij się, gamoni! – krzyknął.

Harry dopalił papierosa i wrzucił peta do puszki.

– Jak wyglądał?

– No mówię, młody. Średniej budowy, jasne włosy.

– Coś charakterystycznego?

– Charakterystycznego... – Młynarz zamknął oczy, przygryzł język i pomyślał chwilę. Zmarszczył czoło i dotknął prawą ręką ust. – Hm...

Harry patrzył na niego cierpliwie.

– Miał coś... – odezwał się po chwili młynarz. – Miał coś...

– Co takiego?

Cmoknięcie.

– Usta, kurwa.

– To znaczy? – zapytał Harwey, przyglądając się rozmówcy, który dotknął kącika ust. – Chodzi panu o kącik ust?

– Właśnie! Kącik ust... Tak jakby opadał troszkę... – Młynarz podrapał się po karku i dodał: – Lewy, kurwa.

– Coś jeszcze?

– Nie bardzo.

Choraży pokiwał głową i zapiął kurtkę.

Zerwał się wiatr, zaczęło popadywać, gdzieś w oddali zapiał kogut. Zrobiło się zimno. Harry'emu nagle zaczęły doskwierać przemoczone skarpety.

– Waliło od niego alkoholem. – Młynarz zachichotał i dodał: – Miał rozpięty rozporek... To wszystko...

– Skoro to wszystko... – mruknął Harry i zasepił się.

Młynarz zerknął na milicjanta jakby współczująco.

– Może nie do końca wszystko – bąknął. – Przypominam sobie, że gadaliśmy o piecach.

– Jakich piecach?

– Kafłowych, co to w chałupach stoją. Spierdolił się mi taki w sypialni. Każdego pytam o poradę, bo nie chce mi się wzywać majstrów, to przecież złodzieje są. Tego krzywoustego też zapytałem. I nawet coś mi tam doradził. Powiedział, że jego stary to zdun.

– A to ciekawe – ożywił się chorąży. – A mówił, skąd przyjechał?

Młynarz pokręcił głową.

– Nie – rzucił stanowczo. Po krótkim namyśle dodał: – Ale to jakiś wsiur jest na sto procent.

Zapadła cisza.

Harwej rozejrzał się po okolicy, po czym wyciągnął rękę przed siebie i zapytał:

– PKS w tamtym kierunku?

– Otóż to.

Milicjant wypuścił powietrze, pożegnał się i ruszył przed siebie.

– Opadający lewy kącik ust – powtórzył półgłosem i przyspieszył kroku. – Syn zduna.

• • •

Misiński położył plik kartek na podłodze i odchylił się na krześle.

– Jest dobrze – mruknął. – Ruszyłem z miejsca. Może coś z tego wyjdzie.

Przed oczami znowu miał obraz martwego Kalupy. Ta jego zmieniona, zapadnięta twarz nie dawała mu

spokoju.

Zerwał się nagle, podszedł do biurka i zapalił papierosa. Zgasił światło, stanął przy oknie, z którego widział pogrążone w ciemnościach blokowisko – pamiątka po Gierku, jego ulubionym komunistycznym polityku.

Odepchnął wspomnienie o martwym dochodzeniowcu i skupił się na Harrym. Przypomniał sobie jego wyprostowaną, umięśnioną sylwetkę. Legendarną szramę na pysku. I odzywkę, która zapadła mu kiedyś w pamięć: „Ty chuju wodoszczelny”.

– Gdzie ty jesteś? – mruknął do siebie dziennikarz. – Co się z tobą stało?

Gdy wypalił papierosa, nalał pół szklanki wódki, wychylił duszkiem. Skrzywił się i poszedł do łazienki. Serce biło mu jak oszalałe.

V

Kiedy Harry w końcu się uspokoił, przylgnął do niewygodnych żeber kaloryfera i zamknął oczy.

Drżenie wywołane przerażającym snem, który przypomniiał mu o ostatnich dramatycznych wydarzeniach, ustępowało.

Wziął głęboki oddech i powoli wypuszczał powietrze.

W pewnym momencie z zakamarków pamięci wyłonił się zapach perfum Patrycji, intensywny i niepokojący, a zaraz potem jego umysł, coraz bardziej skupiony, wyświetlił scenę, w której jasnowłosa przyjaciółka nieoczekiwanie stanęła w progu jego mieszkania.



Usta miała podkreślone czerwoną szminką, czarną aksamitną sukienkę, czarny płaszcz, czarne pończochy i długie czarne kozaki.

Była na lekkim rauszu. Gdy musnęła go w policzek, poczuł zapach wina.

Usunął się grzecznie na bok, a ona bez słowa weszła do środka.

– Kiepsko wyglądasz – rzuciła radośnie i skierowała się do kuchni.

– Dziękuję – mruknął i poczłapał za nią, pocierając przekrwione oczy.

Marzył o śnie, tymczasem dziewczyna energicznie rzuciła płaszcz na fotel i podeszła do lodówki.

– To niebezpieczne – wymamrotał.

– Co niby?

– Twoje przychodzenie tutaj.

Spojrzała na niego z pobłażliwym uśmiechem.

– Czyżby groźny pan komisarz, legenda poznańskiej policji, się bał?

– W końcu się zorientują – warknął.

– Nie rozśmieszaj mnie!

– Zdradzasz gangstera z policjantem. – Harry podniósł głos, a potem zamilkł i przełknął ślinę, przyglądając się coraz intensywniej jej opalonemu ciału w czarnej sukience na ramiączkach. – To się źle skończy, dziewczyno – dodał nieco ciszej.

Patrycja otworzyła lodówkę i zniesmaczona pokręciła głową.

– Ale tu śmierdzi, Harry! – zawołała. – Zrób tu w końcu porządek, bo ci się robale w tych okropnych parówkach zalęgna.

Zamachał niezdarnie ręką i pomyślał, że powinien umyć zęby. Wymamrotał coś i poszedł do łazienki. Gdy wrócił, pachnący ziołową pastą, która przyprawiała go o mdłości, Patrycja kończyła nalewać alkohol do pięćdziesiątek. Usiadł na krześle pod ścianą i w milczeniu przypatrywał się kieliszkom.

Nie miał ochoty na picie, nie miał ochoty na nic. Chciał tylko zniknąć, rozplynać się w powietrzu. Po prostu przestać być – od jakiegoś roku to było jedno z jego najsilniejszych pragnień.

– Muszę się dzisiaj z tobą upić – oznajmiła wesoło Patrycja i uśmiechnęła się do niego promiennie. Usiadła obok, założyła nogę na nogę i wskazała brodą kieliszki.

Wypili.

Usiadła mu na kolanach i pocałowała go mocno w usta.

Przymknął oczy i poczuł, że woń jej perfum, wypitego wina i wódki lada chwila doprowadzi go na skraj hysterii.

– Uciekłeś z jakiejś imprezy? – zapytał, po czym wstał i podszedł do zlewu. Odkręcił kurek i obmył twarz zimną wodą.

– Zgadłeś! – Zaśmiała się. – Kowboj obchodzi urodziny – dodała.

Gwizdnął i pokiwał głową.

Kowboj. Poznański gangster, jeden z trzech najważniejszych i zarazem najgroźniejszych w mieście. Właściciel ogromnego Rancza położonego na Jasnej Roli. Facet Patrycji. Swoją ksywę zawdzięczał umiłowaniu do kowbojskich butów, niebieskich dżinsów, które sprowadzał w ogromnych ilościach prosto ze Stanów, i westernów z Johnem Wayne'em. Podobno kiedyś po pijaku oskalpował bezdomnego żula.

– Które? – zapytał Harry.

– Czterdzieste pierwsze.

– Czego mu życzyłaś?

– Nie miałam okazji – odparła niechętnie. – Dużo gości, wielkie zamieszanie, a potem jeszcze... – Patrycja urwała, sięgnęła po butelkę i ponownie rozlała.

– Co jeszcze?

– ...nagła narada w garażu.

– Narada?

– Przyjechał czarną beemką jakiś łysol z posępną miną, a potem faceci poszli do garażu... Zrobili się zajebiście poważni.

Komisarz zmarszczył brwi.

– O czym mówili?

– Nie wiem, nie słuchałam – odparła zirytowana i poprawiła ramiączko. – A poza tym nie przyszłam tu rozmawiać z tobą o tych żalonych kogucikach – dodała i spojrzała mu głęboko w oczy, lekko rozchylając przy tym usta. – Nie po to – powtórzyła ciszej.

– Nic ci się nie obilo o uszy?

Oczami wyobraźni był już z Patrycją w dużym pokoju i patrzył zahipnotyzowany, jak zsuwa z siebie sukienkę.

To chyba lycra – przeszło mu nieoczekiwanie przez myśl.

– Nic mi się nie obilo. Wspomnieli coś o jakimś pismaku – odburknęła i wstała z krzesła. Chwyliła butelkę oraz kieliszki i wyszła z kuchni.

– Pismaku? – powtórzył bezgłośnie, kojarząc to pogardliwe słówko z dziennikarzem, który zaginął we wrześniu.

Jak on się nazywał? Wiktor Grandowski.

Dwudziestoparoletni dziennikarski pistolet, który pewnego razu wyszedł z domu i zapadł się pod ziemię. Nikt nic nie wiedział, nikt nic nie widział. Ludzie Harry'ego bezskutecznie poszukiwali choćby najmniejszej podpowiedzi.

Może to o niego chodziło?

Sięgnął po paczkę papierosów leżącą na parapecie, zapalił, wyłączył światło i ruszył za dziewczyną.

Siedziała na sofie i ścigała swoje skórzane kozaki.

Przystanął, wypuścił dym i spojrzał na jej piękne długie nogi. Sukienka uniosła się nieco, obnażając uda i kawałek czarnej koronki pończoch. Gdy skończyła, oparła się wygodnie, podwinęła nogi i zerknęła na niego.

– Usiądziesz obok? – zapytała, rozczesując dłonią włosy. Harry wciągnął powietrze i poczuł kolejną woń: delikatny, słodki, jakby landrynkowy zapach szamponu. Zadrżał i usiadł, ocierając się o jej kolana.

Nachylił się nad ławą, na której Patrycja postawiła wódkę. Wypełnił kieliszki, podał jej jeden. Wypili i na chwilę przymknęli oczy, rozkoszując się przyjemną falą ciepła rozlewającą się po ich ciałach.

Harry'ego przeszył dreszcz. Alkohol, Patrycja, jej rozneglizowane ciało – to była mordercza mieszanka.

Spojrzał na nią, ona odwzajemniła spojrzenie, po czym zmieniła pozycję, kładąc nogi na jego udach. Wysunęła koniuszek języka i zaczęła powolutku podciągać sukienkę do góry. Uśmiechnęła się, kiedy usłyszała przyspieszony oddech komisarza.

Uwielbiała go drażnić, z czego Harry doskonale zdawał sobie sprawę i co go wkurwiało. Świadomość, że bawi się nim, że z wielką satysfakcją igra z jego zachłannym libido, w niczym mu nie pomagała. To było silniejsze od niego. W obliczu tej rozerotyzowanej kobiety czuł się bezwolną marionetką. Kukłą ze sterującym kutasem.

Gdy odsłoniła rąbek czerwonych majtek, nagle znieruchomiała. Westchnęła, a potem z wdziękiem zagryzła wargę, doskonale naśladowując gest podpatrzony pewnie na filmach erotycznych, które oglądali kiedyś na niemieckich kanałach telewizyjnych.

Harry podrapał się po głowie, z trudem oderwał wzrok od jej bielizny i wstał.

– Pójdę się wykapać – mruknął i ruszył w stronę przedpokoju.

– Dobry pomysł – odparła. – Bo rzeczywiście trochę

śmierdzisz.

Podniosła się i ściągnęła z siebie sukienkę, którą rzuciła niedbale na krzesło.

Harry spojrział przez ramię. Na widok długowłosej platynowej blondynki w pończochach i czerwonej bieliznie zacisnął zęby, pokręcił głową i przyspieszył kroku.

Gdy wrócił z kąpieli, owinięty ręcznikiem, z głową wypełnioną pornograficznymi scenkami, zobaczył, że Patrycja stoi w kącie pokoju, przy regale z książkami, trzyma w dłoniach jakąś fotografię i marszczy brwi.

– Co tam znalazłaś? – zagadnął, przyglądając się jej okrągłej pupie.

– Tego faceta widziałam dzisiaj na urodzinach Kowboja.

Harry podszedł bliżej. Przystanął i zerknął na zdjęcie. Przedstawiało kilku zarumienionych policjantów z Wydziału Kryminalnego, w tym jego samego, Miszcza, Buryłę i Kozaka. Pamiętał ten moment. To było parę lat temu, chwilę po tym, jak przywieźli z Kórnika zabójcę małej dziewczynki. Odpowiednio go wytarmosili, oddali na przesłuchanie dochodzeniowcom, poszli do siebie na czwarte piętro i w ramach szybkiego uczczenia sukcesu wypili po szklance wódki – stąd te rumieńce.

– Którego? – dopytał, bojąc się odpowiedzi.

– Tego. – Patrycja wskazała palcem.

Harry pokiwał głową i podrapał się po szramie na policzku.

Kozak – stwierdził w myślach i zaczął gorączkowo zastanawiać się nad powodem obecności kolegi na imprezie u znanego gangusa. *Co on tam robi? Działania operacyjne? Próbuje go podejść? Ale dlaczego nikt mi*

o tym nie powiedział? Przecież jestem kierownikiem sekcji.

Skrzywił się, czując irytację na Buryłę, swojego zwierzchnika. Te jego tajemnice, podstępny, zakulisowe gierki!

– Macie wspólnych kumpli? – zapytała ironicznie dziewczyna, oddając mu zdjęcie.

– Najwyraźniej – mruknął. – Widziałaś go już wcześniej na Ranczo? – zagadnął po paru sekundach milczenia.

– Nie, ale...

– Ale co?

– Słyszałam parę dni temu, jak chłopcy rozmawiali o jakimś policjancie, który chodzi z nimi na dziwki.

– Pamiętasz ksywę?

– Nie.

– A gdzie pracuje?

– Też nie.

Cisza.

– Masz zamiar mnie przesłuchać, Harry? – odezwała się nadąsana Patrycja.

Przez chwilę wpatrywał się w zawadiacko uśmiechniętą twarz Kozaka i jednocześnie próbował przypomnieć sobie, co o nim wiedział.

Owszem, parę razy słyszał jakieś plotki o jego kontaktach z miastowymi, ale przecież tego rodzaju relacje to normalna rzecz dla kryminalnych. O to chodziło w tym zawodzie. Spotykać się, pić wódkę, czasami pobalować z dziewczynami, no i wyciągać ciekawe informacje. Na tym polegała odwieczna zabawa w policjantów i złodziei, o czym nie wiedzieli tylko służbiści, dziennikarze i inne nadęte mysie chujki. On

sam też przecież był czasami krytykowany „za nadmierne i wielce podejrzane spoufalanie się z bandziorami”. Ale mimo wszystko coś mu nie grało.

– Kozak – szepnął i uprzytomnił sobie, że go nie lubi. Tego niskiego cwaniaczka, który po pijaku zamieniał się w prawdziwego psychola.

Przez głowę przeleciały mu obrazy z ostatniej firmowej imprezy, w czasie której Kozak zdemolował knajpę.

Muszę mu się przyjrzeć – postanowił.

– Mógłbyś już skupić się na mnie?

Odwrócił się w stronę Patrycji, która przed chwilą ściągnęła biustonosz i napełniła kieliszki. Zatrzymał wzrok na jej kształtnych piersiach o dużych malinowych sutkach, odłożył zdjęcie i odpowiedział, że tak.

Gdy usiadł na sofie, dziewczyna położyła się, kładąc głowę na poduszce. Zerknęła na niego błyszczącymi oczami i zaczęła wylewać alkohol na swoje piersi.

Rzuciła kieliszek na podłogę i wtarła wódkę w ciało. Na brzuchu błysnęło parę kropel.

– Wypij mnie – rozkazała i dotknęła mokrą ręką majtek.

Harry poczuł łomotanie serca. Poluzowany ręcznik zsunął mu się z bioder. Chwycił kieliszek, wychylił i stanął nagi nad Patrycją, która obdarzyła go łapczywym spojrzeniem. Oblizując usta, zdjęła figi, z wprawą przeciągając tę podniecającą czynność.

Harry zachwiał się i potracił gwałtownie ławę, z której spadł odstawiony kieliszek. Odzyskawszy po chwili równowagę, usłyszał chrapliwy szept:

– Wypij mnie, kochany, wypij swoją suczkę.

Harry, coraz bardziej purpurowy na policzkach, które zaczęły go palić, uklęknął i wtulił się w jej wilgotne,

miękkie piersi. Słonawy smak potu i ostra, piekąca gorycz wódki rozjuszyły jego zmysły. Zamknąwszy oczy, całował kompulsywnie jej brązowy, płaski brzuch. Wetknął język do pępka, polizał go i zaczął schodzić niżej, czując, że Patrycja kładzie mu nogi na ramionach.

– A teraz zerznij swoją sunię. – Usłyszał, jak mruczy mu do ucha, i w jednej chwili wyobraził sobie, że stoi nad przepaścią, do której musi wskoczyć.

Musi i bardzo, ale to bardzo chce wskoczyć.

• • •

Leżeli wtuleni w siebie na sofie. W tle cicho przygrywało radio. Właśnie zaczął się słynny przebój Eurythmics opowiadający o „słodkich marzeniach”. Gdy refren wybrzmiał po raz pierwszy, przestrzegając kogoś przed tymi, którzy chcą go wykorzystać i zranić, Patrycja się poruszyła.

– Ucieknijmy gdzieś, Harry – szepnęła, przerywając rozkoszne milczenie, w które popadli kilka minut wcześniej, po drugim albo trzecim wspólnym orgazmie. – Gdzieś daleko – dodała, kładąc dłoń na jego piersiach. Uśmiechnęła się i dotknęła językiem jego prawego sutka.

Harry drgnął. Pogłaskał ją po włosach i usiadł. Sięgnął po paczkę papierosów. Zapalili, zaciągnęli się.

Annie Lennox powtórzyła refren swoim narkotycznym głosem:

Some of them want to use you / Some of them want to get used by you / Some of them want to abuse you / Some of them want to be abused⁴.

4 Fragment utworu „Sweet Dreams” Eurythmics. Tekst autorstwa Annie Lennox i Dave’a Stewarta.

– To nie film, Patrycjjo – powiedział Harry, kiedy wypuścił gęsty kłęb dymu z ust.

Trąciła go pięścią w ramię.

– Nie traktuj mnie jak blondynkę! – zawołała z udawanym wyrzutem. – I nie przynudzaj – dodała kwaśno. Zaciągnęła się mocno, strzepnęła popiół do popielniczki. – Wiem, że to nie film. Ale co z tego? Ucieknijmy gdzieś!

– Po co?

– Co to za pytanie?

Oficer wrzucił niedopałek do kubka, który stał przy sofie, i przesiadł się na fotel.

– Normalne pytanie – odparł, przyglądając się podartym pończochom na dywanie. – Po co chcesz gdzieś uciekać?

– A ty nie chcesz? – Patrycja podeszła do torby, wyjęła z niej czarną frotkę i zawiązała włosy w koński ogon.

– Nie.

– Lubisz swoje życie?

– Nie bardzo.

– To dlaczego nie chcesz uciec?

– Bo nie można uciec. Wszędzie jest tak samo. Tylko trochę gorzej.

Dziewczyna pokręciła głową i usiadła mu na kolanach.

– Nie zgrywaj detektywa z amerykańskich filmów – mruknęła i zaczęła lizać jego ucho. – Mój ty słodki cyniku – szepnęła i nagle zerwała się na nogi. Spojrzała na jego podbrzusze. – Stanął ci, mądralo. – Wydęła usta.

Harry skierował wzrok na swojego penisa i przez chwilę mu się przyglądał.

– Rzeczywiście, stanął – potwierdził i wyszczerzył zęby.

– Dopóki stoi, dopóty wszystko jest możliwe! – Patrycja

się roześmiała. – Łącznie z romantyczną ucieczką.

– Genialny aforyzm – prychnął.

– Nie bądź dziad!

– Powinnaś pracować w reklamie, a nie w knajpie gangstera.

– Co takiego się dzieje z facetami po czterdziestce, że zaczynają zrędzić, marudzić, utyskiwać i głupio się mądrzyć? – zapytała, po czym rozlała do kieliszków resztkę wódki.

– Mała poprawka – rzucił Harry, przyglądając się kołyszącym się piersiom przyjaciółki. – Tak się dzieje z facetami po sześćdziesiątce.

– Nie wiedziałam, że ty masz już sześćdziesiąt lat!

Policjant podniósł rękę.

– Poddaję się! – Westchnął.

– To dobrze – skwitowała. – Bo inaczej wpadłbyś w znaną nam już melodię i zaczął opowiadać tym swoim zmysłowym głosem, że życie to pułapka, z której można się wydostać tylko nogami do przodu.

– Ja coś takiego wygłosiłem?

– Parę razy.

– Kiedy niby?

– Jak się ostro narąbałeś...

– Zawstydzasz mnie.

– Filozof z ciebie wychodzi, kiedy tracisz przytomność pod wpływem alkoholu.

Patrycja podała mu kieliszek. Stuknęli się i wypili. Gdy odłożyła kieliszki na stół, usiadła mu ponownie na kolanach i zaczęła się ocierać o jego penisa. Po chwili nadziała się na niego, zakwiliła i zaczęła ujeżdżać.

Gdy skończyli i mocno przytulili się do siebie, z radia

popłynęły charakterystyczne dźwięki otwierające „Justify My Love”. Dziewczyna otworzyła oczy, odchyliła i zanuciła, wtórując Madonnie:

Wanting, needing, waiting / For you to justify my love /
Hoping, praying / For you to justify my love⁵.

Nagle oderwała się od niego, wstała i zaczęła tańczyć, potrząsając swoimi długimi pachnącymi włosami.

Harry lekko wysunął język. Zadrżał i jak zaczarowany wpatrywał się w Patrycję. Uwielbiał ją, jej energię, jej ciało, jej temperament. W końcu zamknął oczy i puścił wodze wyobraźni, która, pobudzona widokiem rozochoczonej dziewczyny i zmysłowym głosem Madonny, podsuwała mu co pikantniejsze obrazy wspólnie spędzonych upojnych nocy.

Wanting, needing, waiting / For you to justify my love /
I'm open and ready / For you to justify my love.

Trwał tak przez chwilę. Gdy próbował sobie przypomnieć ich pierwszy seks, usłyszał nagle jakiś chrzęst, syknięcie i krzyk:

– Kurwa!

Otworzył oczy i zobaczył, że Patrycja klęczy i trzyma się za stopę.

– Ja pierdolę!

– Co się stało? – wymamrotał, wstał z fotela i zapalił światło.

– Skaleczyłam się!

Harry spojrzał na jej smukłą stopę z czerwonymi paznokciami. Obok leżał stłuczony kieliszek.

– Boli?

5 Fragment utworu „Justify My Love” Madonny. Tekst autorstwa Lenny’ego Kravitz’a.

- Boli!
- Coś ci się wbiło w skórę?
- No raczej!
- Pokaż.

Stopa była tylko lekko zadrapana. Podmuchał, wyciągnął mały kawałek szkła z ranki, zlizał krew i poszedł do łazienki po wodę utlenioną, papier toaletowy oraz plaster.

Gdy opatrzył stopę i zamiótł kawałki stłuczonego kieliszka, Patrycja poprosiła o kawę.

Harry poczłapał do kuchni. Postawiwszy czajnik na jednym z palników, podszedł do okna. Przystanął, otworzył je, oparł się o parapet i wyjrzał na zewnątrz.

Mieszkał na parterze, więc miał ograniczoną perspektywę na okolicę złożoną z bloków, wokół których wiała się asfaltowa droga upstrzona zaparkowanymi samochodami. Przy śmietniku, zasłoniętym drzewami, żarzyły się ogniki papierosów. Przez chwilę próbował odgadnąć, kto to mógł być. Bazując na usłyszanych przekleństwach, wśród których dominowała „azerbejdżańska kurwa”, wytypował delikwentów.

Wciągnął powietrze i zerknął na blok naprzeciwko. Większość mieszkań pogrążona była w ciemnościach. Odszukał wzrokiem to należące do pani pedagog z pobliskiej podstawówki, pięknej trzydziestoletniej mężatki. Jasno.

Ciekawe, co u niej? – pomyślał, przypominając sobie krótki, ale bardzo namiętny romans, który połączył ich jakieś dwa lata temu. To były cudowne wakacje. Jej mąż pojechał z kumplami do Niemiec, dorobić na plantacji truskawek, a ona spędzała z Harrym upojne,

niezapomniane wieczory i noce, odkrywając – przede wszystkim ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu – własne wielkie talenty seksualne.

Wspominki przerwał gwizd czajnika. Harry nasypał do kubków kawę, zalał wodą, zamieszał i podszedł do okna. Chciał jeszcze raz zażyć przynoszącego ulgę zimnego powietrza.

Przymknął na chwilę oczy. Nagle usłyszał warkot. Spojrzał w lewą stronę i zobaczył, że pod trzepakiem, nieopodal latarni, zaparkowało czarne auto. Wyteżył wzrok. To była beemka. Nie mógł odczytać rejestracji.

Wyprostował się, czując, że podnosi mu się ciśnienie. Błyskawicznie uprzytomnił sobie, że takim samochodem jeździ paru chłopaków od Kowboja.

Gdy zgasy światła, otworzyły się drzwi, a na zewnątrz wyszło dwóch mężczyzn. Jeden krępy, średniego wzrostu, łysy, drugi bardzo wysoki, chudy, z czarnymi włosami spiętymi w kitkę, przypominał pewnego rockowego piosenkarza.

Oficer cofnął się i zamknął okno.

W jego zawodzie nie było przypadków.

– Co jest? – mruknął, zwichrzył włosy gwałtownym gestem i pospiesznie wyszedł do przedpokoju.

Namierzyli Patrycję, no i mnie – myślał, chwytając buty i skórzaną kurtkę. Wiedziałem, kurwa, wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie.

Przeklął ze złością, wbiegł do pokoju i spojrzał na nagą Patrycję, która zasnęła na sofie. Potrząsnął nią parę razy.

– Ubieraj się! – krzyknął. – Musimy spieprzać!

Dziewczyna otworzyła oczy, skrzywiła się i mruknęła:

- Ocipiałeś?!
- Przez balkon – dodał Harry. – A potem sprintem do samochodu.
- Co ty odpierdalasz?!
- Ratuję nam życie. – Harry założył spodnie, włożył buty, wciągnął na siebie koszulkę i warknął:
- Ubieraj się. Szybko.
- Co ty odwalasz, facet? – krzyknęła Patrycja, zrywając się z sofy.
- Ludzie Kowboja tu są – oznajmił, wykrzywiając usta. Dziewczyna zbladła.
- Ciemna beemka. Dwóch facetów, gruby, średni wzrost i chudy, wysoki. Kojarzysz?
- O Boże – szepnęła i gorączkowo zaczęła szukać swoich porzuconych ciuchów. – To Bejzbol i Niki. Oni nas zabijają! – pisnęła, ubierając majtki. – To żołnierze Kowboja. Najgorsi z najgorszych!
- Harry nałożył kurtkę, sprawdził, czy ma portfel oraz kluczyki, chwycił torbę przyjaciółki, podszedł do balkonu i otworzył drzwi.
- Masz dziesięć sekund – rzucił surowo.



Zasapani dobiegli do samochodu. Gdy Harry otwierał drzwi, usłyszał, że Patrycja wymiotuje. Poczul ucisk w gardle, zacisnął zęby, wziął głęboki oddech, splunął i usiadł.

Dobrze, że tym razem nie popłynęliśmy – stwierdził w myślach. Trzeźwość czasem popłaca.

Prychnął i uruchomił silnik. Gdy dziewczyna usiadła na miejscu pasażera, spojrzął na nią kątem oka. Wyglądała

przepięknie. Włosy w nieładzie, lekko napuchnięte usta, krople potu na szyi. No i ten zapach: perfum, alkoholu i młodego, namiętnego ciała. Pocałował ją i cicho ruszył z miejsca.

Przez parę minut jechali w milczeniu, omijając samochody, budynki i sklepiki. Gdy opuścili osiedle, włączył światła i wjechał na drogę.

Patrycja westchnęła i zapytała:

– Co teraz?

– Nie wiem.

– Gdzie pojedziemy?

Harry podrapał się po twardym zaroście, zaśmiał się i odparł:

– Chciałaś ucieczki? No to masz.

Patrycja szturchnęła go w ramię.

– To nie jest śmieszne – fuknęła, a komisarz uprzytomnił sobie wtedy, że strach, który zaatakował go, gdy zobaczył żołnierzy Kowboja, uleciał gdzieś w niebyt, zastąpiony przez rosnące podniecenie. Zawsze opanowywało go w obliczu niebezpieczeństwa.

Skrzywił się.

Po kim ja to wszystko odziedziczyłem? – zastanowił się. Natychmiast ujrzał wąsatą nalaną twarz swojego ojca. Wzdrygnął się i spojrzał na przyjaciółkę. Miał nadzieję, że łagodnie.

– Przepraszam – mruknął. – Wiem, że to nie jest śmieszne. Ani trochę. Po prostu... nie wiem, co robić.

– Wymyśl coś – szepnęła Patrycja i zaczęła płakać. – Wymyśl coś, bo oni nas zabiją!

Harry wbił wzrok w kierownicę. Zaczął gorączkowo tworzyć kolejne scenariusze, gdy skręcał w ulicę

Chartowo. W pierwszym odruchu chciał po prostu pojechać na komendę, ale to byłoby chyba jednak kiepskie rozwiązanie. Chwilowe, bardzo prowizoryczne. Jak wskoczenie mamusi albo babci pod spódnicę. Poza tym, co by zrobił z Patrycją, która zapewne stała się obiektem nienawiści Kowboja? Prędzej czy później musiałyby wrócić do... No właśnie, wrócić gdzie?

Spojrzał na nią. Już nie płakała, tylko jak zaczarowana patrzyła przez boczną szybę.

Zdradziła gangusa z gliną, który regularnie pogrywa sobie z nim i jego ludźmi. Ciekawe, jak i kiedy dowiedział się o ich... romansie?

Poruszył karkiem, aż coś zazgrzytało.

Może ktoś sypnął? Ale kto? Przecież nikomu nic nie mówił o Patrycji. Wiele lat temu przestał się zwierzać ludziom ze swojego życia.

Kara za coś takiego mogła być tylko jedna. Znał parę takich przypadków. Dziewczyna gangstera, znudzona swoim muskularnym, ale przy okazji i tępym facetem, w pewnym momencie poznaje miłego, sympatycznego mężczyznę, z którym można pogadać o wszystkim, zwierzyć się z najskrytszych uczuć i, co najważniejsze, zostać zrozumianą... Banalny schemat z niebanalnym zakończeniem.

Dla niego. Dla niej. Dla obojga.

Zadrzał.

Kowboj był szalony. Kiedy wpadał w furję, zapominał o środkach ostrożności, bezpieczeństwie. Wychylał się i walił na oślep.

Puścił nogę z gazu i wolno skręcił w Majakowskiego.

Trzeba to inaczej załatwić – pomyślał i przyspieszył. No

i przy okazji dobrać się do dupy Kowbojowi.

Harry powoli się uspokajał. Patrycja zamknęła oczy i wkrótce zaczęła równomiernie oddychać.

Śpiąca złoźnica.

Kiedy mijał opustoszałe Rondo Środka, zaczął odtwarzać w głowie początki swojej znajomości z Kowbojem.

Jak to się zaczęło? Kiedy?

Pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy Harry pracował na komisariacie Poznań Łazarz i przede wszystkim rozpracowywał drobnych przestępców działających na tamtejszym targowisku. Tak, Kowboj zaczynał jako złodziej, który właśnie tam upłynniał towar. To był wtedy jeszcze grzeczny, spokojny chłopak, tyle że o lepkich łapkach.

Harry się zaśmiał.

To były czasy – westchnął w duchu i znowu przeniósł się na chwilę do przeszłości. Żadnych wielkich spraw, sama drobnica, świat był hermetyczny, oswojony i ładnie opisany w milicyjnych notatkach. Człowiek zajmował się bieżączką, nie było kiedy myśleć o wielkich sprawach. No cóż, nie było wtedy wielkich spraw.

Gdy opuścili Poznań, przypomniał sobie, jak któregoś razu, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, gonił Kowboja przez pół miasta. Gonił, złapał i niemal wypluł płuca.

Pościgi za króliczkami, to było to – rozmarzył się.

Gdy byli na wysokości Gaju Wielkiego, Harry zwolnił, skręcił w lewo i po chwili zaparkował przed PGR-em.

Patrycja otworzyła oczy.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Muszę na stronę – wyjaśnił Harry i wyszedł na zewnątrz.

W powietrzu unosił się drażniący zapaszek gnojówki. Oficer machinalnie dotknął nosa i zrobił kilkanaście kroków. Przystanął, wbił wzrok w księżyc i, wsłuchując się w poszczekiwanie psów, zaczął oblewać odrapaną ścianę budynku.

– Umyj ręce – rzuciła posępnie Patrycja, gdy wrócił.

– Niby czym? – Wzruszył ramionami i przekręcił kluczyk.

– Co robimy?

– Jedziemy.

– Gdzie?

– Do takiego jednego miejsca.

Patrycja prychnęła i spojrzała na Harry'ego. Po kilku sekundach rozpuściła włosy i wydobyła papierosa z pudełka.

– Dobra – mruknęła, zapaliła, zaciągnęła się i zapytała:

– A co potem?

– Nie wiem, co potem, wiem, że po drodze zatrzymamy się w motelu i spróbujemy odpocząć.

Ruszyli. Gdy ujechali parę kilometrów, dziewczyna rzuciła:

– Zatrzymaj się.

– Dlaczego?

– Chcę siusiu.

– Nie mogłaś wcześniej powiedzieć?

– Nie.

– Bo?

– Bo jak ty sikałeś, to mnie się nie chciało. Teraz mi się chce.

- Dobra, zatrzymamy się w Bytniu, koło burdelu.
- Pasuje – odparła Patrycja i ziewnęła.

Harry nacisnął pedał gazu i włączył radio. Znalazł stację i pogłośnił. Właśnie kończył się blok reklam. Po paru sekundach rozległy się bardzo przyjemne, wciągające dźwięki przeboju, który ostatnio wpadł mu w ucho. Polubił ten tęskny głos mężczyzny, który śpiewał o jakiejś tajemniczej Racheli:

Znów czerwoną założyłaś dziś sukienkę / A dookoła wszędzie jeszcze pełno wiosny / I wyciągasz do mnie swe zaborcze dłonie / Miłość przecież nie do końca wypalona⁶.

Wsluchując się w słowa wymruczane przez wokalistę, wyobrażał sobie Patrycję, która tańczy na parkiecie w czerwonej sukience i raz po raz rzuca mu, siedzącemu samotnie przy stoliku w Arkadii, pożądlive spojrzenia.

Zamykam oczy, ja pragnę / Zamykam oczy, ja płonę / Rachelo!!!

• • •

Z wielkim trudem wdrapali się po wysokich schodach na piętro obscurnego motelu położonego nieopodal Gorzowa Wielkopolskiego.

Jestem wykończony – pomyślał Harry i spojrzał na zegarek. Była czwarta nad ranem.

Wzięli głębokie oddechy i ruszyli po czerwonym dywanie. Ich pokój, numer osiemnaście, mieścił się na samym końcu wąskiego korytarza. Gdy znaleźli się w środku, Harry włączył światło i od razu rzucił się na

6 Fragment utworu „Rachela” Wilków. Tekst autorstwa Roberta Gawlińskiego.

łóżko, a Patrycja, uzbrojona w swoją torebkę, zniknęła w łazience.

Po półgodzinnej ablucji wróciła, podeszła do chrapiącego przyjaciela, zniesmaczona pociągnęła nosem i niemal przemocą zagnała go pod prysznic.

– Masz się umyć – rzuciła za nim, na co on wzniósł ręce, wymamrotał coś niewyraźnie pod nosem i trzasnął drzwiami.

Patrycja wytarła włosy, rzuciła ręcznik na krzesło i położyła się do łóżka.

Zamknęła oczy, ale szybko je otworzyła. Wyobraźnia zupełnie nieoczekiwanie podsunęła jej postać wściekłego Kowboja.

Przypomniała sobie starą plotkę, według której jej facet – teraz już były facet i aktualnie zażarty wróg – straszliwie pobił jedną ze swoich dziewczyn. Zdaje się, że przyłapał ją z jakimś młodym dilerem. Chłopaka wywiózł do lasu i przestrelił mu kolano.

Ciałem Patrycji wstrząsnął dreszcz. Zerwała się i podeszła do telewizora.

Co teraz będzie? Po co ja się w ogóle związałam z tym głupkiem?

Potarła zwilgotniałe oczy i włączyła telewizor.

No tak, dla pieniędzy i adrenaliny.

Zaczęła sprawdzać dostępne kanały. Dwa polskie i kilka niemieckich. Zatrzymała się na RTL, na którym transmitowano jakąś erotyczną komedię dziejącą się w Bawarii. Patrycja przez chwilę przyglądała się, jak gruby wąsacz wtula się w wielkie piersi korpulentnej brunetki, potem przewróciła oczami, wyłączyła telewizor i wróciła do łóżka.

Zacęła płakać. Gdy się rozszlochała na dobre, z łazienki wyszedł Harry, spojrzał na nią smutno, zgasił światło, położył się obok, szepnął, że wszystko będzie dobrze i czule objął ją ramieniem.

– On mnie zabije, Harry! – załkała. – On NAS zabije!

• • •

Gdy przypomniał sobie tę scenę, Harry zacisnął mocno powieki i z trudem powstrzymał płacz.

Miałaś rację. On cię zabił.

Chciało mu się krzyczeć, wrzeszczeć, wyć. Gdyby nie miał związanych nóg, gdyby nie był przykuty do kaloryfera, zerwałby się, chwycił coś twardego, jakiś młotek, krzesło, nogę od stołu, i zaczął demolować pomieszczenie. Dopóki starczyłoby mu sił. Dopóki nie padłby wycieńczony.

Szarpnął się ze złością. Otworzył oczy, z których popłynęło kilka łez.

Obraz umierającej Patrycji wrzynał się w jego serce jak kawał szkła, wbijany w organ raz po raz.

Przez kilkanaście sekund Harry miał wrażenie, że ktoś przewraca go na ziemię i zaczyna dusić. Rozpacz przeszła w panikę. Drżał i tracił oddech. Ból, który najpierw zaatakował klatkę piersiową, teraz przeniósł się w okolice brzucha.

Poczuwszy falę gorąca, Harry przylgnął do kaloryfera, odchylił głowę i zaczął liczyć w myślach, próbując jednocześnie odzyskać kontrolę. Zacisnął pięści, skupił się i w końcu się uspokoił.

Gdzie ja, kurwa, jestem? Gdzie oni mnie wywieźli?

Wbił wzrok w drewniane drzwi pomalowane srebrną

farbą i zaczął metodycznie omiatać wzrokiem niewielkie pomieszczenie, w którym się znajdował.

Białe ściany. Podłoga wyłożona wytartym linoleum. Po prawej stół, na którym stała skrzynka z narzędziami, po lewej kilka plastikowych beczek. Z sufitu zwisała żarówka.

Tuż obok drzwi, na metalowym haczyku, wisiał klucz.

Czyżby od kajdanek?

Przełknął ślinę i poczuł ssanie w żołądku.

Zapaliłbym – pomyślał i ponownie zamknął oczy. No i napiłbym się.

Po dłuższej chwili nagle uprzytomnił sobie, że gdyby opuścili motel rano, Patrycja wciąż by żyła. Siedzieliby teraz w tajnym mieszkaniu Harry'ego i obmyślali plan dalszego działania.

To był błąd.

To była jego wina.

To on ją zabił.

Przed oczami po raz kolejny zamajaczyła mu scena jej śmierci.

Jakże głupiej, beznadziejnej, bezsensownej śmierci.

• • •

Pamięć wyświetliła ten tragiczny film w spowolnionym tempie.

Gdy wrócił z zakupów w Gorzowie, zaparkował przed motelem i wypalił papierosa, czujnie lustrując okolicę.

Zduślił papierosa w popielnicy stojącej obok schodów, wszedł do środka, minął właściciela, który zerknął na niego, marszcząc przy tym nerwowo czoło, i wbiegł po

schodach na pierwsze piętro.

Kiedy otworzył drzwi, usłyszał krzyk Patrycji.

Potem zobaczył, jak Bejzbol, zaskoczony i zarazem wściekły, popycha ją gwałtownie, ona upada i uderza głową w stół.

Harry zbaraniał, a potem odruchowo sięgnął do kabury. Niestety w tym samym momencie od tyłu zaszedł go Niki, przyłożył mu lufę do skroni i szepnął:

– Łapki przy sobie, panie bracie.

Harry spojrzał na leżącą nieruchomo Patrycję. Wokół jej głowy zbierała się kałuża krwi. Przymknął na chwilę oczy, czując, że zbiera mu się na wymioty.

Zabiłem ją – pomyślał komisarz i zadrżał.

Bejzbol podszedł do dziewczyny, ukląkł przy niej i sprawdził puls.

– Nie żyje – mruknął. – Normalnie nie żyje.

– Kowboj cię zajebie – burknął Niki, zakładając Harry'emu kajdanki.

– Sam chciał ją zajebać przecież! – odparł zdenerwowany łysy gangster, podnosząc po poznańsku intonację.

– No właśnie: sam. Myśmy mieli ją tylko przywieźć.

– Zamknij się!

– Ale syf. Zawsze, kurwa, coś. Zawsze!

Bejzbol westchnął i sięgnął do kieszeni skórzanych spodni. Wyjął z nich krówkę i włożył do ust.

– Dobra – odezwał się, gdy przeżuł cukierka. – Zabieramy ich i jedziemy stąd w pizdu.

Harry przyjrzał mu się uważniej. Jego uwagę zwrócił pas, policyjny.

Gangster uchwycił to zaciekawione spojrzenie. Dotknął

klamry i wyszczerzył zęby,

– Dobrze rozpoznajesz – prychnął. – To prezent od takiego jednego komendancika powiatowego, który pracuje teraz z nami.

– Fajny – mruknął Harry. – Pasuje ci.

– Co nie? Czuję się prawie jak operacyjniak.

Śmiech.

Bejzbol zamlaskał głośno, przewrócił Patrycję na plecy, pomyślał chwilę, podniósł ją, a potem spojrzął na wpatrzonych w niego mężczyzn.

Harry zacisnął zęby. – *Zajebię ich* – pomyślał. Zniszczę.

Parę minut później siedzieli w samochodzie, który pędził w stronę Poznania.

• • •

Harry otworzył oczy i zadrżał.

Czuł się fatalnie. Był zziębnięty, brudny, niewyspany. Chciało mu się pić, palić, jeść, sikać, srać. No i ten lęk, który coraz boleśniej uderzał go w żołądek, chwycił za gardło, uciskał serce.

Co z nim zrobią, kiedy zaczną torturować?

Kiedy zabiją?

Bo przecież o to chodzi!

Powoli wypuścił powietrze, próbując uspokoić rozdygotane ciało.

Dawno go nie czuł. Lęku przed śmiercią.

Przez ostatnie kilka lat żył na krawędzi. Ryzykował, szarżował, jechał po bandzie. Tak jakby koniecznie chciał ją przywołać i zaśmiać się jej w pysk. Kilka razy przyłożył sobie nawet pistolet do głowy...

Któryś z kumpli, chyba Henio Kalupa, podczas

popijawy rzucił gniewnie, że sam się prosi o kulkę w łeb i że prędzej czy później ją otrzyma. I wtedy pożałuje, bo nie będzie już wyjścia.

Westchnął. Bo właśnie zaczął żałować. Jakoś tak rozpaczliwie, dogłębnie.

Nie chciał umierać.

Śmierć Patrycji dotknęła go okrutnie i... I nie potrafił jeszcze tego ubrać w słowa, ale czuł, że nie może tak tego zostawić, że musi zareagować, że musi ją pomścić, że...

Patrycjo...

Uwielbiał mówić do niej w ten sposób.

Patrycjo.

Zażkał. Wydał się sobie małym śmiesznym chłopcem. Głupim chłopcem.

Uderzył głową w kaloryfer.

W pomieszczeniu panowała ciemność rozpraszana przez słabe księżycowe światło. Miał wrażenie, że jego oczy oblepia jakaś czarna maź.

Ile minęło od wydarzeń w motelu?

Zaczął przypominać sobie kolejne wydarzenia. Tamtego dnia wywieźli go gdzieś do lasu i wrzucili do jakiejś zatęchłej piwnicy czy ziemianki. Skopali po brzuchu i jajach, ale nie za mocno, jakby nie chcieli uprzedzać nadchodzących wypadków, a potem czymś naszprycowali. Gdy odzyskał przytomność, był już tutaj.

Tutaj... czyli gdzie? Nie miał pojęcia.

To chyba jakaś posiadłość? Kowboja na Jasnej Roli? Nie, chyba nie. Nie ryzykowałby tak. Jest na to za cwany. Pewnie zastanawiają się teraz, co ze mną zrobić. Albo gdzie zabić i zakopać. Albo...

Ktoś nieśmiało zapukał. Harry zmarszczył brwi

i spojrzął w ciemność. Na plecach poczuł krople potu.

Zgrzyt zamka, skrzypnięcie nienaoliwionych drzwi. Szuranie, ale niepewne, lęклиwe.

Kto to? Dlaczego tak się czai?

Ktoś ostrożnie wszedł do środka i po paru sekundach włączył światło, które zmusiło Harry'ego do nagłego zamknięcia oczu.

Gdy je otworzył, przechylił głowę i zdębiał. Przed nim stała młoda kobieta.

Miała długie brązowe, potargane włosy, ładną, pociągłą twarz. Ubrana była w granatowy dres z charakterystycznym znaczkiem Adidasa. Pachniała jak Patrycja.

Wbiła w niego wzrok i otworzyła szeroko oczy, jakby zobaczyła ducha.

– To ty? – szepnęła, zasłaniając ręką usta. – Co ty... – Nagle urwała.

Oficer poczuł, że jego serce zaczyna walić jak oszalałe.

Ja chyba śnię!

To była studentka, którą spotkał ze dwa tygodnie temu w knajpie. Pili, tańczyli, a potem pojechali do niego i spędzili razem gorącą noc. Nazajutrz zniknęła bez pożegnania.

Kim ona jest?

– To ja – mruknął, patrząc na nią zdumiony.

Przez chwilę trwali w bezruchu.

Nagle w ciemnościach rozległ się jakiś brzęk. Drgnęli przerażeni. Dziewczyna odwróciła się gwałtownie.

Gdzieś w oddali zamiauczał kot.

Odetchnęli z ulgą.

– Kto cię tu... – odezwała się, ścisząc głos. – Kto cię tu

uwięził?

Harry powoli wypuścił powietrze i wysunął brodę w stronę haczyka.

– Rozkuj mnie – dodał, ignorując pytanie. – Bo inaczej mnie zabiją.

– Kto? – zapytała dziewczyna płaczliwie

– Nie wiem, kurwa! Rozkuj mnie!

Natasza przełknęła głośno ślinę.

– Nie ma czasu – warknął. – Rozkuj mnie, proszę!

VI

Gdy budzik zadzwonił, Katia przetarła oczy, zerwała się z łóżka i poszła do łazienki.

Ziewnęła i spojrzała w lustro. Spojrzała na swoją zmęczoną twarz, wystawiła język i zaczęła myć zęby. Gdy odłożyła szczoteczkę do kubka, uprzytomniła sobie, że przecież szef dał jej wczoraj wolne do końca tygodnia.

Prychnęła zniecierpliwiona i zerknęła na zegarek leżący na pralce. Kwadrans po szóstej.

No i co teraz?

Przygotowała sobie kawę, zagryzła ją kawałkiem gorzkiej czekolady, założyła dres i poszła pobiegać nad Jezioro Maltańskie. Wróciła po półtorej godzinie, wzięła prysznic, zjadła jajecznicę na boczku i usiadła przed telewizorem.

Nie miała pomysłu na spędzenie czwartku, piątku i weekendu.

Prawdę mówiąc, wcale się nie ucieszyła z tego nieoczekiwanego urlopu, który był efektem brawurowej akcji sprzed tygodnia, zakończonej zatrzymaniem seryjnego zabójcy, Grzegorza Kramerskiego. Ten sukces zaaplikował jej tak potężną dawkę adrenaliny, że z przerażeniem zaczęła myśleć o nadchodzących dniach pełnych beczynności. No ale podinspektor Buryła oznajmił, że musi „solidnie odetchnąć, wyciszyć i należycie się uspokoić wewnętrznie”. Tym samym czekały ją cztery doby pozbawione najprawdopodobniej

jakichkolwiek ciekawych wydarzeń.

Jak on to powiedział? – próbowała sobie przypomnieć moment, kiedy uściskał jej rękę i z błyskiem w oku pogratulował „spektakularnego sukcesu rodem z amerykańskich kryminałów”.

„Dziewczyno, pierwszy tydzień w robocie, a ty takie cuda wyczyniasz. Za parę latek wygrziesz mnie ze stołka!”.

Jakoś tak.

Wzdrygnęła się na myśl o tamtym niedzielnym wieczorze, kiedy zdesperowane rzuciły się z Ulą na Kramerskiego i zakuły go po długiej, wycieńczającej walce.

Katia wypuściła głośno powietrze, położyła nogi na krześle i wbiła wzrok w ekran, na którym pojawił się umięśniony, długowłosy blondyn krzyczący: „Na potęgę posępnego czerepu!”.

Po obejrzeniu „Nowych przygód He-Mana” zaparzyła sobie kolejną kawę i ponownie zasiadła przed telewizorem.

Tym razem puszczono ulubioną operę mydlaną jej mamy: „Pokolenia”. Wątek pięknej Stephanie Whitmore i przystojnego policjanta całkiem ją wciągnął. Gdy tasiemiec się skończył, sięgnęła po program telewizyjny, przejrzała go uważnie i przełączyła na jedynekę. O dziesiątej puszczali „Columbo”. Chwilę po tym, jak genialny detektyw zakończył z sukcesem kolejną sprawę, Katia odgrzała gołąbki, zeszła do piwnicy po rower i pojechała na hipodrom na Woli. Naszła ją ochota, żeby pogapić się na konie.

• • •

Gdy wróciła do domu, było po piętnastej. Zjadła kurczaka z różną, którego kupiła po drodze, zasiadła po raz kolejny przed telewizorem i włączyła Sat1.

Właśnie zaczynał się „MacGyver”, zabawny serial o facecie, który z pudełka zapalek potrafił skonstruować bombę atomową. W połowie odcinka zasnęła. Drzemkę przerwał telefon. Wyszła do przedpokoju i sięgnęła po słuchawkę.

– Słucham? – zachrypiała.

– Cześć, stara!

Katia otworzyła szerzej oczy i uśmiechnęła się, słysząc głos swojej nowej przyjaciółki, Uli Bader, policjantki z bukowskiego komisariatu. Słowo „przyjaciółka” nie było chyba nadużyciem. W końcu ich znajomość zaczęła się od wspólnego zatrzymania Kramerskiego. Czy mógł być bardziej obiecujący początek?

– Fajnie, że dzwonisz, aspirantko Bader.

– Jak się masz, posterunkowa Domagała?

– No właśnie nie wiem, co ze sobą zrobić. Po tygodniu pracy dostałam urlop.

– Rzeczywiście, przerażająca sprawa.

Zaśmiały się.

– A zatem – odezwała się Katia – cierpię na brak wydarzeń. A co u ciebie?

– Nadmiar wydarzeń, stara!

– To opowiadaj!

Ula westchnęła.

– Mieliśmy dzisiaj zgłoszenie, że w jednym z bloków doszło do napaści na kobietę.

Katia ściągnęła telefon z uchwytu i usiadła na dywanie,

opierając się o ścianę.

– Brzmi ciekawie – stwierdziła. – Mów dalej.

– Smutna historia. Pewien mąż na oczach swojej dwunastoletniej córki wbił żonce nóż w brzuch.

– Zabił ją?

Po drugiej stronie nagle zrobił się jakiś hałas, potem rozległo się głośne szczekanie psa.

– Zaraz z nim wyjdę! – krzyknęła Ula. – Chwila! Skończę rozmawiać z kumpelą. Tak, wyrzucę też śmieci!

Katia wyprostowała się i wypięła pierś do przodu.

Ciekawe, z kim mieszka? – przeszło jej przez głowę.

– Już jestem. O czym to my gawędziłyśmy?

– O facecie, która wbił nóż w brzuch swojej żony – przypomniała Katia.

– A, no tak... Słuchaj, stara!

– No?

– Skoro ci się nudzi w chacie, przyjedź do mnie, do Buku, na weekend! Co ty na to? Spędzimy fajnie czas! Poplotkujemy, wypijemy coś, połazimy sobie po lesie. Odpoczniesz, nabierzesz sił. Poznasz moich rodziców. No i Dobromira.

– Kogo?

– Dobromira! Pseudonim Dobrek. To nasz pies, wilczur!

– Fajna ksywa.

– Prawda? A wracając do zaproszenia... Dom jest duży, więc dostaniesz osobny pokój. Przyjeżdżaj, stara! Będzie fajnie.

Katia położyła się na dywanie, podniosła nogi w górę i poczuła, że mięśnie przyjemnie się rozciągają.

– Będziemy oglądać filmy romantyczne! „Dirty Dancing” i „Pretty Woman”!

Zaproszenie brzmiało kusząco. Chętnie przejechałaby się gdzieś, zmieniała otoczenie, pobyla w zupełnie innym miejscu. Dawno przecież nie opuszczała Poznania, który czasami sprawiał wrażenie dusznego więzienia. Poza tym Ula była taka energiczna, radosna, beztroska. Tak, dla samej higieny psychicznej warto było skorzystać z okazji i uciec na parę dni.

– Bardzo chętnie – odparła. – Kiedy?

– No choćby dzisiaj! Koniecznie dzisiaj! Spakuj się szybko, podjedź na PKS i wal prosto do Buku. Odbiorę cię z przystanku.

Katia wstała, rozprostowała kark i mruknęła do słuchawki:

– Dobra, tylko powiedz, czy cios był śmiertelny.

– Pytasz, czy mąż zabił żonkę?

– Aha. No i co się stało z dziewczynką?

– Powiem ci, jak się pojawisz w Buku – oznajmiła Ula, chichocząc.

– Pojawię się, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Nie będziemy oglądać żadnych filmów o miłości!

Śmiech.

– Jasne, stara, zapomnij, że coś takiego zaproponowałam! Żadnych łzawych filmów!

Katia uśmiechnęła się, odłożyła słuchawkę, wyciągnęła z szafy torbę i poszła się spakować, nucąc „She’s like the wind”. Ku swojemu zawstydzeniu, wyobraziła sobie naraz, że wychodzi na parkiet z Oстрыm.

Ciekawe, czy umie tańczyć? – zastanawiała się, chowając do kosmetyczki szczoteczkę do zębów.



Cztery godziny później policjantki siedziały przy kuchennym stole obciążonym biało-czerwoną ceratą, popijały porzeczkowe wino domowej roboty, głąaskały sapiącego Dobromira i rozmawiały o sprawie, przy której pracowała Ula.

Policzki miały zarumienione, oczy świejące, a czoła lekko zmarszczone.

Ula właśnie opowiadała o awanturach, jakie urządzał żonie, a przy okazji córce, pewien bukowski robotnik, Adam Derwiniak.

Nalała do lampek wina, wydobyla z teczki zdjęcie i podsunęła je przyjaciółce.

– To on – szepnęła.

Katia podniosła czarno-białą fotografię i przyjrzała się jej uważnie.

Derwiniak okazał się typowym facetem. Broda, wąsy, koszula ze znaczkiem „Solidarności”, pas z wielką sprzączką, brzuch piwny, spodnie typu dzwony.

Przygryzła nerwowo usta i rozejrzała się po przytulnej kuchni. Jej wzrok zatrzymał się na szklanym baniaku zwieńczonym bulgoczącą rurką fermentacyjną.

Rodzice Uli byli amatorami domowych win, a specjalizowali się właśnie w porzeczkowym.

– Nie smakuje ci?

– Nie, nie, smakuje. Po prostu nie przepadam za alkoholem.

– Stara, ja bez niego nie dałabym rady! – Ula wypila parę łyków. – Ale wracając do meritum, Derwiniak, ostro napieprzony, uderzył żonę w twarz, coś tam wybełkotał i wyszedł. A ona, pani Hania, pomyślała sobie, że mąż

wpadł właśnie w cug i jak wróci nazajutrz, zaczną się awantury, więc najlepszym wyjściem będzie nocleg poza domem. Obudziła córkę, spakowały się i poszły do siostry, która mieszkała na sąsiednim osiedlu. Krótko mówiąc, spieprzyły dziadowi z oczu.

Katia pokiwała głową i sięgnęła po lampkę. Upiła łyk i zerknęła na przyjaciółkę, która dopiła swoje wino i ciągnęła dalej:

– Słuchaj tego. Jest szósta rano. Nagle walenie do drzwi, dzwonek, jeden, drugi, trzeci. Budzą się przerażone. Nasłuchują. Siostra pani Hani otwiera drzwi, zaczyna z kimś rozmawiać. Ten ktoś podnosi głos. Rozpoznają go błyskawicznie. To on. Pijak, przed którym uciekły. Pani Hania zrywa się z łóżka, zaczyna się trząść. Jest cała w nerwach. Basia podchodzi do niej i przytula się. Obie wpatrują się przerażone w drzwi. Pukanie, delikatne, nieśmiałe. Wchodzi siostra. Ma zmartwioną minę. W końcu szepcze: „Adam przyszedł, chce pogadać. Wpuszczę go, dobrze?”. Pani Hania kiwa głową. Basia szepcze cichutko: „Mamuś, nie otwieraj tych drzwi, nie otwieraj”. W końcu w progu staje Derwiniak. – Ula przerwała, wyciągnęła z szafy kolejną butelkę i rozlała czerwony trunek do lampek. – A może chcesz czegoś mocniejszego? Jakaś wódeczkę?

Katia pokręciła głową.

– To mi wystarczy.

– Jak przyjdzie ojciec, to proponuje koniaczek. Nie odmawiaj, bo nam będzie truł głowę tak długo, aż w końcu ulegniesz.

– Dzięki za ostrzeżenie. Ulegnę na samym początku.

– Dobra odpowiedź! – Ula zaśmiała się głośno i wróciła

do opowieści: – Gdzie ja byłam? Aha. W progu staje Derwiniak, trochę bardziej trzeźwy niż poprzedniej nocy. Jest w miarę spokojny. Oddycha głośno. I nagle wyciąga z rękawa kurtki nóż, taki wędkarski, wiesz jaki, nie? No więc wyciąga z rękawa ten nóż i wbija go w brzuch pani Hani. A potem jeszcze ten skurwysyn chwyta jej głowę i grzmoci nią o swoje kolano. Ona mu się wyrывa i wybiega do łazienki. Basia wskakuje na łóżko i zaczyna krzyczeć w niebogłosy.

– A ten kutas? – zapytała Katia, pocierając nerwowo dłonią o podbródek.

– Ten kutas spogląda na córkę i mówi do niej spokojnym głosem: „Nie krzycz, Basiu. Cicho bądź. Połóż się spać. Wszystko jest dobrze”. Potem chowa zakrwawiony nóż z powrotem do rękawa i wychodzi z mieszkania.

– Pani Hania?

– Po chwili wyszła z łazienki, podniosła koszulkę i zdziwiona zaczęła wpatrywać się w ranę. Potem podczas przesłuchania powiedziała mi, że myślała, że on ją uderzył pięścią i że od tego pękł jej pępek. Rozumiesz, stara?

Katia pokiwała głową.

– Hałasy obudziły szwagra, lekko wczorajszego, który wyszedł w samych gaciach z sypialni, zorientował się w sytuacji, pogłaskał Basię i mruknął: „Jaki tatuś zły, jaki niedobry tatuś. Jaka świnia”. No i zadzwonił po pogotowie.

– A co z Derwiniakiem? – zapytała Katia.

– Spierdzielił.

– Gdzie?

– Oto jest pytanie. Rozmawiałam z Basią. I ona na koniec zapytała błagalnie: „Ale tatuś już nigdy do nas nie wróci, prawda?”.

Dziewczyny zamilkły i przez kilkanaście sekund wpatrywały się w butelkę. A gdy rozległa się czołówka telewizyjnych wiadomości, Ula zaproponowała krótki spacer z psem.

• • •

Katia czuła się fantastycznie. W końcu udało się jej wyciszyć, odprężyć, uspokoić. Żadnej gonitwy myśli, żadnych złych emocji. Tylko czyste powietrze, rozmowy o pierdołach i gapienie się na biegającego psa.

Szły powoli piaszczystą drogą, gestykulowały energicznie i co chwilę wybuchały śmiechem.

Buryła miał chyba jednak rację – pomyślała Katia, gdy zatrzymały się na końcu uliczki, żeby odszukać wzrokiem Dobromira. *Potrzebowałam tego.*

Spojrzała na uśmiechniętą Ulę.

Muszę się jej trzymać – stwierdziła i nagle przypomniała sobie wieczór sprzed kilku dni, kiedy Ula, roztrzęsiona, zapłakana, weszła do jej mieszkania i oznajmiła, że miała kiedyś romans z seryjnym zabójcą ściganym przez poznańską policję.

To było straszne doświadczenie. Patrzyć na kogoś, kto nagle – ku swojemu przerażeniu i wstydomi – uprzytamnia sobie, że chodził do łóżka z ludzką bestią. Przyjazd Uli był aktem wielkiej odwagi, dzięki któremu doszło do przełomu w śledztwie. Jeszcze tego samego dnia Kramerski został ujęty.

Katia się wzdrygnęła, gdy pamięć podsunęła jej

moment, w którym obydwie rzuciły się, przeraźliwie wrzeszcząc, na bandziora i powaliły go na ziemię.

Jezu Chryste, to cud, że przeżyły!

Ale właściwie dlaczego cud?

Katia mimowolnie odtworzyła w pamięci ten moment, kiedy, ciężko dysząc, wbiła kciuk w oko zabójcy. Nigdy wcześniej nie czuła w sobie takiej wściekłości. I zarazem... satysfakcji.

Czyżbym była sadystką? – pomyślała, czując dziwny prąd przepływający przez plecy.

– Widzisz, stara, ten domek? – odezwała się Ula, wskazując szary budynek o charakterystycznym kwadratowym kształcie.

– Co z nim?

– Mieszka tu bardzo ciekawa babka. Księgowa w jakiejś poznańskiej firmie. Parę miesięcy temu została zatrzymana przez policję... Do dzisiaj...

Do dziewczyn podbiegł Dobromir, położył obok ich nóg wielką gałąź i zaczął szczekać. Ula podniosła zdobycz i rzuciła. Pies pomknął przed siebie.

– Do dzisiaj siedzi.

– Ale za co? – zapytała Katia, przyglądając się księżycowi, który właśnie wyłonił się zza kłębiastych chmur.

– Za wałki. Podkradała forszę, ale nie to jest najciekawsze. Rozmawiałam kiedyś z policjantką, która ją przesłuchiwała. Z twojej komendy zresztą. Gabi, nadkomisarz chyba, robi w przestępstwach gospodarczych.

– Nie poznałam jeszcze.

– Okazało się, że księgowa nie kradła dla siebie.

– Jak to?

– Ani złotówki przez całe lata. Gabi zapytała ją więc, co robiła z tymi pieniędzmi. A ona na to, że oddawała wielkopolskim kościołom.

– Jaja sobie robisz?!

– No właśnie nie robię, stara. Policja to zweryfikowała. Mówiła prawdę.

Katia uśmiechnęła się i zupełnie nieoczekiwanie przypomniała sobie Ostrego, długowłosego sierżanta z dochodzeniówki, do którego czuła sympatię. Od pierwszego spotkania. Od pierwszego wejrzenia. Stało się to – o ironio – na miejscu zbrodni. Piątego października. Pierwszego dnia w nowej pracy.

Boże, ale życie jest pokręcone – westchnęła w duchu, po czym zapięła kurtkę pod samą szyję i przytupnęła mocno nogami. Zrobiło się zimno. *On by na pewno jakoś to zabawnie skomentował. Ciekawe jak?*

Gdzieś z tyłu głowy przeleciały jej scenki, w których Ostry dowcipnie kwitował różne sytuacje.

Jak on nazwał stypę? Funeralną wyżerką?

– Coś tak zamilkła? – zapytała nagle koleżanka, trącając ją w ramię. – Gdzieś ty poszybowała myślami?

– A tak się zadumałam – odparła. – Nad tym wszystkim.

– No, no, no. Życie to są jednak jaja. Strusie.

Katia zmarszczyła brwi.

– Strusie jaja? Takiego tekstu jeszcze nie słyszałam – mruknęła, z trudem odpychając od siebie obraz dowcipkującego Ostrowskiego.

– To od ojca, który mówi czasem z oburzeniem: „Można robić sobie jaja, ale nie strusie”.

Zaśmiały się.

– Wracajmy, bo się zimno zrobiło – rzuciła Ula, rozejrzała się za psem i gwizdnęła. – Dobrek, wracamy do domu – krzyknęła.

Gdy zawróciły i uszły w ciszy kilkadziesiąt kroków, Ula oznajmiła:

– Jak wrócę jutro z roboty, to zaprowadzę cię na plac targowy, gdzie w osiemdziesiątym drugim znaleziono zamordowaną dziewczynkę.

Katia spojrzała na koleżankę.

– Przyjechałam do Buku czy do miasteczka Twin Peaks?

Śmiech.

– No właśnie, stara! Agent Cooper czy szeryf Truman?

– James Hurley!

– A tak, fajny był z niego słodziak. Miał taką... Hm, niepokojącą urodę.

– No i ta jego mina, jakby za chwilę miał się rozplakać!

Policjantki spojrzały na siebie, zachichotały, pogłaskały Dobromira, który podbiegł do nich, ciężko sapiąc, i podążyły dalej w stronę domu.

• • •

Nazajutrz, późnym popołudniem, po zachodzie słońca, stanęły na placu targowym z trzech stron otoczonym topolami.

Rozejrzały się po opustoszałej okolicy oświetlanej nieśmiało przez kilka lamp. Trzy blaszane budy, parę drewnianych stanowisk, pod jednym z drzew stary tarpan wyładowany gruzem.

– Tam z boku jest latryna, widzisz? – powiedziała smutno Ula.

Katia skinęła głową.

– Miałam wtedy siedemnaście lat. To było na początku lutego. Młody mężczyzna zgłosił na komisariacie zaginięcie swojej córeczki, chyba ośmioletniej. Pamiętam do dziś te obrazki: maszerujących po Buku milicjantów i zomowców. Do nas też przyszli. A właściwie przyszedł. Jeden. Operacyjny. Sierżant Harwej – dodała Ula po chwili zastanowienia. – Młody przystojny milicjant z Komendy Wojewódzkiej. Gapiłam się w niego jak sroka w gnat, kiedy pytał nas, czy wiedzieliśmy zaginioną dziewczynkę.

Harry – pomyślała Katia. To nasz Harry.

– Jak ona miała na imię? Hm... Niech sobie przypomnę...

Nad placem przeleciało stado gawronów i usiadło na jednej z topól.

– Iwonka. Albo Ilonka? Jej ciało odnaleziono dopiero następnego dnia, przed południem. Jakiś żulik wszedł do tej latryny i znalazł zwłoki. Zmasakrowane, wciśnięte w sedes. – Ula wzięła głęboki oddech.

Katia poczuła, że wilgotnieją jej oczy.

– Po wstępnych oględzinach stwierdzono, że dzieciątko zostało brutalnie zgwałcone, a potem zamordowane kawałkiem betonowej płyty.

– Złapali sprawcę?

– Tak. Na drugi dzień.

– I kto to był?

– Jurek miał na imię. Dwudziestolatek, po zawodowce, mieszkający w którejś z okolicznych wsi. Totalny abnegat. Szwendał się po miasteczku, zobaczył dziewczynkę, podniecił się, zaciągnął ją do kibla i...

Zapadła cisza przerywana raz po raz skrzeczeniem gawronów. Niebo zrobiło się granatowe.

– Chodźmy.

Gdy wsiadły do białej skody, zaparkowanej obok wysłużonego tarpana, Ula włożyła kluczyk do stacyjki i zagadnęła koleżankę:

– Znasz tego całego Harweja?

– Uhm. Pracowałam z nim pierwszego dnia.

– Ciągłe przystojny?

– Całkiem. Ale zniknął.

– Jak to zniknął?

– Normalnie. A raczej nienormalnie. Nie wiadomo, co się z nim stało. Po prostu wcięło go, zapadł się pod ziemię.

Ula uruchomiła silnik i wyjechała na ulicę, próbując ominąć wielką dziurę.

– Wstąpimy jeszcze do monopolowego, kupię jakąś wódkę na wieczór – oznajmiła. – Jutro mam wolne, możemy dzisiaj sobie podrinkować.

– Mówią na niego Harry – odezwała się nagle Katia, próbując przypomnieć sobie wyrazistą twarz komisarza.

Gdzie ty jesteś, chłopie? – pomyślała, uprzytamniając sobie nagle, że tęskni za jego dziwną, słodko-gorzka obecnością.

• • •

Gdy obejrzały wiadomości, pogadały z rodzicami, wytarmosiły Dobromira i uzbrojone w wódkę, colę, cytryny oraz musztardówki zamknęły się w pokoju.

Katia położyła się na miękkim łóżku i upiła parę łyków bardzo mocnego drinka. Przymknęła oczy, czując, że ciepło rozplywa się po całym jej ciele.

Czas mógłby teraz stanąć w miejscu – przyszło jej nagle do głowy.

Ula włożyła do magnetofonu kasetę i po chwili z lekko trzeszczących głośników popłynął zachrypnięty głos Janis Joplin.

– Podoba mi się taki jeden facet, moja droga – odezwała się Ula. – Ale mam z nim pewien problem. Musisz pomóc mi przeanalizować sytuację.

Katia dopiła alkohol, odłożyła szklanekę, rozpuściła włosy i odparła, uśmiechając się serdecznie:

– Dawaj.

Po dwóch godzinach analizy, której towarzyszyła metodyczna konsumpcja kolejnych drinków, zmieniły temat. Padło wreszcie klasyczne pytanie: „Dlaczego zostałam policjantką”. Katia tak to rozegrała, żeby to Ula, będąc już na lekkim rauszu, rozpoczęła tę część posiadówki.

– Okej, stara, opowiem ci. Ale najpierw uzupełnię alkohol. Chcesz?

– Już mi wystarczy, dzięki. – Katia pokręciła głową i ułożyła się na brzuchu, podpierając dłońmi podbródek.

Ula usiadła po turecku pod ścianą, pomyślała chwilę i zaczęła swoją opowieść:

– Miałam wtedy czternaście lat. Byłam na wakacjach u dziadków, którzy mieszkają w leśniczówce, w głębi lasu. Jakies trzy kilometry do najbliższej wioseczki. Noc. Śpię zakopana po uszy w pierzynie. Nagle na podwórzu robi się jakiś hałas. Psy zaczynają szczekać wniebogłosy, koty przeraźliwie miauczeć. Otwieram zdziwiona oczy. W sypialni dziadków rozlegają się szepty, słyszę szuranie, chyba podchodzą do okna. Ktoś krzyczy: „Ręce

do góry!”. Drętwieję, bo zupełnie nieoczekiwanie w moim pokoju pęka szyba, do środka wpada kamień. Wyskakuję z łóżka przerażona. Otwierają się drzwi, wbiega babcia i pyta, czy nic mi nie jest. Za nią pojawia się dziadek ze strzelbą w rękach. Szepcze, żebyśmy szły do spiżarki, wymija nas i podchodzi do okna. Lustruje uważnie okolicę.

– *Kto to, na Boga?* – pyta babcia.

– *Nie wiem, cholera* – odpowiada dziadek. – *Stanął pod orzechem i gapi się na nas. Chyba ma pistolet.*

– *Boże!*

– *Nie krzycz, Danko, tylko idźcie do spiżarki.*

– *Jak nie krzycz, skoro on ma broń?! Powystrzela nas. Jak kaczk!*

– *Jest pijany. Jak bela. Chwieje się – oznajmia dziadek, prz gryzając swoje sumiaste wąsiska.*

– *No tak, napił się cymbał i teraz rozrabia* – kwituje babcia.

– *Chyba wiem, kto to* – dodaje dziadek. – *Należy do koła łowieckiego. Maryś jakiś tam. Esbek, który mieszka tu w okolicy.*

Babcia podchodzi do okna.

– *Jest niebezpieczny?* – pyta.

– *A cholera wie!*

– *Upadł* – szepnęła babcia. – *Co za łamaga.*

– *No, pijany jest jak bela.*

Ula urwała, wychyliła do dna musztardówkę, przejechała dłonią po zarumienionych policzkach i zerknęła na Katię.

– *Wiesz co, stara?* – mruknęła. – *Te teksty babci jakoś mnie ośmieliły. Rozumiesz, rozbroiły strach.*

Powiedziałam, że wyjdę tylnym oknem i pobiegnę po pomoc. Znałam wszystkich we wsi bardzo dobrze, więc to nie był żaden problem. Chodziło tylko o to, żeby pokonać lęk przed ciemnościami panującymi w lesie. Wkręciłam sobie, że od tego zależy nasze życie. Dziadkowie początkowo protestowali, ale kiedy facet wstał i strzelił w powietrze, wyrzaskując przekleństwa, zgodzili się. Ubrałam szybko dresy, no i poleciałam! Oczywiście zrobiłam sobie dziurę na dupie, gdy wychodziłam przez okno. – Uła zachichotała. Sięgnęła po butelkę, była pusta. – Trzeba by zejść do piwniczki po jakieś wino – rzuciła, wydymając usta.

– No i? – zagadnęła Katia, która ewidentnie wciągnęła się w historię.

– No i to był mój najdłuższy bieg z... przeszkodami.

– Przeszkodami?

– No wiesz, moja wyobraźnia sobie poszalała. Duchy, niebezpieczne zwierzęta, martwi dziadkowie, gwałciciele. Takie obrazki. Ale w końcu się udało. Dobięłam do celu. Zdyszana, spocona, ale jednak żywa. Zebrało się kilku facetów, którzy wsiedli do samochodu, wzięli mnie na kolana i ruszyli z odsieczą. Gdy przybyliśmy na miejsce, pijak leżał nieprzytomny pod drzewem. Miał związane ręce i nogi. Przy nim stał dziadek i oglądał sobie jego pistolet. „Dobrze, że jesteście”, powiedział, gdy nas zobaczył. Mężczyźni pokiwali głowami z uznaniem. Odbyła się kilkunastominutowa narada. Kiedy ustalono, co i jak, panowie zapakowali faceta i zawieźli go na najbliższy komisariat. A ja parę dni później dostałam dyplom od komendanta za odwagę. Pamiętam, że któryś z funkcjonariuszy rzucił do mnie na odchodne: „Przyjdź

do nas po maturze”. Wzięłam to za żart. – Ula cmoknęła i ukłoniła się koleżance. – Ale, jak się później okazało, to wcale nie był żart.

Śmiech.

– No i kiedy w liceum zastanawiałam się, co robić dalej, jaką wybrać robotę, stwierdziłam, że chcę zostać milicjantką. Wydało mi się to naturalne. Kilku moich wujków było milicjantami, więc miałam ułatwione zadanie. Po maturze zgłosiłam się do tutejszego komisariatu i mnie przyjęli. Tak to się zaczęło. W osiemdziesiątym piątym. Koniec opowieści, moja droga.

Katia zadumała się.

– W końcu optymistyczna historia – powiedziała po chwili. – W końcu dziewczyna jest bohaterką, a nie ofiarą... Zboczonego faceta – dodała po dłuższym milczeniu.

Ula czknęła i podniosła się z łóżka.

– Wszyscy faceci są zboczeni! Tyle ci powiem.

Nałożyła laczki na stopy, podeszła do drzwi.

– Pójdę po wino – oznajmiła, a potem uniosła palec w górę i potrząsnęła nim. – A ty przygotuj się do własnej opowieści. Teraz twoja kolej.

• • •

Katia odetchnęła z ulgą, kiedy przyjaciółka po powrocie z piwniczki wypijała duszkiem szklanekę wina i zaczęła rozmowę na zupełnie inny, neutralny temat. W pewnym momencie zeszło na sprawy damsko-męskie.

– Zadzwoń jutro, stara, do tego całego Ostrowskiego – powiedziała nagle Ula, trącając Katię w kolano. Była już na bardzo mocnym rauszu. – I poproś go, żeby

przyjechał w niedzielę po ciebie. To znaczy wiesz, zrób to tak, żeby to on wyszedł z propozycją. A ty się po prostu łaskawie zgodzisz.

Dziewczyny zachichotały.

– Nie ma co się czaić. Miej coś z życia. Ciesz się życiem. Używaj życia.

Katia, która leżała na plecach i napawała się przyjemnym szmerem w głowie, ściągnęła usta w dzióbek.

– Może i tak zrobię – odparła i wyobraziła sobie długowłosego, wysokiego kolegę, który podchodzi do niej, pochyla się, szepcze coś do ucha, a potem zaczyna całować, mocno, intensywnie, z coraz większym zapalem.

Boże – pomyślała. Jak ja dawno tego nie robiłam.

Zamknęła oczy i poczuła, że jej serce zaczyna nieco szybciej bić.

– Miej coś z życia – szepnęła Ula, sięgnęła po butelkę i upiła spory łyk prosto z gwinta. – On na pewno nie jest gwałcicielem i zabójcą... Tak jak... – Nagle jej głos dziwnie się zmienił.

Katia zmarszczyła brwi i spojrzała na przyjaciółkę, która chlipnęła głośno, położyła się na łóżku, wbiła twarz w poduszkę i zaczęła szlochać.

Katia przełknęła ślinę i położyła się obok. Przytuliwszy się do Uli, przypomniała sobie migawki z ataku na Kramerskiego.

Gdy usłyszała pogłos swoich krzyków, wulgarnych, desperackich, przejmujących, poczuła dreszcz, który przeszedł po całym ciele. Zacisnęła zęby.

– Dlaczego to właśnie mnie spotkało? – zawyła Ula. –

Dlaczego?

Katia głaskała ją po twarzy i wpatrywała się posępnym wzrokiem w okno.

• • •

– Jak spędziłaś sobotę? – zapytał Ostrowski, kiedy wjechali do Poznania i znaleźli się na ulicy Dąbrowskiego.

– Byłam na polowaniu – odparła Katia.

Sierżant spojrział na nią zdziwiony.

– Na polowaniu?

– Tak. – Katia cmoknęła i pokiwała głową. – Wujek mnie zaprosił na polowanie. Na dzika.

– Podobało ci się?

– Tak.

– Zabiliście go?

– Wujek zabił.

Ostry zamilkł. Włączył radio, pokręcił. Gdy odnalazł częstotliwość, na której puszczano rockową muzykę, lekko pogłośnił.

– Co wtedy czułaś? – zapytał, zerkając na nią ostrożnie.

– Gdy strzelali do dzika? – upewniła się Katia.

– Tak.

– Muszę przyznać, że ekscytację.

– Naprawdę?

– No.

– Ula też była?

– Nie. Powiedziała, że nie lubi zabijania zwierząt.

Zapadła cisza. Ostrowski podrapał się po nosie i położył wierzch dłoni na dźwigni zmiany biegów. Otworzył schowek, wyjął z niego kasetę i włożył do kieszonki

magnetofonu.

– A ty lubisz? – zapytał nagle.

– Czy to jest przesłuchanie, sierżancie? – odparowała Katia i sięgnęła do kieszeni po miętowe gumy.

– Tylko niezobowiązująca pogawędka – mruknął.

– Jeszcze nie zabiłam. Więc nie wiem.

Ostrowski nie odpowiedział.

Jak na komendę przyłgnęli do siedzeń i zaczęli w milczeniu wpatrywać się w kiepsko oświetlony miejski pejzaż. Po parunastu minutach minęli posępny gmach katedry. Gdy wjechali na Rondo Śródka, z głośników popłynęła słynna piosenka Pixies.

Ostrowski zwolnił, wrzucił kierunkowskaz i skręcił w Warszawską. Zaczął się rozglądać za wjazdem na osiedle po lewej.

Jego wzrok na chwilę zatrzymał się na wielkich literach umiejscowionych na jednopiętrowym budynku: „Restauracja Maltańska”.

With your feet in the air and your head on the ground /
Try this trick and spin it, yeah / Your head will
collapse / But there's nothing in it / And you'll ask
yourself⁷.

– Ulica Konarskiego, powiadasz – mruknął, kiedy udało mu się w końcu skręcić w lewo – Byłem tu kiedyś na trupie.

Where is my mind? / Where is my mind? / Where is
my mind?

Po paru minutach zaparkował pod budynkiem z czasów Gomułki, wyłączył silnik i spojrzął na Katię, która

7 Fragment utworu „Where Is My Mind” Pixies. Tekst autorstwa Franka Blacka.

właśnie smarowała sobie usta kremem.

– Koniec trasy – mruknął i uśmiechnął się promiennie.

Nie będzie żadnego dowcipu? – pomyślała lekko rozczarowana.

Ostry uderzył parę razy w kierownicę. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale nie potrafił się zebrać.

– Co to był za trup? – zapytała Katia i wbiła wzrok w kolegę, jakby chciała go zahipnotyzować i zmusić do... No właśnie – do czego?

Z tyłu głowy miała obraz podpitej Uli, która namawiała ją do „bzyknięcia słodkiego sierżanta”, kiedy razem oglądały frywolny wideoklip Aerosmith zatytułowany „Crazy”.

– Całkiem martwy – odpowiedział Ostry i zarechotał. Chyba jednak nerwowo. – Ale mimo wszystko dużo nam powiedział. Właściwie wszystko. Kiedyś ci opowiem.

Katia westchnęła i odpięła pasy, a wtedy Ostry lekko przechylił się w jej stronę. Dotknął jej ramienia.

Spojrzeli sobie w oczy. Znieruchomieli i po paru sekundach zbliżyli do siebie nieśmiało usta. Pocałowali się.

Gdy zabrakło jej tchu, oderwała się od niego, nabrała powietrza i szepnęła:

– Dzięki za podwózkę.

– Dzięki za podziękowania. Do usług.

Uśmiechnęła się, wyszła z samochodu, wyjęła z bagażnika torbę i szybko ruszyła w stronę swojej klatki.

Ostrowski otworzył szybę.

– Kolorowych snów! – krzyknął, uśmiechając się, dotykając wilgotnych ust i wchłaniając zapach, jaki

zostawiła po sobie posterunkowa.

Pomachała mu i po chwili weszła do budynku.

Sierżant zerknął na szarą ścianę oświetloną brudnym światłem latarni. Wyszczrzył zęby, kiedy dostrzegł wymalowany sprayem napis: „Life is full of zasadzka”.

Zapalił silnik, wyciągnął kasetę, przełożył ją na drugą stronę i włączył odtwarzanie. Wbił jedynekę i ruszył z werwą, próbując się rozeznać w płątaniu osiedlowych uliczek.

Z głośników ponownie wybrzmiał refren:

Where is my mind? / Where is my mind? / Where is my mind?

VII

Buryła wpatrywał się w skupieniu w duży telewizor ustawiony na ładnym czarnym stoliku. Obok siedziała jego małżonka, Jolanta, lekko znudzona drobna, szczupła blondynka, która wertowała kolorowy program telewizyjny.

Bruce Willis, ubrany w biały podkoszulek i ciemne spodnie z brązowym paskiem, uderzył parę razy głową w framugę. Podszedł do lustra, wytarł czoło ręcznikiem, westchnął i powiedział do siebie: „Brawo, John, popisałeś się, stary”. Potem nastąpiło cięcie, w kadr wjechały samochody. Rozległ się pisk opon, pojawiły się niepokojące dźwięki, które sprawiły, że podinspektor zmarszczył brwi. Do budynku weszło dwóch mężczyzn, jeden z nich wyciągnął broń i strzelił do portiera.

Buryła zerknął na zegarek i z uznaniem kiwnął głową.

– O co ci chodzi, Bury? – zapytała żona.

– A o co ma mi chodzić? – zdziwił się policjant, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Ostatnio w czasie oglądania filmów patrzysz na zegarek.

– Sprawdzam, czy to siedemnasta minuta.

– Siedemnasta minuta?

– Tak. Według podręczników do scenopisarstwa w siedemnastej minucie powinien nastąpić zwrot akcji. Dochodzi wtedy, proszę ja ciebie, do przejścia od aktu pierwszego do aktu drugiego.

Jolanta zrobiła duże oczy.

– Ty chcesz scenarzystą zostać? – zapytała zdumiona.

– Nie. Ale chcę Misiowi pomóc w pisaniu – odpowiedział podinspektor, czerwieniąc się z lekka i strzepując niewidzialny pyłek ze spodni.

– A co on teraz bazgroli?

– Opowiadanie kryminalne. Bardzo fajne.

– Ty będziesz w nim występował? – Jolanta się zaśmiała.

– Niekoniecznie. Ale obgadujemy pewien temat.

Umilkli i spojrzeli na ekran. Po paru sekundach skoncentrowali się na akcji, która ostro przyspieszyła. Przestępcy pod przewodem postaci granej przez Alana Rickmana opanowywali drapacz chmur.

Gdy na dobre zatracili się w fabule, zadzwonił telefon.

– Idź odbierz. – Jolanta klepnęła małżonka w ramię.

Policjant chwycił pilot, zatrzymał obraz i poszedł do swojego gabinetu. Usiadł na fotelu, przejechał dłonią po policzku i podniósł słuchawkę.

– Buryła.

– Cześć. – Usłyszał zachrypnięty, zmęczony głos i natychmiast podźwignął się, otwierając szeroko oczy.

– To ty? – szepnął.

– Tak, to ja.

– Żyjesz?

– Rzeczywiście, miałem nie żyć, ale żyję.

Buryła usiadł z powrotem. Wbił wzrok w długopis leżący na biurku.

– Co się stało? Gdzie jesteś? Kiedy wrócisz?

– To nie na telefon.

– No ale gdzie jesteś?

Harry zamilkł.

Podinspektor wyteńczył słuch.

– Z kim gadasz? – Jolanta stanęła w drzwiach.

Odruchowo zakrył dłonią słuchawkę.

– Jolu – mruknął – dokończ film sama.

– Robota?

– No tak.

Wzruszyła ramionami i wróciła do salonu, z którego po chwili dobiegły odgłosy strzelaniny.

– Harry? – odezwał się Buryła. – Gdzie jesteś?

– Weź Dżerego i przyjedźcie tutaj. Musimy pogadać.

– Czyli gdzie?

– Pamiętasz, gdzie piliśmy wódkę po zatrzymaniu Mariana Pierzchały?

– Pierzchały? Pierzchały?! Tego nekrofila i zabójcy?!

– Właśnie tego.

– Pamiętam.

– Trafisz tam?

– Chyba tak.

– To czekam na was.

– Ale naprawdę musimy tak to zrobić?

Podinspektor usłyszał charakterystyczny dźwięk. Koniec rozmowy.

Cały Harry – pomyślał. Umieścił słuchawkę między barkiem a szyją, wyjął z szuflady notes i wykręcił numer.

– Dżery – odezwał się poważnym głosem. – Podjadę zaraz po ciebie. Musimy złożyć komuś wizytę. To bardzo pilne.

VIII

Misiński potrzebował inspiracji, więc z samego rana pojechał tramwajem do Collegium Novum, gdzie wykładał jego stary znajomy, profesor literaturoznawstwa, Tadeusz Ziomecki, mistrz anegdoty i zarazem wielki pijak. Dziennikarz lubił jego sugestywne opowieści o książkach i pisarzach. Poznali się bardzo dawno temu, w kultowym Smakoszu, do którego chodzili aktorzy, poloniści i milicjanci.

Parę minut przed ósmą wszedł do budynku, wmieszał się w tłum studentów i skierował w stronę sali C2.

Gdy wkroczył do pomieszczenia, zajął miejsce na samej górze, wyciągnął z torby zeszyt, kilka długopisów i rozejrzał się wokoło. Lubił przyglądać się młodym ludziom. Ich roześmianym twarzom, coraz bardziej kolorowym ubraniom, energicznym gestom.

W pewnym momencie skupił wzrok na czarnowłosej dziewczynie, bardzo bladej na twarzy, ubranej w skórzaną kurtkę z napisem na plecach „Fuck the USA”.

Ciekawe.

W tym czasie profesor wszedł na mównicę, puknął w mikrofon, przywitał się i zaczął opowiadać o Sienkiewiczu jako pisarzu, który miał „wybitny temperament scenarzysty”. Po krótkim wstępie oznajmił, że dzisiejszy wykład poświęci scenom, które doskonale zapadają w pamięć.

– Interesują mnie sposoby konstruowania scen, o których nie można zapomnieć, które osadzają się w naszych głowach na zawsze, które na dobre opanowują nasze umysły. – Ziomecki uśmiechnął się i dodał: – Sienkiewicz był mistrzem w tym zakresie. W zakresie budowania przeraźliwie emocjonujących scen.

To coś naprawdę dla mnie – stwierdził w myślach dziennikarz, pokiwał głową i zapisał w zeszycie: „Scena! Przerażliwa!!”.

– Zaczniemy od fragmentu z „Pana Wołodyjowskiego” – oznajmił profesor. – Od sadystycznej sceny, w której na pal zostaje nabity Azja Tuhajbejowicz.

• • •

Po wykładzie Misiński obszedł poznańskie komendy i komisariaty, zjadł obiad, popił go niepasteryzowanym piwem, poszedł do redakcji, gdzie wystukał parę tekstów, później wyskoczył na parę kieliszków wódki do Merkurego i wrócił do siebie. Odpoczął chwilę, zdrzemnął się, obejrzał „Dziennik Telewizyjny” i skupił się na kontynuowaniu opowiadania. Po paru minutach stwierdził z radością, że pisanie idzie mu całkiem prężnie.

• • •

Choraży Harwej doszedł do przystanku PKS i zaczął podpytywać mieszkańców o młodzieńca z opadającym lewym kącikiem ust.

– A tak, był tu taki – odpowiedział chudy, zachrypnięty mężczyzna, który trzymał w rękach reklamówkę. –

Młody, przemoczony. Na pewno nie stąd.

Harry pokiwał głową.

– Dziękuję – mruknął i wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni.

Jego rozmówca dygnął niezgrabnie i wrócił do grupki znajomych, którzy zawzięcie o czymś dyskutowali. Może o rybach? Jeden z nich rozłożył ręce, jakby pokazywał rozmiar zdobyczy. Pozostali pokiwali głowami z uznaniem.

Po paru minutach na przystanek podjechał niebieski, ubłocony „Ogórek”. Gdy wszyscy wsiedli, drzwi się zamknęły i autobus odjechał, podskakując energicznie na dziurawej drodze.

Choraży rozejrzał się po szarej, zaniedbanej okolicy. Po chwili podsumował w myślach efekty rozpytania.

Pomiędzy szóstą piętnaście a szóstą czterdzieści pięć zabójca pojawił się tutaj, pokręcił po okolicy, a potem wsiadł do autobusu do Kalisza. Nikt go nie znał, nikt z nim nie rozmawiał. Nikt nie widział, gdzie wysiadł. Trzeba będzie dotrzeć do kierowcy i podpytać go. Może coś dopowie – pomyślał Harry, wydobył z kieszeni notes i zapisał coś.

Potem sięgnął po dowód osobisty zamordowanej. Spojrzał na miejsce zameldowania. Opatówek.

Gdzie to jest? – Poszperał w pamięci i po chwili zlokalizował miasteczko. *Jakieś kilkanaście kilometrów stąd.*

Westchnął, uprzytamniając sobie, że niebawem stanie przed rodzicami dziewczyny i obwieści im, że ich ukochana córka została brutalnie zamordowana. Poczuł ukłucie w sercu. Skrzywił się i ruszył z powrotem do

Radliczyc.

Gdy dotarł na miejsce, odszukał Kalupę, który siedział w małej, śmierdzącej szczytnami poczekalni i powoli kończył wypełniać protokół.

– Będę w samochodzie – rzucił. – Jak skończysz, przyjdź do mnie, pojedziemy do Opatówka.

– Po co tam?

– Do rodziców zamordowanej.

Porucznik podniósł wzrok znad dokumentów, zmarszczył czoło i pokręcił głową.

– Tylko nie to – szepnął. – Jak ja nienawidzę tego robić – dodał.

Harry wzruszył ramionami.

– W takich chwilach mam wrażenie, że dobijam rodzinę ofiary – wymamrotał Kalupa, wracając do wypełniania dokumentacji.

– Będę w samochodzie – powtórzył chorąży i opuścił budynek. Wciągnął do płuc świeże powietrze. Przyniosło mu to niemałą ulgę.

Podszedł do samochodu, usiadł i zapalił. Wciągając i wypuszczając dym, próbował przypomnieć sobie panią prokurator, która wpadła mu w oko.

Ostra, z charakterkiem – takie lubił.

Gdy zaczęła ją sobie wyobrażać w bieliźnie, nagle pojazd się zakołysał. To Kalupa władował się bezceremonialnie do środka, trzaskając drzwiami.

– Możemy jechać – oznajmił i położył torbę w nogach

Harry dopalił papierosa, wsiadł do samochodu i z ruszył z mocnym zrywem.

– Spokojnie, kruca fuks! – zachnął się porucznik. – To jest PRL, nie amerykański kryminał.

W czasie drogi wymienili się informacjami, domysłami oraz wątpliwościami. Na koniec zgodzili się, że sprawca to ktoś obcy i że najprawdopodobniej wysiadł z pociągu właśnie w Radliczycach.

– Musimy namierzyć ten pociąg – mruknął Kalupa, po czym wyjął tytoń, bibułkę i zaczął skręcać papierosa.

– Nie uświń mi siedzenia – warknął Harry.

– Przecież tu wszystko jest uświnione!

Śmiech.

Po dwudziestu minutach znaleźli się w Opatówku. Wjechali na osiedle, pobłądzili chwilę i w końcu zatrzymali się pod trzypiętrowym, odrapanym blokiem. Wyszli z samochodu, popatrzyli na śmieciarzy, którzy właśnie opróżniali kubły ustawione w betonowej altanie. Odwlekali jak tylko mogli nadejście nieprzyjemnej chwili. W końcu zacisnęli zęby, weszli do budynku, wdrapali się na drugie piętro i zapukali do drzwi.

Otworzyła im starsza krępa pani, za którą stanęła wysoka nastolatka. Przedstawili się, powiedzieli, że chcą porozmawiać i zostali wprowadzeni do dużego pokoju.

Po chwili w progu drzwi pojawił się chudy, wysoki dojrzały mężczyzna.

– O co chodzi? – zapytał, kładąc siatki z zakupami na podłodze.

Harry spojrzał na Kalupę, ten odchrząknął i wyjaśnił zbolalym głosem przyczynę ich wizyty.

Najpierw zapadła cisza. Potem z wersalki zerwała się dziewczyna i wybiegła z pomieszczenia. Po kilku sekundach ojciec schował twarz w dłoniach.

– Kto to zrobił? – zapytał, gdy spojrzał na nich zaczerwienionymi oczami.

- Jeszcze nie wiemy.
- Dopiero zaczęliśmy czynności.
- Złapiecie go?
- Zrobimy wszystko co w naszej mocy, proszę pana.

Choraży podrapał się po policzku, porucznik przełknął głośno ślinę.

Po długiej, nieprzyjemnej ciszy odezwała się matka, dobitnym, choć drżącym głosem:

– Przeklinam mordercę mojej córki. I przeklinam jego rodzinę.

To powiedziawszy, spuściła głowę i złożyła ręce jak do modlitwy. Załkała, ale natychmiast zdusiła rozpacz w zarodku.

Milicjanci poczuli gęsią skórkę, westchnęli i pokiwali ze zrozumieniem głowami. Spojrzeli na siebie i w końcu podnieśli się z foteli.

– Proszę pani – odezwał się nagle Kalupa. – Proszę mi wierzyć, my naprawdę zrobimy wszystko, co się da, żeby ustalić zabójcę i... – Zamilkł, potarł nos i dokończył: – ... i tego... I zatrzymać go. Naprawdę!

Harry spojrzał na bladą twarz matki i wydało mu się, że nagle dojrzał w jej załzawionych oczach promyk nadziei.

– Dziękuję – szepnęła.

Pożegnali się i opuścili mieszkanie. Gdy wsiedli do samochodu, Kalupa warknął:

– Musimy złapać tego chuja, wyrwać mu jaja i rozgnieść je na jego oczach.

Choraży wzruszył ramionami, wydobył ze schowka mapę, żeby sprawdzić trasę do Kalisza.

Zapalili i ruszyli w drogę.

Wieczorem, po kiepskim obiedzie w milicyjnej stołówce,

pojechali do przyszpitalnego prosektorium.

Doktor Kulej siedział w kanciapie wypełnionej gryzącym papierosowym dymem i stukał energicznie na maszynie.

– Czołem, chłopaki! – zawołał, gdy weszli do środka. – Siadajcie.

Wskazał im krzesła, podszedł do szafki, wyciągnął z niej półlitrową butelkę żytniej oraz trzy szklanki. Oni się rozpląszczyli, on rozlał alkohol.

– Za miłe spotkanie – rzucił.

Kiwnęli głowami i wypili.

– Broniu – odezwał się Harry. – Co dla nas masz?

Kalupa sięgnął po torbę, wyjął z niej zeszyt, chwycił długopis i spojrzał ciekawie na medyka.

– Co ja mam dla was? – mruknął medyk, wycierając dłonią usta i zerkając do swoich notatek. – Pęknięta czaszka, nos i żuchwa – powiedział po chwili, podnosząc wzrok znad kartek. Złożył je i odłożył na bok.

Milicjanci zamilkli i próbowali wyobrazić sobie, co zabójca dokładnie zrobił dziewczynie, jak ją skrzywdził. Jaki to musiał być ból. Wzdrygnęli się.

– Poza tym – kontynuował medyk – znalazłem dość paskudne obrażenia pochwy, ślady spermy i kawałki szarej substancji.

– Kawałki szarej substancji? – powtórzył chorąży. – Masz jakiś pomysł?

Kulej wskazał brodą butelkę.

– Jeszcze po maluchu?

Milicjanci pokręcili głowami.

– Może to cement? – rzucił nagle Harry, marszcząc czoło. – Jej ciało leżało w workach po cementcie.

– Bardzo być może – odparł medyk, po czym wypełnił

wódką pół szklanki i opróżnił duszkiem. – Szykuje mi się pracowita nocka. – Westchnął. – Musiałem się wzmocnić.

Milicjanci cmoknęli, podrapali się po głowach i dźwignęli się z krzesel.

Kalupa zerknął na zegarek.

– Dziewiąta – sapnął. – A mi się chce już do wyra.

– Dzisiaj nie pośpimy – mruknął Harry. Wyciągnął z kieszeni jakiś patyczek i włożył go sobie do ust.

– Panowie, jak nie pijecie, to spierdalajcie – ofuknął ich Kulej. – Muszę dokończyć papierologię, pociąć kolejnego trupa, a potem wrócić do Poznania i dalej tyrać za nędzne pieniądze.

Milicjanci zaśmiali się i wyszli na korytarz.

– Nędzne pieniądze? – Porucznik zachichotał. – Za nędzne pieniądze kupuje te wszystkie zajebiste zegarki?

– To była hiperbola.

– No chyba że...

• • •

Redaktor Misiński przerwał lekturę świeżo ukończonego fragmentu, westchnął, zapalił papierosa i odchylił się na krześle.

Próbował sobie wyobrazić znajomych milicjantów, jak toczą ten dialog. Towarzyszyło temu dziwne uczucie. Wszakże jeden z kolegów umarł, a drugi zaginął, i kto wie, może też już rozstał się z życiem.

Może się gdzieś zachłat? – zastanawiał się dziennikarz, wypuszczając dym. *A może któryś z miastowych go zaciukał i wrzucił do Warty?*

Nagle przypomniał sobie pewną powieść znanego

pisarza, chyba szwajcarskiego: główny bohater, policjant, złożył przysięgę rodzicom zamordowanej dziewczynki, że nie spocznie, póki nie złapie zabójcy. Tak się w czynnościach śledczych zatracił, że zwariował.

Misio pokręcił głową, zdusił w popielniczce niedopałek i wrócił do lektury swojego pisarskiego urobku.

• • •

Gdy pojawili się na komendzie, zostali poczęstowani paczkami, kawą i nowymi informacjami.

Naczelnik tamtejszego Wydziału Kryminalnego, niewysoki, ale bardzo korpulentny czterdziestolatek z wąsikami à la Hitler, poinformował ich, że na stacji PKP Łódź Kaliska w wagonie drugiej klasy pociągu osobowego Kalisz – Łódź Kaliska znaleziono ślady krwi i fragmenty włosów.

– Bierzcie to, chłopaki – powiedział major, wręczając im zabezpieczone materiały. – Zaraz, zaraz – dodał, drapiąc się po podwójnym podbródku – jeszcze jedno. Lubliniacy przesłuchali kobiecinę, panią Bożenkę, która została wczoraj wieczorem zaatakowana przez jakiegoś pojeba w pospiesznym na trasie Poznań – Lublin.

Kalupa zmarszczył brwi.

– Zaatakowana? – zapytał.

– Tak. Z protokołu wynika, że miała na gardle ślady duszenia, dodatkowo uszkodzenia tchawicy i strun głosowych.

Harry wyciągnął papierosa z paczki klubowych i włożył go sobie do ust.

– Zaatakował. I co dalej? – zagadnął.

– I spierdolił – odpowiedział major, podsuwając

chorążemu popielniczkę.

– Dlaczego?

– Pani Bożenka zrobiła raban na cały pociąg.

– Rysopis faceta? – zapytał Kalupa.

– No miał opadający kącik ust. – Naczelnik uśmiechnął się od ucha do ucha i podniósł palec w górę. – Dowcip polega na tym – kontynuował – że wyskoczył. Wiecie, kurwa, gdzie?

– Gdzie? – zapytali równocześnie poznaniacy.

– W okolicach Opatówka.

– Fiu, fiu – podsumował porucznik.

– Czyli tam, gdzie wsiadła do pociągu Krysia, nasza dziewczyna – dopowiedział Harry, strząsając popiół do popielniczki.

– No dokładnie. – Major pokiwał głową, wstał z krzesła, poprawił pas na wydatnym brzuszysku i podszedł do szafy. – Ten pospieszny wyjechał z Poznania zaraz przed wpół do drugiej, z peronu piątego. Minął Opatówek, a paręnaście minut później z Opatówka ruszył osobowy. – Otworzył szafę, wyjął z niej teczkę i usiadł z powrotem. Sapnął przeciągle, jakby zmęczył się tymi czynnościami.

– Mamy informacje, że nasz Krzywousty był w Warsie, gdzie wyżłopał kilka piwek. No i w związku z tym mam taką oto teorię. Streszczę ją prostym językiem: napił się, poczuł swędzenie pały i poszedł szukać jakiejś baby, żeby sobie ulżyć. Czyli że to jakiś prymityw. Bydlę. Prosty jak budowa cepa... Tyle teoria.

– Krótka, ale... – rzucił chorąży.

– ...ale treściwa, nie?

– No tak.

Naczelnik się uśmiechnął, a po krótkiej ciszy zabębnił

palcami o blat biurka i zapytał:

– Napijcie się, chłopaki? Bo mnie już trochę suszy.

Pokiwali przecząco głowami.

– Wielkie dzięki, chłopie, ale musimy zaraz wracać do siebie – rzucił przeproszającym tonem Kalupa.

– To następnym razem koniecznie!

– Wiadomo.

Naczelnik ściągnął usta i podrapał się po uchu.

– Czy mam coś jeszcze dla was? – zastanowił się głośno i spojrzał na teczkę. – A, tu jest przesłuchanie pani Bożenki. To też dla was. – Wręczył dokumenty Kalupie i dodał: – W środku znajdziecie też portret pamięciowy.

– Zabezpieczono linie papilarne? – zapytał Harry, przyglądając się żarzącemu się papierosowi.

– Tak.

– I co?

– I nic. Nie ma ich w rejestrze.

– Czyli debiutancik? – mruknął Harry. – Młody dziczek.

– Diczek? – Naczelnik zmarszczył czoło.

– Kolega tak nazywa polskich seryjniaków – wyjaśnił Kalupa. – Że knury, które myślą tylko o żarciu i... No wiesz...

– No wiem, o ruchaniu... – dopowiedział naczelnik, ziewnął i zadumał się. – Myślicie, że znowu zaatakuje?

Choraży skrzywił się.

– Oczywiście – prychnął. – On dopiero zaczął swoją... karierę.

Naczelnik spojrzał na Kalupę, który pokiwiał głową, potwierdzając słowa kolegi i odezwał się:

– Dopiero zaczął, kruca fuks. Musimy go złapać, żeby ją jak najszybciej zakończył.



Misiński wypuścił głośno powietrze, położył kartki na biurku i wstał, rozprostowując ręce.

Spojrzał na butelkę wódki i zakręcił gwint. Pomyślał chwilę, usiadł na tapczanie, zerknął na stos książek przylegający do oparcia, wziął pierwszą z wierzchu, przekartkował i zaczął czytać:

„Obudził się o ósmej rano. Czuł jeszcze pewną ociężałość, lecz nie było to już owo dławiące, straszne uczucie, którego doznawał tak często – nie był to katzenjamer”⁸.

Przeczytał jeszcze kilka następnych zdań, a gdy poczuł zimny pot na plecach, rzucił książkę na bok, zerwał się i podszedł do okna. Przed oczami miał obraz pijanego Harry’ego, który chwiejnie wychodzi z jakiejś mordowni

Kiedy to było? – zaczął dociekać. Osiemdziesiąty ósmy, dziewiąty? Zaraz po tym, jak jego żona, wkurwiona jak diabli, spakowała manatki i razem z córką sobie poszła na zawsze?

Misiński zerknął na butelkę, odkręcił, nalał trochę i wypił. Skrzywił się i wrócił do wspomnień.

Wtedy wpadł w rozpacz. Zaczął ostro chlać. W pewnym momencie na jakiejś desperackiej popijawie włożył sobie pistolet do ust. Na szczęście nie strzelił.

Nalał ponownie.

Harry to romantyk – uprzytomnił sobie. To czystej wody romantyk. Werter po przejściach.

Wypił, a potem myślami wrócił do porannego wykładu, do tego momentu, kiedy profesor przeczytał opis

8 Fragment opowiadania „Pętla” Marka Hłaski.

wbijania Tuhaj-beja na pal, a potem spojrzął na słuchaczy i powiedział: „To jest jedna z tych scen, które pamiętam do dzisiaj. Mocna, brutalna, wręcz sadystyczna. Szanowni państwo, tak właśnie pisarze walczą o miejsce w naszej pamięci. W taki sposób próbują się wedrzeć do naszego umysłu”.

Misiński przymknął oczy i zaczął się zastanawiać, jaką brutalną scenę on sam wprowadzi do swojego opowiadania.

Zamyślił się.

Potem podszedł do półki, ściągnął opasły tom „Pana Wołodyjowskiego”, usiadł na tapczanie, przekartkował, odnalazł odpowiednią stronę i przeczytał:

„Konie ruszyły: wyprężone sznury pociągnęły za nogi Azji. Ciało jego sunęło się przez mgnienie oka po ziemi i trafiło na zadzierzyste ostrze. Wówczas ostrze poczęło się w nim pograżać i jęło się dźać coś strasznego, coś przeciwnego naturze i człowieczym uczuciom! Kości nieszczęśnika rozstępowały się, ciało darło się na dwie strony; ból niewypowiedziany, tak straszny, że graniczący niemal z potworną rozkoszą, przeniknął jego jestestwo. Pal pograżał się głębiej i głębiej”.

Wbrew samemu sobie w roli Azji obsadził komisarza Harry’ego i nagle poczuł dreszcz na plecach.

IX

Harry skończył mówić i spojrzał na naczelników siedzących naprzeciwko przy dużym, okrągłym stole.

– Co z tą rezydencją, w której cię przetrzymywano? – zapytał Rambert.

– Nie wiem. Muszę ustalić, kto jest właścicielem.

Zapadła cisza. Mężczyźni spojrzeli po sobie i sięgnęli po kubki z gorącą, czarną kawą.

– Pewnie to jakiś gangus – powiedział Buryła i rozejrzał się po pokoju. Duże, trochę zaniedbane pomieszczenie. Tapczan, szafa, stół, przy którym odbywała się teraz narada, piec kaflowy, tapeta w jakieś dziwne wzorki, zegar ścienny i regał obładowany papierzyskami. – A gdzie jest telewizor? – zapytał, wciągając głośno powietrze, które pachniało żywicą.

Komisarz się zaśmiał.

– Gospodyni nie ogląda telewizji – odparł, podniósł się z krzesła, ukucnął przy wiklinowym koszu i otworzył drzwiczki pieca. Podmuchał parę razy, wznecając ogień, i wrzucił do środka kilka szczap. Po chwili rozległ się trzask. Wstał, wytarł kolana, przyłożył ręce do pieca i po paru sekundach wrócił do stołu. – I jeszcze jedna kwestia – rzucił.

– Jaka?

– Myślę, że zasadnicza – odparł Harry, po czym sięgnął po papierosy. – To Kozak cały czas się zajmuje tym zaginionym dziennikarzem, prawda?

– Grandowskim? – upewnił się Buryła.

– Uhm.

– Kozak.

Rambert spojrział czujnie na kolegów.

– I jak mu to idzie?

– Jak smród po gaciach, prawdę mówiąc.

Harry pokiwał głową.

– Kozak robi coś przy Kowboju? – dopytał.

– Co ma niby robić?

– Nie wiem. Jakaś gra operacyjna?

– Nie.

– Niczego mu nie zleciłeś przy nim?

Rambert chrząknął.

– Do czego zmierzasz?

Komisarz spojrział na nich.

– Kozak był na urodzinach Kowboja. Według Patrycji bywał u niego na Ranczo. Całkiem często. Wygląda na to, że się kumplowali. Jeśli to nie była żadna gra z naszej strony, to...

Buryła się skrzywił.

– Mów dalej, chłopie – rzucił, przygryzając język.

Harry wyjął z kieszeni pudełko zapalek. Zagrzechotał nim. Zapalił papierosa, wypuścił dym i strzepnął popiół do drewnianej popielniczki.

– Dużo myślałem o tym i uważam, że trzeba sprawdzić Kozaka. Może być w kieszeni u gangusa.

– Nie zapędzasz się? – zapytał Rambert.

– Uważam, że trzeba to sprawdzić. – Komisarz pokręcił głową. – Dziennikarze plotkują ostatnio o sprzedajnych policjantach... Moi uchole też mi coś sugerowali.

– Co?

– Że jest kilku policjantów, którzy się bardzo lubią z miastowymi. – Zamilkł. – Ale nie znam żadnych nazwisk – podjął po chwili. – Nie wiem, gdzie robią ci policjanci. Podobno jeden jest z jakiegoś komisariatu... – Wypił łyk kawy. – Ten Grandowski pisał przecież teksty o powiązaniach pomiędzy biznesem a gangsterami. Ponadto ptaszki ćwierkają, że kręcił się ostatnio wokół poznańskiej policji... No a teraz go nie ma. Zniknął.

– I?

– I uważam, że czas sprawdzić Kozaka.

Harry spojrzał na Ramberta, który najwyraźniej intensywnie nad czymś myślał.

– Dżery? – mruknął pytająco.

Rambert pokiwał głową, podrapał się za uchem i wypuścił powietrze z ust.

– Stworzymy małą grupkę, która w tajemnicy zajmie się sprawą Grandowskiego – powiedział. – A Kozak niech dalej robi to, co robi. Założymy mu obserwację. Na wszelki wypadek.

Rambert spojrzał na Buryłę.

– Zajmij się tym.

– Okej, załatwię do tego paru zaufanych ludzi spoza komendy.

Mężczyźni zamilkli i zaczęli się wsłuchiwać w trzaskanie płonących polan.

W tej ich naradzie było coś nierzeczywistego, jak w powieści przygodowej, jak w filmie kryminalnym. Takie sytuacje w realnym świecie się nie zdarzają. Atak na policjanta, porwanie, zabójstwo jego dziewczyny, szczęśliwy zbieg okoliczności, ucieczka, potem tajna narada. Inna sprawa, że policja rzeczywiście

przechodziła kryzys. Coraz częściej słyszało się o podejrzanych związkach gangsterów, policjantów i biznesmenów. Podejrzenia pod adresem Kozaka wcale nie brzmiały jak teoria spiskowa. W państwie duńskim naprawdę źle się działo.

– Co z Patrycją? – zapytał Buryła.

– Musimy znaleźć jej ciało – mruknął Harry.

Rambert postukał łyżeczką o kubek i odparł, wzdychając:

– Zajmiemy się tym po cichu. Skontaktuję się z gorzowską komendą, żeby sprawdzili ten motel.

– Ten wątek, wybaczyć za sformułowanie, trzeba będzie wykorzystać w walce z Kowbojem – odezwał się Rambert.

– Robi się coraz groźniejszy. Jeśli udałoby się go powiązać z kilkoma zabójstwami, przykniemy go na dobre.

Zapadła cisza. Harry znowu sięgnął po papierosa.

– Kowboj jest cwany – odezwał się Buryła. – Po twojej ucieczce pewnie kazał Bejzbolowi i Nikiemu zapaść się pod ziemię. W razie czego będzie zaprzeczał, że miał jakikolwiek związek z zabójstwem dziewczyny. Krótko mówiąc, trzeba będzie do nich dotrzeć. I przycisnąć. A raczej zmiążdżyć, żeby sypnęli gangusa.

Podinspektor spojrział na zegar ścienny, który właśnie wybił kolejne trzydzieści minut.

– Damy ci ochronę na jakiś czas – oznajmił Rambert. – Przed twoim blokiem będą się kręcili mundurowi.

Komisarz zaciągnął się głęboko, wypuścił powietrze i rzucił:

– Dobra. Ale spędzę tutaj parę nocy. Muszę ochłonać.

Naczelnicy pokiwali głowami.

Cisza.

Buryła ziewnął, zerknął na zegarek.

– Czyja to chata? – zagadnął po chwili, lustrując zmęczonym spojrzeniem coraz bardziej nagrzane pomieszczenie – Tylko mi nie mów, że to własność jakiejś twojej przyjaciółki.

– To własność mojej przyjaciółki – odpowiedział Harry, uśmiechając się krzywo.

Buryła przewrócił oczami, po czym klepnął się po udach i wstał. Podszedł do okna, odsłonił firankę, przyłożył rękę do szyby i przymrużył oczy.

– Tu nic nie widać. Ciemno jak... – Urwał i spojrzał w stronę kolegów. – Jak wiecie gdzie – dokończył.

Rambert dopił kawę i również podniósł się z krzesła.

Harry spojrzał na kompanów.

– Panowie, nie chciałbym mieszać w to Nataszy – powiedział. – Musimy sobie poradzić bez jej zeznań... Mam nadzieję, że nic się jej nie stało po tej akcji.

– Jasne – powiedział Rambert i dodał: – Jutro robimy naradę w sprawie Grandowskiego. O ósmej. I zaczniemy ostro działać.

Uścisnęli sobie dłonie i wyszli na korytarz.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział Buryła, otwierając drzwi wyjściowe. – Mieciu Kalupa nie żyje. Po upadku w Stramnicy wylądował w szpitalu i parę dni później umarł. Na zawał, cholera jasna.

Harry zerknął na Buryłę jakby lekko spłoszony.

– Bardzo mi przykro, stary – dodał oficer i poklepał swojego podwładnego po ramieniu. – Obrzydliwy jest ten świat, panowie. Obrzydliwy, kurde.

Komisarz wymamrotał parę słów, poczekał, aż koledzy

w milczeniu opuszczają dom, zaryglował drzwi i zapalił. Trzymając papierosa w ustach, pogasił światła, odsłonił okna i usiadł na tapczanie. Wypuścił dym, oparł się wygodnie i zastygł w bezruchu.

Do pokoju wpadło światło księżyca.

Na podwórzu rozległ się warkot silnika, a gdy naczelnicy odjechali, okolicę przeszyło przeraźliwe wycie wilczura. Przeciągłe, bolesne.

Komisarz zamknął oczy, westchnął i nagle ujrzał twarz Miecia Kalupy.

Gdy wypalił papierosa, położył nogi na krześle i zaczął przypominać sobie chwile spędzone z Mieciem na policyjnym froncie. A było co wspominać. Pracowali razem przy kilku ciężkich, głośnych sprawach.

Po półgodzinie zasnął. Zaczęły go dręczyć jakieś dziwne, zamglone, brudne obrazy.

Gdzieś pędził samochodem, gdzieś się spieszył, ktoś na niego czekał. Krzyki, zakręty, trzaski. W pewnym momencie znalazł się na korytarzu komendy. Poczuł przeraźliwie zimno. Zaczął się trząść. Stał przed drzwiami. Otworzył je i energicznie wszedł do środka.

Przekroczył próg i otworzył oczy szerzej ze zdziwienia.

Na środku gabinetu na krześle siedział młody mężczyzna. Był skuty, kompletnie nagi i straszliwie się trząsł. Zdążył zsinieć od przeraźliwego zimna, które wdzierало się do pomieszczenia przez otwarte na oścież okna.

Za biurkiem siedział Mieciu. Ubrany w czapkę uszatkę, gruby szal oraz kozuch palił papierosa i wpatrywał się groźnym wzrokiem w chłopaka.

– Co tu się dzieje? – zapytał Harry, zapinając płaszcz

pod szyję.

– Przesłuchuję.

– Na golasa?

– No ja nie jestem na golasa.

– Ale on jest.

– No jest, bo nie chce gadać, kruca fuks. A mnie się znudziło, więc postanowiłem użyć nieco dosadniejszych środków.

Zaintrygowany Harry spojrzał na przesłuchiwanego.

– Co zrobił?

– Zgwałcił i zabił córeczkę sąsiadów – odpowiedział Mieciu, ze złością gasząc papierosa. – I teraz nie chce skurwiel powiedzieć, gdzie ukrył ciało.

– Jak mu na imię?

– Sebuś – mruknął milicjant, po czym wstał energicznie z krzesła, wyjął z szuflady pistolet, podszedł do chłopaka, odbezpieczył broń i przyłożył lufę do jego skroni.

– Od czego chcesz zginąć, gnojjarzu? – zapytał. – Od mrozu czy od kulki?

Sebuś pokręcił apatycznie głową.

– Odpowiadaj, gównojadzie! – wrzasnął Kalupa. – Głośno i wyraźnie!

Harry stanął obok nich, poklepał przestępcę po zimnym policzku i szepnął:

– Sebuś, lepiej powiedz mu, gdzie ukry...

Nie zdążył dokończyć zdania, bo Mieciu nacisnął spust.

Harry nagle otworzył oczy. Czuł, że gdzieś w środku niego ugrzązał desperacki krzyk.

Nie, nie, nie!

Miał wrażenie, że po twarzy spływa mu krew

zastrzelonego gwałciciela i zabójcy.

Po parunastu sekundach zorientował się, gdzie jest i z wielką ulgą stwierdził, że to pot, a nie krew Sebusia. Potarł czoło i, gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, wstał, po czym niezgrabnym krokiem ruszył do łazienki.

Idąc wychłodzonym korytarzem, poczuł ochotę na alkohol. Postanowił jednak to zignorować. Westchnął, wyjął z kieszeni gumę do żucia i włożył ją do ust.

Wszedł do łazienki, odkręcił zimną wodę, rozebrał się, spojrzał w lustro i znieruchomiał.

Heniu, dlaczego nie poczekałeś? – pomyślał. Dlaczego nie wypiliśmy ostatniej pożegnalnej wódki?

Przełknął ślinę, oderwał wzrok od własnego odbicia, nabrał powietrza i wszedł do wanny, zanurzając się w wodzie.

W trakcie kąpieli próbował przypomnieć sobie, jak naprawdę skończyła się scena przesłuchania, którą sen tak sugestywnie zniekształcił.

X

Gdy w końcu zabrakło mu powietrza, wynurzył się, przetarł oczy, potrząsnął głową i wyszedł z wanny.

Wytarł się, przepasał ręcznikiem, spojrział w lustro, a potem przez chwilę przyglądał się z zainteresowaniem kosmetykom. Wziął do ręki biało-czerwoną buteleczkę i przystawił do nosa. Powąchał, pokiwał z uznaniem głową. Tak właśnie pachniała Agnieszka, jego przyjaciółka z czasów studiów, z którą raz na jakiś czas spędzał upojny weekend.

Poczuł przyjemne mrowienie na ciele i uprzytomnił sobie, że pilnie potrzebuje bliskości kobiety.

Zaczął myć zęby i jednocześnie rozglądał się po łazience w poszukiwaniu innych damskich akcentów. Na krześle pod okienkiem leżały trzy opakowania rajstop, a na sznurku na pranie wisiały czerwone figi oraz kolorowe getry.

Wyplukał usta, przemył twarz i ruszył do pokoju, zostawiając po sobie mokre ślady stóp. Stał przy piecu i przytulił się do niego. Tak właśnie robił w dzieciństwie: po kąpeli podbiegał do pieca i swoje drżące ciało ogrzewał cudownym ciepłem bijącym od rozgrzanych kafli.

Poprawił ręcznik, otworzył metalowe drzwiczki i wrzucił do środka kilka polan. Gdy zajęły się ogniem, Harry podszedł do okna. Odchylił firankę. Na granatowym niebie świecił księżyc, zbliżała się pełnia. Policjant

znieruchomiał, wsłuchując się w trzaski ognia. Po paru minutach rozległo się znajome wycie psa, wtedy drgnął i uśmiechnął się.

Zapalił. Zaciągał się i wypuszczał dym, powoli, spokojnie, starannie odwlekając koniec tej niezwykle przyjemnej czynności.

Próbował się wyciszyć, stłumić w zarodku wszelkie myśli. Skupił się więc całkowicie na oddechu i wodził nieobecny wzrokiem po rozgwieżdżonym niebie. Przypomniał mu się Erich von Däniken i jego książki o kosmitach, którzy mieli wyrzeć ogromny wpływ na historię ludzkości. Nigdy ich nie czytał, ale Bury pod koniec lat osiemdziesiątych lubił z nich szydzić w kiblu.

Poczuwszy chłód, otworzył szafę i wyciągnął dres, który przywiózł tu parę lat temu. Założył go i położył się do łóżka.

Wilczur cały czas pojękiwał w oddali.

Co cię gryzie, przyjacielu? – pomyślał i zamknął oczy. A wtedy niemal automatycznie wyświetliły mu się ostatnie wydarzenia.

• • •

Kiedy Natasza pojawiła się w piwnicy i rozkuła go, chwycił ją mocno za rękę i razem wybiegli pospiesznie na zewnątrz.

Oddychając nerwowo, omiótł wzrokiem zanurzoną w ciemnościach posiadłość.

– Gdzie my jesteśmy? – szepnął, zerkając na dziewczynę, która z niepokojem wpatrywała się w słabo oświetlony jednopiętrowy dom.

– W Baranowie.

Harry pokiwał głową. Całkiem nieźle znał tę podpoznańską miejscowość nad Jeziorem Kierskim. Mieszkali tu ludzie z dużą gotówką, lekarze, prawnicy...

I gangsterzy.

– Mieszkasz tu? – zapytał, zastanawiając się, kim naprawdę jest dziewczyna.

– Tak.

Chciał zadać jej jeszcze kilka pytań, ale zrezygnował – nie było na to czasu.

Muszę spierdalać!

– Jest tu gdzieś mój samochód? – zapytał. – Granatowy escort?

Kiwnęła głową.

– Tak, stoi w starej szopie za domem.

– Ratujesz mi życie – mruknął i przyjrzał się jej bladej twarzy.

Kim ona jest? Córką, kochanką, żoną? Ale czyją? Mam nadzieję, że nie zapłacisz za to – pomyślał i automatycznie przypomniał sobie Patrycję leżącą w kałuży krwi.

Zadrżał.

– Bardzo ci dziękuję – dodał, zniżając głos.

Czuł, że serce zaczyna mu szybciej bić.

Zapadła cisza. Natasza trzęsła się coraz mocniej.

– Czas na mnie – mruknął Harry, uzmysławiając sobie nieoczekiwanie, że kobiety wyglądają najpiękniej w niepięknym otoczeniu.

Mam nadzieję, że zostawili w środku kluczyki.

– Chcesz się ze mną zabrać? – zapytał, zerknąwszy na nią niepewnie.

Pokręciła głową.

– Nie.

Stanęli naprzeciwko siebie.

– Jesteś pewna?

– Tak, ja tu mieszkam. – Wzruszyła ramionami. – To jest mój dom.

Cisza.

– Otworzę ci bramę – odezwała się po chwili.

Harry westchnął.

– Nic mi nie będzie. Ojciec się nie domyśli, że to ja cię wypuściłam. Leżę teraz w swoim pokoju i grzecznie śpię.

Ojciec – zanotował w myślach Harry.

– Uciekaj już. Otworzę ci bramę – powtórzyła.

– Dziękuję – powiedział, dotknął jej dłoni i ruszył w stronę szopy, modląc się w duchu, żeby samochód naprawdę tam był. Z kluczykami.

Gdy dotarł na miejsce, ostrożnie wszedł do środka. Na szczęście obyło się bez żadnego skrzypnięcia. Z ulgą dostrzegł swój samochód. Otworzył drzwi i usiadł za kierownicą.

Dotknął nerwowo stacyjki.

Kurwa!

Kluczyków nie było.

I co teraz?

Świecąc sobie zapalniczką, przeszukał wzrokiem wnętrze escorta.

– Kurwa! – sapnął ze złością i uderzył głową o zagłówek. Zgasił zapalniczkę.

No nic, ucieknę na piechotę.

Wypuścił powietrze, otworzył schowek i pogrzebał w nim ręką.

Naraz usłyszał jakieś cichy brzdęk. Zmarszczył brwi. Włożył dłoń głębiej i poczuł pod palcami chłodny metal.

Zamknął na chwilę oczy, westchnął głośno, włożył kluczyk do stacyjki i spojrzął przed siebie. Odczekał chwilę, westchnął i przekreślił. Silnik zawarczał, sprawiając, że serce komisarza załomotało.

Wrzucił bieg, puścił sprzęgło i ruszył przed siebie.

• • •

Harry otworzył oczy, przerywając wspomnienie dramatycznej nocy

Nie zasną dzisiaj – pomyślał i wstał z łóżka. Sprawdził zegarek: druga.

Zaczął kręcić się po mieszkaniu, próbując zdusić ssanie w żołądku. Nie miał najmniejszego zamiaru dzisiaj pić, chciał oczyścić umysł i przygotować ciało do działania. Ostatnie wydarzenia, wśród których najważniejsza była śmierć Patrycji, uprzytomniły mu...

Prawdę mówiąc, nie potrafił tego sprecyzować, ale czuł, że coś się w nim zmieniało, że...

...że coś zaczęło przestawiać się w jego głowie...

Na myśl o martwej przyjaciółce odczuwał drżenie, wewnętrzny dygot.

Westchnął i poszedł do kuchni. Nastawił czajnik, wrzucił do kubka jakieś ziółka, znowu zapalił. Zerknął na kalendarzyk przymocowany do ściany. Zerwał kilka kartek – data była nieaktualna.

Który dzisiaj? – pomyślał chwilę i zerwał jeszcze jedną kartkę.

Dwudziesty siódmy października. Motto: „Nie ma faktów, są tylko interpretacje” Friedricha Nietzschego.

– Gówno prawda – mruknął, ale po chwili namysłu doszedł do wniosku, że to jednak święta prawda.

Woda w czajniku zaczęła wydawać charakterystyczne odgłosy, jakby piszczeć. W głowie znowu zamajaczyła mu postać leżącej w kałuży krwi Patrycji.

Raz jeszcze odtworzył moment, kiedy dziewczyna, pchnięta przez Bejzbola, uderza głową o kant stołu i upada na podłogę. Westchnął i schował twarz w dłoniach.

Nagle czajnik zagwizdał, brutalnie rozpraszając jego ponure myśli.

XI

Gdy wycie przejeżdżającej karetki ucichło, podinspektor Rambert dokończył wypowiedź, zamilkł, a potem spojrzał na grupkę współpracowników, którzy pół godziny wcześniej zebrali się w jego gabinecie na tajną naradę.

Dał im chwilę, żeby oswoili się z informacjami na temat komisarza, podejrzeniami wobec Kozaka i planem nieoficjalnego powrotu do śledztwa w sprawie zaginionego dziennikarza, Wiktora Grandowskiego.

Ściągnął okulary, przetaił je i ponownie powiódł wzrokiem po zebranych.

Miszczu drapał się po wąsie i uderzał dłonią w brzuch, chyba coraz wydatniejszy. Kowalski notował coś w zeszytcie. Obok niego, na krześle, leżała gruba księga, a na niej zatłuszczona papierowa torebka. Ostrowski, ubrany w bluzę z Kurtem Cobainem, zerkał to na komisarza, to na Katię.

Katia zawiązywała sznurówki swoich glanów. Buryła kiwał głową, trąc palcem o skroń jak jakiś filozof – może ćwiczył do telewizyjnego wystąpienia?

Szef dochodzeniówki uśmiechnął się nieznacznie, po czym zerknął na Harry'ego, który siedział nieruchomo w ciemnozielonym fotelu i wpatrywał się w czubki swoich butów.

– Macie pytania? – zagadnął.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

Miszczu chrząknął i wyprostował się.

- No ja mam.
- Jakie?
- To nawet, proszę ja ciebie, nie jest pytanie.
- Mów.

- Pracuję z Kozakiem w jednym wydziale, w jednej sekcji. To mój kolega, piliśmy razem wódkę, w burdelu kiedyś nawet razem byliśmy, a teraz... A teraz... mam go traktować jak... No właśnie, jak kogo? To mi się nie podoba, kurrrde.

Buryła wbił w niego wzrok.

- Nie bądź, chłopie, taki nadwrażliwy – rzucił ironicznie.
- Po prostu nie wierzę, że Kozak jest umoczony – odpyskował podkomisarz, a potem spojrzał na Harry’ego i dodał: – Wybacz, stary, ale...

Harry wzruszył ramionami.

- I bardzo dobrze, że jesteś niewierzący – przerwał mu Buryła. – Pozwól, że ci wytłumaczę, o co chodzi. Chodzi o to, żeby sprawdzić ten trop. I tyle. Jeśli okaże się fałszywy, odpuszczamy, jeśli prawdziwy, wtedy... – Podinspektor sapnął i spojrzał na zebranych. – Traktujecie Kozaka jak do tej pory. Jak kolegę z roboty. Owszem, niespecjalnie sympatycznego.

Śmiech.

- Ale – Buryła podniósł palec i zrobił marsową minę – od dzisiaj jesteście wobec niego czujni i dyskretni. To, co tutaj przed chwilą padło, zostaje między nami. To ściśle tajne. Podkreślam: ściśle tajne. Nikt nic nie wie. Wszelkie przecieki mogą wywołać katastrofę. Pamiętajcie o tym. – Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane głośno i dobitnie, z kaznodziejskim polotem, w którym ostrzeżenie miesza się z błaganiem.

– Ale przecież Kozak nie jest głupi – odezwał się ponownie Mischu. – Prędzej czy później zorientuje się, że grzebiemy w tej sprawie za jego plecami!

– Dam mu coś nowego – oznajmił Bury.

Rambert pokiwał głową, napił się kawy i rozprostował plecy. Po krótkim zastanowieniu się powiedział:

– Być może jest tak, że wracając do zaginięcia Grandowskiego, podejmujemy walkę o dobre imię policji. Jak pewnie słyszeliście, różne rzeczy o nas dzisiaj mówią. Trzeba to uciąć. Rozwiążmy tę sprawę i pokażmy, że jesteśmy świetni w naszym fachu. – Zamilkł, uśmiechnął się i dodał: – I wbrew źle rozumianej solidarności zawodowej nie tolerujemy w naszych szeregach ludzi, którzy romansują z drugą stroną... – Urwał i podrapał się pod brodą. Nie lubił tego typu pogadank. Był zupełnie innym typem szefa niż Bury. Obca mu była teatralność, mocne słowa, zagrywki obliczone na wywoływanie emocji. Poza tym bał się sprawy Kozaka. Jeśli okaże się, że on rzeczywiście zaprzyjaźnił się z gangsterami i dziennikarze wywleką ten fakt, na światło dzienne, to...

– Otóż to – zawtórował naczelnik kryminalnego. – Dziennikarze ostrzą sobie ząbki na nas. A czasy są takie, że łatwo się potknąć... Trzeba uważać i robić swoje. Jeszcze przypomnicie sobie moje słowa – dodał, najwyraźniej dostrzegając zdziwione spojrzenia uczestników spotkania.

Zapadła cisza. Ostrowski spojrział na Katię, przeżegnał się i powiedział bezgłośnie: „Amen”. Wyszczrzyli do siebie zęby.

Rambert zerknął do swoich notatek.

– Pointując – odezwał się ponownie. – Skupiamy się zatem na sprawie Wiktora Grandowskiego – zaszeleścił kartkami – który na początku września wyszedł rano z domu i zaginął. Po szczegóły odsyłam do akt... – Zanotował coś, po czym oznajmił: – W skład grupy operacyjnej wchodzi Harry, Miszczu, Katia, Ostrowski i Kowalski. Podkreślam: tajnej grupy operacyjnej. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, będziecie też pracować nad bieżącymi sprawami.

Wymienieni kiwnęli głowami.

– Drużyna A – rzucił pod nosem Ostrowski, wielki fan amerykańskich produkcji z lat osiemdziesiątych.

Ktoś zachichotał.

Buryła upił łyk kawy, postukał łyżeczką o biały talerzyk i oznajmił:

– Kryptonim sprawy: „Serpico”.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

– Jaki znów Serpico? – burknął Miszczu.

Buryła spiorunował go wzrokiem.

– Czy ty cierpisz dzisiaj na ból dupy, człowieku? – warknął.

– Może i tak.

Szef kryminalnego pokręcił głową.

– „Serpico” to piękny film o nieprzekupnym policjancie – wyjaśnił, potrząsając palcem. – Al Pacino w roli głównej, obejrzyj sobie.

– Wolę Roberta de Niro – odgryzł się Miszczu i wymownie spojrzął na zegarek.

Rambert chrząknął.

– Musimy rozpracować biografię Grandowskiego – stwierdził. – Zarówno prywatną, jak i zawodową. Musimy

rozebrać ją na części pierwsze i znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Wierzę, że nam się uda.

Cisza.

– Zakładamy, że chłopak żyje? – zapytała Katia, zwracając na siebie uwagę wszystkich.

Rambert spojrział na nią zakłopotany.

Westchnął, a potem dotknął oprawek okularów.

– Zakładamy, że go odnajdziemy – odpowiedział po krótkim wahaniu i wbił wzrok w notatki.

– Żywego albo martwego – mruknął Ostrowski.

CZĘŚĆ

DRUGA

Październik/grudzień 1992

XII

Z wielkim trudem otworzył przekrwione oczy. Przełknął ślinę i rozejrzył się wokół nieprzytomnym wzrokiem.

Gdzie ja jestem? – jęknął w myślach, próbując zorientować się, w którym mieszkaniu obudził się tym razem. No gdzie?

Leżał w jakiejś małej, śmierdzącej klitce, w której wszędzie wały się butelki, po wódce, jabłach, piwie i oranżadzie.

Nie miał siły się podnieść. Czuł suchość w gardle, ćmiący ból w głowie, ucisk w żołądku.

I lęk, który nadgryzał go kawałek po kawałku.

Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Zadrżał i gwałtownie zerwał się z materaca. Jakimś cudem odnalazł drogę do toalety, otworzył klapę klozetu i zaczął wymiotować.

Gdy skończył, poszedł do kuchni, włożył głowę pod kran i puścił zimną wodę. Poczucił się trochę lepiej.

Napił się i usiadł na krześle. Na ścianie wisiał kalendarz. Był dwudziesty siódmy października. Zerknął na zegar. Jedenasta.

Rzucił okiem na drzwi, na których wisiał niemiecki kalendarz z nagą kobietą w przezroczyście szlafrocisku. Wtedy uprzytomnił sobie, że jest w mieszkaniu swojego

kuzyna, który musiał go do siebie przytargać.

Ale kiedy, skąd, w jakich okolicznościach? Nie pamiętał.

Czuł tylko, że coś się wydarzyło, coś niepokojącego, strasznego, tragicznego.

Ale może to wyrzuty sumienia, że znowu dał dupy na całej linii? Pewnie tak – pewnie to typowe pijackie użalanie się nad sobą.

Westchnął i schował twarz w dłoniach. Nie miał siły płakać. Choć bardzo chciał. Znowu zapił, znowu wpadł w cug. Znowu uciekł w gniewie z domu, porzucając żonę i córkę.

Ile to dni? Tydzień? Tydzień wyjęty z życiorysu.

Pewnie jestem już bezrobotny – pomyślał, wyobrażając sobie wściekłość szefa, który ostatnio zagroził mu: „Jeszcze jeden raz i wypierdalasz z roboty, kretynie!”.

Oparł się o ścianę, zacisnął pięści i uderzył się w uda.

Zamknął oczy, napiął się wewnątrz i spróbował przypomnieć sobie początek, który gubił się w niewyraźnych, zamglonych obrazach.

Czknął i poczuł odór wódki. Skrzywił się.

Więc jak to się zaczęło?

Po fajrancie poszedł z kolegami do knajpy. Wypili parę piw. Potem pojawił się znajomy czy brat któregoś z chłopaków. Miał mnóstwo forsy, którą przywiózł z Niemiec. Postawił flachę. Najpierw jedną, potem drugą.

Tak to się zaczęło.

Pili wódkę i zapijali ją piwem. Jak zawsze. Później poszedł do domu, bo przecież nazajutrz trzeba było iść do tej pieprzonej pracy.

No dobrze, więc poszedłem do domu...

Derwiniak poczuł pot na plecach. Z oczu popłynęły mu łzy.

– Boże, co ja zrobiłem? – załkał.

Poszedłem do domu, krzyknąłem, uderzyłem Hanulkę w twarz i wybiegłem z powrotem na zewnątrz. Wróciłem do knajpy...

Zalała go fala gorąca. Odczekał chwilę, a potem wstał, nalał wodę do czajnika i zapalił gaz. Poszedł do łazienki, załatwił się, umył ręce i zaczął nerwowo krążyć po mieszkaniu.

Ale to chyba nie wszystko. Musiało wydarzyć się coś jeszcze.

Poszedł do pokoju, zerknął przez okno na osiedle, wrócił do przedpokoju, spojrział w lustro, poczłapał do kuchni i zamarł.

Coś jeszcze? Ale co...?

Pamięć podsunęła mu scenę, w której bardzo chwiejnym krokiem wszedł do mieszkania i ku swojej wściekłości zorientował się, że nie ma w nim Hani i Basi.

Co ja zrobiłem?

Przerażony ujrzał, jak wyciąga z szuflady nóż, chowa go do rękawa kurtki i biegnie do Haliny, siostry Hani, do której często uciekała przed nim.

– O, Boże – szepnął, złapał się za usta i upadł na kolana. – Boże!

Nagły i przeraźliwy gwizd czajnika przeszył go dreszczem i jednocześnie uruchomił pamięć!

Oto staje w progu, podchodzi do żony, wyciąga nóż, wbija go w jej brzuch, a potem chwyta jej głowę i uderza nią o swoje kolano. Ona krzyczy, wyrywa się i ucieka do łazienki.

Gwizdek zaczął wściekle furkotać i w końcu wyskoczył z dziubka. Upadł z brzękiem na kuchenkę. Z czajnika buchnęła para.

Derwiniak wstał i wyłączył gaz.

Znieruchomiał na kilka sekund, potem osunął się na podłogę i zaczął płakać. A gdy ujrzał przerażoną buzię swojej ukochanej córeczki, Basienki, zwinął się w kłębek i poddał się rozpaczy.

Szlochał, targał się za włosy, chlipał, smarkał, walił pięściami w podłogę.

Po kilkunastu minutach podniósł się, wyszedł do przedpokoju, podniósł słuchawkę, wykręcił numer policji, wyjaśnił, kim jest, co zrobił i podał adres.

– Pospieszcie się – wychrypiał i odłożył słuchawkę.

Wrócił do kuchni, wyjął nóż, poszedł do łazienki, wszedł do wanny, zadrżał i przyłożył nóż do lewego nadgarstka.

– Muszę zdechnąć – załkał. – Jestem głównym. – Zagryzł język i przycisnął nóż do skóry. – Muszę zdechnąć!

Szlochając, czekał na efekt niewprawnego cięcia. Przycisnął raz jeszcze i przejechał po nadgarstku, na którym pojawiły się strużki krwi. Skrzywił się.

Serce biło mu jak oszalałe.

Nagle ogarnął go zwierzęcy strach.

Co ty robisz?! – usłyszał gdzieś z tyłu głowy. Odrzucił gwałtownie nóż, schował twarz w dłoniach i rozplakał się na dobre.

XIII

Niepozornie wyglądający mężczyzna wszedł do baru i rozejrzał się po jego klimatycznie przyciemnionym wnętrzu.

Był to mały, cichy lokal, jakby z poprzedniej dekady.

Kontuar, za którym siedział barman rozwiązujący krzyżówkę. Jakieś dziesięć stolików obciążonych białymi obrusikami, niewielki parkiet, trzy okna na szarą ulicę. Na ścianie, tuż za bilardem, wisiał plakat cycatej Sabriny pluskającej się radośnie w basenie. Ktoś długopisem dorysował jej duże sutki.

Z głośników sączyła się piosenka, której refren przekonywał, że „girls just want to have fun”.

Klientów było niewielu. Dwóch biznesmenów w burgundowych garniturach. Pijak, który zamglonym wzrokiem wpatrywał się w rząd opróżnionych kieliszków. Kobieta w dojrzałym wieku o nazbyt wyrazistym makijażu i długich, z całą pewnością sztucznych włosach.

Mężczyzna zmrużył oczy i wbił wzrok w przyciemniony róg sali. Dostrzegł tam przystojnego bruneta czytającego gazetę i popijającego kawę.

Zsunął z dłoni skórzane rękawiczki i podszedł do kontuaru. Zamówił kawę i ruszył w stronę bruneta, który teraz wpatrywał się w niego uważnie.

Przywitali się jak starzy znajomi.

– Lubię to miejsce – powiedział mężczyzna, gdy usiadł

przy stoliku.

– Dlaczego?

– To tu wymyśliliśmy psikusa Barańczakowi.

– Temu poecie?

– I opozycjoniście.

– Jakiego psikusa?

– Wysłaliśmy mu paczkę z zakrwawioną świńską girą i liścik, że jego żona puszcza się z takim jednym profesorem, niejakim Ziomeckim.

Mężczyzna zarechotał.

– W ramach rytualnego nękania – wyjaśnił. – Dobrze, co?

Brunet skrzywił się i zabębnił palcami o blat stolika.

– Co dla mnie masz?

– Tylko to, co zamawiałeś, Harweju.

– Świetnie. Mów.

– Jerzy Winkler, znany adwokat, mieszka w Baranowie. Facet pracuje przede wszystkim dla miastowych, głównie dla Kowboja. Mętna postać. Bardzo mocno... – Mężczyzna przerwał.

Podszedł do nich barman.

– Coś jeszcze podać? – zapytał usłużnie.

– Dziękuję.

Barman uśmiechnął się i odszedł.

– Słabość do hazardu i drogich dziewczyn. Zadłużony po uszy, więc Kowboj łatwo zmusił go do współpracy. Szantażyk na przykład. Ale nie znam szczegółów.

Cisza.

Mężczyzna spojrzał na kobietę, która wstała od stolika. Miała na sobie bardzo krótką miniówkę, spod której wystawały koronki czarnych pończoch.

Skrzywił się, opróżnił pół filiżanki i spojrzał na Harry'ego.

– Pewnie zmusił go, żeby udostępnił im lokal do przetrzymania ciebie i w ten sposób pozyskał na niego haka... Współdział w porwaniu, przetrzymywanie policjanta? Piękna sprawa. – Mężczyzna wyciągnął chusteczkę z kieszeni. Wydmuchał nos i rozejrzał się po sali, do której weszło dwóch młodziutkich skinheadów. – Ma córkę, Nataszę, studiuje prawo – dodał i zamilkł na dłuższą chwilę.

Łysi młodzieńcy zamówili piwo i podeszli do stołu bilardowego. Chwycili kije i zaczęli o czymś dyskutować.

– Kowboj trochę się przestraszył – odezwał się po chwili mężczyzna. – Zaciera ślady. Chowa ludzi. Kto wie, czy sam nie ucieknie, jeśli wykonacie jakiś nieostrożny ruch. Ma kilka dobrych miejscówek w Europie.

Harry pokiwał głową.

– Podobno jest strasznie na ciebie cięty – podjął mężczyzna. – Mówią, że chce się zemścić.

Spojrzeli na siebie.

– Coś ty mu zrobił? Pierdolisz jego kobietę?

Cisza.

– Uważaj na siebie.

Harry dopił kawę i wyprostował się.

– Ma u nas wtyczkę?

Mężczyzna się zaśmiał.

– Skąd ta liczba pojedyncza?

Cisza.

– Podasz jakieś nazwiska?

– Nie znam żadnych konkretów.

– Nie znasz – burknął Harry, wypuścił powietrze, wstał

i podał mężczyźnie dłoń. – Serwus, Marcel – powiedział.
– Serwus.

Mężczyzna odprowadził wzrokiem komisarza, który zniknął za drzwiami, a potem zerknął na skinheadów, którzy okrążali stół bilardowy jak myśliwi czający się na zwierzynę. Sięgnął po filiżankę.

XIV

erzy Winkler, pięćdziesięcioletni całkiem przystojny mężczyzna ubrany w niebieski garnitur, przetaił okulary i ponownie je nałóżył.

Miał bladą twarz, podkrążone oczy, nerwowe spojrzenie.

Rozparł się w skórzanym, eleganckim fotelu, złożył ręce w piramidkę i wbił wzrok w podinspektorów Ramberta i Buryłę, którzy siedzieli naprzeciwko jego biurka na mniej spektakularnych fotelach.

Ten drugi położył zdjęcie Harry'ego na czarnym lśniącym blacie i przysunął je w stronę prawnika.

– Poznaje go pan? – zapytał.

Winkler niechętnie spojrzał na fotografię.

– Chyba tak. – Zmrużył oczy i podrapał się po skroni. – To chyba jakiś oficer z wojewódzkiej. Mam wrażenie, że czasami go widuję w sądzie czy prokuraturze.

– Tak, to komisarz Harwej od nas.

Prawnik sięgnął po filiżankę, wypił parę łyków kawy i spojrzał na naczelników. Przełknął powoli kawę, której intensywny aromat drażnił nozdrza policjantów.

– Rozumiem – odezwał się. – Ale dlaczego pokazujecie mi jego zdjęcie?

Rambert się uśmiechnął.

– Ponieważ uzyskaliśmy informację, że był u pana przetrzymywany.

Winkler zdrętwiał i spojrzał zdumiony na policjantów.

– Że co? – prychnął i wyprostował się.

– Mamy informację, że w pańskiej posiadłości, w jednym z pomieszczeń hali garażowej, był przetrzymywany nasz oficer, który został wcześniej napadnięty i porwany przez dwóch gangsterów.

Cisza. Winkler zrobił się jeszcze bardziej blady. Poluzował krawat.

– Nic o tym nie wiem – powiedział.

– Doprawdy?

– Doprawdy. Kiedy niby to miało być?

– Z dziewiętnastego na dwudziestego października.

– Jakie jest źródło tej kuriozalnej informacji?

– Harwej.

– Jacyś świadkowie? – Winkler spojrzał na nich czujnie.

Kiedy usłyszał krótkie „nie”, wzruszył ramionami i skrzywił się ironicznie.

– Zwyczajne pomówienie – mruknął i wypuścił powietrze. – Macie jakieś dowody? – zapytał, powoli nabierając pewności siebie. – Że on tam był i, co najważniejsze, że ja o tym wiedziałem?

Teraz to Buryła się uśmiechnął.

– Niki i Bejzbol – zagadnął. – Zna ich pan?

Cisza.

– Jak brzmi odpowiedź?

– Znam.

– Żołnierz Marka Wojnarowskiego, pseudonim „Kowboj” – rzucił Rambert.

Winkler wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo – mruknął.

Buryła przejechał kciukiem po ustach.

– Bywali u pana? – zapytał.

– Tak.

- W jakim celu?
- Zawsze zawodowym. Jestem prawnikiem.
- Tylko zawodowym?

Winkler dopił kawę, przetykając głośno. Potarł dłonią ogolony policzek i westchnął.

- Czasami wypiliśmy, żeby się rozluźnić. Jak nasiadówka się przedłużała, wtedy nocowali u mnie. Jestem gościnnie. - Uśmiech. Policjanci odnieśli wrażenie, że trochę nerwowi.

Zadzwonił telefon, mężczyzna błyskawicznie podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Kiwnął parę razy głową, wyszeptał kilka słów, przerwał połączenie i spojrzał niechętnie na oficerów.

- Mam mnóstwo roboty - oznajmił i machnął rękami nad biurkiem. - Coś jeszcze, panowie? - zapytał.

- Czy dziewiętnastego października Niki i Bejzbol odwiedzili pana w Baranowie? - odezwał się Rambert.

Krótką pauza.

- Tak.

- W jakim celu?

- Nie pamiętam. Jakieś zawodowe sprawy.

- Nocowali u pana?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo wypiliśmy.

- Czy wchodzili do hali garażowej?

- Nie. Nie wiem. Możliwe. Lubią pospacerować po mojej posiadłości. Nie potrafią usiedzieć na miejscu. To proste chłopak, mają zwyczaj zaglądać w różne kąty. Ale nie towarzyszę im wtedy, nie śledzę.

Cisza.

- Coś jeszcze?
- Czy Kowboj był wtedy u pana?
- Pan Wojnarowski nie bywa u mnie. Coś jeszcze?

Cisza.

Rambert poruszył się w fotelu.

- Chcemy przysłać techników, żeby sprawdzili pańską posiadłość - powiedział.

- Macie nakaz prokuratorski?

- Tak.

- Proszę pokazać.

Rambert podał mu dokument. Winkler wbił w niego wzrok, przeczytał uważnie, położył na biurku i spojrzał na policjantów, robiąc kwaśną minę.

- No dobrze - powiedział i poprawił swój jedwabny krawat. - Sprawdźcie sobie, jeśli macie za dużo czasu.

XV

– Które piętro? – zapytał Kowalski, próbując złapać oddech.

– Czwarte – mruknął Ostrowski i spojrzał na kolegę. – Jeszcze dwa przed tobą, Miszczu. – Zachichotał i uderzył dłonią w poręcz. – Musisz zreć więcej pączków, będziesz miał lepszą kondycję.

Kowalski przewrócił oczami.

– Zawsze ceniłem te bystre powiedzonka – burknął, a gdy weszli na ostatnie piętro i przystanęli przed drzwiami, dodał: – Pozwól, że nie będę wypominał ci twoich słabości.

Ostrowski włożył klucz do zamka mieszkania, które wynajmował Wiktor Grandowski, i przekręcił dwa razy.

– Ależ pozwolę ci, żebyś mi je wypomniał.

– Tak?

– No tak.

Weszli do mieszkania, które okazało się niewielką kawalerką.

– Katia.

– Co Katia?

– Chłopie, ty jeszcze nie przeczuwasz, że to będzie twoja słabość.

Ostrowski odwrócił się w jego stronę.

– Niby dlaczego? – zapytał, robiąc groźną minę.

– Jeszcze chwila i się w niej zakochasz.

– Głupi jesteś.

Ostrowski wzruszył ramionami i zaczął się rozglądać po przedpokoju, w którym nie było nic oprócz wielkiego lustra, wieszaka, na którym wisiała szara bluza z kapturem, i pary ubłoconych tramppek.

Policjanci weszli do kuchni.

– Ty się na nią gapisz jak wół na malowane wrota, a ona gapi się na Harry’ego.

– Też jak wół?

– No... nie.

– A jak?

– Jak sroka w gnat... Nie wiem, jak, ale jednak z jakąś fascynacją.

Kowalski umilkł. Wyciągnął z kieszeni batona, rozerwał kolorowe opakowanie i zrobił filozoficzną minę.

– To po pierwsze – powiedział. – A po drugie ona jest zupełnie inna od ciebie.

– Serio? – zadrwił Ostrowski.

– Jeszcze nie umiem tego wyjaśnić, ale coś mi mówi, że dzieli was przepaść. Ty jesteś miły chłopak, a z niej wyrośnie twarda żołnierka, zimna suka. Ja ci to mówię.

Długowłosy sierżant wydał wargi i poklepał kolegę po ramionach.

– Dzięki, stary, za błyskotliwą lekcję psychologicznej analizy – rzucił kąśliwie i usiadł na krześle.

Zapadła cisza.

Kowalski stanął przy oknie, szybko spałaszował batona i zerknął na Ostrowskiego, metodycznie omiatającego wzrokiem pomieszczenie, a potem spojrzał na podłogę, której przydałoby się solidne mycie.

W pewnym momencie zmrużył oczy.

– Coś leży obok twojego buciora – powiedział.

Ostrowski nachylił się i podniósł mały, srebrny krążek.

– *Eine Deutsche Mark* – oznajmił z uśmiechem.

Wstał i podrzucił monetę do góry. Gdy próbował ją złapać, odbiła się od jego dłoni, poleciała na podłogę i wturlała pod lodówkę.

– Punkt dla ciebie. – Kowalski zarechotał.

Ostrowski ukląkł i próbował zajrzeć w szczelinę pomiędzy ścianą a lodówką. Kiepsko mu to wychodziło, więc wyciągnął zapalniczkę, zaświecił i zmarszczył brwi. Zmienił pozycję i sięgnął ręką w głąb szczeliny. Po chwili wyciągnął z niej kasetę magnetofonową.

– Wiskordówka – szepnął i wytarł ją o spodnie.

– Chodźmy sprawdzić pokój – rzucił Kowalski.

– Może jakaś fajna muzyczka tu będzie – rzucił Ostrowski, przyglądając się kasecie.

– Na pewno nie.

– Nie rozumiesz współczesnej muzyki!

– Mała poprawka: nie akceptuję współczesnej muzyki.

– Bo jesteś lamusem.

• • •

Pokój był klitką na jakieś sześć na sześć metrów. Wnętrze urządzono po spartańsku.

Materac otoczony stosami książek, zdezolowana szafa, na szczycie której policjanci dostrzegli kartonowe pudło, i małe biurko oraz czarna lampka.

Na parapecie, na kilku numerach „Miesięcznika Poznańskiego”, stał uschnięty kaktus. Na ścianach wisiały różnego rodzaju plakaty i fotosy filmowe.

Uwagę Kowalskiego przykuły dwie ilustracje wycięte najprawdopodobniej z jakiegoś magazynu. Jedna

przedstawiała kadr z „Powiększenia” Antonionego: jasnowłosy młody fotograf ubrany w koszulę w niebieską kratę, stojący przed wielką płachtą zdjęcia i wpatrujący się w nią bardzo uważnie. W dłoniach ma lupę i ołówek. Na drugiej ilustracji widniała scena z „Rozmowy” Coppoli: Gene Hackman ze słuchawkami siedzi wciśnięty między ścianę a białą klozetową muszlę, na której leży niebieska skrzynka z narzędziami.

– Typ fana – mruknął Ostrowski, przystając obok Kowalskiego.

– Typ pasjonata. – Kowalski pokręcił głową.

– To nie to samo?

– Nie wiem, tak mi się powiedziało.

Śmiech.

– Co się tak gapisz?

– Próbuję wyobrazić sobie Grandowskiego.

– Gapiąc się na wycinki z filmów?

– Może to wizualizacje jego osobowości?

– Wizualizacje? Co to za słowo?

– Fachowe, głąbie.

– No dobra, i co żeś wydedukował, Holmesie?

– Drogi Watsonie, mamy do czynienia z człowiekiem, który bardzo poważnie traktował swój zawód dziennikarza.

– Bo?

– Bo wybrał wysmakowane metafory powiązane ze swoim zawodem. – Kowalski wyskubał z kieszeni kilka solonych orzeszków, rozgryzł je i połknął. – Oglądałeś te filmy? – zapytał.

– Nie.

Pulchny sierżant spojrzał z pobłażaniem na partnera.

– „Powiększenie” to opowieść o fotografii. Facet robi zdjęcia przypadkowej parze w parku. Potem wywołuje je. Coś go zastanawia w uzyskanym obrazie, więc zaczyna go powiększać, aż wreszcie dostrzega w krzakach rękę trzymającą rewolwer. Wraca w to miejsce i znajduje trupa.

– Serio?

– No.

– To muszę obejrzeć.

– Polecam.

– A drugi film?

– O facecie od podsłuchów, który ma hopla na punkcie swojej roboty.

– Hm – zadumał się Ostrowski. – W takim razie przypomina mi się inny film.

– Jaki?

– „Wszyscy ludzie prezydenta”.

– Aha, afery Watergate.

– No właśnie. Może Grandowski też upolował jakąś aferę?

– Może.

Policjanci zamilkli.

Ostrowski kiwnął głową i podszedł do okna, z którego rozpościerał się widok na rozległy zielony plac, na ulicę Poznańską, którą tu przyjechali, i na domki jednorodzinne położone za ulicą.

W tym samym czasie Kowalski ściągnął pudło stojące na szafie. Przeniósł je na biurko i zajrzał do środka.

Mapy Wielkopolski, numery „Miesięcznika Poznańskiego” i książki Krzysztofa Kąkolewskiego. Wziął do rąk jedną z nich. Odczytał tytuł: „Zbrodniarz, który

ukradł zbrodnię”. Gdy ją kartkował, na podłogę wypadło zdjęcie. Podniósł je. Przedstawiało młodego szczupłego chłopaka z burzą jasnych włosów, obejmującego roześmianą dziewczynę. Przyjrzał mu się dokładnie, a potem odwrócił. Na białej powierzchni widniał napis: „Wiktorowi, mojemu ‘Pulitzerowi’, Weronika”.

Westchnął ze smutkiem, po czym zabrał się za wertowanie „Miesięcznika”.

W pewnym momencie prychnął głośno.

Ostrowski zerknął na niego.

– Co tam masz??

– Właśnie czytam rozmowę z Wiesławem Barnabą.

– A kto to jest?

– No ten biznesmen, który założył niedawno agencję ochrony. Nie kojarzysz?

– Kojarzę, kojarzę. Jeden z najbogatszych Polaków.

– Tak jest. Trzeci na liście w tegorocznym rankingu. Wielki cwaniak.

– Na czym on się tak dorobił?

– Na kantorach chyba. W osiemdziesiątym dziewiątym w ciągu jednej nocy otworzył całą ich sieć.

– No tak.

– To była pewnie najlepsza noc w jego życiu.

Ostrowski wyszczerzył zęby.

– Ale co takiego tam znalazłeś, że prychasz ostentacyjnie? – wrócił do tematu.

– Dziennikarz pyta go, jak z punktu widzenia gospodarczego ocenia początek lat dziewięćdziesiątych.

– No i jak ocenia?

– Posłuchaj: „Bardzo pozytywnie. To był beztroski czas, kiedy można było robić wielkie, ale przy tym uczciwe

interesy. To był czas, w którym każdy mógł się stać kowalem swojego losu. Jako naród dostaliśmy wielką szansę. Pytanie, czy ją dobrze wykorzystamy?”.

Sierzanci parsknęli śmiechem.

– Dziennikarz musiał zrobić wielkie oczy. Albo nawet dostać czkawki.

– Może. Zwrócił Barnabie uwagę, że początek lat dziewięćdziesiątych wiąże się z wybuchem przestępczości, także tej zorganizowanej.

– I co na to Wiesio?

– Że nie podziela tej niesprawiedliwej opinii.

– No tak. – Ostrowski zmarszczył brwi, chwilę pomyślał i zapytał: – A jak się nazywa ten dziennikarz?

Kowalski przerzucił parę stron i odpowiedział:

– Grandowski. Wiktor Grandowski... Nasz Wikuś pracował dla tej szmaty?

– Szmaty?

– No przecież ten miesięcznik to własność Barnaby. To jego chamskie narzędzie pijarowe.

– Pijarowe? A cóż to jest?

– Skrót od „public relations”. Nie słyszałeś?

– Coś tam mi się obilo o uszy. Za dużo tych nowości wchodzi do języka, nie nadążam.

– Krótko mówiąc, facet założył sobie miesięcznik, żeby sprzedajni dziennikarze robili mu dobrze. – Kowalski przerzucił parę stron. – Grandowski widnieje w stopce redakcyjnej – oznajmił.

Zapadła cisza.

– Robi się coraz ciekawiej – mruknął Ostrowski. – Bezkompromisowy dziennikarz na smyczy podejrzanego biznesmena?

Policjanci spojrzeli po sobie.

• • •

Gdy wsiedli do malucha zaparkowanego przed blokiem, Ostrowski zerknął na kolegę i zapytał:

– Też ci się podoba?

– Kto?

– Katia.

Kowalski potarł ręką czoło.

– Ja się jej boję – mruknął.

Ostrowski ściągnął usta. Chciał coś powiedzieć, ale najwidoczniej zrezygnował z riposty. Odpalił silnik i ruszył z miejsca

Gdy po kilkunastu minutach wjechali na parking komendy, Kowalski zagadnął:

– Wierzysz, że Kozak jest umoczony?

– No. Harry tak sugeruje.

– Harry to operacyjnyiak.

– No i co z tego?

– Oni zawsze mają teorie spiskowe.

– Mówisz jak stary zakompleksiony dochodzeniowiec.

Kowalski westchnął.

– Może... A może nie? Może po prostu lubi z nimi pochlać? I mimo wszystko zachowuje zdrowy dystans? Wiesz, jak to jest.

– No nie wiem – mruknął Kowalski, wyjął z kieszeni zdjęcie, które znalazł w kryminale Kąkolewskiego, i zaczął mu się przyglądać.

– Musimy pogadać z Weroniką.

– Z kim?

– Z dziewczyną Grandowskiego.

– No przecież Harry i Katia mają to zrobić.
– Zapomniałem.

– Za dużo pączków żresz!

– Nie twoja sprawa.

Ostrowski zachichotał.

– A poza tym Weronika to jego była dziewczyna, jeśli dobrze pamiętam – dodał, a potem sięgnął do schowka po wiskordówkę i włożył ją do odtwarzacza.

– Posłuchajmy kasety Grandowskiego – rzucił.

Najpierw zatrzeszczało, a potem rozległ się charakterystyczny głos znanego kabareciarza:

– Choś tu, choś tu. A nie będę cię szukać, jeszcze cię radiowozem dowiozą.

Policjanci uśmiechnęli się i nadstawili uszu.

– Oż ty cholero jasna, ty zgago pierońska, by cię szlag trafił. Musiałaś się ujawniać? Musiałaś? Oż, taki karabin mi zabrali. Ile to by spraw rozwiązało⁹.

Oklaski.

– A co ja mam tymi kulkami rzucać teraz? Kulomiot jestem czy co? A dziadkowi granat też wzięli. A nie wiem czemu... On był tylko zaczepny. Dziadek rzucał i od razu wiedział, jakie wojsko idzie. A teraz kto mu powie? Wszystko tajemnica. A tam, cicho być. Teraz z dziadkiem kupiliśmy „Młodego Technika” i na podwórzu pershinga stawiamy.

Śmiech i oklaski.

– Mówię ci, jak pieprznę, to się mogę tylko o jedno biurko pomylić. Jak zdążą, to coś o tym napiszą. A tam, cicho być. Nie oglądaj telewizji, bo będziesz miała w głowie glizdy. Oni są tam porąbani. Oni wojnę

9 Na kasecie znajduje się fragment kabaretu Bohdana Smolenia.

pokazują, a o pokój walczą.

Oklaski.

– Mówię ci, tak się porąbało. Z jednych rakiet mam się cieszyć, przeciw drugim protestować. A to wszystko jedno, czy spadnie z tej strony, czy z tej. Tak samo boli. Bomba jest bomba. A tam, cicho być. A oglądałaś „Czterech pancernych”? Gdybyśmy dwa takie czołgi mieli, to byśmy se sami tę wojnę wygrali. A tam, cicho być. Oni se dwa programy teraz zrobili, jeden dla wojska, drugi dla rolników. Jeszcze będzie oświatowy dla głupków. A tam, cicho być. A jeden się chwalił, że sam sobie doktorat napisał. A gównu mnie to obchodzi. Jedni piszą, innym dają. Takie jest zbójeckie prawo.

Oklaski.

– Ty, a ten Reagan to jest świnia. On miał mnie żywić i jak ja wyglądam? Co on łaskę robi, czy co? Taką gospodarkę rozwalić!

Oklaski.

– A ci Amerykanie nie są tacy źli. Najpierw napadną, a potem przeproszą. A mnie za te czterdzieści lat nikt, kurwa, nie przeprosił.

Oklaski, okrzyki, salwy śmiechu.

Nagle dźwięk się urwał.

Policjanci ściągnęli usta i wbili wzrok w odtwarzacz.

– Diane. – Nagle usłyszeli głos młodego mężczyzny. – Diane, tu mówi Wiktor Grandowski.

Śmiech, nerwowy.

– Pozwól, że zabawię się w agenta Coopera. Muszę jakoś oszukać swój wybitnie podły humor.

Znowu śmiech.

Ostrowski pogłośnił i zerknął na kolegę, który zrobił

wielkie oczy.

– Jest sierpień dziewięćdziesiątego drugiego. Wieczór, nie, właściwie to noc. Postanowiłem... – Dziennikarz urwał.

Policjanci usłyszeli brzęk szkła, a potem odgłos nalewania... czegoś. Może wódki, przecież Grandowski brzmiał niewyraźnie, jakby na rauszu.

– ...postanowiłem streścić swój beznadziejny żywot dziennikarza. A potem zdecydować, co dalej.

Pauza. Przełknięcie. Głębokie westchnienie.

– Diane. Zaczynam i zupełnie nie wiem, gdzie mnie to wszystko zaprowadzi.

• • •

– Możesz to ściszyć? – warknął Kowalski znad maszyny do pisania, na której wystukiwał kolejny protokół.

Ostrowski przerwał przeglądanie notatek, pstryknął długopisem i zerknął na kolegę.

– Niby dlaczego?

– Bo mnie wkurwia ten jazgot, nie mogę się skupić!

Ostrowski przymknął oczy i z lubością rozciągnął plecy.

Z głośników dwukasetowego magnetofonu ustawionego na parapecie wybrzmiewał ochryply głos:

Idzie wojna, idzie wojna / Idzie krwawa rzeź / Tam na polu leży głowa / Gnije szczurza pierś / Robol gwałci krodyla / Małpę gryzie pies / Już się skrada, już zabija / Polny wampir gdzieś / Będzie wojna, będzie wojna / Będzie krwawa rzeź¹⁰.

Nagle piosenka się urwała.

10 Fragment utworu „Idzie wojna” Siekiery. Tekst autorstwa Tomasza Adamskiego.

Długowłose sierzant otworzył oczy. Kowalski stał przed nim z wtyczką w dłoni i marszczył groźnie czoło.

– Co ty taki raptus?

– Podsumujmy, chłopie. I rozejdźmy się do domów.

– Podsumujmy – odparł Ostrowski. – Proszę bardzo.

Kowalski spojrzał na niego i oblizał spierzchnięte wargi.

– Trzeci września, czwartek. Pomiędzy ósmą a dziewiątą rano. Grandowski wychodzi z domu położonego na Osiedlu Leśnym w Koziegłowach. Podobno w sprawach służbowych, ale nie wiemy nic konkretnego na ten temat. Około trzynastej miał być w redakcji, ale się tam nie pojawił. Nikt go potem więcej nie widział żywego. Z rozpytania, które nadzorował Kozak, nic nie wyniknęło. Chłopak zapadł się pod ziemię. Zgadza się?

– Jo – skwitował Ostrowski i spojrzał na kolegę, któremu wściekle zaburczało w brzuchu.

– Taki jest punkt wyjścia.

XVI

Bossowski odprowadził wzrokiem młodego kelnera, który przed chwilą postawił na stoliku trzy szklaneczki whisky, a potem zerknął na Ramberta i Buryłę apatycznie dziubiących w serniku na ciepło.

– I co? – zapytał, poprawiając obrączkę.

– I nic – mruknął Buryła.

– No to za mało. – Komendant się skrzywił. – Winkler biega po mieście i opowiada, że policja go prześladowuje. Piekli się, że „to jest zamach na praworządność młodej demokracji, zemsta na prawniku, którzy porządnie wypełnia swoje zawodowe obowiązki”. Kurwa mać, co wy odpierdalacie, chłopaki?

Rambert westchnął i odsunął talerzyk z ciastem.

– Technicy przeszukali posiadłość bardzo dokładnie, operacyjni zrobili rozpytanie w okolicy, ale nic z tego nie wynikło – powiedział i sięgnął po szklaneczkę.

Policjanci stuknęli się i wypili.

– A może to tylko wymysły Harry’ego? – mruknął Bossowski.

– Chciałbyś – odparł kwaśno Buryła, na nowo atakując sernik.

Komendant spojrział na oficerów i odezwał się z wyraźną pretensją w głosie: – Dlaczego on zawsze nam bruździ w robocie?

Buryła westchnął.

– To chyba nie jest dobre określenie – odparł. – To

przecież jemu zawdzięczamy tłuste statystyki miesiąc w miesiąc

Rambert postukał palcem w szklaneczkę i spojrzał na szefa.

– Rozumiem, że zostawiasz Harry’ego na stanowisku?

Bossowski się skrzywił.

– Póki co – burknął i rozejrzał się po sali, w której pojawiła się grupka roześmianych mężczyzn w garniturach. – Póki co, bo nie chcę u siebie żadnych intruzów z pieprzonej stolicy.

Mężczyźni spojrzeli na siebie i pokiwali głowami.

XVII

Misiński pochuchał w zmarznięte dłonie i wszedł do kaplicy. Stał przed trumną ustawioną na środku wyiębionego ascetycznego pomieszczenia. Nachylił się nad ciałem Kalupy. Wbił wzrok w twarz przyjaciela, która wyglądała jak pomarszczona maska kogoś całkowicie obcego.

Przełknął ślinę.

Czy to ty? – pomyślał, czując, że żołądek podchodzi mu do gardła. Pociągnął nosem i patrzył, długo, przeciągle, coraz beznadziejniej, aż w końcu uświadomił sobie, że jest zupełnie gdzie indziej. W domu.

Wraz z otwarciem oczu poczuł ból pleców.

Po kilku sekundach zorientował się, że zasnął na sofie.

Na podłodze dostrzegł maszynopis opowiadania, pustą szklankę i paczkę papierosów. Potargał włosy, przetarł oczy i sięgnął po zapiski.

Zaczął czytać kolejny fragment swojej opowieści.

• • •

Po rozmowie z kaliskim naczelnikiem Wydziału Kryminalnego, Kalupa i Harwej wsiedli do samochodu i ruszyli z powrotem do Poznania. Byli ledwo żywi.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że dobry medyk to jedna czwarta sukcesu? – zapytał porucznik, gdy przejechali kilkadziesiąt kilometrów.

Harwej wzruszył ramionami i zerknął na kontrolkę

paliwa.

– Musimy gdzieś zatankować – odezwał się. Po krótkim milczeniu zagadnął: – Pamiętasz Saszę?

– Pewnie. Pracowałeś z nim przez kilka lat.

– On mi kiedyś powiedział, że sukces zależy od czterech czynników. Dobrego medyka, zaangażowanego policjanta, sensownego prokuratora i fuksa...

Kalupa sięgnął do torby i wyjął z niej kanapkę. Ugryzł.

– Rozumiem – powiedział, przeżuając. – A co obstawiasz w naszej sprawie?

– Fuksa – mruknął chorąży i zabębnił palcami o kierownicę.

Porucznik rozparł się wygodniej na siedzeniu, przymknął oczy i zrobił głęboki wydech.

– Chociaż trzeba przyznać, że pani prokurator wydaje się bardzo sensowna – dodał Kalupa.

Harwej pokiwał głową.

– O tak – potwierdził. – Bardzo. Bardzo sensowna. – Spojrzał we wsteczne lusterko i uśmiechnął się. – Nie będzie przeszkadzać.

– Nie powiedziałaś tego przy niej.

– No nie.

– Rozjechałaby cię.

Po tej wymianie zdań milicjanci milczeli. Przerwali ciszę dopiero podczas tankowania w jakiejś mieścinie.

W Poznaniu pojawili się parę minut po północy.

– Czuję się jak zombie – mruknął Kalupa, gdy zaparkowali przed komendą.

Przeszli przez parking i wkroczyli do opustoszałego budynku. Wdrapali się na trzecie piętro, gdzie mieścił się Wydział Dochodzeniowo-Śledczy, i ulokowali w pokoju

Kalupy. Zaparzyli sobie kawę, bardzo mocną, usiedli przy ławie i z lubością wyciągnęli nogi.

Odetchnęli parę razy głęboko, próbując jakoś zneutralizować całodzienne zmęczenie.

– Zacznijmy od podstawowego założenia – odezwał się wreszcie Kalupa. – Sprawca jest tylko jeden.

Harwej pokiwał głową.

Porucznik położył sobie zeszyt na kolanach, ugryzł ołówek i zerknął na kolegę.

– Co wiemy o naszym kliencie? – zapytał i tym samym rozpoczął szkicowanie profilu gwałciciela oraz zabójcy.

Harwej wrzucił dwie kostki cukru do kawy i zamieszał.

– Co wiemy? – powtórzył. Upił parę łyków, wstrząsnął ciałem, jakby za chwilę miał stanąć do walki na ringu, i powiedział, mrużąc lekko oczy: – To młody chłopak, do dwudziestu czterech lat, może dwudziestu pięciu.

– Uhm...

– Średni wzrost, dobrze zbudowany, silny.

Kalupa zapisał parę słów i powiedział:

– Krótco przystrzyżony, blondyn, może szatyn. – Naszkicował męską sylwetkę.

– Tak jest – zgodził się Harwej i dodał: – Twarz pociągła, charakterystyczny opadający kącik ust.

– Lewy! – Kalupa przewrócił stronę i zaczął szkicować twarz.

Choraży spojrzał mu przez ramię i poruszył dłońmi na znak aprobaty.

Cisza. Milicjanci się zamyślili.

– Świeżo po wojsku? – rzucił pytająco Harwej.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał Kalupa.

– Odpowiedni wiek, to raz. Dwa: klient jest bardzo

sprawny, zdecydowany w działaniu. Zaciekły wręcz.

Choraży zapalił i zaciągnął się.

– Ten „skok tygrysa” – powiedział, wypuszczając dym. – Potem zabójstwo i gwałt. To świadczy też o tym, że jest niezłe wyćwiczony. Co jeszcze...? Fryzura na zapałkę.

– Hm...

– Na mój nos to jest wojak.

Kalupa się skrzywił.

– No nie wiem. Może jakiś sportowiec?

Harwej wzruszył ramionami.

– Może – bąknął.

Chwila ciszy.

– Dobra. – Kalupa poprawił się na fotelu i zatarł energicznie ręce. – Jedziemy dalej!

Choraży przytaknął.

– Najwyraźniej lubi wypić.

– A kto nie lubi?

Śmiech.

– Pochodzi ze wsi – odezwał się Harwej, strząsając popiół do popielniczki.

– Skąd to wiemy? – zapytał Kalupa, przewrócił stronę w zeszytcie i zaczął rysować wiejski domek.

– Od młynarza.

– A rzeczywiście. Jak on go określił?

– Wsiur!

– Ładnie.

– Jest synem zduna.

– Może skończył jakąś zawodówkę w tym kierunku?

– Może tak, może nie.

Milicjanci zamilkli, odchyłili głowy i ziewnęli równocześnie.

– Coś jeszcze? – zagadnął Kalupa, masując skronie.

Harwej wrzucił ramionami, przejechał kciukiem po policzku.

– Wróćmy jeszcze do jego charakteru – powiedział po krótkim namyśle. – To bestia, która atakuje po alkoholu. Pije, pobudza tym samym swoje libido i...

– ...i poluje do skutku.

– Ty – Kalupa wbił wzrok w kolegę – a może wbrew pozorom to jest jakiś nieśmiały, wstydlivy, załęczniony cielak?

– I w ten sposób odreagowuje swoje seksualne niepowodzenia? – Harwej wypuścił powietrze z płuc. – Może – mruknął. – Ale tu powinniśmy się zatrzymać, bo zaraz zaczniemy wróżyć z fusów jak jakiś Sherlock Holmes.

Kalupa uśmiechnął się i podrapał po tyle głowy.

– No dobrze – odezwał się. – Jutro pójdę do rysownika, żeby nam odmalował gębulę klienta.

Milicjanci dopili kawę, ustalili jeszcze kilka szczegółów i zakończyli robotę.

Było grubo po trzeciej w nocy.

• • •

Misiński przetarł zmęczone oczy, odłożył maszynopis i sięgnął po zapiski Kalupy. Chciał przypomnieć sobie, co było dalej.

„Rozpoczęła się żmudna, trudna praca typowania osób podejrzanych, sprawdzania ich alibi. Zbadano setki kart daktyloskopijnych – bez rezultatu. Zwrócono się do wszystkich jednostek milicji w kraju z prośbą o współpracę. Zaangażowano służby więzienne,

wojskowe służby wewnętrzne, sąd i prokuratury – nic. Zabójca nie został ustalony. Co gorsza, było prawdopodobne, że zaatakuje ponownie, i to już wkrótce! Gdy minął miesiąc bezskutecznych poszukiwań, wierchuszka zaczęła się wściekać i brutalnie dawać temu wyraz. Atmosfera na komendzie była coraz bardziej napięta...”

Dziennikarz przerwał lekturę, ale ciągle miał wrażenie, że słyszy głos Kalupy, jego świszczący oddech, charakterystyczne pochrząkiwanie.

Zamyślił się. Wyobraził sobie oficera, jak wystukuje na maszynie ten tekst.

To dziwne uczucie – pomyślał. Czytać słowa kogoś, kto już nie żyje. To jak wsłuchiwać się w głos zza grobu.

Westchnął, a potem ujrzał ich dwóch, porucznika i chorążego, jak siedzą ze smętnymi minami w jakiejś knajpie, palą śmierdzące papierosy i oddają się czarnym myślom.

• • •

Harwej wypuścił dym i zerknął na Kalupę, który popijał kawę i wpatrywał się w portret pamięciowy zabójcy.

– Wiesz co, stary? – mruknął porucznik, przygryzając poźółkły kciuk prawej ręki.

– Nie wiem – odparł chorąży, który bawił się białoczerwonym stojakiem na serwetki i popatrywał kątem oka na kelnerkę krzątającą się po kawiarni.

Ktoś włączył radio i z głośników popłynął melodyjny głos Samantha Fox. Popularna piosenkarka śpiewała, że chce być teraz dotykana.

– Musimy uruchomić plan M – oznajmił Kalupa.

– Plan M?

– Media.

Harwej odstawił stojak i rzucił Kalupie badawcze spojrzenie.

– Chcesz przekazać jego ryja dziennikarzom? – zapytał.

Kalupa rozłożył ręce i pokręcił głową.

– Nie mamy innego wyjścia – odparł. – Nadamy komunikat do telewizji i prasy, żeby opublikowano jego wizerunek. Zredagujemy krótki tekst, który skutecznie przemówi do społeczeństwa. Pójdziemy szeroko. Na całą Polskę. A jak to nie pomoże, to... – Porucznik urwał i ponownie wbił wzrok w portret poszukiwanego mężczyzny. Pogrubiał ołówkiem opadający lewy kącik ust. Dopił kawę i wytarł usta. – Zapłacisz? – zapytał, uśmiechając się chytrze do kolegi. – Dzisiaj twoja kolej.

Harwej odwzajemnił uśmiech.

Kalupa schował do torby paczkę z tytoniem, wstał i zaczął zakładać kurtkę.

– Wracamy do firmy – rzucił. – I bierzemy się do roboty.

Harwej podniósł się leniwie z krzesła.

– Chciałbym zapłacić rachunek – powiedział do czarnowłosej kelnerki, która właśnie przechodziła obok.

Kalupa ruszył w stronę drzwi. Gdy odwrócił się na moment, dostrzegł, że kolega nachyla się nad kontuarem i szepcze coś do uśmiechniętej dziewczyny. Była bardzo ładna, a dołeczki w policzkach sprawiały, że trudno było oderwać wzrok od jej twarzy.

Westchnął ciężko, pokręcił głową i wyszedł.

Nazajutrz, kiedy Kalupa z lubością pałaszował zupę ogórkową i podziwiał w „Expressie Poznańskim” portret mężczyzny z opadającym kącikiem ust, do firmowej

stołówki wszedł zaafierowany Harwej.

– Mamy go – oznajmił radośnie, siadając przy stoliku.

– Kogo?

– Ryszarda Szaraka.

– A kim jest Ryszard Szarak? – zapytał Kalupa, po czym chwycił łyżkę i postukał nią w dno talerza.

Harwej spojrział na gazetę i popukał palcem w portret zabójcy.

– Naszym dziczkim – odparł.

Porucznik zrobił wielkie oczy i odłożył łyżkę.

– Jaja sobie robisz?

– Otóż nie! – Chorąży uśmiechnął się szeroko. – Moi ludzie zdobyli dzisiaj informację o młodym chłopaku, który przypomina klienta z portretu. Wygląd się zgadza plus kilka punktów z biografii. Wojsko, ojciec zdun, wiek...

– No to pięknie – zawołał Kalupa i odsunął od siebie talerze.

Wytrzeł serwetką usta i zapytał:

– Gdzie mieszka?

– W Mełpinie, koło Środy.

– Zawijamy go jutro rano? – zapytał porucznik, cmokając.

– Uhm.

– A co z nakazem?

Harwej wyciągnął pudełko cameli, odpieczętował i wsunął papierosa do ust.

– Rozmawiałem z Ziębińską jakąś godzinę temu – mruknął. – Jest w Poznaniu. Wpadnie do mnie z papierem. Wieczorem.

Kalupa zlustrował Harweja, marszcząc czoło.

– Jednak cię polubiła – rzucił.

Porucznik ściągnął usta, wstał i zasalutował.

– Wpadnij późnym wieczorem, to ustalimy szczegóły jutrzejszego zatrzymania – powiedział i ruszył w stronę wyjścia.

Kalupa powiódł spojrzeniem po stołówce i uświadomił sobie, że połowa sali apatycznie przeżuwająca obiad odprowadziła go spojrzeniem.

• • •

Harwej przymknął oczy, przełknął ślinę i wypuścił powoli powietrze.

Zadrżał i odsunął się od Ziębińskiej, która przez chwilę trwała w bezruchu, opierając się o blat biurka.

Choraży raz jeszcze zerknął na jej na nagie, krągłe pośladki. Startł kilka kropel potu, błyszczących na bladej skórze. Przejechał palcem po koronce pończoch i westchnął.

Zapiął rozparek, usiadł na krześle i, ciężko oddychając, przyglądał się, jak pani prokurator doprowadza się do porządku.

Gdy to już zrobiła, zaproponował kawę.

– Bardzo chętnie – mruknęła, odgarniając zmierzwiłone włosy.

– Dolać koniaku?

– Poproszę. – Uśmiechnęła się.

Dziesięć minut później siedzieli przy ławie, popijali kawę i pogryzali ciasteczka.

Gdy rozmawiali o szczegółach zatrzymania Szaraka, rozległo się pukanie. Otworzyły się drzwi, w progu stanął Kalupa.

– Można? – zapytał nieśmiało, spoglądając nieufnie na Ziębińską i Harweja. – Chciałem zapytać, czy mamy nakaz.

Choraży pokiwał głową.

– Zdobyłem go – mruknął.

– Dałam ci go – rzuciła stanowczo Ziębińska i wskazała palcem dokument leżący na ławie.

– Świetnie – odparł Kalupa i podszedł do nich.

Zadzwoił telefon. Harwej dźwignął się i podniósł słuchawkę.

– Że co?! – zawołał po chwili. Zmarszczył czoło i odwrócił się w stronę prokuratora i porucznika. – Dobra, dzięki – burknął i odłożył słuchawkę.

– Co jest? – zapytał Kalupa.

Choraży się skrzywił.

– Nie będzie zatrzymania – oznajmił kwaśno.

– Bo? – Ziębińska wbiła w niego wzrok.

– Bo Szarak wyszedł z domu jakieś dwa tygodnie temu i przepadł jak kamień w wodę – odpowiedział choraży i sapnął ze złością.

• • •

Misiński westchnął, czując, że złe emocje związane ze snem powoli się zacierają. Najwyraźniej snucie opowieści o zmarłym przyjacielu podziałało nań krzepiąco.

Położył maszynopis na biurku i powlókł się do łazienki.

XVIII

Harry otworzył drzwi, mruknął „dzień dobry”, powiesił kurtkę na wieszaku, dał znać barmanowi, że chce kawy i usiadł przy stoliku przy oknie, z którego miał widok na Rynek Jeżycki.

Przez chwilę błędził spojrzeniem po ruchliwej przestrzeni, aż w końcu skupił się na małym, grubym mężczyźnie, który siedział na rowerze, będącym oryginalną maszyną do szlifowania noży. Uśmiechnął się, patrząc na Lola, pomysłowego majsterkowicza, który w ten sposób dorabiał sobie do nędznej renty.

Na stoliku wylądowała kawa.

Podziękował skinieniem głowy i upił parę łyków.

– Cześć. – Usłyszał nagle znajomy głos. Drgnął. Podniósł wzrok i zobaczył młodą dziewczyną o długich brązowych włosach. Z jej oczu osadzonych w pociągłej pięknej twarzy bił smutek.

Serce zabiło mu mocniej. Powoli wypuścił powietrze.

– Cześć, Natasza – szepnął i wstał. Wskazał miejsce przy stoliku.

Usiadła.

– Jak mnie znalazłaś? – zapytał, wpatrując się w nią uważnie.

– Jakoś

Westchnęła i odgarnęła pachnące szalwią włosy.

– A ty, już sprawdziłeś, kim jestem? – zapytała cicho.

– Tak. Córka prawnika.

Uśmiechnęli się do siebie nieśmiało.

– Nic ci nie jest? – zagadnął.

Spojrzała na niego przeciągle i zagryzła usta.

– Czy mój ojciec jest bandytą? – szepnęła nieoczekiwanie.

Harry przyjrzał jej się uważnie. Przez chwilę miał wrażenie, że pytanie zadała mu mała, zagubiona dziewczynka.

– Czy on jest złym człowiekiem?

Komisarz wziął do rąk zapalniczkę i zaczął się nią bawić. Natasza przypatrywała mu się wyczekująco.

– Nie wiem – mruknął. Dotknął ręką skroni i zerknął za okno. Przez chwilę kontemplował uliczny krajobraz, a potem z powrotem przerzucił wzrok na Nataszę. Miała zaczerwienione, wilgotne oczy.

– Myślę, że został zmuszony do... – podrapał się za uchem – do udostępnienia gangsterom lokum.

– Zmuszony?

– Pewnie go szantażują.

– Czym?

– Nie wiem.

Zamilkli. Nie patrzyli sobie w oczy.

– To wydarzenie – odezwała się Natasza, z trudem opanowując drżenie głosu – uprzytomniło mi, że... że... że mój ojciec jest... – Westchnęła. – Że jest jakoś uwikłany w przestępczy świat. Rozmawiałam z matką, ale ona udaje, że o niczym nie wie. Hipokrytka... Po twojej ucieczce ojciec zamknął się w sobie. Mam wrażenie, że jest na granicy, że się zaraz rozsypie...

Harry patrzył na nią w milczeniu.

– Jest błady, małomówny, dużo pracuje, ciągle odbiera

jakieś podejrzone telefony... Któregoś razu wieczorem beamką przyjechało do nas dwóch facetów. Widziałam ich z okna. Mieli groźne miny, mówili podniesionymi głosami. Gdy odjechali, ojciec zamknął się w swoim gabinecie. Na drugi dzień wyjechał do pracy bardzo wcześnie. – Z oczu dziewczyny popłynęły łzy. Otarła je. – Chcę się pożegnać, Harry.

– Pożegnać?

– Ojciec wysyła mnie do Londynu.

Komisarz uniósł brwi.

– Ma tam w jakiejś kancelarii serdecznego przyjaciela, u którego zrobię półroczne praktyki.

Cisza.

– Oni chyba się domyślili, kto cię wypuścił – powiedziała Natasza, wyciągając z torebki paczkę chusteczek. – No i pewnie ojciec chce mnie w ten sposób jakoś ochronić. Nie wiem, nie wiem... I nie chcę wiedzieć, jak... ich uspokoił, bo przecież...

Dziewczyna uniosła ręce, jakby próbowała odsunąć od siebie posępne przypuszczenia.

Harry siedział nieporuszony.

– Chcę stąd wyjechać, ochłonać i przemyśleć wszystko – dodała pospiesznie i przysłoniła dłonią twarz.

Oficer pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Bardzo ci dziękuję – powiedział. – Mam nadzieję, że...

– Wypuścił nosem powietrze i dokończył, zniżając głos: – ...że nie... – Przez chwilę szukał w pamięci odpowiednich słów. – Że to się na tobie nie zemści.

Natasza uśmiechnęła się, uniosła i pocałowała komisarza w policzek.

– Jak to się stało, że mnie znalazłaś? – zapytał, kładąc

dłoń na jej dłoni.

– Tamtego dnia, wcześniej rano, zobaczyłam jakieś zamieszanie przy garażu. Zupełnie przypadkowo. Właśnie się obudziłam i stanęłam w oknie. Mój ojciec kłócił się z jakimiś mężczyznami. Wyglądali jak bandyci.

– Widziałaś mnie?

– Nie.

– A tych bandytów znasz?

– Chyba byli u nas parę razy. Prawda jest taka, że mój ojciec broni przede wszystkim takich ludzi. – Westchnęła ciężko. – Późno w nocy wróciłam z imprezy. Trochę wstawiona. I pewnie to ośmieliło mnie, żeby zajrzeć do pomieszczenia, które łączy się z garażem. Pewnie przez głupią pijacką ciekawość. No i natknęłam się na ciebie. – Zamilkła i spojrzała przeciągle na komisarza. – Zbieram się – dodała, założyła szybko płaszcz, chwyciła torebkę, skinęła głową i pospiesznie opuściła kawiarnię.

Żegnaj – powiedział w duchu Harry i zerknął przez szybę. Natasza mignęła mu na moment przed oczami i zniknęła w tłumie.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze dużo pracy tego dnia i wieczoru.

Wyprostował plecy i przez chwilę trwał w bezruchu. Myślami odpłynął do nocy, w czasie której uciekł z posiadłości Winklera.

Gdy w końcu dotarł do Poznania, znalazł budkę telefoniczną i zadzwonił do Agnieszki, starej dobrej przyjaciółki. Poprosił ją o udostępnienie daczki, w której od czasu do czasu nocował, kiedy chciał odpocząć od całego świata. Zgodziła się, jak zawsze.

Znalazłszy się na miejscu, przekręcił wszystkie zamki,

rozebrał się i rzucił na łóżko.

Gdy następnego dnia obudził się z paskudnym bólem głowy, wyjął z barku butelkę wódki i zaczął pić. Samotna libacja, napędzana rozpacziwą tęsknotą za Patrycją, trwała dobre dwa dni. Gdy w końcu wytrzeźwiał, wziął prysznic, założył świeże ubranie, sięgnął drżącą dłonią po słuchawkę i zadzwonił do Burego.

Był dwudziesty szósty października.

XIX

Gdy weszli do Rockersa, studenckiego klubu położonego na mocno zaniedbanej i słabo oświetlonej ulicy Świętego Wojciecha, Katia zerknęła na Harry'ego.

Był blady, poddenerwowany. Wodził wzrokiem po roześmianych młodych ludziach, głównie punkowcach oraz metalach, i nerwowo drapał się po szramie na policzku.

Posterunkowa odniosła wrażenie, że obserwuje wilka, który przypadkowo natknął się na wielkie zbiegowisko myśliwych i gorączkowo myśli tylko o tym, jak błyskawicznie zniknąć wszystkim z oczu.

Ściągnęła kurtkę, czując, że zaczyna się pocić.

Kłęby papierosowego dymu drażniły oczy. Rockers był duszny, straszliwie zatłoczony i bardzo głośny.

Chyba się starzeję – pomyślała, uprzytamniając sobie, że wszystkie te cechy decydowały jeszcze kilka lat temu, za czasów studenckich, o intensywności przyjemności. Inna sprawa, że kiedyś takich knajp prawie w ogóle nie było, zwykli ludzie bawili się przecież głównie na domówkach w małych, ciasnych mieszkankach wybudowanych za Gomułki albo Gierka.

Ktoś ją potrącił. Uśmiechnęła się krzywo i schyliła po upuszczoną kurtkę. Zerknęła na zegarek. Była dwudziesta trzecia.

Weronika, dziewczyna Wiktora Grandowskiego, powinna gdzieś się tu kręcić.

Mijając wyjście na korytarz, z którego przechodziło się do głównego pomieszczenia, usłyszeli fragment piosenki:

W twojej bramie pobili dziś faceta / Na melinie ktoś poderznął komuś gardło / Ryczący stadion czeka na ofiarę / Po ulicach ludzie chodzą za karę / Młodszy brat bawi się granatem / Sąsiad z dołu powiesił się na pasku / Jakiś pijak w lodówce znika / Ty oglądasz film / *This is America*¹¹.

Przystanęli.

Harry wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Zaciągnął się, z ulgą przymykając oczy. Wypuścił dym, a potem nachylił się do Katii.

– Zaszło mi w gardle – mruknął. – Chodźmy do wodopoju.

Skinęła głową.

Wmieszali się w tłum i podeszli do kontuaru. Usiedli na wysokich krzesłach i zamówili napoje u długowłosego, brodatego barmana. Harry colę, ona czarną kawę.

Młody mężczyzna podniósł zdziwiony brwi.

– Żadnego alkoholu? – wymamrotał i, nie czekając na wyjaśnienia, podszedł do lodówki, z której wyciągnął butelkę z charakterystycznym logo.

Z głośników popłynął ostry dynamiczny riff.

Katia zaczęła stukać głanem o podłogę w rytm muzyki.

Po paru sekundach wokalista zaczął śpiewać:

Za pierwszym razem / To nie było takie proste /
W głowie czułem ból / A w sercu niepokój. /
Za pierwszym razem / To nie było łatwe / Ręka lekko drżała

11 Fragment utworu „This is America” Kolaborantów. Tekst autorstwa Przemysława Thiele.

/ I chciało się rzygać¹².

Kiedy lider kapeli zamilkł, a na plan pierwszy wysunęła się przesterowana gitara, Katia znowu zerknęła na Harry'ego.

Wypuszczając flegmatycznie dym i popijając słodki napój, omiatał wzrokiem ludzi, którzy beztrąsko dawali upust swojej młodzieńczej energii: pokrzykiwali do siebie, stukali się kuflami, potrząsali głowami.

W rzeźni jak to w rzeźni / Czas wątpliwości szybko mija / Nie ma miejsca na myślenie / Bo tu się nie myśli, tylko zabija. / W rzeźni jak to w rzeźni / Czas wątpliwości szybko mija / Nie ma miejsca na myślenie / Bo tu się nie myśli, tylko zabija.

W pewnym momencie rysy twarzy Harry'ego, jakby na przekór słowom gniewnej piosenki, lekko złagodniały.

Katia wypła łyk kawy i spojrzała na grupkę dziewczyn, na które patrzył oficer.

Dwudziestoletnie punkowy ubrane w białe luźne podkoszulki, czarne obcisłe rurki i imponujące glany. Piły piwo, trącały się co chwilę ze śmiechem i z lubością przeczesywały palcami swoje długie, lśniące włosy.

Nagle zaczęły kogoś przywoływać. Po parunastu sekundach podeszła do nich śliczna brunetka, która przyciągała spojrzenia wszystkich mężczyzn. Miała na sobie czarne kozaki, kabaretki, krótkie dżinsowe szorty. Spod rozpiętej skórzanej kurteczki wystawał czarny stanik, kryjący duży, kształtny biust. Pocałowała koleżanki i zaczęła do nich szeptać, robiąc przy tym bardzo zaaferowane miny.

12 Fragment utworu „Pierwszy raz” Dezertera. Tekst autorstwa Krzysztofa Grabowskiego.

Katia zerknęła na Harry'ego, który zagryzł wargi i zaczął szybciej oddychać.

Czyżby się podniecił widokiem tej suczki? – pomyślała i z wielkim zainteresowaniem śledziła jego twarz. Był najwyraźniej poruszony widokiem młodej seksownej kobiety.

Zaciągnął się mocno, zdusił niedopałek i spojrzał na Katię.

– Widzisz gdzieś Weronikę? – zapytał.

– Nie.

– To chodźmy do drugiej sali, szkoda czasu – mruknął jej do ucha i spojrzał raz jeszcze na brunetkę, która zauważyła jego intensywne spojrzenie.

Uśmiechnęła się do siebie. Dziewczyna spuściła wzrok, przejechała językiem po ustach i potrząsnęła zalotnie włosami. Harry spurpurowiał.

Boże, jaki on bezbronny – skwitowała sytuację posterunkowa i pomyślała sobie, że to faceci, a nie kobiety, są słabą płcią. *Słabą płcią? Kurwa, bardzo słabą płcią.*

Wstali ze stołków i lawirując w tłumie, przenieśli się do drugiej sali. Była o wiele większa i mniej zatłoczona. Wyteżyli wzrok.

W końcu wypatrzyli Weronikę. Siedziała w towarzystwie paru osób przy stoliku ulokowanym obok sceny, po której kręcili się młodzieńcy z imponującymi irokezami na głowie.

Weronika była drobną, szczupłą dziewczyną o długich czerwono-niebieskich włosach, z wielkimi kolczykami w uszach. Na jej czarnej koszulce widniał napis: „Punk's Not Dead”. Z notatki służbowej dowiedzieli się, że

studiowała prawo, trzeci rok.

Podeszli do niej, przedstawili się i poprosili o chwilę rozmowy na zewnątrz. Zgodziła się, chociaż niechętnie.

– Nie wiem, czego jeszcze ode mnie chcecie – burknęła, gdy stanęli w bramie. – Wszystko powiedziałam. – Spojrzała na Harry’ego. – Ma pan ćmika? – zapytała. – Muszę zajarać.

– Jasne. – Oficer wydobyl z kieszeni paczkę papierosów i wysunął jednego.

Weronika włożyła go do ust. Harry zrobił krok do przodu i podsunął jej zapalniczkę. Zaciągnęła się, wypuściła dym i spojrzała na swoje czerwone paznokcie.

Harry cmoknął lekko zniecierpliwiony.

– Wszystko powiedziałaś? – zagadnął. – Serio?

Spojrzeli na siebie, długo i przeciągle.

– Tak – odparła po dłuższej chwili. Także o tym, że zerwaliśmy ze sobą na początku sierpnia. Że się przeprowadził do Koziegłów. Że spotykaliśmy się, ale raczej z przyzwyczajenia, i to coraz rzadziej. – Weronika westchnęła. – Bardzo mi przykro. Nic nie wiem i w niczym nie mogę pomóc.

– Rozumiem, ale...

Katia przyglądała im się z zaciekawieniem. Ton głosu dziewczyny kłócił się z wyrazem jej twarzy. Harry ewidentnie przypadł jej do gustu. W oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– ...ale nie powiedziałaś, że się ostro pokłóciliście – rzucił nagle Harry. – Bardzo ostro.

Dziewczyny zerknęły na niego zaskoczone.

– No nie.

– A widzisz.

- A to ważne?
- Zależy, co się potem stało.
- A co się niby miało stać?
- Ty mi powiedz.

Katia chrząknęła, a potem energicznie rozpięła i zapięła zamek od kurtki.

– O co się pokłóciłaś z Grandowskim? – zapytała zniecierpliwiona.

Weronika wbiła w nią wzrok, jakby lekko dezorientowana. Sapnęła.

– Powiedz nam prawdę – odezwał się Harry. – Chyba że chcesz, abyśmy tę rozmowę dokończyli na komendzie.

Weronika zaciągnęła się i rzuciła niedopalonego papierosa na chodnik. Przygniotła go podeszwą glana.

– Wiktor nakrył nas w łóżku – odparła. – A właściwie w wannie.

Katia zerknęła na Harry'ego.

– Was, czyli kogo? – dopytała.

– Mnie i Maćka.

– Kim jest Maciek?

Cisza.

– Kim?

– Moim wykładowcą.

Harry uśmiechnął się i pokiwał głową ze zrozumieniem.

Katia cmoknęła.

– Doktor Maciej Staniszewski? – zapytała. – Od historii doktryn prawnych?

Cisza.

– Tak?

– Tak.

Policjantka zacisnęła zęby, co nie uszło uwadze jej

partnera. Pokiwał głową, odczekał chwilę i zagadnął:

– Opowiedz, jak było. Ale bez ściemniania – dodał.

Westchnienie.

– Normalnie. To był początek sierpnia. – Weronika zmarszczyła brwi. – Wiktor nocował u mnie. Rano wyszedł do pracy, do tej swojej śmiesznej gazety. Jakąś godzinę później przyszedł Maciek, z którym od jakiegoś czasu zaczęłam się w tajemnicy spotykać. Wypiliśmy trochę piwa, zaczęliśmy się wygłupiać i wylądowaliśmy w łóżku. Po wszystkim poszliśmy razem do wanny. Wtedy zupełnie zniecka do mieszkania wparował Wiktor.

No proszę – pomyślała Katia, czując przebiegający przez plecy dreszcz. Maciuś cały czas trzyma formę... Pieprzony dupcyngiel.

Wypuściła powietrze i ponownie spojrzała na Harry'ego, który dał znak przesłuchiwaney dziewczynie, żeby kontynuowała.

– Kiedy nas zobaczył nagich w tej wannie, śmiejących się i palących papierosy, wściekł się. Jak mówiłam, nie byliśmy już razem, ale on nie mógł się z tym do końca pogodzić. Bywał zazdrosny, marudny. Wtedy, kiedy wparował do łazienki, krzyknął, że jestem wstrętną cipą. Potem spojrzał na niego i warknął coś w rodzaju: „Jeszcze mnie popamiętasz, doktorku”. – Weronika zamilkła. Spojrzała na policjantów i wzruszyła ramionami.

– Co dalej? – zapytała Katia, uprzytamniając sobie, że słyszy coraz wyraźniej afektowany głos Staniszewskiego. Wzdrygnęła się.

– Nic. Maciek próbował go uspokoić. Przepraszał,

odwoływał się do rozsądku...

– A co na to Wiktor?

Dziewczyna prychnęła.

– Żeby się pierdolił.

– No tak – mruknął Harry.

Zamilkli.

Komisarz zerknął na Weronikę.

– Powiedziałaś, że Wiktor pogroził twojemu facetowi...

– To nie mój facet.

– Nie?

– Nie.

– Dlaczego?

– To głupi złamas.

– Rozumiem.

– Wiktor wtedy spojrział na mnie i syknął, żebym nie myślała, że jestem jedyna. Potraktowałam to jako bredzenie zazdrośnika, ale w sumie miał rację. Szybko się okazało, że rzeczywiście nie byłam jedyna. Maciek spotykał się równocześnie z paroma studentkami.

– Wychodzi na to, że Wiktor wiedział, że facet ma słabość do studentek – podsumował Harry. – Można też przyjąć, że zagroził mu, że przekaże to dalej, na przykład władzom uczelni.

Weronika pokręciła głową.

– Nie zrobiłby tego. Poniosło go. Palnął głupotę. Potem pewnie się tego wstydził. – Zamilkła. – To był ucziwy człowiek i dziennikarz. Do bólu. – Westchnęła. – Dla mnie za bardzo. – Wypuściła powietrze i dotknęła dłonią oczu, które nagle się zaszkliły.

– A jak Maciek zareagował na te niby pogrożki?

– Chyba się trochę przestraszył. – Dziewczyna zadrzała

z zimna i spojrzała zniecierpliwiona na drzwi, które otworzyły się z trzaskiem. Jakaś pijana para stanęła w progu, spojrzała na nich i ruszyła w stronę bramy. Po chwili rozległ się odgłos wymiotowania.

Z wnętrza knajpy dobiegły ich ostre gitarowe riffy.

– Koniec? Mogę już iść? – zapytała smutno Weronika.

Harry uśmiechnął się.

– Jasne – odparł. – Jesteś wolna. Wielkie dzięki.

Odprowadzili dziewczynę wzrokiem, a potem przez chwilę wsłuchiwali się w agresywny śpiew dochodzący z głębi lokalu:

Zostanę, zostanę żołnierzem, już wiem / Dostanę
karabin i zielony hełm / Nie mogę, nie mogę doczekać
już się / Gdy przyjdzie, gdy przyjdzie ten wyśniony
dzień!¹³

Gdy ktoś zamknął drzwi i zapadła cisza, Harry spojrzał na Katię.

– Znasz tego doktorka? – zagadnął.

– Ta, miałam z nim zajęcia. Śliski typek. Czterdziestolatek, który ślini się na widok każdej młodej dziewczyny. Lubi chodzić ze swoimi studentkami na piwo. Z najładniejszymi przechodzi na ty. Z uczelnianych plotek wynika, że niezły z niego Casanova. Trzeba przyznać, że jest całkiem przystojny.

– Też byłaś z nim na piwie?

Katia się zaczerwieniła.

– Raz, z koleżankami – odburknęła.

Harry wyszczerzył zęby.

¹³Fragment utworu „Zostań żołnierzem” grupy Proletaryat. Tekst autorstwa członków grupy (Tomasz Olejnik, Jarosław Siemienowicz, Dariusz Kacprzak, Zbigniew Marczyński).

– Wyduś to z siebie – rzucił. – To może być ważne. Chyba rozumiesz?

Posterunkowa nabrała powietrza.

– Któżegoś razu zostaliśmy sami w knajpie – mruknęła niechętnie. – Był już ostro narąbany, zaczął mnie obmacywać, stał się nachalny, nie zważał na moje protesty, więc... Więc go jebnęłam w gębę i sobie poszłam.

– Słusznie. A co było potem?

– Potem? Potem mnie unikał, a na egzaminie postawił trójkę, chociaż zasługiwałam na cztery. Co najmniej. – Zaśmiała się.

Harry pokiwał głową i zapalił papierosa.

– Na dzisiaj koniec. – Wypuścił dym. – Podwieźć cię domu?

– Byłoby fajnie, dzięki.

Przeszli przez bramę, skręcili w prawo w Świętego Wojciecha i ruszyli wzdłuż wąskiej uliczki ulokowanej pomiędzy starymi podniszczonymi kamienicami. Po drodze minęli dwie podstarzałe prostytutki, które łapczywie popijały jabola, bekając przy tym głośno.

Zatrzymali się nieopodal kościoła. Harry przydeptał niedopałek i otworzył drzwi escorta.

– Skąd wiedziałeś, że się pokłócili? – zapytała Katia.

– Nie wiedziałem – odpowiedział komisarz, uruchamiając silnik.

– Strzelałeś?

– Trochę tak. Przecież młodzi zazwyczaj rozstają się z powodu kłótni.

– A starzy nie?

Zaśmiał się.

– Myślę, że starzy mają też inne powody.

– A ty jak się rozstałeś ze swoją żoną?

Harry zmarszczył brwi i spojrzał na koleżankę.

– Skąd wiesz, że miałem żonę i że się z nią rozstałem?

– I że w wyniku karczemnej awantury?

Komisarz się zaśmiał.

– Otóż to.

– Strzelałam.

Zachichotali.

Katia spojrzała na zegarek. Powoli zbliżała się północ. Ułożyła się wygodniej w fotelu i westchnęła, uprzytamniając sobie, że jest wykończona. Oczami wyobraźni wchodziła do łazienki, napuszczała gorącą wodę, nuciła „She’s like the wind” i zrzucała z siebie ciuchy.

DLaczego „She’s like the wind”? Przecież to gówniana, sentymentalna piosenka – zaczęła się zastanawiać. Co za żenada!

Nagle przypomniała sobie Ulę, która w sobotę namówiła ją na obejrzenie „Dirty Dancing” i z lubością cofała kasetę do momentu, w którym na ekranie pojawiały się apetyczne pośladki Patricka Swayze’ego.

No tak, marzy mi się męska dupa – skwitowała i westchnęła.

Przez parę minut jechali w całkowitym milczeniu.

– Rzeczywiście, rozstałem się z żoną w burzliwych okolicznościach – odezwał się nagle Harry, kiedy Katia przyglądała się ciemnym konturom katedry. Urwał, ale parę sekund później dodał, krzywiąc się: – Przyłapała mnie z kimś w łóżku. I odeszła, z córką.

– Masz córkę?

– Tak.

– W jakim wieku?

– Siedemnaście lat.

– Utrzymujecie kontakt?

– Sporadycznie... Kasia ma mi za złe, że skrzywdziłem jej matkę. Zresztą... nie tylko o to ma do mnie żal... Nie dziwię się. – Zastukał parę razy palcami o kierownicę. – Wszyscy chyba mają o coś żal do swoich rodziców?

Katia przygryzła usta, mając nadzieję, że to nie jest pytanie, na która powinna odpowiedzieć. Nie czuła się gotowa do tego rodzaju rozmów. Do rozmów wagi ciężkiej.

Nigdy nie byłam i może nigdy nie będę – pomyślała, dziwiąc się, że coś takiego przyszło jej do głowy.

– Tak to się kręci.

Samochód zwolnił. Po chwili wjechali na rondo Śródka. Zrobiło się trochę jaśniej.

– Tak jak ja mam żal do swojego starego – mruknął.

– Gdzie one mieszkają? Żona i córka.

– W Berlinie. Mają nową rodzinę. Bardzo fajną.

Gdy samochód stanął pod jej blokiem, Katia przypomniała sobie Weronikę i zaraz potem Staniszewskiego, „doktorka”.

– Jaki wniosek po rozmowie z dziewczyną Grandowskiego? – zagadnęła, odpinając pas.

– No cóż, zamajaczył nam motyw – odparł Harry. – Kto wie, może doktorak przestraszył się, że wściekły dziennikarz doniesie na niego i...

Wzruszył ramionami i dokończył:

– ...wyciągnął go na spotkanie. Rozmowa zamieniła się w kłótnię, doszło do przepychanki i...

– Brzmi jak scena z opery mydlanej.

– Brzmi jak brzmi, ale trzeba to sprawdzić... Napuścimy na niego Miszcza – dodał. – Niech go sprawdzi. Jest dobry w takim dłubaniu w ludziach. – Zerknął na nią. – Ale nie myśl teraz o tym. Prześpij się. Odpocznij. Jutro czeka nas dużo żmudnej roboty.

– Dzięki, Harry – rzuciła Katia. Wysiadła, zatrzasnęła drzwi, pomachała mu i skierowała się w stronę swojej klatki.

Samochód komisarza zawarczał i odjechał, zostawiając po sobie ciemną, głuchą pustkę.

Na schodach Katia uprzytomniła sobie, że tej nocy raczej nie zaśnie. Za dużo wrażeń, emocji, myśli. Za dużo rzeczy do przemielenia przez podniecony umysł.

Życie to jest jednak porażka – pomyślała i przekręciła klucz w zamku. Weszła do mieszkania i zaczęła rozsznurowywać glany.

Nagle znieruchomiała.

Poczuła coś dziwnego, coś na kształt tęsknoty. Tęsknoty za Harrym, za jego specyficzną, intensywną i dającą poczucie bezpieczeństwa obecnością.

Westchnęła, ściągnęła buty, rzuciła je w kąt i poszła do kuchni.

XX

– Ty śpisz w ogóle? – zapytał Harry i rozejrzał się po schludnej, ascetycznej kuchni.

– A ty śpisz? – odparował Rambert, nalewając z kawiarki kawę do filiżanek.

Intensywny aromat rozniósł się po pomieszczeniu.

– Ostatnio próbuję. Stwierdziłem, że sen to jeden z lepszych leków na rzeczywistość.

– Ale w naszym wieku i zawodzie coraz trudniej dostępny.

– No tak. – Komisarz prychnął i oparł się o ścianę.

Zapadła cisza, którą delikatnie nadgryzało brzęczenie jakiegoś urządzenia.

Podinspektor odstawił kawiarkę i usiadł na stołku.

– Napij się, jest pyszna.

Oficerowie chwycili filiżanki i zanurzyli usta w gorącym napoju. Gdzieś nad mieszkaniem Ramberta rozległo się pijackie „Sto lat”.

Harry spojrzał na kolegę.

– Jakież wieści? – zapytał, ponownie przykładając głowę do pomalowanej na biało ściany.

– Chłopcy z Gorzowa sprawdzili motel, w którym została zabita Patrycja.

– No i?

– No i nic – powiedział Rambert i podszedł do okna, które poruszyło się pod wpływem nagłego podmuchu wiatru. Zamknął je, a potem z półki zawieszanej nad

lodówką zdjął paczkę papierosów i pudełko zapalek. – Ktoś bardzo dokładnie posprzątał pokój.

– Rozmawiali z właścicielem motelu? – zapytał Harry, wkładając papierosa do ust.

– Jasne – odezwał się Rambert. Zagrzechotał zapalkami, zapalił jedną i podpalił papierosa koledze i sobie. – Upiera się, że nic nie widział, nie słyszał – oznajmił i zaciągnął się mocno. – Nic nie wie.

– No tak – mruknął Harry i wypuścił dym. – Zdziwiłbym się, gdyby coś powiedział. Ci wszyscy motelarze siedzą w kieszeni gangusów.

Oficerowie zamilkli i skupili się na paleniu. Ciszę przerwał nagle męski, niski głos: „Jeszcze po kropelce, jeszcze po kropelce, póki wódka jest w butelce”. Po chwili dołączyły kolejne głosy, przede wszystkim męskie.

Harry zdusił niedopałek w popielniczce i zerknął na Ramberta, który dłonią rozrzedził kłęby papierosowego dymu.

– Teraz to na pewno nie zaśniemy.

Podinspektor wzruszył ramionami.

Komisarz wstał.

– Będę leciał – oznajmił i podał rękę koledze. – Dobrej nocy.

Mężczyźni wyszli z kuchni.

– Uważaj na siebie, Tomek – powiedział Rambert i otworzył drzwi wejściowe.

• • •

Harry zaparkował na ulicy Marcinkowskiego, tuż przed komisariatem Stare Miasto. Zatrzasnął energicznie drzwi, zapalił papierosa i mocno się zaciągając, ruszył

wzdłuż 23 Lutego.

Mijał pijanych studentów, grupki podstarzałych kurewek, dyskutujących taksówkarzy i czuł, że podnosi mu się ciśnienie. Rozpiął kurtkę i wystawił twarz na chłodny wiaterek, co sprawiło mu pewną ulgę. Doszedłszy na plac Ratajskiego, usiadł na ławce i ponownie zapalił. Wbił wzrok w swoje buty i próbował nie myśleć o niczym.

– Obciągnąć ci, przystojniaku? – Usłyszał nagle i podniósł głowę. Przed nim stała Gruba Ania, podstarzała legenda poznańskiego kurewstwa. Uśmiechnęła się do niego, wykrzywiając usta podkreślone karykaturalnie grubą szminką. Miała na sobie futerko, miniówkę, kabaretki i długie kozaki. Czknęła i wtedy komisarz poczuł zapach jabola. Zasłoniła usta i zachichotała. – Z połykiem – dodała zachęcającym tonem i uniosła lekko miniówkę. Spojrzała na niego przeciągle i wskazała podbródkiem swoje grube uda.

Harry uśmiechnął się i pokręcił odmownie głową.

– Dziękuję, ale nie – mruknął.

– Będziesz mógł się spuścić na cycki. – prostytutka nie dawała za wygraną. Kiwała się jak w tańcu, machając torebką. Wysunęła język i poruszyła nim energicznie.

– Nie mam ochoty – rzucił komisarz i spojrzał ostentacyjnie w przeciwną stronę.

– No to żałuj, kowboju – burknęła Gruba Ania i, mamrocząc coś pod nosem, ruszyła w stronę Młyńskiej.

Harry dopalił papierosa, zgasił go o ściankę blaszanego śmietnika i przymknął oczy. Zirytowany stwierdził, że dostał erekcji. Jego rozbuchana wyobraźnia zaczęła mu

podsuwać scenki zainspirowane propozycją starej kurwy. Zaczął błędzić wzrokiem po okolicy rozświetlonej lampami i neonami. W pewnym momencie usłyszał podniesione głosy. Zerknął w stronę ich źródła.

Przy wlocie 23 Lutego, pod oknem kamienicy, przy bramie, stały trzy kobiety, ubrane jak tanie prostytutki.

Zaciekawiony Harry nadstawił uszu.

– To chuj! – piekliła się jedna z nich. – Robiłam mu kabla przez dwadzieścia minut. A gdy się spuścił, pogłaskał mnie po policzku, zapiął rozporek i sobie poszedł. Nie płacąc, kurwa! Rozumiecie?! Dwadzieścia minut harowałam jęzorem, a on, kurwa, sobie poszedł jak gdyby nigdy nic! Ja go znajdę i zniszczę. Zobaczycie. Popytam tu i tam i go namierzę!

Wszyscy tylko o jednym – pomyślał ze smutkiem

– Języka nie czuję w gębie, zaschło mi w gardle – kontynuowała swój namiętny monolog dziewczyna. – Nadgarstek mi zdrętwiał, bo przy końcu targałam mu pałę ręką. I nic. Za darmochę tyrałam. Co za zjebana noc. Nic dzisiaj nie zarobiłam, kurwa, nic. Normalnie zero...

Komisarz westchnął i zaczął przypominać sobie adres Soni, młodej, ślicznej kurewki, która mieszkała gdzieś w pobliżu. Korzystał parę razy z jej usług i był zachwycony.

Szczupła, niewysoka i bielutka dziewczyna. Małe piersi, duże sutki. No i cudownie skamląca, gdy ją brał od tyłu.

Muszę się rozładować – pomyślał zażenowany. *Bo inaczej zwariuję.*

Spojrzał na zegarek, wstał i ruszył w stronę Libelta. Po paru minutach stanął pod kamienicą, wszedł w ciemną

bramę i ruszył po wysokich drewnianych schodach.

• • •

Harry otworzył drzwiczki kaflowego pieca i wrzucił do jego wnętrza kilka polan. Podmuchał parę razy, podsycając płomienie. Wystawił przed siebie ręce, potarł je, po czym zamknął i zatrzasnął drzwiczki.

Zdjął koszulkę, zgasił światło i położył się na łóżku. Zamknął oczy.

Był wykończony i ten stan bardzo go cieszył.

Gdzieś w oddali zapiszczało jakieś zwierzę, chyba kot. Potem rozległo się ujadanie psów.

Zaczął wyobrażać sobie, że siedzi w jakiejś knajpie i rozmawia z Kowbojem, potem wstaje...

Tu scena się urwała, ponieważ jego zmęczony umysł pograżył się we śnie.

Na moment przed obudzeniem zobaczył twarz Kowboja, która skrzywiła się nagle w zdumieniu. Potem ujrzał siebie, strzelającego do przestraszonego gangstera...

Otworzył oczy i wypuścił głośno powietrze.

Podniósł się na łóżku.

Dopadnę cię – pomyślał. Dopadnę i zabiję jak psa. Tak rozwiążę sprawę Patrycji.

XXI

Kowalski wyłączył telewizorek, który stał na biurku, zerknął za okno, zasłonił firankę i wyjął z torby teczkę z notatkami. Wziął łyk ciepłego piwa, skrzywił się i usiadł na łóżku. Spojrzał na zegarek. Było dobrze po północy.

Zastygł w bezruchu i zamienił się w słuch.

Lubił tak od czasu do czasu robić. Nieruchomieć, koncentrować się wewnątrz i nastawiać na wychwytywanie niemal niesłyszalnych dźwięków płynących zewsząd.

Ktoś gdzieś pokasływał, ktoś uderzał w kaloryfer, ktoś trzasnął drzwiami od klatki schodowej, ktoś oglądał mecz.

Zmrużył oczy i usłyszał szczekanie psa. Po chwili odniósł wrażenie, że słyszy pojękiwanie sąsiadki z trzeciego piętra, czterdziestoletniej Ani, rozwódki, która pracuje w jakiejś bibliotece.

Muszę ją kiedyś zagadać.

Otworzył oczy, spojrział na teczkę i wyjął z niej plik kartek, które zawierały notatki, jakie sporządził, wertując niedawno akta sprawy Grzegorza Tyklewicza¹⁴, zabójcy i gwałciciela, działającego pod koniec lat siedemdziesiątych. To było jego ulubione zajęcie:

14 Grzegorz Tyklewicz, oskarżony w procesie o trzy zabójstwa. Skazany na karę śmierci 14 lipca 1983, stracony przez powieszenie 30 maja 1985.

czytanie starych akt, szczególnie tych dotyczących seryjnych zabójców.

Kiedy ostatni raz uprawiałem seks? – zastanowił się w duchu i jednocześnie zmarszczył brwi. Miesiąc temu?

Westchnął.

Czas najwyższy wrócić do tego sportu – postanowił. Bo wpadnę w frustrację, a potem w depresję.

Wzruszył ramionami i zaczął czytać fragment stanowiący cytaty z pisma adwokata, który bronił Tykiewiczza. Prawnik dowodził, że jego klient jest „produktem” patologicznych warunków, w których się wychował.

Nagle Kowalski podniósł głowę.

Z pokoju babci dobiegł go jakiś niespodziewany odgłos. Odłożył teczkę i zaczął nasłuchiwać. Odgłos się powtórzył.

Co jest?

Wstał z łóżka i wyszedł na korytarz. Stał przed drzwiami i zapukał. W odpowiedzi usłyszał ciężkie sapanie.

• • •

Ostrowski patrzył na nią jak zaczarowany.

Była śliczna, mokra, pachnąca. Przystanąła w drzwiach i spojrzała na niego przeciągle. Miała coś dzikiego w oczach. Zrzuciła ręcznik, obnażając swoje szczupłe ciało.

Zadrżał i spojrzał na jej drobne, krągłe piersi. Nie odrywając wzroku od dziewczyny, trącił dłonią penisa, który zaczął go coraz intensywniej uciskać.

– Jesteś piękną – szepnął. – Katia, jesteś piękna.

Podeszła do niego, a on wypuścił powoli powietrze, wysunął język i dotknął nim jej pępka.

Westchnęła i przycisnęła jego głowę do swojego ciepłego, drżącego brzucha. Po parunastu sekundach chwyciła go za penisa i nadziała się na niego.

Ostrowski jęknął, czując, jak wdziera się w jej wilgotne wnętrze.

– Powiedz, że mam najlepszą cipkę na świecie – wychrypiała mu do ucha.

Gdy to zrobił, zaczęła go ujeżdżać.

Po paru minutach krzyknął i otworzył oczy. Wypuścił powietrze i usiadł na łóżku. Rozejrzał się po pokoju oświetlonym skąpym światłem księżyca, osiedlowych lamp i wieży stereo.

To tylko sen – pomyślał zawiedziony, czując silne pulsowanie w podbrzuszu. Przymknął oczy i przypomniał sobie kilka scen. Opadł na łóżko, chwycił penisa i zaczął nim poruszać. Kiedy skończył, westchnął, wytarł ręce, założył slipki, wstał i poszedł do kuchni.

Czuł ukłucie w sercu spowodowane nieobecnością Katii.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta nad ranem.

Już nie zasnę – stwierdził w duchu.

Nalał wody do odrapanego czajnika, wstawił go na palnik i sięgnął po walkmana. Postanowił wysłuchać nagrania Grandowskiego.

Założył na uszy słuchawki, położył nogi na krześle i nacisnął „Play”.

– Diane. Diane, tu mówi Wiktor Grandowski. Pozwól, że zabawię się w agenta Coopera. Muszę jakoś oszukać swój wybitnie podły humor.

Śmiech.

– Jest sierpień dziewięćdziesiątego drugiego. Wieczór, nie, właściwie to noc. Postanowiłem... Postanowiłem streścić swój beznadziejny żywot dziennikarza. A potem zadecydować, co dalej.

Pauza.

Przełknięcie śliny. Głębokie westchnienie.

– Diane. Zaczynam i zupełnie nie wiem, gdzie mnie to wszystko zaprowadzi.

Nerwowy śmiech.

– No dobrze. Zacznijmy od początku.

Pauza.

– Kiedy to wszystko się zaczęło? No tak, osiemdziesiąty czwarty. Ostatnia klasa szkoły podstawowej. Dostałem na urodziny magnetofon kasetowy. Przenośny, marki Unitra. Piękny sprzęt. To, co mnie w nim rajcowało najbardziej, to fakt, że można było wynosić go z domu i nagrywać różne rzeczy w najróżniejszych okolicznościach...

Pauza.

Przełknięcie.

Syknienie jakiegoś gazowanego napoju. Znowu przełknięcie.

– Raz nagrałem matematyka, który na zajęciach wygłaszał zabawne monologi. Pamiętam, że potem wróciłem do domu i spisałem wszystko, co powiedział. Słowo w słowo, toczka w toczkę. Czułem wtedy niesamowite podniecenie. Gdy to później odczytałem, odniosłem wrażenie, że ocalałem coś od zapomnienia, że utrzymałem kawałek prawdy, która bez tego przeminęłaby bezpowrotnie. Może wtedy połknąłem bakcyli?

Cisza.

– Nie. Był inny ważniejszy moment. Parę miesięcy później. Byłem na wakacjach u wujostwa. Mieli ładną córkę, starszą ode mnie o parę lat. Sylwia miała na imię. Kręciło się przy niej dużo chłopaków, ale ona była nieszczęśliwie zakochana w jakimś studencie. Któregoś razu siedziałem sobie w dużym pokoju i grzebałem przy moim magnetofonie. Zadzwonił telefon. Sylwia przybiegła, podniosła słuchawkę i poprosiła mnie o opuszczenie pokoju. Natychmiast. Dzwonił ten student. Wyszedłem, nie mając czasu na to, żeby wyłączyć nagrywanie. Po kwadransie wróciłem, wziąłem magnetofon, mówiłem na niego „magnet”, i poszedłem do szopy. Z bijącym sercem odsłuchiwałem rozmowę Sylwii ze studentem. To było zerwanie. Bardzo smutna scena. Dziewczyna płakała coraz mocniej. Słuchając, czułem wyrzuty sumienia, że to robię, ale jednocześnie... jednocześnie... strasznie mnie to kręciło. – Pauza. – Co mnie kręciło?

Odgłos nalewanej wody.

– Co mnie kręciło? Chyba to, że dowiedziałem się czegoś, o czym nikt nie wiedział. Że stałem się mimowolnym świadkiem sekretnego wydarzenia... – Chwila namysłu. – Tak, to wtedy poczułem, że ten magnetofon może być jakoś związany z moim przyszłym zawodem. A potem poszedłem do liceum. Poznałem Dominika Labudę, nauczyciela historii, który prowadził kółko historyczne. Zaraził mnie książkami, których autorzy uwielbiali wykorzystywać język potoczny, język ulicy. Krótko mówiąc, prawdziwy język, zupełnie inny niż ten, którym posługują się tradycyjnie pisarze. Pamiętam

jedną powieść. Cienką, niepozorną książkę. Niebieska okładka przedstawiająca ucho. To ucho było symbolem. W literaturze chodzi o to, żeby podsłuchiwać i to, co się podsłuchiwało, przerzucać na papier. Podnieciła mnie ta koncepcja, która stawiała na życie, na mięcho, na konkret.

Cisza.

– W tym czasie zacząłem oglądać namiętnie filmy o dziennikarzach. Największe wrażenie zrobili na mnie „Wszyscy ludzie prezydenta”. Pomyślałem, czy może naprawdę nie zostać dziennikarzem. W końcu poszedłem na zebranie redakcyjne gazetki szkolnej.

Śmiech.

– Szybko się wciągnąłem, poczułem bluesa. Ale szybko mnie z niej wyrzucili.

Cmoknięcie.

– Chciałem demaskować życie szkolne, a większość redakcji miała inny cel. Wchodzenie w dupę ciału pedagogicznemu... Kiedyś byłem świadkiem, jak nasz wuefista przypierdolił po pijaku w drzewo. Nic mu się nie stało, jechał bardzo wolno, właściwie parkował pod blokiem, no ale... Jechał po pijaku, a z tego, co słyszałem, coraz częściej mu się to zdarzało. Chciałem o tym napisać, ale naczelny, zezowaty pizduś z trzeciej ce, nie pozwolił. Na kolegium stwierdził oskarżycielsko, że to byłby sabotaż. Na koniec dodał tym swoim pierdolonym protekcyjnym tonem: „Naszym celem jest budowanie zaufania do nauczycieli, a nie tanie prowokacje, które podważają autorytet naszych znakomitych pedagogów”. Strasznie się pokłóciłem... A wyrzucili mnie, gdy chciałem złożyć tekst, w którym

dowodziłem, że nauczyciel od polskiego obniża oceny uczniom, których rodzice zaangażowani byli w działalność opozycyjną.

Westchnienie i kolejna pauza.

– W szkole był radiowęzeł. Postanowiłem tam podzielać. I podzielałem... ale do czasu.

Ostrowski ściągnął słuchawki i spojrzał na czajnik, z którego dziobka wydobywała się para. Odłożył walkmana, zalał sobie kawę, zrobił kanapkę i wrócił na fotel. Słuchał dalej opowieści Grandowskiego.

– Rozmawiałem z dyrekcją, nauczycielami, uczniami, gośćmi z zewnątrz. Wszyscy lubili te audycje. Stałem się popularny w szkole. Ludzie zagadywali mnie, podrzucali pomysły, wskazywali ciekawe osobistości... Ale, ale... Któregoś razu zaprosiłem wokalistę z punkowego zespołu ze Szczecina. Był trochę wcięty i w pewnym momencie zaczął kurwować przeciwko władzy, a na koniec wymieniać nazwiska znienawidzonych przez siebie esbeków. Po paru takich zdaniach do studia wparował wściekły dyrektor i wykopał gościa ze studia.

Cisza.

– A ja? Cóż, dostałem naganę i zakaz zbliżania się do wszelkich mediów szkolnych. Na szczęście zdążyłem się zarazić dziennikarką. Po maturze, w osiemdziesiątym dziewiątym, złożyłem papiery na polonistykę do Poznania. W listopadzie wujek załatwił mi praktyki w „Expressie Poznańskim”. Te praktyki się przedłużyły, aż w końcu zostałem etatowym dziennikarzem. Kronikarzem doby transformacji. No i szybko się przekonałem, że prawda to jest coś, czego większość ludzi unika. Od kościoła, poprzez biznes, gangsterkę,

a na redaktorach naczelnych kończąc. Amen.

Tu nagranie się skończyło. Po krótkiej chwili Ostrowski usłyszał oklaski. Gdy rozpoznał dwa znajome głosy, uśmiechnął się.

– Witam bardzo gorąco i bardzo serdecznie po raz pierwszy w naszym rajku.

Oklaski.

– Duszno tu.

Śmiech.

– No bo dusze siedzą.

– To są te dusze?

– Tak.

– Czy to prawda, że one mają wszystkie równo?

Śmiech, burza oklasków.

– Teoretycznie tak.

– A tamta dusza?

– To jest anioł stróż tych dusz.

Oklaski.

– To więcej tych aniołów stróżów widzę.

Oklaski.

– A czym się różni anioł stróż od innych dusz?

– Ma duszę na ramieniu.

Oklaski.

– A archanioł?

– No dwie dusze.

– A jak ma cztery dusze?

– No kapitan, nie? Kapitan rajskiego stadka.

– A ty, chłopcze?

– To jest dyrygent.

– A on sam nie potrafi odpowiedzieć?

– Nie, bo jest głuchy jak pień.

Śmiech, oklaski.

Skończyła się kasetka. Ostrowski odłożył walkmana, dopił kawę i ciężko człapiąc, poszedł do łazienki.

Spojrzał w lustro i wyobraził sobie, że wpatruje się w odbicie Katii. Gdy przypomniał sobie jej miętowy oddech, zadrżał.

Muszę ją mieć – pomyślał, cytując fragment znanej piosenki Dżemu.

Umył zęby, wytarł czoło ręcznikiem i wrócił do łóżka, ciężko wzdychając.

Misiński syknął z irytacją i klepnął dłońmi maszynę do pisania.

Cholerne czcionki znów się szczepiły!

Przewrócił oczami, naprawił usterkę, wytarł palce poplamione tuszem, dopisał kilka słów i odchylił się na krześle.

Spojrzał na zapisaną stronę, wykręcił ją, chwycił plik papierów, podszedł do stolika, na którym stał adapter. Nastawił płytę Drupiego, usiadł na sofie i zaczął czytać to, co napisał w ciągu ostatniej godziny.

• • •

Kalupa drgnął, gdy usłyszał dźwięk otwieranych gwałtownie drzwi. Podniósł głowę znad maszyny do pisania, na której pisał jakiś raport. W progu stanął Harwej z posępną miną.

– Co się stało?

Choraży usiadł na fotelu.

– Dostałem zjebkę od starego – oznajmił. – Za ciebie zresztą też.

– No ale za co?

– Chodzi o to, że jeszcze nie stało się to, co powinno już dawno się stać – burknął Harwej i rozejrzał się po gabinecie. Wzrok utkwiał w szafce ustawionej w rogu. Sapnął, podszedł do niej, otworzył, nalał sobie wódki i wypił. Przetarł usta, stanął przy uchylonym oknie

i zapalił papierosa. – Szarak – rzucił.

– A. – Porucznik pokiwał głową, po czym wystukał energicznie paręnaście znaków i odchylił się na krześle.

– Szarak gdzieś kicnął i go nie ma.

– Stary powiedział, że jesteśmy dupy, a nie szkiety, skoro nie potrafimy złapać byle wieśniaka.

– To nie taki byle wieśniak. To niebezpieczny gwałciciel i zabójca.

– Nie filozofuj – warknął Harwej. – Musimy coś wymyślić.

Kalupa wstał od biurka i usiadł na drugim fotelu ulokowanym przy ławie. Wyciągnął nogi przed siebie, głowę oparł o krawędź oparcia, spojrzął na sufit i zamknął oczy.

– To wymyślajmy – mruknął i złożył ręce jak do modlitwy.

Zapadła długa cisza.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Mnie też nie.

– No to jesteśmy w dupie.

Kalupa podszedł do biurka, wyjął z szuflady tytoń i bibułki. Usiadł na fotelu i zaczął zwijać skręta.

Harwej skrzywił się na ten widok i zerknął na czubki swoich butów.

– Mamy dwa dni – oznajmił. – Potem sprawę dostaną jakieś młodziaki.

Porucznik zagrzechotał pudełkiem zapalek i zapalił papierosa.

– Rozumiem – odparł, gdy wypuścił dym z ust. – Motywacja poprzez groźbę upokorzenia.

Choraży spojrzął na zegar. Była osiemnasta trzydzieści.

– Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie wymyślimy, gdzie ten pieprzony dziczek mógł spierdolić – syknął.

• • •

Harwej ziewnął i zerknął na zegarek. Dwudziesta pierwsza dwadzieścia.

Zaśmiał się nerwowo.

– Chyba rzeczywiście nie wyjdziemy stąd tak szybko – oznajmił kwaśno Kalupa, po czym wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Omówiliśmy wszystkie możliwe scenariusze. Żaden z nich nie wydaje się sensowny.

– To jest właśnie to – powiedział chorąży. – Najgłupszy są najtrudniejsi.

– Co prawda, to prawda.

Cisza.

Kalupa zamknął okno, podszedł do drzwi, otworzył je, zlustrował korytarz, zamknął.

– Żywego ducha. – Westchnął. – Skończmy na dzisiaj. Już nic nie wymyślimy.

– Nie.

– Wściekłeś się.

– To prawda.

– Ale to jest bez sensu, człowieku.

– Nieważne! Będziemy siedzieć do oporu!

– Mózg ci się przegrzał.

Harwej nabrał powietrza, żeby coś powiedzieć, ale zadzwonił telefon. Wstał, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Harwej – burknął i usiadł na krześle. Zrobił znudzoną minę. – Cześć, Misio – mruknął i pokiwał głową. – Da się zrobić. Tamtejszy naczelnik jest moim dobrym kumplem.

Nie ma sprawy. Do jutra. – Odłożył słuchawkę i wrócił na fotel.

– Czego chciał Misio?

– Szuka wejścia do zakładu we Wronkach.

Cisza.

Harwej zaczął nucić piosenkę z „Rio Bravo”. Kalupa uśmiechnął i zawtórował. Przez chwilę razem podśpiewywali sobie, naśladując filmowych kowbojów.

Nagle chorąży zamilkł.

Porucznik zmarszczył czoło i spojrzał na kolegę, który wstał, zrobił parę kroków i stanął na środku pokoju.

– Co jest?

– Zakład karny.

– Ale że co?

– Nie kapujesz?

– No nie.

– Ten nasz półgłówek zrobił coś durnego – oznajmił Harwej, uderzając się po udach. – Wpadł i poszedł siedzieć...

Kalupa wypuścił głośno powietrze.

– To jest myśl – szepnął. – I teraz gnije w jakimś areszcie śledczym albo w zakładzie karnym.

– Otóż to.

Porucznik zerwał się z fotela.

– Jutro z samego rana trzeba powysyłać zapytania do wszystkich pierdli – oznajmił. – Może rzeczywiście nasz klient w którymś z nich przycumował na jakiś czas.

Harwej wyszczerzył zęby.

– Teraz możemy iść do domu – stwierdził i ponownie zanucił „Rio Bravo”.

Kalupa odpowiedział kilkoma nutami.

Po chwili zgasło światło, a milicjanci żwawo opuścili pokój.

• • •

– I co, chłopaki? – zapytał naczelnik, spoglądając surowo na Kalupę i Harweja.

Choraży wzruszył ramionami i spojrział w bok.

– Wysłaliśmy zapytanie do aresztów i zakładów – odpowiedział porucznik, trąc się nerwowo po szyi. – No i czekamy...

– Czekacie? – warknął szef dochodzeniowców, zwalisty mężczyzna o surowych rysach twarzy. – Już miesiąc czekacie i gównie z tego wynika.

Naczelnik zacisnął pięść i położył ją na blacie biurka.

Kalupa poruszył się niespokojnie na krześle.

– No nie, panie naczelniku – zaprotestował. – Miesiąc tyraliśmy, a czekamy od rana. Minęło dopiero dziesięć godzin.

Harwej zerknął na zegarek, zachowując milczenie.

Naczelnik pokiwał głową, sięgnął po duże zielone jabłko położone na talerzyku, chwycił nożyk i zaczął flegmatycznie obierać owoc. Ukroił sobie kawałek, schrupał, po czym wbił wzrok w podwładnych.

– Stary wczoraj wezwał mnie na dywanik i opierdolił za was – oznajmił i wyciął sobie kolejny kawałek mięszu.

Kalupa lekko się zgarbił, Harwej przewrócił oczami.

Naczelnik podniósł palec.

– A macie inny plan? – zapytał ostro. – W razie gdyby z tego waszego czekania dalej nic nie wynikało?

– Nie mamy – odparł porucznik, robiąc przy tym

wisielczą minę.

Harwej chrząknął.

– Myślę, że ten plan jest dobry – odezwał się zaczepnie.
– Trzeba po prostu być cierpliwym. Chłopcy muszą przeczytać, na spokojnie pomyśleć i w końcu pewnie któryś da nam znać... A jeśli to nie wypali, wymyślimy coś innego.

Naczelnik prychnął.

– Nie wymyślicie nic innego, bo odbiorę wam tę sprawę
– burknął i spojrzał na jabłko. Chwycił je i ugryzł agresywnie. Krople soku spłynęły mu na brodę, stał je zirytowany. – A teraz wypieprzajcie – zakomenderował.

Policjanci wstali i w milczeniu opuścili gabinet zwierzchnika.

– Znowu jesteście w dupie – stwierdził Kalupa, gdy schodzili po śmierdzących chlorem schodach.

• • •

Tamtego dnia nikt się nie odezwał, więc milicjanci przed północą pojechali do domów ze smętnymi minami.

Nazajutrz siedzieli od rana w pokoju Harweja, wypełniali dokumenty i co chwilę nerwowo spoglądali na telefon. Milczał jak zaklęty.

Dzwonek rozległ się w okolicach południa.

Porucznik zerwał się z krzesła i podniósł słuchawkę.

– I co? – Gdy usłyszał nieprzyjemny głos naczelnika, zapadł się w sobie, wysłuchał pokornie bluzgów i odłożył słuchawkę.

– Mocno kurwował? – zapytał chorąży.

– Nie chcesz wiedzieć – mruknął porucznik.

• • •

Choraży spojrział na zegarek. Była osiemnasta trzydzieści.

Westchnął i położył nogi na biurku, rozłożył gazetę, w której natrafił na krótki wywiad z Ziębińską, i zaczął z wielkim zainteresowaniem czytać wypowiedzi pani prokurator. Krótkie, zwięzłe, konkretne. W trakcie lektury kiwał głową z uznaniem.

Nagle zadzwonił telefon. Milicjant skrzywił się i spojrział gniewnie na aparat, ale nie odebrał.

Urządzenie znowu zaterkotało. Raz, drugi, trzeci, czwarty. Ktoś po drugiej stronie linii nie zamierzał rezygnować.

Harwej zaklął pod nosem, zdjął nogi z biurka i chwycił słuchawkę.

– Proszę chwilę poczekać – odezwał się, doczytał rozmowę do końca i ponownie przyłożył słuchawkę do ucha.

– Harwej – mruknął. – Cześć, Kaziu! – Uśmiechnął się i podniósł na krześle. – Co słysząc? Tak. Szukamy takiego gościa... Uhm... Zapadł się pod ziemię. To prosty chłopak jest, typowy dziczek, więc nie wierzymy, że potrafił sam z siebie tak genialnie zniknąć. Takie jaja się nie zdarzają. – Otworzył szufladę i wyciągnął papierosa. Zapalił, zaciągnął się, założył nogi na biurku. – No... – Zaczął wodzić wzrokiem po pomieszczeniu, które dzielił z dwoma kolegami. Zatrzymał się na plakacie Samantha Fox.

Seksowna wokalista spoglądała z uśmiechem w obiektyw, trzymając w dłoniach sznureczki rozwiązane biustonosza.

Zamrugał parę razy.

– Podejrzewamy, że został zatrzymany i zamknięty w jakimś pierdlu – powiedział, przenosząc spojrzenie na biurko. – Dlatego sprawdzamy areszty śledcze i zakłady karne... – Przysunął do siebie popielniczkę. – Chodzi o ostatni miesiąc... – oznajmił. Dźwignął się, zgasił papierosa i zamarł. – Że co? – Zmarszczył brwi. Chwytał długopis, pstryknął nim parę razy. – Opisz klienta – rzucił. Po kilku sekundach podrapał się po policzku i wypuścił powietrze. – Lewy kącik ust? Opadający. – Sięgnął po gazetę. – Jak się nazywa? – Zapisał personalia tuż pod wywiadem z Ziębińską. – U was? W Śremie? – upewnił się. Gdy usłyszał odpowiedź, pokiwał głową i prychnął. – Czyli mieliśmy go pod nosem. – Wydarł kawałek gazety i dźwignął się z krzesła. – Za co siedzi? – Zaśmiał się. – Dobra, stary, dzięki. Będziemy w kontakcie. – Odłożył słuchawkę, spojrzał na Samanthę i puścił do niej oko. – Ożeniłbym się z tobą – szepnął.

Na korytarzu rozległy się kroki. Chorąży zerknął na drzwi, które otworzyły się po chwili. W progu stanął porucznik Kalupa.

– Serwus – powiedział.

Mężczyźni podali sobie dłonie.

– Namierzyliśmy Szaraka – rzucił Harwej.

– Jak to? – zapytał porucznik, siadając na fotelu przy ławie.

– Dzwonił przed chwilą Kaziu z aresztu w Śremie. Gdy dostał nasze zapytanie, skojarzył sobie chłopaka, który został osadzony u nich jakieś trzy tygodnie temu. Rysopis się zgadza. Krzywy ryj też.

Kalupa pokiwał głową, położył na ławie opakowanie tytoniu i zaczął robić skręta.

– No to pięknie – powiedział, uśmiechając się zawadiacko. – Zaraz wyślemy tam techników. Wezmą od niego paluchy i porównają z tymi, które zostawił nasz sprawca.

Milicjanci spojrzeli po sobie.

Choraży wyjął małąkę z wewnętrznej kieszeni kurtki i spojrzął na porucznika.

– Napijesz się?

– Nie, zapalę.

Harwej wziął dużego łyka, a Kalupa zaciągnął się papierosem.

Odetchnęli głęboko, po czym zawadiackim krokiem wyszli z pokoju.

• • •

Kolejny dzień upłynął im przede wszystkim na niecierpliwym oczekiwaniu na wyniki badań daktyloskopijnych.

Gdy minęła piętnasta, Harwej uderzył o blat biurka.

– O co chodzi? – krzyknął zirytowany i wbił wzrok w Kalupę, który pieczołowicie skręcał kolejnego papierosa.

– Może okazało się, że paluchy jednak nie pasują? – zapytał, kręcąc głową. – Mieliśmy już kilka takich przykładów. Pamiętasz?

– Pamiętam – mruknął porucznik i polizał bibułkę.

Harry sięgnął po małąkę, opróżnił ją i wyrzucił do kosza.

– Zaraz tam do nich pójde – warknął. – Ile czasu można

paluchy badać?

– Siedź na dupie.

Choraży usiadł obok porucznika i zaczął przyglądać się plakatowi Samantha.

– Dobrze, że jednak nie zadzwoniłem do Ziębińskiej z przedwczesnymi przechwałkami – burknął.

– Ano dobrze – odezwał się Kalupa. Wzniósł skręta, przyjrzał mu się uważnie i zapalił.

Harwej zabębnił palcami o blat.

Nagle otworzyły się drzwi. W progu stanął wysoki, łysy mężczyzna. Spojrzał na milicjantów, kiwnął głową.

– Porównaliśmy paluchy – powiedział. – To ten sam gość.

Harwej uśmiechnął się promiennie.

– Dzięki. – Wstał energicznie i zerknął na Kalupę. – Jedziemy do Śremu zawinąć dziczka.

Porucznik westchnął.

– Kruca fuks – szepnął, zaciągnął się mocno. Zdusił niedopałek i podniósł się leniwie.

– Szarak zabójca – rzucił technik. – Cudowne połączenie. – Zarechotał. – Przyjemnej przejażdżki, chłopaki. – Zatrzasnął drzwi.

Na korytarzu rozległy się kroki i pogwizdywanie, które przypominało melodię radzieckiego hymnu.

– Lenin wiecznie żywy. – Choraży zachichotał.

– A jak – mruknął Kalupa.

Wyszli z pokoju.

XXIII

Kowalski wszedł nieśmiało do pokoju gościnnego państwa Grandowskich i usiadł na wskazanym miejscu: na pufie przy ławie.

Rozejrzał się po salonie, który różnił się od typowych polskich mieszkań minimalistycznym wystrojem, a potem spojrzał na gospodarzy. Siedzieli na niebieskiej sofie, na jej krańcach.

Policjant zwrócił uwagę na dystans pomiędzy małżonkami tworzącymi osobliwą parę.

On był uosobieniem przeciętności. Mniej więcej pięćdziesięcioletni, ubrany bardzo zwyczajnie, w lekko przetarte siwe sztruksy i w za dużą popielatą koszulę z kieszonką. Krótkie, przyprószone siwizną włosy. Długie wąsy utrzymane według modowych wytycznych z lat osiemdziesiątych. Na nogach brązowe skarpetki oraz brązowe laczki.

Ona elegancka, dostojna, przypominająca trochę Krystle Carrington z „Dynastii”, z tą ważną różnicą, że brakowało jej ciepła i promiennego uśmiechu. Jasne włosy do ramion, charakterystyczna grzywka, biała koszula opinająca spory biust, czarna spódnica do kolan, czarne rajstopy i botki. Złoty zegarek na ręce podkreślał jej ciemną karnację.

Szybko można było się zorientować, że to ona grała tu pierwsze skrzypce, on natomiast stał z boku i zabierał głos na wyraźny sygnał żony.

Kowalski zaczął wyjaśniać swoją obecność. Próbował ją przedstawić jako efekt normalnego rutynowego działania, które się podejmuje w sytuacji impasu śledztwa.

– Chciałbym po prostu porozmawiać z państwem o synu, może wypłynie coś nowego – mówił. – To się czasami zdarza.

Grandowski westchnął, a Grandowska się najeżyła.

– Mamy rozumieć, że śledztwo było dotychczas prowadzone nieudolnie? – zapytała, poruszywszy się niespokojnie w fotelu. Wbiła surowe spojrzenie w sierżanta.

Kowalski chrząknął i zaczął gorączkowo układać w myślach dyplomatyczną odpowiedź.

– To byłoby niesprawiedliwe podsumowanie – odparł. – To bardzo skomplikowana, trudna sprawa. Pewne założenia i scenariusze się nie sprawdziły. Robimy zatem nowe podejście.

Grandowska ściągnęła groźnie usta.

– Macie jakieś nowe ślady, poszlaki? – zapytała.

Kowalski popukał palcem w blat i wypuścił głośno powietrze.

– Dla dobra śledztwa...

Przerwała mu niecierpliwie:

– Dla dobra śledztwa nie możecie nic ujawnić, rozumiem – rzuciła oschle. – Znam te teksty.

Sierżant spojrział na Grandowskiego, który posępnie przyglądał się białemu obrusowi na ławie i co jakiś czas kiwał apatycznie głową.

Najwyraźniej zabarykadował się w swoim wewnętrznym świecie – pomyślał Kowalski i ponownie

spojrzał na Grandowską.

– Pani Gabrielo – odezwał się najspokojniej i najcierpliwiej jak potrafił. – Rzeczywiście, niewiele mogę mówić, ale chcę panią zapewnić, że jesteśmy dobrej myśli. Klarują się świeże pomysły, obiecujące koncepcje.

– To ciekawe, że jeszcze to ciągniecie.

– Dlaczego?

– Ten mały, wąsaty komisarz, który nas przesłuchiwał, robił to z daleko posuniętą dezynwolturą. Nie dostrzegłam w jego zachowaniu odpowiednio silnego zaangażowania.

– Ach tak – mruknął Kowalski i westchnął.

Napiłbym się kawy.

– Rozumiem – powiedział, przyglądając się porcelanowej cukiernicze. – To złudne. On po prostu ma taki styl bycia. Ale jest świetnym policjantem, jednym z najlepszych operacyjniaków w komendzie. Naprawdę.

– No nie wiem. Najwyraźniej wymienili go na pana.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

Kowalski zerknął na Grandowskiego, który odwzajemnił spojrzenie.

– Może kawę zaproponuję panu sierżantowi? – zapytał ojciec dziennikarza, ożywiając się nagle.

– Bardzo chętnie, dziękuję. – Sierżant uśmiechnął się i kiwnął głową z zadowoleniem.

Propozycja zadziałała jak zastrzyk adrenaliny, więc postanowił przejść do pytań.

Grandowski wstał i ruszył w stronę drzwi. Grandowska skrzywiła się i odprowadziła go spojrzeniem.

Jak ją zagaić? – zastanawiał się policjant. Od czego zacząć, żeby jej nie rozżłościć?

Podrapał się po barku, zerknął do notesu, wziął głębszy oddech.

– Czy w życiu pani syna wydarzyło się coś zastanawiającego, niepokojącego, o czym powinniśmy wiedzieć? – zapytał, niezbyt zadowolony ze swojej kwestii.

Wzruszyła ramionami.

– Wikuś był dziennikarzem w niebezpiecznych czasach – odpowiedziała oschle. – Więc pewnie cały czas mu się coś takiego przytrafiało. Tyle się dzisiaj słyszy o bezkarności bandziorów. Ostatnio ktoś mi mówił, że niejaki Barnaba przetrzymywał przez parę godzin jakiegoś dziennikarza u siebie w gabinecie i nikt mu nic z tego powodu nie zrobił. – Grandowska sapnęła i potrząsnęła bransoletkami na prawym nadgarstku. – Wikuś mi o niczym nie mówił – dodała po chwili namysłu. – Ale widziałam, że od wakacji chodził wyraźnie struty, zasępiony.

– Domyślała się pani powodów?

– Nie.

– Może to był efekt – Kowalski zakaszłał – niepowodzeń miłosnych?

– Nie sądzę. Umiem odróżnić te rzeczy.

– Te rzeczy?

– Miłosne rozterki od prawdziwych problemów.

Ktoś tu jest całkowicie pozbawiony sentymentów – pomyślał Kowalski i wyciągnął z kieszeni marynarki długopis. Ciekawa babka.

– No tak... – mruknął.

Z kuchni dobiegł ich gwizdek czajnika.

– Znała pani jakichś wrogów Wiktora?

– Nie... Chociaż wiem, że po serii artykułów o jakimś przekręcie gospodarczym w Obornikach dostawał głuche telefony.

– Na który telefon?

– Ten w Kozięgłowach.

Kowalski mgliście skojarzył sobie sprawę sprzed roku, nad którą pracowali jego koledzy i koleżanki z Wydziału Przystępstw Gospodarczych. Nie pamiętał szczegółów. To była jakaś firma transportowa, której dyrektor wyprowadził większą gotówkę. Po artykułach, które zainicjował właśnie Grandowski, został zatrzymany i aresztowany.

Zanotował parę słów.

To nie to – stwierdził w duchu.

Do pokoju wrócił Grandowski ze srebrną tacką, na której stały trzy filiżanki kawy, pojemniczki z mlekiem i talerzyk z apetycznie wyglądającymi faworkami oraz kokosankami.

Sierżant oblizał usta i wbił wzrok w zarumienione wypieki obficie posypane cukrem pudrem.

Upił łyk kawy i błyskawicznie schrupał jednego faworka. Wytarł usta, upił jeszcze parę łyków gorącego napoju i z trudem powstrzymał się od sięgnięcia po ciastko, które kusilo go kokosowym aromatem.

Pokiwał głową, po czym zadał kilka ogólnych pytań o Wiktora, co dało początek chaotycznej opowieści o młodym dziennikarzu całkowicie skoncentrowanym na swojej pracy. Była to opowieść dość smutna, bo akcentowała idealizm, który cały czas konfliktował chłopaka ze światem zewnętrznym.

Gdy Grandowska opuściła na chwilę pokój, Grandowski

pochylił się nad ławą i zagadnął życzliwie:

– Może powinien pan się skontaktować z Tolkiem z „Expressu Poznańskiego”?

Kowalski pokiwał głową.

– Z Tolkiem? A kto to jest? – zapytał.

– Kumpel Wiktora – odpowiedział Grandowski, ożywiając się niespodziewanie. – Tolek to pseudonim. Chłopak nazywa się Tomek Bananowski. Znają się od czasów studenckich. Byli blisko ze sobą. Nawet po tym, jak Wiktor odszedł z redakcji.

– Świetna podpowiedź! Ma pan na niego jakieś namiary?

– Pewnie – odpowiedział Grandowski, wyjął z kieszonki koszuli wizytówkę i podał ją sierżantowi.

Do pokoju wróciła Grandowska. Atmosfera znowu się zwarzyła.

Kowalski zadał jeszcze parę pytań, zjadł faworka, kokosankę, pożegnał się i opuścił mieszkanie rodziców dziennikarza, rozmyślając o tym dziwnym małżeństwie.

XXIV

Katia uchyliła się i zaatakowała worek. Odsunęła się o parę kroków, przetarła ręką spocone czoło, i znowu natarła. Tym razem kopnęła kilka razy. Potem odwróciła się i zerknęła na Ulę, która z fascynacją przyglądała się tej dynamicznej scenie.

Stała w rozkroku i pochyliła się na moment. Odetchnęła głęboko, rozpuściła włosy, podszła do ławeczki, na której siedziała Ula, i napiła się wody z bidonu.

– Miałam sen – powiedziała Katia, siadając na materacu.

– Jaki?

– Pojechałam z Harrym na robotę gdzieś na koniec województwa. Po różnych czynnościach wróciliśmy do motelu, w którym mieliśmy zarezerwowany nocleg. – Katia położyła się i uniosła w górę nogi.

– Zaczyna się niezłe! – Ula zachichotała i przeniosła się z ławeczki na materac. – Mów dalej, stara.

– Mieliśmy oddzielne pokoje. Obok siebie.

– No domyślam się!

Katia opuściła nogi.

– Szliśmy w milczeniu korytarzem – kontynuowała, przekręcając się na bok. – W końcu każde stanęło przed swoimi drzwiami. Włożyłam klucz do zamka, przekręciłam i zerknęłam na niego. Nie wiem dlaczego, ale westchnęłam głęboko.

– Jak na filmie.

– Jego spokój, obojętność, zmęczenie... Podziało na mnie jak afrodyzjak. Podnieciłam się strasznie. Spojrzał na mnie. Uśmiechnął, życzył dobrej nocy tym swoim zmysłowym głosem. Odpowiedziałam, otworzyłam drzwi i weszłam do środka pokoju, czując, że wali mi serce.

Ula zagryzła usta.

– I co dalej?

– Wzięłam prysznic – odpowiedziała Katia. – Wyobrażając sobie, że... że robię to z Harrym. Gdy się wycierałam, postanowiłam, że zapukam do niego.

– I zapukałaś?

– No.

– Otworzył?

– Otworzył.

– I co?

– Otworzył, ale to nie był on.

– Jak to?

– To był Ostry.

– Ostry?

– No taki zwrot akcji.

– I co?

– I nic. – Katia wstała i wzruszyła ramionami. – Obudziłam się.

– Nieźle, stara – odparła Ula i po krótkim namyśle zapytała: – I jak to interpretujesz?

– Nie umiem. I chyba nie chcę.

Ruszyły w stronę wyjścia.

– No, za babami nie trafisz – mruknęła po chwili Ula i roześmiała się.

Wyszły na korytarz i wmaszerowały do szatni.

Za ścianą ktoś słuchał piosenki Big Cyca o Berlinie Zachodnim.

– A co z Oстрыm?

– A co ma być?

– Coś z nim wykręcasz? Jakieś tararira? Po tamtym namiętym samochodowym pocałunku?

Katia wyciągnęła z torby ręcznik i klapki.

– Nie mam czasu, zarobiona jestem – rzuciła niechętnie.

– Rozumiem. – Ula pokiwała głową, rozejrzała się po szatni i zagadnęła:

– A pamiętasz Derwiniaka?

– Pewnie – odparła Katia, ściągając koszulkę.

– Został zatrzymany, przyznał się do ataku na żonę.

– A co na to żona?

– Żona na to, że to jej wina, że go sprowokowała.

– Żartujesz?

– Nie. – Ula pokręciła głową. – Co więcej, w czasie przesłuchania prokuratorskiego walczyła o jego wolność jak lwica. Płakała, błagała, mówiła, że to święty człowiek, żeby go nie zamykać. Że to jakaś pomyłka.

Katia rozebrała się do naga, owinęła ręcznikiem, ściągnęła włosy w kitkę i spojrzała na koleżankę.

– I jak to interpretujesz?

– Wolę tego nie interpretować, stara. Bo mnie kurwica zaraz weźmie – warknęła Ula.

Katia wsunęła stopy w klapki.

– Jesteśmy dobrze wytresowane przez nasze ukochane matki, które zostały znakomicie wytresowane przez swoje ukochane matki – rzuciła i poszła do łazienki.

Zza ścianą cały czas nadawał Big Cyc:

Zgwałcono babcię, pobito psa / Przemyt ręczników do

RPA / Skradziono cnotę nieletniej Zosi / Mamusia
o ratunek prosi¹⁵.

15 Fragment utworu „Kapitan Żbik” grupy Big Cyc. Tekst autorstwa Krzysztofa Skiby.

Kowalski, ubrany w czarny garnitur, w którym był na pogrzebie babci, a potem na krótkiej stypie, wysiadł z tramwaju, przeszedł parę metrów ulicą Grunwaldzką i wszedł do środka kamienicy, w której mieściła się redakcja „Expressu Poznańskiego”.

Na pierwszym piętrze zatrzymał się przy portierni i smutnym głosem poprosił młodą dziewczynę, która siedziała za biurkiem obstawionym kilkoma telefonami, o kontakt z redaktorem Tomaszem Bananowskim.

Po paru minutach stanął przed nim schludnie ubrany trzydziestolatek i zaprosił do środka. Miał wysoki, piskliwy głos.

– Pogadamy sobie w pokoju publicystów – oznajmił i ruszył przed siebie.

Minęli kilka pokoików, jeden open space pełen rozdyktowanych ludzi, skręcili dwa razy w lewo i weszli do średniej wielkości pomieszczenia.

Policjant usiadł na skórzanej sofie, a dziennikarz na krześle obrotowym przy biurku.

Kowalski wyciągnął notes i pstryknął parę razy długopisem. Bananowski złożył dłonie w piramidkę i po chwili namysłu powiedział:

– Myślę o jego zniknięciu i niczego sensownego nie mogę wymyślić. Niestety. Pustka w głowie.

– Żadnych pomysłów? – zapytał Kowalski, unosząc dłonie.

- Żadnych.
- Nawet niedorzecznych?
- Nie. Chociaż...
- Tak? - Kowalski poprawił się na sofie.
- Parę tygodni temu przypominałem sobie coś... - mruknął dziennikarz. Przejechał palcem po nosie i rzucił, potrząsając sceptycznie głową: - Ale... to zabrzmiało jak... tandetne rozwiązanie, jak wątek z filmu klasy B.
- Proszę powiedzieć.
- *Revenge movie*. - Bananowski się zaśmiał i zakręcił lekko na swoim obrotowym fotelu. - Dobra - powiedział, stawiając nogi na ziemi. - Wiosną tego roku Wiki wpadał co jakiś czas do Novotelu na Warszawskiej, tam, gdzie miastowi się stołują. Chciał popatrzeć sobie na gangsterów. Był ciekawy, jak wyglądają, jak się ubierają, jak zachowują. Potem robił z tego notatki. Kiedyś powiedział mi przy piwku, że za parę lat chciałby napisać scenariusz serialu gangsterskiego. Takie polskie „Crime Story” to miało być. No i tego... - Dziennikarz podrapał się po głowie. - Kiedyś zagadała go tam jakaś laseczka. Chyba jej wpadł w oko... - Bananowski zerknął na Kowalskiego. - Okazało się, że to była narzeczona niejakiego Peweksa.
- Peweksa?
- Młodego gangusia, który, o ironio, mieszka na Kochanowskiego, naprzeciwko wojewódzkiej.
- Sierżant pokiwał głową i zanotował coś w notesie.
- Ciekawe, ciekawe - zamruczał.
- Wikiemu kiepsko się układało z Weroniką, więc tym chętniej umówił się z nią parę razy na kawę, ale... -

Bananowski urwał i zagryzł kciuk. – Jak ona miała na imię? – Zmarszczył brwi. – Nie pamiętam. Nie, pamiętam. Marta! Ale kiedy dowiedział się, że Marta sypia z Peweksem, był zniesmaczony. Stracił do niej szacunek... Poza tym Peweks któregoś razu zadzwonił do niego do redakcji i wykrzyczał, żeby się odpierdolił od jego, cytuję, suczki.

Kowalski zmrużył oczy.

Jest jakiś trop – pomyślał. *Poproszę Katię, żeby sprawdziła klienta.*

– Wiki z przekory umówił się z nią jeszcze raz, ale potem uciał znajomość. – Dziennikarz znowu zakręcił się na krześle. – Czy ja wiem? Może tutaj należy powęszyć? – powiedział, podnosząc bezradnie ręce, i wbił wzrok w policjanta. – Peweks się wkurwił i... zemścił. Prosta, ale jakże prawdziwa historia. *Revenge movie.*

Kowalski zerknął do notesu, zanotował angielską frazę i podkreślił ją parę razy.

– Nazwisko tej Marty pan zna?

– Otóż nie – odparł Bananowski spojrzawszy na drzwi, które nagle się otworzyły.

– Tolek, naczelny cię wzywa. – W progu stanęła młoda dziewczyna w miniówce. Skinęła głową sierżantowi i wyszła, trzaskając drzwiami

Kowalski pociągnął nosem, czując delikatny zapach słodkich damskich perfum.

Potrzebuję seksu – pomyślał i wstał.

• • •

Gdy wrócił do domu, popadł w smutny nastrój.

Wziął kąpiel, zjadł coś i przez paręnaście minut siedział

w bezruchu na krześle. W myślach przewijał scenki ze skromniutkiego pogrzebu oraz stypy, na której pojawiła się garstka najbliższych krewnych *babci*.

Zmarło się kobiecie – usłyszał nagle gdzieś w tyle głowy słowa jednego z wujków.

Zmarło się – powtórzył w myślach i machinalnie zaczął przypominać sobie podobne, głupio mądre powiedzonka pogrzebowe. „Co zrobisz, nic nie zrobisz, trzeba żyć dalej”, „Na każdego przyjdzie w końcu czas, moja droga”.

Drgnął, wyciągnął z lodówki butelkę wyborowej i poszedł z nią do pokoju, który do tej pory zajmowała babcia.

Wyciągnął album za zdjęciami, nalał alkoholu do szklanki, usiadł w fotelu i zaczął oglądać fotografie.

Przewracał grube, czarne stronic, popijał wódkę i co jakiś czas ocierał łzy.

Przed północą zadzwonił Ostrowski, żeby zapytać, jak się czuje. Krótka rozmowa z przyjacielem trochę go pokrzepiła.

Schował album, wykąpał się i poszedł spać.

Śniło mu się, że ojciec pod nieobecność mamy upił się do nieprzytomności i on, dziesięcioletni chłopiec, zadzwonił do babci, żeby po niego przyjechała i zabrała do siebie na noc.

Kiedy się obudził, odkrył, że smutek ani trochę nie zelżał.

XXVI

Miszczu stał opary o parapet, przeglądał „Piłkę Nożną” i co jakiś czas popatrywał na drzwi sali wykładowej.

Po paru minutach zerknął na zegarek. W tym samym momencie drzwi otworzyły się na oścież i na korytarz zaczęła wychodzić uśmiechnięta rozgadana młodzież.

Policjant złożył gazetę i schował ją do kieszeni kurtki.

Studentki – pomyślał, przyglądając się dyskretnie co ładniejszym dziewczętom. *Jak ja je uwielbiam.*

Stanął w progu i zajrzał do sali. Doktor Staniszewski chował do jasnobrązowej torby książki i jednocześnie rozmawiał z młodą, elegancką dziewczyną.

Miszczu patrzył na nich z ciekawością.

Czyżby doktor ek próbował upolować pilną słuchaczkę?

Wykładowca wyglądał na zadbanego czterdziestolatka. Wysoki, całkiem przystojny, jasne, krótkie włosy, brązowa marynarka, czarny golf, dżinsowe spodnie, zamszowe buty.

Mruknął coś i zrobił kilka wyrazistych gestów ręką. Studentka zaśmiała się i zdmuchnęła z czoła kosmyk czarnych włosów. Podała mu dłoń, pożegnała się i ruszyła w stronę wyjścia.

Miszczu przepuścił ją i wszedł do środka.

– Podkomisarz Adam Kobiela, Komenda Wojewódzka – oznajmił, pokazując legitymację służbową. – Możemy zamienić parę słów?

Mężczyzna spojrzał zaciekawiony na policjanta.

– Jasne – powiedział. – A w jakiej sprawie?

– Wiktora Grandowskiego.

Staniszewski uniósł brwi.

– Ach – mruknął.

– Kojarzy pan?

– Kojarzę.

Miszczu kiwnął głową.

– Tu będziemy rozmawiać? – zapytał, wykonując nieokreślony gest ręką.

– Rzeczywiście – odparł Staniszewski. – Chodźmy do mojego gabinetu.

Mężczyźni wyszli na zewnątrz.

Doktor wskazał brodą kierunek i ruszyli przed siebie, Staniszewski pierwszy, Miszczu za nim. Pokonawszy kilka zakrętów, weszli do niewielkiego pomieszczenia, składającego się z biurka, na którym stała maszyna do pisania, trzech krzeseł, regałów pełnych książek i dziwacznie przekrzywionego stojaka na ubrania.

Usiedli.

Staniszewski spojrzał pytająco na policjanta.

Ten położył dłonie na kolanach i zagadnął:

– Pan wie, że Grandowski zniknął?

– Oczywiście. – Wykładowca wzruszył ramionami. – Głośna sprawa. Dużo się o niej mówi. Także na naszym wydziale.

– A co się mówi?

– Różne rzeczy. Każdy ma swoją teorię, co się stało, kto za tym stoi... A poza tym, zniknięcie dziennikarza, w domyśle, zamordowanie, to również komunikat, że coś złego dzieje się z naszym państwem. Że coś tu nie działa.

– No tak. Jak go pan poznał?

Staniszewski zaczerwienił się odrobinę i odchylił na krześle.

– Hm...

– Tak?

– Okoliczności były dość... niezręczne.

– Czasami tak bywa.

Wykładowca się skrzywił.

– No ale muszę je poznać – powiedział Miszczu. – Pan rozumie?

– Rozumiem. Zacząłem się spotykać z pewną dziewczyną, która, jak się okazało, była świeżo po zerwaniu ze swoim chłopakiem, czyli... – Staniszewski zerknął zażenowany na podkomisarza – ...czyli z Wiktorem Grandowskim właśnie. Nie wiedziałem o tym – dodał szybko.

Miszczu skinął głową.

– Co to była za dziewczyna?

– No cóż, moja studentka – odpowiedział Staniszewski i zaraz doprecyzował, podnosząc palec: – Była studentka... Po egzaminie poszliśmy na kawę, która wieczorem zamieniła się w piwo... A potem w romans.

Ciekawe, czy często mu się zdarza takie branie – zastanawiał się w duchu podkomisarz, nie bez zazdrości. Taki to ma życie. Codziennie może obcować z młodymi siksami. Po prostu raj.

– Wiedział pan, że jej były chłopak to Grandowski?

– Wspomniała o tym przelotnie.

– Ta dziewczyna miała na imię Weronika?

– Tak.

– Podobno między waszą trójką doszło do kłótni. Może pan opisać okoliczności tego zdarzenia?

Przez twarz Staniszewskiego przebiegł grymas.

– No cóż, okoliczności były... bardzo sensacyjne – padła odpowiedź.

Miszczu się zaśmiał.

– To znaczy?

– Zaprosiła mnie do siebie na randkę.

– Na randkę?

– No tak, na seks. Po seksie poszliśmy do wanny. I wtedy do mieszkania wszedł Wiktor, zobaczył nas i strasznie się wściekł. – Staniszewski zabębnił palcami o blat. Spojrzał na swoje dłonie, potem na buty i w końcu przeniósł spłoszony wzrok na policjanta. – Zaczął wykrzykiwać jakieś głupoty – powiedział, zgarbiwszy się trochę. – Potem wybiegł.

– Jakie głupoty?

– Że Weronika to cipa i że doniesie na mnie dziekanowi czy nawet rektorowi.

– A jak pan na to zareagował?

– A jak miałem zareagować? Leżałem nagi w cudzej wannie z cudzą dziewczyną, która właśnie robiła mi dobrze...

Miszczu zmarszczył brwi.

Czyli co? Obciągnęła ci? Pewnie tak, w wannie wypełnionej ciepłą wodą to całkiem fajna sprawa.

Wykładowca potarł nerwowo czoło.

– Zbaraniałem – podjął. – Przestraszyłem się. Jak to mówią, zapomniałem języka w gębie.

Cisza.

– Pan skojarzył, że to jest Grandowski, ten dziennikarz?

– Tak.

– Skąd pan go zna?

– Widziałem go parę razy w sądzie, jak zbierał materiały.

– No dobrze. I co było potem?

– Potem nastąpił zwrot akcji.

– Co ma pan na myśli?

– Grandowski zadzwonił do mnie na ten numer. – Staniszewski wskazał dłonią aparat telefoniczny, który stał na biurku.

Miszczu poruszył się na krześle.

– Zadzwonił do pana? – zapytał zdziwiony.

– Tak.

– Po co?

Wykładowca wzruszył ramionami.

– Przeprosił mnie.

– Przeprosił?

– Tak. Powiedział, że go poniosło, że zachował się jak szczeniak. Użył nawet sformułowania: „to było takie nieprofesjonalne”.

Podkomisarz otworzył szerzej oczy.

– Nieprofesjonalne?

– Tak... – Staniszewski przejechał dłonią po twarzy i dodał: – Krótko mówiąc, stwierdził, że jestem chujem, bo pieprzę cudze dziewczyny, ale jego reakcja, czyli groźby, były nie na miejscu. Powiedział: „Wycofuję je, zapomnijmy o tym, to było nie fair”. – Mężczyzna wypuścił powietrze. – On chyba czuł się głupio jako dziennikarz. Po jego zniknięciu trochę się o nim pisało. Wychodzi na to, że był dobrym, rzetelnym, może nawet idealistycznym przedstawicielem tego fachu. Więc to słowo „nieprofesjonalne” pasuje tu całkiem dobrze.

Miszczu przełknął ślinę i przez dłuższą chwilę

przyglądał się mężczyźnie.

Chyba nie ściemnia? Ewidentnie mu ulżyło.

– Potem mieliście jakiś kontakt? – zapytał policjant, zastanawiając się, czy dobrze robi, dając facetowi wiarę.

– Nie.

– A co z Weroniką?

– Po tej żenującej przygodzie zakończyłem znajomość.

Dobre – pomyślał Mischu. Wymienić laskę na inną, czyli zakończyć znajomość.

Pokiwał głową, omiótł wzrokiem gabinet i zerknął na swojego rozmówcę:

– No dobrze, dziękuję za rozmowę.

To nie on – zawyrokował w myślach. To typowy akademik, który lubi poczytać, popisać i pobzykać młode dziewczyny.

Wstał, podał wykładowcy dłoń i skierował się ku wyjściu.

Szkoda, kolejny trop poszedł się...

Gdy dotknął klamki, spojrzął przez ramię na Staniszewskiego:

– Czy ktoś z policji rozmawiał z panem w tej sprawie?

– Nie.

Podkomisarz skinął głową i wyszedł z gabinetu, stwierdzając w myślach, że musi zadzwonić do pewnej filigranowej przyjaciółki, którą poznał parę miesięcy temu w jednej ze studenckich knajp. Niepowodzenie w pracy postanowił zrekompensować sobie w życiu prywatnym. Godzinka przyjacielskiego seksu, a potem powrót do domu i wieczór z rodziną.

XXVII

Rambert spojrział sceptycznie na talerz z drugim daniem i zaatakował schabowego. Odkroił kawałek, posmarował ćwikłą i włożył do ust. Przeżuł, połknął i skrzywił się. Odłożył sztucce, odsunął talerz i zerknął na Buryłę, który ze smakiem pałaszował ogórkową.

– Przecież tego się nie da jeść – mruknął szef dochodzeniowców.

Naczelnik kryminalnego wzruszył ramionami.

– A to mi nowość – powiedział z pełnymi ustami.

Gdy dokończył zupę, wytarł usta i poklepał się po brzuchu.

– Muszę zmienić dietę – bąknął. – Polskie jadlo mi nie służy.

Rambert uśmiechnął się i sięgnął po paczkę papierosów.

– Dlaczego ty jesz odwrotnie? – zapytał.

– Tyję odwrotnie?

– Nie, odwrotnie jesz. Najpierw drugie danie, a potem pierwsze.

– Spadek po starym. On też tak jadł. Ale nie wiem dlaczego. Taka tradycja.

Oficerowie zamilkli i zapalili.

– I co? – zagadnął Rambert, wypuściwszy dym.

Buryła rozejrzał się po opustoszałej stołówce.

– Pytasz o Kozaka? – Ściszył głos.

– Uhm.

– Nic. Chłopak jest grzeczny. Żadnych podejrzanych ruchów, żadnych ryzykownych kontaktów... – Szeł kryminalnego wzruszył ramionami i zaciągnął się mocno. – Nawet wódkę pije tylko z kolegami z pracy. I narzeka, że policja straciła jaja po transformacji.

Rambert się zamyślił.

– Nie jest głupi – mruknął.

– Nie jest głupi – powtórzył Buryła. – Albo jego kontakty z miastowymi są całkiem normalne jak na oficera kryminalnego.

Mężczyźni zamilkli. Gdzieś w kącie sali ktoś zabrzączał sztućcami.

– W końcu to operacyjnyak – odezwał się po chwili Buryła. – Na tym polega jego robota. Na sprytnym wyciąganiu informacji od wroga. A to się wiąże między innymi z balangowaniem ze zbrojami.

Rambert westchnął.

– Może się zorientował, że ktoś go sprawdza? – zapytał.

– Nie sądzę. Załatwiłem dwóch fachowców.

Westchnienie.

– Chyba grzęźniemy – mruknął Rambert, opierając się o poręcz krzesła.

Buryła sięgnął po wykałaczkę i zaczął grzebać w zębach.

– Harry tym razem się pomylił – rzucił Rambert i po chwili dodał: – Trzeba poszukać nowych tropów.

– To powiedz mi jedno.

– No?

– Dlaczego nie przyłożył się do śledztwa w sprawie dziennikarza?

– Nie wiem. Może uważa, że są ważniejsze sprawy?

- Nie pieprz głupot.
- Może...
- Może co?
- Nic...

Milczeli dłuższą chwilę, spojrzeli na zegarki, wstali od stołu i ruszyli w stronę wyjścia.

XXVIII

Harry otworzył drzwi i natychmiast wycofał się na korytarz, żeby uniknąć zderzenia z Katią, która niemal wybiegła z pokoju.

– Gdzie tak pędzisz? – zapytał.

– Dochodzeniowcy podrzucili trop, który mam sprawdzić – odpowiedziała, zatrzymując się obok kolegi.

– Brzmi ciekawie – dodała.

– Jaki trop? – Komisarz spojrzał na nią zaintrygowany.

– Gangus o ksywie Peweks.

– Peweks – powtórzył Harry.

– Uhm. Podobno Grandowski umówił się na kawę z jego dziewczyną – odpowiedziała Katia. – Strasznie go to wkurzyło. Dzwonił do redakcji i groził mu. Typ agresywnego zazdrośnika.

Harry zmarszczył czoło.

– Skąd ta informacja?

– Kowal rozmawiał z kolegą Grandowskiego. Razem pracowali w „Ekspresie Poznańskim”.

Cisza.

Komisarz się zamyślił.

– To byłby dobry trop – stwierdził po chwili.

– Byłby?

Harry pokiwał głową.

– Byłby, gdyby Peweks żył – oznajmił.

Katia spojrzała zdziwiona.

– Jak to?

– Zginął w zeszłym roku w jakiejś strzelaninie. – Komisarz wbił ręce w kieszenie. – W maju chyba, nie pamiętam dokładnie. Sprawdzę.

Posterunkowa lekko się przygarbiła.

– Czyli nie ma czego sprawdzać?

– No nie – potwierdził Harry. – Zginął na długo przed zniknięciem dziennikarza.

– Tak się morduje ciekawe wątki i uciera nosa młodym policjantom. – Westchnęła.

Komisarz podniósł ręce w geście bezradności i zaproponował obiad. Na dźwięk tego słowa Katia poczuła nieprzyjemne ssanie w żołądku.

– Chętnie – odpowiedziała.

Ruszyli w stronę schodów, narzekając, że powoli kończą się im już pomysły na dalsze czynności operacyjno-śledcze.

– Kiepsko to widzę – rzucił Harry, kiedy stanęli przed drzwiami baru mlecznego.

Popatrzyli na siebie smętnie, weszli do środka, złożyli zamówienia i usiedli przy stole. Komisarz, chcąc nieco rozchmurzyć młodszą koleżankę, opowiedział jej podczas obiadu kilka anegdot o śledztwach, które zostały umorzone z powodu braku dowodów, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Dziewczyna wróciła do komendy w kiepskim nastroju.

Podrażniona ambicja – skwitował w myślach Harry. *Świetnie. Angażuje się, będzie dobrą policjantką.*

XXIX

Niestety po kilku tygodniach, w czasie których rozpaczliwie sprawdzano najrozmaitsze wątki, nawet te najmniej obiecujące, śledztwo w sprawie zaginięcia Grandowskiego utknęło w martwym punkcie. Wszyscy wpadli w przygnębienie i orzekli w trakcie wspólnego wypadu na wódkę, że sprawa utknęła na dobre, nieodwołalnie. „Jesteśmy pizdy, a nie policjanci” – oznajmił wówczas podpity Miszczu, na co wszyscy pokiwali apatycznie głowami, z wyjątkiem Katii, której nie spодobało się to porównanie.

W obliczu sromotnej porażki zdesperowany podinspektor Buryła skonsultował się ze znajomym jasnowidzem, ale jego podpowiedzi okazały się całkowicie nietrafne.

W połowie grudnia komendant Bossowski wezwał do siebie Buryłę i Ramberta. Zażenowani naczelnicy dla kurażu wychylili po pięćdziesiątce wyborowej i ruszyli do gabinetu szefa, spodziewając się ostrej reprimendy.

Komendant na ich widok skrzywił się demonstracyjnie. Sapnął i pokręcił głową. Popatrzył na nich przez chwilę, a potem odchylił się, wyjął z szuflady cygaro, przyłożył je do nosa i z lubością wciągnął pieprzny zapach.

– Jacyś przygarbieni jesteście – rzucił kwaśno i odłożył cygaro na stertę dokumentów. Podrapał się za uchem. – Dziewięćdziesiąty drugi zmierza ku końcowi, a wasze tajne śledztwo utknęło w dupie – powiedział, a oficerowie

zrozumieli, że Boss dopiero się nakręcał. – To mi bardziej wygląda na rzeźbienie w gównie niż na solidną policyjną robotę, kurwa! – Ostatnie słowo zostało wypowiedziane ze szczególną energią.

Naczelnicy poruszyli się niespokojnie.

– Oskarżaliście Kozaka o nieudolność, a sami nie jesteście lepsi! – Bossowski uniósł palec. – Tylko mi nie mówcie, że posprawdzaliście tropy, których Kozak nie sprawdził, bo będziecie żałośni – warknął.

Zapadła cisza. Komendant wypuścił głośno powietrze i położył ręce na blacie.

– Jak dla mnie z waszych raportów wynika, że już niczego nie zwojujecie, że...

Rambert chrząknął i przygryzł język.

– Zygmunt, daj nam trochę czasu – powiedział. – Tego rodzaju śledztwo wymaga cierpliwości...

– Moja się właśnie skończyła.

– Rozumiem, ale...

– Macie czas do końca roku – powiedział sucho. – Jeśli go zmarnujecie, to... – Urwał i cmoknął. Zacisnął pięść i położył ją na biurku.

– Robimy, co możemy! – zaprotestował Buryła. – Trochę wiary w nasze kompetencje.

Komendant pokiwał głową i uśmiechnął się z politowaniem.

– Kompetencje – sarknął i zaczął głośno oddychać. – Okej – mruknął. – Róbcie. A możecie do końca roku... – Popukał pięścią w blat i mruknął: – Koniec audiencji.

– Amen – odpowiedział naczelnik kryminalnego i mrugnął do Ramberta.

Oficerowie w milczeniu opuścili gabinet.

CZĘŚĆ

TRZECIA

Styczeń 1993

XXX

Basia stała w progu i zaciekawiona przyglądała się matce, która energicznie kursowała między kuchnią a dużym pokojem. W kuchni smażyła schabowe, kroїła warzywa i mieszała kompot wielkim garnku, a w pokoju przygotowywała stół na odświeżony obiad.

– Będziemy mieli gości? – zapytała dziewczynka.

Mama zerknęła na nią i uśmiechnęła się serdecznie.

– Gościa – szepnęła, obciążając obrus.

– Jakiego?

– Niebawem się przekonasz.

Basia pokiwała głową, bawiąc się końcówką warkoczyka.

– Znam go?

– Uhm.

– Podaj pierwszą literę imienia.

– Cierpliwości, żabko!

– Łatwo ci mówić!

Śmiech.

– Za pół godziny wszystko się wyjaśni.

Basia pociągnęła nosem i poczuła intensywny zapach perfum. Zmarszczyła brwi.

Mama minęła ją, przystanęła w przedpokoju, spojrzała w lustro, poprawiła fryzurę i pomknęła do kuchni,

wesoło nucąc jakąś melodię.

To musi być ktoś wyjątkowy – pomyślała Basia. Ale kto? Kto wyjątkowy może nas odwiedzić w środku tygodnia? I dlaczego mama robi z tego taką wielką tajemnicę? Bardzo podejrzane.

Zerknęła na zegarek. Za parę minut miała wybić szesnasta.

Kiedyś o tej porze przychodził tata z pracy, jeśli nie zatrzymał się po drodze w knajpie... No ale przecież od jakiegoś czasu siedzi w więzieniu...

Nagle przypomniała sobie rozmowę dwóch koleżanek z klasy. Podniecona Marzena opowiadała Kamili, że jej mama po rozwodzie zaczęła się spotykać z bardzo przystojnym facetem, prawnikiem. „Moja mama randkuje!” – szczebiotała. „Nie wiedziałam, że w tym wieku to się jeszcze robi! Zachowuje się jak dziewczyna z ósmej klasy! Przesiaduje cały czas przed lustrem, perfumuje się, przymierza naszyjniki! No mówię wam, mama zamieniła się w starszą siostrę!”.

Kamila wpatrywała się w podekscytowaną Marzenę, robiąc coraz większe oczy. „Ciekawe, czy już się z nim całowała?” – mruknęła. „Nie wiem, nie widziałam. Chociaż staram się nie spuszczać ich z oczu. Są tacy zabawni”.

Basia weszła do pokoju, przystanęła obok barku, na którym stała fotografia ślubna jej rodziców. Ładnie ubrani, uśmiechnięci, bardzo młodzi wpatrywali się w obiektyw.

No ale oni przecież się nie rozwiedli. Niestety nie.

Wbiła wzrok w postać taty i skrzywiła się. Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej robiła się markotna.

Obraz ojca wbijającego nóż w brzuch mamy zaczął coraz wyraźniej wyłaniać się z pamięci.

Wzdrygnęła się i poczuła gęsią skórkę.

Mam nadzieję, że już nigdy do nas nie wrócisz – pomyślała, zaciskając pięści. Że mama rozwiedzie się z tobą i pozna kogoś innego. Miłego, spokojnego faceta jak ten aktor z „Domku na prerii”.

Z jej oczu popłynęło kilka łez, które szybko wytarła.

Chwyciła zdjęcie drżącą ręką, po czym je odwróciła. Pokręciła głową, jakby chciała wyrzucić z niej niemiłe wspomnienia i poszła do swojego pokoju. Zdjęła z półki walkmana, włożyła do niego kasetę z napisem „New Kids on the Block”, założyła słuchawki i położyła się na łóżku.

Radosna, energiczna piosenka pochłonięła ją całkowicie. Basia zaczęła podrygiwać i nucić.

Step by step / Ooh baby / Gonna get to you girl / Step by step / Ooh baby / Really want you in my world¹⁶.

W połowie kolejnego przeboju poczuła, że ktoś łapie ją za ramię.

Podniosła głowę. Nad nią stała rozpromieniona mama.

Basia zdjęła słuchawki.

– Chodź, kochanie – powiedziała mama. – Przywitaj się z naszym gościem.

Dziewczynka poczuła ucisk w żołądku, ale wstała i ruszyła w stronę przedpokoju.

Nagle stanął przed nią mężczyzna.

Zamarła.

Wysoki, brodaty, chudy mężczyzna. W dziwnym workowatym ubraniu. Przepasany sznurem jak jakiś

16 Fragment utworu „Step By Step” New Kids on the Block. Tekst autorstwa Larry’ego Curtisa Johnsona.

filmowy biedak. Nieprzyjemnie pachniał.

– Witaj, Basieńko – odezwał się nieznajomy.

Zdziwiona cofnęła się o krok.

Mężczyzna przemówił do niej głosem taty.

Spojrzała na mamę.

– Kto to jest? – wymamrotała.

– Jak to kto? – odparła mama. – To twój tata, nasz ukochany tata.

Mężczyzna uśmiechnął się i obdarzył ją bardzo ciepłym spojrzeniem.

– To ja – powiedział. – Tata. Wróciłem.

– Uściskaj tatę – rzuciła mama, podeszła do męża i wtuliła się w niego całą sobą.

Basia zdrętwiała.

– No uściskaj! Wreszcie wrócił do nas. Znowu jesteśmy razem.

XXXI

– Idę odcedzić kartofelki – powiedział Kozak i przytknął drzwiczki szafki pancерnej. – A potem zejđę do techników, muszę z nimi zamienić parę słów. – Zerknął na Miszcza, który przed chwilą otworzył słoik ze zmieloną kawą i z lubością wdychał jej intensywny aromat. – Zrobisz mi też? – zapytał, pociągnąwszy nosem.

– Jasne – odpowiedział podkomisarz.

– Dolej trochę prądu – rzucił Kozak i wskazał kciukiem szafkę. – W środku jest małpka. – Zanucił jakąś biesiadną piosenkę, zarechotał i wyszedł z pokoju.

Miszczu podłapał skoczną melodię i, mrużąc ją pod nosem, nasypał kawy do kubków, które stały wśród stosów dokumentów. Wstał i podszedł do szafek. Otworzył tę należącą do Kozaka i zanurkował w niej wzrokiem. Straszny burdel – jakieś papiery, dwie kabury, kajdanki, kubek, szklanka, pół litra żytniej, małpka gorzkiej żołądkowej. Na samym dnie dostrzegł plik kolorowych gazet.

Jakieś pornosy? – pomyślał i podrapał się po wąsie. Wyciągnął rękę i natychmiast cofnął ją przestraszony.

W progu stanął Kozak.

– Zapomniałem o czymś – mruknął i stanął obok Miszcza. Wyjął z wnętrza szafki teczkę oraz butelkę wódki. Spojrzał na kluczyk, potem na kolegę i zmarszczył brwi.

– Za kwadrans wróć – mruknął i ponownie zniknął, trzaskając drzwiami.

Podkomisarz odczekał, aż kroki na korytarzu ucichną, po czym wbił wzrok w gazety. Poczuł wielką ochotę na pogapienie się na rozebrane babki.

Sięgnął po egzemplarz leżący na wierzchu. Zaczął go niespiesznie wertować, przyglądając się nagim modelkom, które klęczały przed mężczyznami i z wielkim oddaniem pieściły ich nabrzmiałe penisy.

Gdy kobieta łapie cię za fujarę, cały świat zaczyna wirować wokół twojej osi – przypomniał sobie ulubione powiedzonko Kozaka. Uśmiechnął się. *Co prawda, to prawda* – stwierdził w duchu i przerzucił kilka kartek.

Zatrzymał się na chwilę przy zdjęciu przedstawiającym kobietę o dużym biuście obficie poplamionym spermą. Podrapał się po kroczu.

Gdy dotarł do ostatniej strony, natknął się na kartkę złożoną na pół. Zmarszczył czoło, przygryzł usta i spojrzał na drzwi.

Co to jest? Może anons erotyczny? He, he, he!

Podrapał się po głowie. Wyjął kartkę, rozłożył ją i zaczął czytać:

To była notatka służbowa. W sprawie Grandowskiego. Zatajona!

Gdy skończył lekturę, schował ją pospiesznie do gazety, którą odłożył na miejsce. Chwycił małąkę, pociągnął łyk i szepnął:

– O kurwa.

XXXII

Buryła odłożył „Pamiętnik Anastazji P.” i spojrzał na Harry’ego, który właśnie energicznie wkroczył do gabinetu.

– Słuchaj tego. – Zarechotał.

Komisarz zerknął na podinspektora, włożył papierosa do ust, usiadł na krześle i nadstawił uszu.

„Usiedliśmy na jednym łóżku, było gorąco, piliśmy wodę mineralną. Był to dwuosobowy pokój, stały tam dwa pojedyncze wąskie łóżka. Zaczęliśmy się całować. Dobrze się całuje, bardzo delikatnie. Smakuje anyżem, tak jakby ssał cukierki anyżowe. Przytuliliśmy się do siebie, zaczął mi rozpinać marynarkę.

– Mam okres – wyznałam z dziką satysfakcją, ciekawa, jak zareaguje.

– I co, przeszkadza ci to?

– Mnie nie – odparłam, uśmiechając się drwiąco, chciałam go speszyć. – A tobie?

– Nie bądź śmieszna, mam na ciebie ochotę – odpowiedział.

Nie było to imponujące przeżycie, wszystko trwało krótko, za krótko.

Pamiętam, że zostały plamy na prześcieradle.

– Będą cię posądzać o deflorację jakiejś dziewicy – stwierdziłam złośliwie.

Uśmiechnął się tylko¹⁷

17 Fragment książki „Pamiętnik Anastazji P.” Marzeny Domaros,

Buryła przerwał.

– To o Kwaśniewskim – podkreślił.

– Aha.

– Dobrze, co?

– Dobrze – skrzywił się Harry.

– Niektórzy mówią, że służby stoją za tą książką, która rzekomo ma być operacją wymierzoną w polską klasę polityczną.

Komisarz wzruszył ramionami.

– Chyba nie wezwałeś mnie na pogaduszki o literaturze? – mruknął szorstko.

– No nie.

– To o co chodzi?

Buryła pogładził swój czerwony krawat.

– O Kozaka – odpowiedział.

– A dokładniej?

– Mischu znalazł w jego szafce notatkę służbową.

Ukrytą.

– Co w niej jest?

– Informacja o tym, że dniu zniknięcia Grandowskiego ktoś widział Nikiego i Bejzboła w Koziegłowach, w okolicach jego zamieszkania.

Harry poruszył się na krześle. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki zapalniczkę i zapalił.

– Nie pal mi tu, chłopie – warknął naczelnik.

– To na nerwy – odburknął komisarz.

Buryła westchnął i machnął dłonią.

Harry wypuścił dym i spojrzał na zwierzchnika.

– Od razu ukrył? Może zapomniał po prostu?

– O notatce, która podrzuca ważny trop w śledztwie?! – parsknął Bury i zabębnił palcami o blat biurka.

– Tak się będzie bronił, jak mu to zarzucimy.

– To na pewno.

Cisza.

Buryła uderzył pięścią w stół.

– Ukrył kutas, a to się rymuje z twoją teorią, że zbratał się z gangusami – oznajmił. Przejechał dłonią po czole, które błyszczało od potu. – Może nawet wie, kto zabił?! – dodał, kręcąc głową. – Zdrajca pieprzony!

Harry podrapał się po szramie.

– Masz tę notatkę?

Bury wyciągnął z szuflady kartkę i przysunął ją w stronę komisarza.

– Ksero – rzucił.

– Ciekawe, dlaczego jej nie zniszczył? – bąknął Harry, wziął dokument i szybko przeczytał. Zaciągnął się ponownie i po chwili wypuścił dym. – Posterunkowy Łukasz Kamiński – mruknął i zerknął na Buryłę.

– Rozmawiałeś z chłopakiem?

– Nie.

Harry się zamyślił.

– To sumienny chłopak. Prawdomówny. Zdaje się, że nie przepada za Kozakiem.

– Syn naszego człowieka, świętej pamięci Benia, który robił w dochodzeniówce w miejskiej.

– Jest w takim razie szansa, że coś nam powie.

Policjanci się zamyślili.

Komisarz zaciągnął się mocno, podszedł do biurka, zgasił papierosa i odłożył notatkę.

– Poproszę Katię, żeby poszła z nim na piwo

i wyciągnęła jakieś szczegóły.

– Dobry pomysł. – Buryła cmoknęła. – Jeśli chłopak powie, że Kozak zakazał mu o tym mówić, wtedy dostaniemy do rąk dowód o umyślnym zatajeniu ważnej informacji.

– Bingo – mruknął Harry. – Wracaj do swojej lekturki – dodał i sprężystym krokiem opuścił gabinet szefa, który z zadowoleniem zarejestrował fakt, że jego podwładny nie śmierdzi wódką.

Poprawił krawat i sięgnął po erotyczny bestseller.

XXXIII

Kowalski wytarł ręce, wstał od stołu i odłożył talerzyk. Postanowił obejrzeć na wideo „Śledztwo”, film Marka Piestraka, ekranizację powieści Lema. Chciał pomęczyć trochę szare komórki. Według niego przepis na doskonałą niedzielę sprowadzał się do intelektualnych rozrywek. „Sobota to czas zabawy, natomiast niedziela to czas refleksji” – mówił niekiedy do Ostrowskiego, który w odpowiedzi unosił brwi.

Tak, obejrzę sobie kryminalny horror – pomyślał. A potem przewertuję akta Kolanowskiego¹⁸.

Od jakiegoś czasu pasjonował się polskimi seryjnymi zabójcami. Skrycie marzył, aby któregoś dnia stać się słynnym łowcą tego rodzaju przestępców.

Opuścił kuchnię, przeszedł korytarz i stanął w progu. Rozejrzał się po dużym pokoju, wdychając charakterystyczny zapach.

Jego babcia uwielbiała anyżowe cukierki ponad wszystko. On sam nigdy za nimi nie przepadał, kojarzyły mu się z czymś starym, niemodnym, nieprzyjemnie zamierzchnym. Anyż wywoływał w nim smutek, wprawiał w melancholijny nastrój. Ale po nagłej i niespodziewanej śmierci babci przeprosił się z tą egzotyczną rośliną. Zaczął odczuwać do niej wielki sentyment. Anyż stał się

18 Edmund Kolanowski, oskarżony w procesie o trzy zabójstwa oraz pięć profanacji zwłok. Aresztowany 16 maja 1983, skazany na karę śmierci 4 czerwca 1985, stracony przez powieszenie 28 lipca 1986.

dla niego czymś w rodzaju proustowskiej magdalenki. Ostatnio kupił sobie całą paczkę anyżowych cukierków i każdego niemal wieczoru zasiadał w fotelu, rozgryzał je flegmatycznie, zanurzając się we wspomnieniach.

Powiódł wzrokiem po sprzętach, które dostał w spadku po babci, najważniejszej osobie w jego życiu.

Przydałby się remont – pomyślał, przyglądając się wielkiemu radzieckiemu telewizorowi marki Rubin. *Czas na nową aranżację. Czas na zmiany.*

Podszedł do regału, na którym trzymał kasety wideo, i wyciągnął jedną z nich. Gdy ukucnął przy odtwarzaczu, zadzwonił telefon.

Zmarszczył brwi, bojąc się, że to dzwoni Ostrowski, żeby wyciągnąć go do knajpy „na jedno piwo, góra dwa plus kielonek wódki”.

Ruszył do przedpokoju. Podniósł słuchawkę.

– Słucham – mruknął.

– To pan, panie sierżancie?

– Kto mówi?

To był znajomy głos, ale policjant nie potrafił przypisać go żadnej konkretnej osobie. Żywy, ciepły, przyjazny.

– Bronisław Grandowski z tej strony, ojciec Wiktora.

Rzeczywiście. Kowalski podrapał się po brodzie.

– Witam, panie Bronku. W czym mogę pomóc?

– Prawdę mówiąc, to ja chciałem wam pomóc. Przypomniałem sobie coś.

Kowalski usiadł na krześle i wysunął stopę z prawego laczka. W skarpecie w okolicy pięty widniała wielka dziura.

– Co takiego?

– Kiedy pytaliście nas o biografię Wiktora, pominąłem

ważną dla niego postać. – Odgłos uderzenia w czoło. –
Przepraszam, skleroza.

– Zdarza się. Co to za postać?

– Dominik Labuda. Jego nauczyciel historii z czasów licealnych. Po maturze Wiktora zaprzyjaźnili się serdecznie. Wie pan, komunizm dusz dwóch intelektualistów. Dla porządku przypomnę, że mieszkaliśmy wtedy jeszcze w Gryfinie, w miasteczku pod Szczecinem.

– Tak, tak, pamiętam.

– Ten historyk ciągle tam mieszka i pracuje. Wiktor odwiedzał go raz na jakiś czas. Z tego, co nam mówił, był bardzo ważny dla niego. Ktoś w rodzaju powiernika, starszego kolegi, ale i autorytetu.

Kowalski pokiwał głową. Brzmiało ciekawie. Zawsze to jakiś trop, który koniecznie trzeba sprawdzić.

– Panie Bronku?

– Tak?

– Wie pan, kiedy ostatni raz Wiktor go odwiedził?

– Niech no pomyślę...

– Bez pośpiechu.

– Wie pan co? Chyba w sierpniu, w drugiej połowie jakoś.

Kowalski sięgnął do kieszeni kurtki wiszącej na wieszaku, z której wydobyl notes i długopis. Umieścił słuchawkę pomiędzy podbródkiem a barkiem, i zanotował parę słów.

– Nie pamięta pan dokładnej daty?

– Niestety.

– Rozumiem. Wielkie dzięki.

– Mam nadzieję, że to pomoże!

– Na pewno, jestem panu bardzo wdzięczny.

Sierżant zamilkł. Zwlekał z odłożeniem słuchawki. Kilkanaście sekund wcześniej w tyle głowy zaświtała mu jakaś myśl, ale nie potrafił jej teraz zwerbalizować.

Schował stopę do laczka.

– Czy mówił pan o Labudzie któremuś z policjantów?

– Nie.

– Jest pan pewien?

– Niestety tak. Przyznaję, że całkowicie mi to wypadło z głowy.

– Rozumiem. Do usłyszenia.

Grandowski zakasłał.

– Do usłyszenia – odpowiedział. Przełknął ślinę, po czym dodał niepewnie: – Będę czekał na wieści.

Cisza.

Kowalski odłożył notes i długopis. Czekał, czując, że ojciec Wiktora chce coś jeszcze dodać. I rzeczywiście dodał:

– Proszę o nas pamiętać. My tu ciągle was dopingujemy.

Sierżant natężył słuch. Nie był pewny, ale chyba usłyszał jęknięcie.

– Dam znać, oczywiście.

Przerwał połączenie i wykręcił numer Ostrowskiego. Po piątym sygnale rozległ się zirytowany głos kolegi:

– Co jest?

– Robota, chłopie – warknął Kowalski.

– Dzisiaj?

– Nie, jutro.

– *What kind of work?*

– Nie wkurwiał mnie, mów po polsku!

– Po to mówię po angielsku, żeby cię wkurwić. – Ostrowski zachichotał.

Kowalski prychnął.

– Jutro z samego rana jedziemy do Gryfina – oznajmił i jednocześnie wysunął stopę z lewego laczka. I w tej skarpetce była dziura, na dużym palcu. Skrzywił się.

– Co mamy tam za interes?

– Dzwonił przed chwilą stary Grandowski. Przypomniawsobie, że jego syn przyjaźnił się z nauczycielem z gryfińskiego liceum.

Ostrowski siorbnął głośno, a potem coś ugryzł. Mlaskając, próbował przypomnieć sobie nazwisko nauczyciela, o którym wspomniawsobie dziennikarz na nagraniach. To był chyba historyk.

– Myślisz, że jest sens? – zapytał.

– Podobno ten facet był dla niego kimś w rodzaju powiernika.

– Kojarzę go z kaset. Chłopak bardzo dobrze o nim mówił, jak o mentorze.

– Co więcej, odwiedził go w połowie sierpnia...

– Jakies dwa tygodnie przed zniknięciem.

– Otóż to.

– Czyli jest sens.

– Owszem, geniuszu.

– No dobra, coś jeszcze masz mi do powiedzenia?

– Już nic.

– No to spadaj – mruknął, odłożył słuchawkę i nagle zastygł w bezruchu.

Labuda – olśniło go. Historyk nazywał się Labuda.

XXXIV

Katia upiła duży łyk piwa, przylgnęła do skórzanego oparcia i wypuściła głośno powietrze.

Dobrze to rozegrała, bo Łukasz, posterunkowy, który sporządził notatkę o Nikim i Bejbzolu, uśmiechnął się ze zrozumieniem i zagadnął:

– Ciężki dzień?

– Bingo. – Pokiwała głową. – Bardzo ciężki.

– A co porabiałaś? – zapytał młody mężczyzna, w oczach Katii całkiem przystojny, choć zupełnie pozbawiony seksapilu.

Odpowiedź miała przygotowaną:

– Krażyłam z Harrym po Koziegłowach i okolicach – oznajmiła, bawiąc się podstawką do piwa.

– To ciekawe. – Wbił w nią wzrok. – A konkretniej?

Przełknęła parę łyków Lecha, uprzytamniając sobie, że nie znosi smaku chmielu.

– A konkretniej? – powtórzyła. – Bury kazał nam sprawdzić pewien wątek sprawy, którą robią chłopaki z Wrocławia. Seryjny gwałcieł, podobno widziano go w Koziegłowach. Strasznie dużo łażenia i gadania z ludźmi. Wiesz, jak to jest.

– No tak. Coś znaleźliście?

– Nie.

– To musi być frustrujące, co nie? Biegasz cały dzień po mieście i nic z tego nie wynika.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Widzę, że rozumiemy się bez słów – skomentowała zadowolona.

– Taka nasza policyjna dola.

Zaśmiali się nieśmiało.

Łukasz sięgnął do miseczki, do której barmanka nasypała solonych orzeszków. Schrupał kilka.

– Fajne są te Koziegłowy – mruknęła nagle Katia, rozglądając się po knajpie, w której panowała jeszcze względna cisza.

Przy jednym ze stolików siedział starszy mężczyzna. Wysoki, tęgi, o kudłatej siwej głowie. Palił papierosa i pisał coś w zeszycie.

Czy to czasem nie jest ten dziennikarz z „Expresu Poznańskiego”? Kumpel Buryły?

Policjantka przeniosła wzrok na kolegę.

– Koziegłowy są fajne? Naprawdę tak uważasz?

– Tak uważam – skłamała. Nie lubiła Koziegłów. Wydawały się jej przygnębiającą dziurą.

– Cisza, spokój, niedaleko las – mówiła. – Chciałabym tam kiedyś zamieszkać. – Spojrzała na niego. – A ty nie lubisz Koziegłów? – zagadnęła, wpatrując się w niego uważnie.

– Niespecjalnie. – Wzruszył ramionami.

Katia dopiła piwo i wytarła usta.

Ale ohyda – przeszło jej przez głowę.

Wskazał podbródkiem pusty kufel.

– Masz ochotę na jeszcze jedno?

Nie, do diabła! – pomyślała, po czym odpowiedziała radośnie:

– A chętnie! Muszę się wyciszyć.

Posterunkowy sięgnął do kieszeni kurtki, którą położył

obok siebie, i wyciągnął z niej paczkę papierosów.

– To może po kielichu do tego? – zaproponował.

Pokiwała przecząco głową, starając się ukryć przerażenie nieoczekiwaną ofertą. Nie miała najmniejszej ochoty pić wódki.

– O nie, stary! – zawołała, modląc się w duchu, żeby facet nie pomyślał sobie, że to jest randka, która mogłaby skończyć się wspólnym śniadaniem. – Nie mogę mieszać, mam słabą głowę, a jutro do roboty.

Uśmiechnął się i wsunął papierosa do ust.

– Jasne – odezwał się. – Choć w ustach operacyjniaka brzmi to dziwnie.

– No tak. Ale na swoją obronę mogę powiedzieć, że w końcu jestem „nabór chrześcijański”. A to zobowiązuje.

– No tak, jesteśmy niewinnymi dziećmi cudownych lat dziewięćdziesiątych.

Spojrzeni na siebie z sympatią.

– Przyznam ci się szczerze – Łukasz zapalił papierosa, zaciągnął się i strzepnął popiół do popielniczki – że męczą mnie pijaki z kryminalnego.

Cmoknęła.

– Człowiek może się przy nich ostro rozpić. – Zaciągnął się, zachichotał i dodał: – Gdy przyjmowali mnie do roboty, Kozak zaprosił mnie na powitalną imprezę na działce. To był grill ostro zakrapiany wódką. Co tam się działo! Nie uwierzysz! Przez tydzień dochodziłem do siebie.

Katia na wzmiankę o Kozaku drgnęła.

– No tak – mruknęła. – Kozak, słynna postać.

Spojrzała na niego, żeby zobaczyć, jak zareaguje.

– No, słynna – odburknął i dodał: – Pójdę po to piwo.

– Jasne.

Po paru minutach wrócił z dwoma kuflami. Stuknęli się i wypili parę łyków.

– Mówiliśmy o Kozaku – przypomniała Katia. – Jak ci się z nim pracuje?

Poruszył ramionami, jakby chciał zrzucić z barków cudzą rękę.

– Bo mnie z Harrym świetnie – dodała.

Westchnął.

– Harry to zupełnie inny zawodnik. Wierzę mu całkowicie, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Przystawił kufel do ust. Upił łączywie połowę zawartości.

Kiwnęła głową, wpatrując się w niego uważnie.

– Kozak to jednak inna sprawa – podjął Łukasz. – Czasami dziwnie postępuje. Nie do końca... – Urwał.

Katia przymrużyła oczy i czekała cierpliwie, aż podejmie wątek.

– Nie do końca go rozumiem.

– Masz coś konkretnego na myśli? – zapytała, ścisząc głos.

– Prawdę mówiąc... tak. – Dopił alkohol i spojrzał na nią uważnie.

– Teraz ja stawiam. – Katia się uśmiechnęła. – Jak operacyjna operacyjnemu.

– Proszę bardzo.

Wstała energicznie, podeszła do kontuaru, zamówiła dwa piwa, choć swojego jeszcze nie wypila, popatrzyła na dziennikarza, który tarmosił kudłatą czuprynę i wpatrywał się w zeszyt. Gdy barmanka, młoda, bardzo pulchna dziewczyna, podała jej kufle ozdobione solidną

pianą, podziękowała i wróciła na miejsce.

– Dziękuję. – Łukasz obrócił kufel i zerknął na nią.

– Czuję, że coś cię męczy – powiedziała. – Chodzi o Kozaka?

– Tak.

Chyba chce się wygadać – pomyślała. *To raczej typ uczciwego gliny.*

– Wal. – Wskazała ręką kufel. – Po to się spotkaliśmy, żeby szczerze sobie pogadać. Zdystansować się, rozluźnić. Gliniarze tak muszą przecież, bo inaczej powariowaliby.

– Masz rację. – Przygryzł usta i zapytał: – Pamiętasz sprawę tego dziennikarza?

Dużo wysiłku kosztowało ją zachowanie kamiennej twarzy.

– Coś tam pamiętam – odpowiedziała. – Grandowski? Na początku września wyszedł z domu i nie wrócił. Zapadł się pod ziemię.

– Byłem jednym z tych, którzy robili rozpytanie w Koziegłowach właśnie – oznajmił, bawiąc się podstawką.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– No.

– Słyszałam, że nic nie znaleźliście.

Poruszył głową.

– No nic... Niby.

– Niby?

– No właśnie, niby.

– Wyjaśnij – powiedziała, stuknęła kuflem o kufel i upiła mały łyczek.

– Natrafiłem na faceta, który tamtego dnia kręcił się po

lesie z psem. Powiedział mi, że widział tam dwóch facetów, którzy palili papierosy, opierając się o beemkę. Gdy go pociągnąłem za język, okazało się, że to byli ludzie wyglądający jak Niki i Bejzbol.

– To ciekawe.

– No, bardzo. To jest jakiś trop, który warto sprawdzić. Informacja aż prosi się o pogłębienie. Przynajmniej według mnie.

– Według mnie też. I co z tym zrobiłeś?

– Napisałem notatkę służbową i przekazałem ją Kozakowi.

– Aha. A on co z nią zrobił?

Posterunkowy wzruszył ramionami.

– Wziął ją ode mnie. Powiedział, że to fajny trop, ale błędny.

– Błędny?

– Tak powiedział.

– Uzasadnił to jakoś?

– Stwierdził, że w oparciu o swoje źródła wie na pewno, że Niki i Bejzbol nie mają z tym nic wspólnego. „Na sto dziesięć procent, chłopie, uwierz mi”.

– I co zrobiłeś?

– A co miałem zrobić? Nic nie zrobiłem. – Urwał i podrapał się po gardle.

Katia spojrzała na barmankę, wstała i podeszła do sprzętu muzycznego. Po paru sekundach z głośników umieszczony w rogach sali popłynęła rytmiczna piosenka MC Hammera „U Can't Touch This”.

– Przyjąłem do wiadomości – powiedział Łukasz, podnosząc intonację. – Tym bardziej, że Kozak wziął mnie na stronę, poczęstował wódeczką, którą wyjął

z szafki, i powiedział, żebym nikomu o tym nie mówił.

– A to dlaczego?

– Zacytować ci jego słowa?

– Dawaj.

– Powiedział tak: „Ty jeszcze, chłopie, nie wyczuwasz pewnych spraw. Ale czasami informacje, cenne, choć mylące, mogą tak namieszać, że wszystko się pojebie i popierdoli”. Tak dokładnie powiedział. – Łukasz rozłożył ręce, napił się i mruknął: – To mój szef, więc zakładam, że gość wie, co robi.

– Na pewno.

Katia przypomniała sobie nagle scenę ze stypy po pogrzebie komisarza Kalupy: Kozak, nieźle już zawiany, namawiał wszystkich swoim krzykliwym głosem do wypicia następnej kolejki.

– Hej, słyszysz mnie? – Posterunkowa drgnęła i przeniosła wzrok na kolegę, który patrzył na nią zdezorientowany.

– Tak, tak, przepraszam – odparła i chwyciła kufel piwa.

Czy to nie jest ta nowa policjantka, którą przyjął do roboty Buryś? – zamyślił się Misiński, rozkoszując się łykiem zimnego, aromatycznego, cudownie gorzkiego piwa. Ta niby Furia, co to zatrzymała Kramerskiego w zeszłym roku?

Otaksował ją spojrzeniem.

Wygląda na hardą sztukę – stwierdził. Może by zrobić z nią kiedyś wywiad?

Wychylił do końca zawartość kufla, westchnął przeciągle i wytarł usta.

Może – burknął w duchu i wsłuchał się w skoczną i znaną mu skądś piosenkę, w której co chwilę powtarzała się jedna fraza: „Kant tacz dis”.

– Kant tacz dis? – wymamrotał pod nosem.

A co to niby znaczy?

Gdy piosenka dobiegła końca, dziennikarz wbił wzrok w maszynopis i zagłębił się w opowiadaniu, którego pisanie szło mu dzisiaj jak krew z nosa.

Kolejna scena działa się na komendzie, w ascetycznym pokoju porucznika Kalupy, który siedział przy ławie w towarzystwie Szaraka.

Właśnie zaczęło się przesłuchanie. Na początku pojawiły się tradycyjnie pytania związane z życiorysem podejrzanego.

Oficer chwycił filiżankę z kawą, siorbnął i zagadnął:

– Rysiu, opowiedz mi trochę o sobie.

– O sobie?

– No tak. Skąd pochodzisz, kim są twoi rodzice, jaką szkołę skończyłeś – odpowiedział Kalupa, szukając wzrokiem cukierniczki. – Takie rzeczy. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Zacznijmy od daty narodzin.

– Siedemdziesiąty drugi, Śrem.

– Świetnie, Rysiu. Jedź dalej.

– Mieszkam w Mełpinie koło Dolska.

– Powiat śremski?

– Tak.

Porucznik namierzył cukierniczkę i wrzucił do kawy dwie kostki cukru. Zamieszał, pochuchał w łyżeczkę, po czym odłożył ją na talerzyk.

– Jakie masz wykształcenie? – zapytał.

– Wykształcenie?

– Jakie szkoły skończyłeś?

– Aaa... – Szarak palnął się w czoło. – Siedem klas podstawówki zrobiłem. Więcej nie dałem rady. To nie dla mnie. Szkoda czasu na te bzdury.

– No tak. Kim jest twój ojciec?

– Prowadzi zakład zduński, ma też gospodarstwo.

– A matka?

– Matka zajmuje się domem.

– Masz rodzeństwo?

– Tak. Brata i siostrę. Gówniarstwo jeszcze.

Kalupa zadał jeszcze kilka pytań tego typu, podrapał się po skroni, zerknął do akt i pomyślał chwilę.

– Byłeś kiedyś karany? – zapytał zniecierpliwiony.

- Tak.
- Naprawdę?
- No.
- Za co?

Szarak się skrzywił.

- Za pierdoły.
- Jakie pierdoły?
- Brak dyscypliny i złodziejstwo.
- Kto cię skazał?
- Sąd wojskowy. W woju wtedy byłem.

Porucznik sięgnął po zeszyt, przekartkował go, zanotował coś i odezwał się:

- Gdzie siedziałeś?
- Gdzieś na Pomorzu.
- Długo?
- Jakieś dwa, trzy miesiące.

Oficer dopytał o szczegóły, zapisał kilka słów, sprawdził, czy magnetofon pracuje, i upił łyk kawy.

- Ma pan wąsy - mruknął Szarak, wskazując usta.
- Wąsy?
- No... ślady od kawy.
- A. - Kalupa przejechał dłonią po twarzy. - Dziękuję. - Zwilżył językiem wargi, zerknął na Szaraka i odezwał się:
- Powiedz, Rysio, jak ci się układało z dziewczynami?
- Meżczyzna pociągnął nosem i wzruszył ramionami.
- Tak se - mruknął. - Średnio.
- Coś więcej?

Szarak omiótł wzrokiem pomieszczenie, spojrzał w sufit, potem zerknął na buty i westchnął.

- Trudno dogodzić tym dziwkom - powiedział. - Trzeba specjalnie do nich mówić, sypać forszą, być na każde ich

zawołanie. – Ściągnął usta. – Zachowywać się jak debil...
A ja nie potrafię. Nie mam takiego bajeru jak inni. Coś
mnie zawsze blokuje, jak podchodzę do dziewczyny.
Szczególnie ładnej.

– Rozumiem. Też jestem nieśmiały z natury.

– Naprawdę?

– No pod Bogiem...

Szarak pokiwał głową.

– I jak sobie z tym radziłeś? – zapytał Kalupa.

– Z czym niby?

– No z nieśmiałością. Jesteś przecież zdrowy facet,
musisz czasami... – Oficer spojrzął na Szaraka,
uśmiechnął i poruszył dłońmi, jakby chciał zasugerować
coś nieprzyzwoitego. – Musisz czasami pójść z jakąś do
łóżka, żeby rozładować się, ulżyć sobie... Nie? Poczuc, że
jesteś prawdziwy chłop. Poza tym to fajna sprawa być
w łóżku z kobietą, co nie?

Szarak pokręcił się na krześle.

– Czasami uda się coś poderwać – burknął. – Po pijaku.
– Byłem też parę razy na kurwach – dodał. – W Poznaniu
na placu Ratajskiego stoją. Chociaż większość z nich to
stare raszple, niestety. – Potarł nerwowo szyję. – Ale
trafiają się i młode.

Kalupa zadał jeszcze parę pytań i urwał ten wątek.

Wyszło na to, że Szarak miał małe doświadczenie
seksualne. Był nieśmiały i niegramotny w tej sferze.
Niemalże prawiczek.

– No dobrze – powiedział oficer po chwili namysłu. –
Musimy teraz porozmawiać o wydarzeniach, z powodu
których zostałeś zatrzymany. Dobra?

– Dobra.

Porucznik zerknął do protokołu przesłuchania niedosłej ofiary gwałtu. Rzucił wzrokiem na kilka linijek i spojrzął na Szaraka, który chrząknął parę razy.

– Październik zeszłego roku – rzucił.

Szarak westchnął.

– Październik zeszłego – zawtórował. – To był chujowy miesiąc.

– Dlaczego?

Mężczyzna machnął z rezygnacją ręką.

– Wróciłem z woja, w którym było okropnie. Banda debili i pojebów, kurwa, tam pracuje...

Cisza.

– Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Codziennie żłopałem piwo i kłóciłem się ze starym, który ciągle mi brzęczał nad uchem. „Poznaj jakąś fajną dziewczuchę, ożeń się z nią, załóż rodzinę”. No marudził w kółko jak jakiś nakręcony. Namawiał mnie też, żebym przejął po nim gospodarkę i ten jego pieprzony zakład zduński. Odpowiadałem mu podkurwiony, że takiego wała. On wyzywał mnie od głupich nierobów, no i w ten sposób zaczynała się każda awantura.

Cisza.

– Rozumiem, że pewnego dnia poczułeś, że masz już tego dość? – podsunął Kalupa.

– Dokładnie. Dzień przed... przed tamtymi wydarzeniami pokłóciłem się ze starym i upiłem jakimś jabołem. No i poszedłem zły spać. Rano wstałem skacowany i postanowiłem, że pojedę do Kozienic.

– Do Kozienic?

– Tam mieszka mój kumpel z wojska.

– Ale dlaczego właśnie tam?

– Nie wiem. Bo daleko od domu, od starych, od tego wszystkiego, czym już rzygałem? Naszło mnie, żeby zacząć od nowa. W nowym miejscu.

– Co masz na myśli, mówiąc o zaczęciu od nowa?

– Chodzi mi o znalezienie roboty, mieszkania, może przyszłej żony.

– Rozumiem. Dobra, wstałeś rano, naszły cię takie myśli. I co dalej?

– Zjadłem śniadanie, spakowałem się, powiedziałem rodzicom, że jadę do Kozienic, i poszedłem na przystanek autobusowy.

Szarak się zamyślił.

– Pamiętam, że padało, była mgła – powiedział. – Zajebiście nieprzyjemny dzień.

Porucznik spojrział na przesłuchiwanego. Pokiwał głową.

– Stamtąd pojechałem do Poznania.

– O której?

– A ja wiem? W południe chyba.

Kalupa zanotował coś i dał znak, żeby Szarak kontynuował.

– Gdy wylądowałem w Poznaniu, poszedłem na dworzec PKP. W informacji powiedziano mi, że pociąg do Kozienic odjeżdża jakoś po północy.

– Pamiętasz, jaki dokładnie to był pociąg?

– No. Pospieszny w kierunku Lublina.

– Kupiłeś bilet?

– Tak. Drugiej klasy.

– Co robiłeś w Poznaniu przez ten czas?

– Nic.

– Nic?

– A co niby miałem robić? Piłem piwo, gapiłem się na ludzi... Myślałem.

– O czym?

– O różnych rzeczach.

– Na przykład?

– O pracy. Głównie. – Zamilkł i po chwili się uśmiechnął. – Spotkałem kolegę, który przyjechał z Warszawy do rodziny. Najebany był w trzy dupy. Pogadaliśmy chwilę o pierdołach. Na pożegnanie dał mi świerszczyka z zajebistymi laskami. – Zarechotał. – Włożyłem go do jakiejś gazety i oglądałem sobie te wszystkie świntuchy. Nie powiem, podnieciłem się. A na koniec wyrwałem fotkę najładniejszej dupencji i schowałem do kieszeni. Na pamiątkę. – Zadumał się. – No i jakoś czas mi zleciał. Po północy przyjechał pociąg. Wsiadłem i od razu polazłem do bufetu. Miałem ochotę dalej pić. Kupiłem piwo. Okazało się, że barman to równy chłop, sprzedawał wódkę spod lady. Dolał mi do browara ze dwa razy pięćdziesiątkę. Nie było klientów, więc otworzył sobie butelkę i przysiadł się do mnie. Pogadaliśmy o życiu, głównie o wojsku. Że to głupia sprawa... – Szarak zamilkł i odgarnął włosy.

Kalupa drgnął i zawstydzony uprzytomnił sobie, że zatracił się w opowieści przesłuchiwanego. Chrząknął parę razy i zerknął na okno, które załśniło w słońcu. Uśmiechnął się mimowolnie.

– W pewnym momencie pojawiła się grupka jakichś kiboli, która chciała coś zjeść, więc barman wrócił do roboty, a ja wyszedłem na korytarz. Byłem trochę wstawiony, zachciało mi się ruchać. Wyciągnąłem fotkę, popatrzyłem sobie i poczułem, że muszę wypierdolić

jakaś babę.

Kalupa spojrzał uważnie na przesłuchiwanego.

– Szedłem przez ciemny korytarz i zaglądałem do przedziałów – mówił dalej Szarak. – Szukałem samotnej kobiety, do której mógłbym się przysiąc i...

Cisza.

– Ale wszędzie byli tylko faceci i rodziny z dziećmi. W pewnym momencie znudziło mi się to bezsensowne łożenie. Stwierdziłem, że wejdę do byle jakiego przedziału i spróbuję zasnąć, skoro tak to wygląda. No więc zatrzymuję się, patrzę sobie przez okno. Pociąg stuka i stuka. Ziewnąłem. A potem otworzyłem przedział. Staję w progu i patrzę. A tam leży kobieta. Sama. Leży i śpi. Nogi ma rozkraczone.

Porucznik przygryzł usta i znieruchomiał. Przełknął ślinę.

– Solidne te nogi były... Kolumniska! Twarzy nie widziałem, bo zakryła ją kurtką. Ale pamiętam, że miała biały obcisły golf i duże cyce. Wielkie cyce. Pierwsza klasa cyce. – Szarak westchnął i pokiwał głową z uznaniem. – Przeszedł mnie dreszcz, gdy je zobaczyłem – mruknął. – Zakręciło mi się w głowie. Wszedłem do środka. Zamknąłem drzwi. Stałem naprzeciwko niej i zacząłem gapić się na te jej cycki. Fujara mi stanęła. Rozpiąłem pasek. Myślałem, że mi wyskoczy. Byłem szczęśliwy. – Zamilkł i zadumał się. – Wtedy przekonałem się, że wyjazd z domu był świetnym pomysłem. Że w końcu mogę robić to, co chcę. Że mogę wszystko. Życzyłem tatuśkowi chuja w dupę. Nie wiem, dlaczego akurat wtedy przyszedł mi do głowy mój stary. No ale przyszedł. – Poruszył ustami i przymrużył oczy. –

Nachyliłem się nad nią. Jedną ręką złapałem ją za cycka, drugą za cipkę. To było piękne. Kobiece ciało jest super. Miękkie, ciepłe. Nic tylko ruchać. Zacząłem miętosić tego cycka, ale baba nagle zrzuciła z twarzy kurtkę i zaczęła wrzeszczeć.

Kalupa zanotował szybko parę słów.

– Odkoczyłem, spojrzałem na jej gębę i zdziwiłem się strasznie.

– Zdziwiłeś się? Dlaczego?

– Bo zobaczyłem, że ona stara jest! – Szarak podniósł głos, jakby się szczerze oburzył. – Jakieś siedemdziesiąt lat! A może nawet więcej! No nie taką chciałem, rozumie pan, panie poruczniku? Jaja jak berety normalnie. – Ponownie zarechotał. – Gapię się na nią zdziwiony, a ona się wydziera – mówił dalej. – Drze ryja, starucha. Podrapał się po brodzie. – Musiałem ją uciszyć. Więc podskoczyłem do niej, chwyciłem za gardło i zacząłem dusić. Zacharczała i zamknęła się. Ale chuj bombki strzelił, bo nagle drzwi się otworzyły i w progu stanęła grupka ludzi. „Co tu się dzieje?”, „Co pan wyprawiasz?!”. Ktoś zapalił światło. Wtedy ktoś inny ryknął: „Gwałciciel!”, „Łapać, skurwysyna!”, „To morderca!”. Darli mordy, ale stali w miejscu i nic nie robili. Tchórze.

Szarak spojrzał na Kalupę, który wpatrywał się w niego w napięciu.

– Serce biło mi jak oszalałe. Spociłem się strasznie. Patrząc na nich, patrząc na okno. Myślę, jak spierdolić. Wtedy pociąg zwolnił. Jak na moje życzenie. No cóż, ma się tego farta... – Mężczyzna podniósł ręce i uśmiechnął się. – Warknąłem do nich, żeby się nie ruszali. Pogroziłem pięścią, to się cofnęli. Opuściłem okno

i wyskoczyłem w pizdu.

– Kaskader z ciebie – mruknął Kalupa i przypomniał sobie, że świadkowie ten „skok w pizdu” nazwali „skokiem tygrysa”. W ich zeznaniach dało się wyczuć podziw dla nieprzeciętnej sprawności młodego mężczyzny.

– No nie miałem wyjścia, panie poruczniku.

– Prawie jak James Bond.

Przez twarz Szaraka przemknął grymas zadowolenia.

– Co było dalej, chłopaku?

– Co dalej? Hm... No skoczyłem. Upadłem na ziemię i przeturlałem się parę metrów. Przez jakiś czas leżałem nieruchomo. Nie wiedziałem, co się dzieje. Gdzie jestem, co się wydarzyło? Tak jakbym na chwilę stracił przytomność. W końcu poczułem zimno, szczypanie na twarzy. Wstałem. W oddali zobaczyłem oświetlony budynek. Przeszedłem kilka kroków wzdłuż torów. Zrobiło mi się niedobrze. Puściłem rzyga i poczułem się trochę lepiej. Przypomniałem sobie wszystko. – Szarak pokręcił głową. – Pomyślałem sobie, że to jest jak w filmie. – Zabójca spojrział na milicjanta i zapytał: – Panie poruczniku, czy mógłbym zapalić?

– Jasne. – Kalupa poczęstował go papierosem.

Gdy Szarak zaciągnął się i wypuścił dym, wrócił do swojej opowieści:

– Otarłem twarz i ubranie. Obok dostrzegłem rów z wodą, umyłem w nim ręce, a potem poszedłem na stację. „Opatówek”, taką zobaczyłem tablicę. „Niech będzie Opatówek”, pomyślałem sobie. Gdy wszedłem na koniec peronu, dostrzegłem sylwetkę jakiejś dziewczyny, samotnej. Gdzieś po bokach wypatrzyłem jeszcze trzy,

cztery osoby. Po chwili nadjechał pociąg. Dziewczyna wsiadła. A gdy wsiadała, zamajtała kitką, co mnie podnieciło strasznie. Wtedy znowu poczułem, że muszę kogoś wyruchać. Kutas mi zeszywniał. Podbiegłem do wagonu, w którym zniknęła dziewczyna, i wszedłem do niego, ale z drugiej strony. – Szarak zaciągnął się i zdusił niedopałek w popielniczce. – Serce zaczęło szybciej bić. Zrobiło mi się gorąco. Wszedłem na korytarz, otworzyłem drzwi i znalazłem się w przedziale. Dziewczyna z kitką. Trzymała w rękach książkę albo gazetę. Oprócz niej nikogo. Spojrzała na mnie. Uśmiechnąłem się. Przeraziła się, głupia. To mnie chyba jeszcze bardziej podnieciło.

Kalupa zmarszczył czoło.

– Rzuciłem się na nią. Zacząłem zrywać z niej ubranie. Nagle poczułem, że mnie kopnęła w jaja. – Szarak skrzywił się i pokręcił głową. – Zajebicie mocno – burknął, odchylił się na krześle i założył ręce z tyłu głowy. – Wkurwiłem się.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Jak to dlaczego? Kurwa! – Mężczyzna spojrzał na porucznika, zmarszczył brwi i zacisnął pięści. – Kobieta wali mnie po jajach? Jakim prawem?

– No wiesz, broniła się.

– W ten sposób, kurwa?!

– No dobra, powiedzmy, że przesadziła – prychnął Kalupa.

– No przesadziła. – Szarak wydał wargi i dodał: – Wszystko inaczej mogłoby się potoczyć. Mogłaby żyć. Dziewczyna... – Zerknął na oficera. – Jak miała na imię? Bo nawet nie wiem.

– Krysia.

– Krysia – powtórzył. – No wkurwiła mnie ta Krysia bardzo. Jak mnie kopnęła po tych jajach, to ją na chwilę puściłem. Wtedy ona zaczęła wrzeszczeć, walić mnie rękami po gębie, więc podniosłem ją w górę i z całej siły rzuciłem na ławkę. Usłyszałem jakiś trzask, chrzęst, chrupnięcie, nie wiem. Uspokoiła się. Powiedziałem, że zaraz ją wyrucham i że wywlokę ją z pociągu i dokończę. Po prostu musiałem to zrobić. Za wszelką cenę.

– Wiesz, że umierała?

– Nie.

– I że zmarła zaraz po tym, jak ją...?

– Nie wiedziałem. Nie myślałem o tym. Po prostu musiałem ją wydymać. Ją albo jakąś inną babę. Po prostu...

Kalupa westchnął i spojrzał na nagrywający magnetofon.

• • •

Redaktor podniósł wzrok znad maszynopisu i zamyślił się. Przypomniawszy sobie sprawę Edmunda Kolanowskiego, którą relacjonował dla „Expressu Poznańskiego”. Tam też był podobny wątek.

Wyteżył pamięć. Nekrofil i zabójca rozkopał grób, otworzył trumnę, wydobył ciało i zaczął wykrawać z niego duży płat skóry. Nagle usłyszał jakiś wystrzał, a chwilę potem zobaczył nad drzewami racę.

Przeraził się, rzucił wszystko i zaczął uciekać. Przez chaszczki, ulice, osiedla. Po jakichś kilkunastu minutach się zatrzymał. Był straszliwie zdyszany, spocony, zmęczony. Ale mimo to cały czas miał erekcję i czuł, że musi rozładować napięcie seksualne.

Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie wrócić na cmentarz i nie wykopać nowego ciała.

Redaktor nagle drgnął.

Coś trzasnęło, chyba drzwi.

Podniósł głowę znad maszynopisu i dostrzegł w progu dwóch wysokich i barczystych mężczyzn ubranych w puchowe kurtki, dresy i adidasy.

Miastowi?

Omiotli wzrokiem pomieszczenie i ruszyli do baru, chwiejąc się w charakterystyczny, nieco karykaturalny sposób. Za nimi spokojnym krokiem szedł niewysoki, szczupły mężczyzna, niepozornie ubrany.

Co to za konus?

Redaktor zastygł w bezruchu, próbując przypomnieć sobie tożsamość mężczyzny. Zmrużył oczy. „Konus” miał skromny wąsik i solidne zakola. W rękach trzymał kaszkiet.

– Jest szef? – zapytał jeden z dresiarzy.

Dziewczyna wskazała głową drzwi prowadzące na zaplecze.

Czy to nie Mechanik? – pomyślał redaktor, przypominając sobie, że parę dni temu konkurencja opisała brutalny proceder ściągania haraczy od właścicieli poznańskich pubów.

Zanotował coś na marginesie jednej z kartek maszynopisu. A potem zerknął na policjantkę i jej towarzysza przypatrującym się w milczeniu trójce mężczyzn, którzy minęli bar i zniknęli wszystkim z oczu.

Fajna scena – pomyślał i sięgnął po piwo. *Tak mógłby zacząć się jakiś film gangsterski. Najpierw spokojna sekwencja, a zaraz potem wielka rzeź.*

Gdy zorientował się, że kufel jest pusty, westchnął, wyciągnął portfel i przeliczył banknoty.

XXXVI

Kowalski przetarł boczną szybę i zerknął na pobocze szosy, gdzie dostrzegł zwłoki jakiegoś zwierzęcia, psa albo kota.

– To śnieg prószy? – zapytał, po czym potarł zziębnięte ręce.

– Może – mruknął Ostrowski i włączył wycieraczki.

– Włączyłbyś ogrzewanie?

– Mówiłem ci już kiedyś, że nie działa.

– No tak, ale to było jakiś rok temu.

– Nic od tamtego czasu się nie zmieniło.

– Aha.

Kowalski zerknął na kolegę.

– Coś cię gryzie?

– Nie.

Zamilkli i na powrót skupili się na zewnętrznej scenerii. Wjechali właśnie na szosę, która zaczęła wspinać się delikatnie ku górze i zaraz potem łagodnie zakręcać, stając się tym samym całkiem przyjemnym punktem widokowym. Przed oczami policjantów rozciągał się zalesiony teren. Po chwili droga opadła i poprowadziła ich wprost do miasteczka.

• • •

Gdy minęli basztę, dostrzegli znak wskazujący kierunek na Szczecin.

– Byłeś kiedyś w Szczecinie? – zagadnął Kowalski,

wyciągając z torebki drożdżówkę z kruszonką.

– Parę razy – odpowiedział Ostrowski i złapał się za brzuch, który nagle zaburczał. – A ty?

– Chyba kiedyś, w dzieciństwie.

– Zapamiętałem tylko jedną rzecz: Wały Chrobrego. Architektoniczna grafomania, ale robi duże wrażenie.

– Mnie się Szczecin kojarzy z Rzeźnikiem z Niebuszewa.

– A kto to był? Rycerz księcia Barnima?

– Zabójca.

Ostrowski wydał wargi i burknął:

– Tobie wszystko kojarzy się z zabójcami. I w dodatku seryjnymi.

– Dla mnie seryjny zabójca to jedna z najważniejszych metafor społecznych.

– Metafor? – Ostrowski otworzył szerzej oczy i zerknął na kolegę. – Seryjny zabójca to metafora?

Kowalski pokiwał głową z politowaniem.

– Metafora człowieka jako istoty zniewolonej przez własne słabości.

– Stary, ty rzeczywiście powinieneś zmienić zawód.

– Zamknij się, głąbie! – burknął Kowalski i sapnął zirytowany. – Chodzi mi o to – podjął – że mechanizm działania tego rodzaju przestępcy przypomina mechanizm działania tak zwanego zwyczajnego człowieka, który nie może się oprzeć różnym pokusom. Alkohol, seks, hazard, jedzenie, kradzież, przemoc domowa.

Kowalski zamilkł i spojrzał na poniemiecką kamienicę, przy której się zatrzymali, żeby przepuścić przechodzącą przez pasy gromadkę przedszkolaków.

– Seryjniak to dla mnie ktoś, kto po prostu musi

powtarzać pewne grzeszne czynności, żeby rozładować napięcie – dodał, wpatrując się w budynek Komendy Powiatowej, który nagle pojawił się w zasięgu ich wzroku. – Dlatego, w pewnym sensie, wielu spośród nas może odnaleźć się w figurze seryjnego zabójcy.

– Ty! – zawołał nagle Ostrowski, gdy przejeżdżali pod wiaduktem. – A może udałoby się nam pojechać do Stanów na jakiś kurs organizowany przez FBI?

Kowalski pokiwał głową, pracowicie przeżuując drożdżówkę.

– W tamtym roku parę osób pojechało do Luizjany. To były zajęcia dla dochodzeniowców na temat oględzin miejsca zbrodni. Fajne rzeczy opowiadali, jak już wrócili.

– Mamy szansę?

– Jak rozwiążemy sprawę Grandowskiego, to może tak?

– A rozwiążemy?

– Skąd ten pesymistyczny ton, panie kolego?

– Tak mnie naszło.

Ostrowski zwolnił, spojrział w prawą stronę, gdzie ich oczom ukazało się wielkie blokowisko, włączył kierunkowskaz i skręcił. Przejechawszy kilkaset metrów wąskimi, krętymi uliczkami, które nazwano na cześć polskich pisarzy, zatrzymał się.

– To chyba tutaj.

Spojrzeni na czteropiętrowy blok, na którym widniał napis „Ulica Krasińskiego”.

– A co z tym rzeźnikiem? – zapytał sierżant, wyciągając ze schowka paczkę gum do żucia i gasząc silnik.

Kowalski odpiął pas.

– Bardzo mocna sprawa – odpowiedział. – Początek lat pięćdziesiątych, Niebuszewo, czyli dzielnica Szczecina.

Facet nazywał się Cyppek¹⁹. Zabijał ludzi i przerabiał ich na wędliny, które puszczał na handel. Na pobliskim ryneczku chyba.

Ostrowski zrobił wielkie oczy.

– Żartujesz? – zapytał, przetykając ślinę.

– Jestem poważny jak zawał serca – mruknął Kowalski i wysiadł z samochodu. – Podobno codziennie była świeża dostawa. Szczecinianie cenili sobie jego wyroby.

– Jak go namierzono?

– Przypadek. Zaginęła babka, ktoś coś pokojarzył, milicja weszła do jego mieszkania i znalazła pociachane ciało.

Ostrowski zerknął na partnera, a ten w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– To był czas deficytu mięsnego w Polsce.

– No tak, to wszystko tłumaczy.

• • •

Zapukali i zadzwonili po raz trzeci. W końcu z głębi mieszkania wydobyły się jakieś dźwięki. Po chwili otworzyły się drzwi.

W progu stanął mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna. Był ubrany w znoszony dres, na stopach miał tenisówki. Pulchnawy, średniego wzrostu, ogolony, uczesany z przedziałkiem na boku, w okularach.

Przechylił lekko głowę.

– Słucham? – zapytał.

Sierzanci wyciągnęli legitymacje, przedstawili się

¹⁹ Józef Cyppek, skazany na karę śmierci 17 września 1952, stracony 3 listopada 1952. Oskarżony o jedno zabójstwo (sąsiadki), podejrzewa się jednak, że jego ofiar mogło być więcej.

i zapytali, czy mogą wejść, żeby „pogadać na spokojnie”.

Historyk wpuścił ich do mieszkania i poprowadził do dużego pokoju, zastawionego regałami z mnóstwem książek.

– Nastawię czajnik – mruknął i zniknął w kuchni, a oni usiedli na fotelach, rozglądając się po pomieszczeniu, które stanowiło oryginalną wizytówkę młodego intelektualisty.

Na ścianach widniały mapy historyczno-geograficzne i kilka reprodukcji obrazów Matejki oraz Riepina. Na szafie dostrzegli kask z napisem „ORMO”, na stoliku przy staroświeckiej lampie album z czołgami z czasów drugiej wojny światowej. Nad wersalką wisiały dwa plakaty. Czerwony, przedstawiający fotografa, który kuca nad leżącą kobietą, i biały z kowbojem na tle czerwonego napisu „Solidarność”.

W kącie, pod oknem, stał mały telewizorek, który w tej charakterystycznej scenerii robił wrażenie akademickiego żartu.

Nieżyły postmodernizm – pomyślał Kowalski i zerknął na kolegę, który wpatrywał się w poster „Powiększenia”.

Przeniósł wzrok na ławę, na której stała suszarka fotograficzna. Obok niej leżał stos pudełek z papierem.

– Właśnie zabierałem się za wywoływanie zdjęć – powiedział Labuda, wchodząc do pokoju.

Położył tackę przy suszarce, podsunął sierżantom szklanki z kawą i cukierniczkę.

– Widzę, że jest pan fanem „Powiększenia” – odezwał się Kowalski. – Tak jak Wiktor.

Historyk postłodził sobie kawę, wymieszał i oblizał łyżeczkę.

– Tak. Ale Wiktor miał ambiwalentny stosunek do tego filmu.

– Dlaczego?

– Według niego Antonioni osłabił tu siłę oddziaływania fotografii. Z jednej strony dzięki niej odnajdujemy trupa, ale z drugiej nic z tego nie wynika. „Co on chciał przez to powiedzieć?”, pieklił się. „Że zawód fotografa czy dziennikarza nie ma sensu?”. – Labuda się uśmiechnął. Podmuchał w kawę, upił parę łyków i dodał: – Wiktor był idealistą. Uważał, że trzeba za wszelką cenę ujawniać niewygodną prawdę. Lubił ze mną wywoływać zdjęcia. A najbardziej ten moment, kiedy na papierze umoczone w wywoływaczu pojawiał się obraz. Prawdziwy, realny, będący dokładnym odbiciem rzeczywistości. Tak to widział. Oznajmił mi kiedyś, że na tym polega jego robota, na wywoływaniu faktów. – Mężczyzna zamilkł i zamyślił się. – I to go zabiło chyba. – Westchnął. – Fakty są niebezpieczne. Szczególnie w czasach przełomu. W drugiej połowie sierpnia przyjechał do mnie – mówił Labuda do skupionych policjantów. – Był jakby spłoszony, może trochę przestraszony. Moje pytania o samopoczucie zbywał wzruszeniem ramion. Twierdził, że wszystko jest okej i mam nie zawracać dupy. Został na noc.

– Pamięta pan dokładną datę? – zapytał Kowalski.

Nauczyciel wypuścił głośno powietrze.

– Sprawdzę w kalendarzu – powiedział i wyszedł z pokoju. Wrócił po paru minutach. – Dwudziesty trzeci sierpnia, w niedzielę – oznajmił, po czym zmarszczył czoło i dodał: – Zostawił karton. Poprosił o przechowanie.

Ostrowski poruszył się na krześle.

– Karton? – zapytał.

– Tak. Powiedział, że nie chce mu się go ze sobą zabierać.

– Co w nim jest?

– Nie wiem. Nie zaglądałem tam.

Policjanci spojrzeli po sobie.

– A gdzie jest ten karton? – zagadnął Kowalski, sięgając po kruche ciasteczko, które wypatrzył na talerzyku położonym na drugim końcu ławy.

– W piwnicy.

– Możemy tam pójść? Musimy zajrzeć do środka.

– Oczywiście.

Ostrowski przeczesał dłonią włosy.

– Chciałem się tylko upewnić – odezwał się. – Nikt z naszych pana nie odwiedził?

– Nie. Jesteście pierwsi.

Sierzanci znów spojrzeli na siebie wymownie, a potem wstali i razem z gospodarzem wyszli do przedpokoju.

– Przy okazji wyniosę „Bajtka” – mruknął Labuda i wziął stos kolorowych egzemplarzy komputerowego pisma.

• • •

Labuda wszedł na krzesło i sięgnął po karton, który stał na najwyższej półce, tuż przy słoikach z ogórkami kiszonymi. Zachwiał się, ale Ostrowski przytrzymał go za uda.

– Dzięki – mruknął, zszedł na ziemię, po czym postawił karton na stole.

Policjanci podeszli.

– Ma pan jakieś nożyczki albo nóż? – zapytał Kowalski, omiatając wzrokiem tekturowe pudło oklejone szeroką szarą taśmą.

– Coś się znajdzie – odparł historyk i rozejrzał się po piwnicy. Po kilkunastu sekundach namierzył scyzoryk. Podał go policjantowi, który zabrał się energicznie za rozpruwanie pudła.

Gdy skończył, coś cichutko brzęknęło i zgasło światło.

Ostrowski zachichotał, a Kowalski parsknął zniecierpliwiony.

– Zaraz zapalę świeczki – oznajmił Labuda. – Mam tu ich pod dostatkiem.

– Jak w amerykańskim filmie – powiedział szczerze rozbawiony Ostrowski. – Teraz powinniśmy dostać pałą po łbach, zemdlec, po godzinie obudzić się i przerażeni stwierdzić, że karton zniknął.

– Nie kracz – syknął Kowalski.

Naraz usłyszeli trzask pocieranej o draskę zapalki i po chwili zapłonęły trzy duże świeczki.

Labuda wziął jedną z nich i poświecił Kowalskiemu, który otworzył karton i zaczął wyciągać z jego wnętrza kolejne przedmioty.

Kilka książek Kapuścińskiego, „Pamiętnik Anastazji P.”, „Przerwana dekada”, czyli wywiad-rzeka Janusza Rolickiego z Edwardem Gierkiem, amerykańskie wydanie „Wszystkich ludzi prezydenta” Carla Bernsteina i Boba Woodwarda, „Zabiłem człowieka” Wojciecha Adamieckiego, jakieś mapy, przewodnik turystyczny po Berlinie i dwa tomy „Przechadzek po mieście”.

– To wszystko? – zapytał Ostrowski.

Kowalski wzruszył ramionami.

– Raczej tak – mruknął.

– Po co on to tutaj przytargał? – sarknął Ostrowski. – Jeśli chciał się tego pozbyć, mógł to wywieźć do rodziców, a nie ciągnąć tyle kilometrów do Gryfina. To bez sensu!

Kowalski chwycił karton i zaczął mu się dokładnie przyglądać. Nagle zapaliło się światło. Mężczyźni machinalnie przetarli oczy. Ostrowski spojrzał na Labudę.

– Czy Wiktor coś mówił o tym pudle? – zapytał.

– Nic poza tym, co wam powiedziałem.

– Jest pan pewien?

– Tak. Poprosił o schowanie go do piwnicy. Prywatne rzeczy, intymne gadżety, miałem tego nikomu nie pokazywać, nie mówić, nie zaglądać. Nic więcej.

– Przecież tu nie ma żadnych „intymnych gadżetów”! – stwierdził lekko zirytowany Ostrowski, podnosząc po poznańsku intonację. – Same książki!

– Zaglądał pan do tego? – zapytał Kowalski.

– Nie.

– Pokazywał pan to komuś?

– Absolutnie nie.

– Był tu ktoś jeszcze?

– Nie.

– Na sto procent?

– Oczywiście!

Ostrowski przecesał ręką włosy, chwycił „Pamiętnik Anastazji P.” i zaczął go wertować. Zachichotawszy, podał bestseller Kowalskiemu, który wzruszył ramionami i odłożył go na bok. W milczeniu przeszukiwali poszczególne książki. Labuda popatrzył na nich, a potem

chwycił miotłę i zaczął zamiatać betonową podłogę.

– Po co on to tutaj przytargał? – powtórzył Ostrowski, kiedy skończyli. – Po kiego wała?

Kowalski odłożył karton na stół.

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, panowie. – Labuda westchnął, nabierając na szufelkę uzbierany kurz i pył. Podeszedł do wiadra ustawionego w rogu pomieszczenia, wyrzucił śmieci, odłożył szufelkę i przetarł czoło. – Nie mam pojęcia. Niestety.

– Dobra – powiedział Kowalski. – Pakujemy książki z powrotem, piszemy protokół i jedziemy dalej.

Sięgnął po karton.

Nagle zmarszczył brwi i znieruchomiał.

– Co tam widzisz, chłopie? – zagadnął Ostrowski.

Kowalski zignorował pytanie.

– Hm – mruknął, po czym włożył rękę do środka i wydobył gazetę, którą wyścielone było dno kartonu. Podał ją koledze i jeszcze raz sięgnął do wnętrza. Szarpnął i wyciągnął brązową, lekko naderwaną kopertę formatu A5. – Przykleiła się do dna – mruknął, przyglądając się znalezisku. Przygryzł język i otworzył ją. W środku była dyskietka i zdjęcia. Spojrzał na pierwsze z wierzchu i zbladł.

– Co jest? – zagadnął Ostrowski, widząc minę kolegi. Zaintrygowany zerknął na fotografię i momentalnie otworzył szeroko oczy. – O żeż w mordę – szepnął.

Kowalski spojrzał na drugą, trzecią. Omiótł je wzrokiem, purpurowiejąc na twarzy. Potem na szybko przejrzał kolejne. W sumie było ich dziesięć.

Labuda podeszedł do nich.

– Co to jest? – zapytał. – Kim są ci ludzie?

Ostrowski wypuścił wolno powietrze.

- Prawdziwy dynamit. – Cmoknął nerwowo.
- Ciekawe, co jest na dyskietce.
- Może bomba atomowa?
- Sprawdźmy w Poznaniu.

Kowalski schował do koperty zdjęcia i oznajmił poważnym głosem:

- Mamy przełom w śledztwie.
- Howgh – potwierdził Ostrowski.

• • •

Po przeszukaniu piwnicy i sporządzeniu stosownych dokumentów mężczyźni wrócili do mieszkania Labudy.

Wypili kawę, posilili się pachnącymi tostami, które przyrządził historyk, pogadali o piłce nożnej i zaczęli się żegnać, zaskakująco serdecznie.

- Chciałem jeszcze zapytać o sprawy zawodowe Wiktora
- odezwał się Kowalski, zawiązując sznurówki. – Pracował w „Miesięczniku Poznańskim”, prawda?
- Tak. Od paru miesięcy.

– Jak to możliwe, że ktoś taki jak on zaczął pracę u takiego podejrzanego gościa jak Barnaba?

Labuda westchnął i skrzyżował ręce na piersiach.

– No cóż, kiedy rzucił pracę w „Expressie Poznańskim”, nie bardzo miał gdzie się zaczepić. Początkowo pracował jako wolny strzelec, ale finansowo wychodził na tym kiepsko. A gdy dostał ofertę od naczelnego „Miesięcznika”, najpierw się zdziwił, a potem stwierdził, że mimo wszystkich wątpliwości, zaryzykuje. Na początku zeszłego roku poszedł tam na etat.

Ostrowski spojrzał na Labudę.

– Dlaczego rzucił robotę w „Expressie”?

– Narzekał, że blokują mu co gorętsze teksty. Miał plan, żeby napisać coś o podejrzanym relacjach finansowych na linii policja – biznes, ale kierownictwo gazety nie chciało o tym słyszeć. Strasznie się zdenerwował. A gdy w ostatniej chwili zdjęli mu artykuł o jakimś esbeku, który zaczął się udzielać w lokalnej polityce, wkurwił się, trzasnął drzwiami i więcej nie wrócił.

– I przeszedł do Barnaby? – Kowalski dopytał nieprzekonany.

– Gdzieś musiał pisać. – Labuda wzruszył ramionami. – Podejrzewam, że Barnaba, który dał mu dobrą pensję, chciał go w ten sposób rozbroić. To był jeden z jego sposobów na wrogów. Podkupywanie, przekupywanie.

– Udało mu się?

– Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że szybko zaczęły się tarcia. No cóż... – Historyk westchnął. – Znając go, można przypuszczać, że prędzej czy później też by stamtąd uciekł.

– Wie pan, czym się ostatnio zajmował?

– Nie.

– Nie zdradził się z niczym?

– Nie. – Labuda pokręcił głową. – Nie lubił mówić o sprawach, nad którymi pracuje – mruknął. – Prawdziwy śledczy pies...

• • •

– To jest on – mruknął Ostrowski, gdy schodzili ze schodów.

– Kto? – zapytał Kowalski, marszcząc czoło.

– Labuda.

– Że co?

Ostrowski zachichotał, po czym oznajmił:

– W amerykańskim filmie na końcu okazałoby się, że zabójcą jest przyjaciel zabitego. – Tak zwany twist – dodał. – Rozumiesz?

Kowalski pokiwał głową z pobłażaniem.

– Ale to nie jest amerykański film, matole – burknął i otworzył drzwi.

Policjanci wyszli na zewnątrz i przystanęli na chwilę.

– Bulwersująco niskie poczucie humoru odnotowuję u kolegi – odezwał się Ostrowski. – Chyba jesteś głodny.

– Żebyś wiedział.

Chichot.

– Przestań w końcu chichotać!

Ostrowski przewrócił oczami i ruszył do samochodu.

XXXVII

Minęli dworzec kolejowy i skręcili w ulicę 1 Maja, która prowadziła łagodnie w dół. Przed nimi, w oddali, migotały słoneczne refleksy Odry.

Gdy zatrzymali się na skrzyżowaniu, rozejrzeli się po okolicy. Po prawej stronie dostrzegli restaurację o swojskiej nazwie „Marzenka”, z której chwiejnym krokiem wyszedł jakiś starszy mężczyzna. Po lewej fontannę otoczoną gromadą przedszkolaków. Za nią zespół budynków, wśród których zobaczyli napis zbudowany z wielkich liter: „Centrum”.

– Piękny PRL – mruknął Kowalski, ściskając w rękach kopertę.

– Za komuny było lepiej. – Ostrowski zachichotał.

Wrzucił kierunkowskaz, nacisnął gaz i skręcił w lewo, w Chrobrego.

Sprawnie przemierzali miasto, mijając kościół, plac Księcia Barnima, most, basztę. Gdy przekroczyli linię wyznaczoną przez ruiny murów obronnych, ulica Chrobrego przeszła w Łużycką.

Ostrowski przyglądał się miasteczku.

– PRL mówisz? – odezwał się. – Ja mam wrażenie, że opuszczamy średniowieczną osadę.

– Średniowieczną? Dlaczego?

– Te nazwy, obiekty. Zauważyłeś? Ulica Flisacza, ulica Piastów, ulica Słowiańska... Czuję się niemal jak Robin Hood, który wyjeżdża z Nottingham.

Zarechotali.

Kowalski popatrzył na widoki za szybą, po czym wyciągnął zdjęcia, które znaleźli w kartonie Grandowskiego, i zaczął im się wnikliwie przyglądać.

– Gdyby nie telefon Grandowskiego – odezwał się Ostrowski – nie ruszylibyśmy z miejsca. Przeraza mnie to – dodał.

– Co cię przeraża?

– Przypadek!

– Przypadek?

– No tak! Czy znasz jakieś śledztwo, w którym kluczowej roli nie odegrał przypadek?

– Nic mi teraz nie przychodzi do głowy.

– No widzisz! Człowiek się natyra, a potem i tak wszystko zależy od czegoś, co pojawiło się zupełnie nieoczekiwanie, zniecka, całkowicie akcydentalnie.

– Akcydentalnie? To ty znasz takie słowa?

Ostrowski prychnął.

– Widzę, że ci się filozof włączył – skwitował Kowalski i wrócił do fotografii, które znaleźli w rzeczach Grandowskiego. Przedstawiły sceny z orgii urządzonej przez kilku dobrze znanych policjantom ludzi.

Zapadła cisza, którą naruszał tylko pomruk silnika.

– A jednak – szepnął Kowalski, przyglądając się zdjęciu, na którym widniała naga kobieta trzymająca nabrzmiałe penisy Kozaka i Kowboja. – A jednak gość się skurwił z miastowymi.

– Ano.

Sierzant przełknął ślinę i spojrział na kolejne. Tym razem aparat fotograficzny uchwycił moment, w którym Kozak przepijał brudzia z Wiesławem Barnabą.

Następne zdjęcie. Roześmiany Kozak krzyżuje penis z krzyczącym coś Kowbojem.

Ostrowski zerknął kątem oka na fotę.

– Prawdziwa komunia dusz i kutasów – rzucił, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Kolejne zdjęcie: Barnaba, Kozak i Kowboj tańczą Zorbę. Następne: Kozak przepija do dwóch na oko dwudziestoparoletnich uśmiechniętych mężczyzn ubranych w kreszowe dresy.

Kowalski wytężył wzrok.

– Znasz ich? – zapytał.

– Chyba nie... – odpowiedział Ostrowski, przyglądając się intensywnie fotografii. – Nie kojarzę. Chociaż zaraz... Ten brunet wydaje mi się znajomy.

– Mnie też, mam wrażenie, że widziałem go kiedyś na jakimś komisariacie – rzucił Kowalski.

Skrzywił się. Pogrzebał w kieszeniach i z zadowoleniem odkrył krówkę w jednej z nich. Włożył cukierka do ust, spojrzął za okno, uśmiechnął się do stada krów, które właśnie mijali, i ponownie popatrzył na fotografię.

Kolejne zdjęcie przedstawiało stół zastawiony stosami pieniędzy, przy którym kilku mężczyzn, między innymi Barnaba i Kozak, grało w karty.

Następne: Barnaba poi butelką wódki klęczącego Kozaka. Następne: Kozak rzuca butelką o ścianę. Następne...

– Czy ja dobrze widzę? – zagadnął Ostrowski. – Czy Kozak stoi tyłem do obiektywu i wypina swoje gołe zarośnięte dupsko?

Kowalski sapnął.

– W rzeczy samej – burknął.

- Facet odjechał zupełnie!
- Pytanie kiedy odjechał? Jak długo z nimi współpracuje?
- Może po prostu lubi się zabawić?
- Jasne, zabawić.

Na ostatniej fotografii sierżanci ujrzeli Kozaka pozbawionego spodni oraz majtek, leżącego na sofie i wtulonego w dwie nagie nieprzytomne dziewczyny.

Ostrowski zagwizdał.

- To się nazywa zabalować - skomentował, po czym wrzucił kierunkowskaz, wyminął furmankę, która zatrzymała się przy przystanku PKS, i przygazował. Wskazówka prędkościomierza przekroczyła osiemdziesiątkę.

XXXVIII

Buryła przełknął kawałek kanapki i pokręcił głową.

– Coś ruszyło, ale mówię ci to w wielkim zaufaniu. Nie dawaj niczego jeszcze na papier. To bardzo... bardzo drażliwa sprawa... Nie, na razie muszę milczeć. – Podrapał się po włosach. – No wiesz, jak to często bywa: przypadek. Zapamiętaj sobie, Misio, mój ty ulubiony pisarzu. Przypadek zazwyczaj odgrywa ważną rolę w naszej robocie. Czytelnicy kryminałów nawet nie są w stanie pojąć jak bardzo ważną. – Chwytał parujący kubek. Upił parę łyków. – Oczywiście – mruknął. – Będziesz pierwszy. – Wyjął naostrzony cieniutki patyczek z kieszonki koszuli i pogrzebał nim w zębach. – A jak ci idzie pisanie opowiadania? – zapytał po chwili. – Tak sobie? No cóż. Taka pisarska dola. Jutro będzie lepiej, uwierz mi.

Zaśmiał się, umieścił słuchawkę między policzkiem a barkiem, sięgnął po zeszyt, który leżał przed nim na biurku, przewrócił parę stron.

– Przypomniał mi się pewien smaczek, chłopie. Może ci się przyda. Masz jakieś pisadło pod ręką? Tak? No to słuchaj. Miecio Kalupa czasami pochylał się nad trupem i mawiał: „Kto będzie miał zysk z twojej śmierci?”. Fajny tekst, co? – Bury sięgnął po drugą kanapkę i ugryzł spory kęs. Gdy przeżuł, podjął wątek: – Można na tym zbudować smaczną scenę. Już to widzę. Detektyw pochyla się nad zwłokami, coś mamrocze pod nosem.

W końcu przyklękuje, wbija wzrok w twarz denata i szepcze po chwili: „Podpowiedz coś”. Wszyscy patrzą na niego jak na wariata, a ten ma to gdzieś. Potem wstaje, otrzepuje kolana i mówi: „Musimy szukać tego, kto na tym zyska”. Dobrze, co? – Pokiwał z zadowoleniem głową. Dokończył kanapkę, wytarł ręce.

Wsluchując się w głos dziennikarza, nagle spowaźniał i przygryzł usta.

Misio zupełnie nieoczekiwanie zaczął dopytywać o szczegóły życiorysu Miecia Kalupy.

Chyba się zaangażował.

– No wiesz, każdy gliniarz ma swoje tajemnice. Miecio też – mruknął do słuchawki i westchnął. – Dobrze, opowiem ci. Ale nigdy, przenigdy nie zrobisz z tego żadnego artykułu czy reportażu. Rozumiesz mnie? Rozumiesz? – Chrząknął i rzucił: – Umówimy się na wódeczkę, to ci coś opowiem. – Zmarszczył brwi. – Nie ciągnij mnie za język. Trzeba szanować pamięć o zmarłych.

Skrzywił się, przypominając sobie słynną sprawę „przesłuchania na golasa”. Nie miał najmniejszego zamiaru opowiadać o tym przez telefon.

– Było takie jedno przesłuchanie, które źle się skończyło. Miecio miał do końca życia wyrzuty sumienia z tego powodu. Koniec, kropka. Więcej ci teraz nie powiem. – Potrząsnął głową. – Skup się na opowiadaniu – mruknął. – Wszystko po kolei. Coś innego ci zdradzę. Żeby ci się lepiej pisało opowiadanie o zabójcy z pociągu. – Cmoknął i włożył wykałaczkę do ust. – Tego „dziczka”, o którym teraz piszesz, złapano i skazano na karę śmierci – powiedział. – Jednym ze świadków egzekucji

był Harry. Kalupa odmówił, bo mu żona zakazała. „Czyś ty zgłupiał, stary?!”, krzyknęła na niego, kiedy zdradził jej, że chętnie by poszedł i popatrzył. „Na żadne zabijanie nie pójdziesz, ty stary cymbale!”. – Zarechotał, a potem dodał: – Harry poszedł i potem opowiadał nam, jak to było. A było ciekawie. – Zaśmiał się.

Przed oczami stanął mu świętej pamięci Mieciu, który w niezwykle zabawny sposób opowiadał o swoich bezustannych kłótniach z małżonką.

– Przy okazji zagadaj Harry’ego o ostatnie słowa zbója – poinstruował. – Muszę ci powiedzieć, że anegdota robi wrażenie. – Zamilkł na parę sekund. – Nie, nie! – zaprotestował. – Sam go zapytaj. Będziesz miał ładny materiał na koniec opowiadania. – Zerknął na zegarek i ziewnął. – Czytałeś „Pamiętnik Anastazji P.”? – zapytał. – Jak to nie? – zdziwił się. – Przecież wszyscy to czytają! Podobno kilkadziesiąt tysięcy sprzedanych egzemplarzy! – Zamilkł. – No wiesz! To cenna podpowiedź w temacie przepisu na sukces. Polityka, seks i trochę polskiego buractwa. – Zaśmiał się tubalnie. – Serwus, Misio – mruknął, odłożył słuchawkę i sięgnął po ostatnią kanapkę.

Na białym ekranie pojawiła dłoń trzymająca niebieską dyskietkę.

Ostrowski ściągnął bluzę, rzucił ją na tapczan i zerknął na Kowalskiego, który poprawiał kabel łączący klawiaturę z komputerem.

– Masz piwo? – zapytał, czując, że musi wzmocnić się odrobiną alkoholu.

Zbliżała się północ, był ledwo żywy, marzył tylko i wyłącznie o łóżku, a musieli przecież jeszcze sprawdzić zawartość dyskietki Grandowskiego. Mobilizował go jednak fakt, że na ósmą rano Rambert zwołał naradę, na której będą mogli triumfalnie obwieścić swój sukces.

Może na święta skapnie jakaś nagroda? Przydałby się dodatkowy grosz.

Od jakiegoś czasu planował kupić gitarę elektryczną, z czego jeszcze nikomu się nie zwierzał. Miał wrażenie, że to infantylne, głupie marzenie, będące efektem zbyt intensywnego oglądania rockowych klipów. Czasami przed snem wyobrażał sobie, że jest wokalistą i gitarzystą Metalliki, Jamesem Hetfieldem, staje przed wielotysięczną publicznością i zaczyna wykrzykiwać piosenkę o „smutku żniwiarza”.

– W lodówce – odpowiedział kolega i poruszył myszką po dziurawej podstawie. – Weź też dla mnie. Zaschło mi w pysku.

Ostrowski, przechodząc przez przedpokój, zerknął

w lustro i uśmiechnął się do swojego odbicia. Zwolnił kroku, złożył palce, formując je w kształt pistoletu, wycelował do siebie i mruknął:

– *Hasta la vista, baby!*

Wszedł do kuchni i zajrzał do lodówki, w której nie było nic poza paroma butelkami Lecha. Chwycił jedną z nich, otworzył zębami i wychylił.

Cudowna goryczka wypełniła przełyk, a potem rozlała się po całym ciele.

Przeszedł go dreszcz. Raz jeszcze pociągnął nosem, woń anyżu przepędził cudowny aromat chmielu.

Jest przełom – pomyślał, wracając myślami do sprawy Grandowskiego. *Mamy przełom! Piękny, rasowy przełom!*

Przetarł usta, chwycił dwie kolejne butelki i wrócił do pokoju.

Przygarbiony Kowalski zaczytywał pracowicie tekst z monitora.

– Co mamy?

– Na dysku znajduje się tylko jeden plik, tekstowy, zatytułowany „Fela”. To telegraficzna relacja z orgii, z której pochodzą rozbierane zdjęcia z Kozakiem. – Kowalski spojrział na kolegę, odebrał od niego piwo, upił łyk i dodał: – Podaj mi orzeszki, są w barku.

Ostrowski przewrócił oczami, ale posłusznie spełnił prośbę kolegi, który otworzył torebkę i wrzucił do ust kilka orzeszków.

– Grandowki natrafił na trop prowadzący do nas – odezwał się Kowalski, wycierając ręce.

– Do nas? – powtórzył Ostrowski.

– Do poznańskiej policji, chłopie.

– Kurwa.

– No dokładnie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i zamilkli. Po paru sekundach stuknęli się butelkami i wbili wzrok w czarno-biały ekran.

Ostrowski podwinął rękawy i zanurzył się w pospiesznie spisanej opowieści zaginionego dziennikarza:

„Parę dni temu dostałem cynk, że w małym hoteliku Felicja w Suchym Lesie co jakiś czas odbywają się imprezy organizowane przez Marka Wojnarowskiego, ksywa „Kowboj”. Uwaga: z udziałem poznańskich policjantów, dwóch albo trzech.

News szokujący, prawda? No i wzmacniający plotki na temat sprzedajnych gliniarzy.

Postanowiłem to sprawdzić u samego źródła. Byłby z tego przecież atomowy materiał, dzięki któremu można by oczyścić trochę nasze coraz brudniejsze miasto.

Dzięki pomocy kumpla zatrudniłem się jako kelner na weekend, w czasie którego miała odbyć się kolejna impreza.

Piątek, 21 sierpnia 1992. Wieczór

Jestem już w Felicji, która przypomina klimatem burdelik. Miły, kameralny wystrój. Bardzo serdeczna obsługa. Przez korytarze przemykają cholernie ładne dziewczyny. Miniówki, pończochy, szpilki, głębokie dekolty.

Zaczynam robotę.

Kręcę się po sali restauracyjnej i usługuję schodzącym się gościom. Próbuję jak najwięcej zobaczyć i zapamiętać.

Atmosfera robi się coraz luźniejsza, wódka leje się strumieniami. Ludzie tańczą, chichoczą, przepychają się. W pewnym momencie dostrzegam lożę, w której siedzi grupka facetów. Widać, że są najważniejsi na tej sali.

Wśród nich prym wiedzie trójka. Najgłośniejszy z nich to wąsaty kurdupel. Mówią na niego Kozak. Ciągłe się ciska, rzuca, ostro kurwuje. Chyba jest policjantem.

Drugi to Wiesław Barnaba, znany biznesmen. Wysoki, bardzo gruby, z sumiastym wąsiskiem. Purpurowy na gębie. Lubi wznosić toasty. Najwyraźniej ma słabość do tłustego mięsa, cały czas wpierdala golonkę.

Co ciekawe, w pewnym momencie zupełnie przypadkowo zobaczyłem, jak w ciemnym kącie próbował obmacywać młodziutkiego kelnera. Ależ on był napalony! Myślę, że to ważne – słabość do chłopców w tym środowisku? Nie wierzę, że ktoś tego nie wykorzysta! Może już wykorzystuje.

Trzeci to wspomniany Kowboj, znany poznański gangster. Ewidentnie gospodarz imprezy. Chociaż on zupełnie odwrotnie – uwielbia dziewczyny. Cały czas smyra je po cyckach, dupach. Jest nachalny. Straszliwy gość. Zadanie domowe na później: sprawdzić, czy pojawiły się plotki o gwałtach w jego wykonaniu.

Ostrą akcję zaobserwowałem. Laska siada mu na kolanach, on jej ściąga bluzkę, całuje po ramionach. Potem odchyła się, przymyka oczy i każe jej ściągnąć biustonosz. Gdy dziewczyna to robi, każe jej pokołysać cyckami. Po chwili chwyta ją za rękę i znika z nią na piętrze

Przyznaję, podnieciłem się.

Dobra, wracam do rzeczy.

O północy jest striptiz, a po nim zaczyna się prawdziwa orgia. Kurwa, nie wiedziałem, że takie rzeczy dzieją się w Poznaniu!

No ale każdego dnia przekonuję się, że moja naiwność jest nieskończona, może więc naprawdę powinienem porzucić dziennikarski fach i zatrudnić się w jakiejś bibliotece? Albo w innym równie oderwanym od rzeczywistości miejscu? Ha – do przemyślenia.

Kolejny pikantny obrazek. Jak z pornola. Na środku sali staje Kowboj i krzyczy do Kozaka:

– Wyzywam cię, ty moja ukochana mordo, na pojedynek!

Kozak podchodzi do niego chwiejnym krokiem i pyta:

– Jaki, kurwa, pojedynek?

Kowboj ściska go, a potem odsuwa się o dwa kroki i krzyczy:

– Kto się pierwszy spuści, ten przegrywa!

Wtedy rozbrzmiewają oklaski. Wokół tych dwóch palantów robi się kółko gapiów. Ktoś wypycha w ich stronę wielce cycatą blondynkę ubraną tylko w kozaki, pończochy i stringi.

– Chodź tu, suczko, no chodź. – Kowboj szczyrzy zęby. – Wiesz, co masz robić, co nie?

Dziewczyna kuca przed nimi, rozpina im paski, rozporki i zsuwa gacie.

Krzyki, brawa, gwizdy.

Potem zaczyna tarmosić kutasy, a oni biją się pięściami w piersi, wyją jak orangutany czy jakieś inne szympansy.

Nie wiem, jak to się skończyło, kto wygrał, bo zostałem wezwany do kuchni. Zresztą, nie chcę wiedzieć.

Co jeszcze miałem dodać?

Najważniejsze – wśród uczestników imprezy kręcił się facet, który cały czas robił zdjęcia. Wszyscy mówili na niego „Spielberg”. Wysoki, krótko obcięty, w okularach, okrągła twarz.

Gdy go znowu przyuważyłem w trakcie pojedynku pomiędzy Kowbojem a Kozakiem, postanowiłem, że ukradnę mu film.

No i, kurde, tak zrobiłem.

Pod koniec imprezy, czyli o jakiejś trzeciej czy czwartej rano, zauważyłem jego sprzęt fotograficzny na sofie. Gdy nikt nie patrzył, wyciągnąłem film i schowałem do kieszeni.

Gdy nikt nie patrzył... Mam nadzieję, że rzeczywiście nikt nie patrzył.

Boję się jednak, że prędzej czy później jakoś mnie namierzą. Spielberg na pewno się zorientował, że ktoś

podwędził mu rolkę z bardzo gorącym materiałem.

Kurwa, fotki, na których policjant z wojewódzkiej walczy na kutasy z groźnym bandziorem. To jest dynamit.

Pytanie: po co to fotografował? Hobby? A może to sposób na dyscyplinowanie ważnych, wpływowych znajomych?

Tak więc ukradłem, schowałem, a potem cały spocony dotrwałem jakoś do końca imprezy.

To tyle.

Bez odbioru”.

Skończywszy lekturę tekstu, sierżanci spojrzeli na swoje twarze, które pokryły się sporymi rumieńcami.

Przez kilkanaście sekund nie potrafili wykrztusić żadnego sensownego zdania.

Niedowierzenie mieszało się z ekscytacją, niepokój z podnieceniem.

Odczuwając mrowienie na skórze, próbowali zrozumieć znaczenie swojego odkrycia. A właściwie odkrycia Grandowskiego, który...

No właśnie, co się stało z tym chłopakiem? Świetnym chłopakiem!

Czyżby jednak go namierzyli? A czy jest możliwe inne wyjaśnienie, bardziej optymistyczne?

Kowalski sięgnął po butelkę i błyskawicznie ją opróżnił.

– Co ty na to? – zapytał.

Ostrowski przetarł dłonią oczy i pokręcił głową.

– Masz wódkę? – odpowiedział pytaniem.

– Mam.

– To polej po kielichu. Muszę ochłonać.

Kowalski wstał z krzesła i w milczeniu wyszedł

z pokoju, zastanawiając się, czy jest jakakolwiek szansa na to, że Wiktor Grandowski żyje.

W tym samym czasie Ostrowski nucił coś pod nosem, podrapał się nerwowo po policzku i uprzytomniał sobie, że nie wierzy w pozytywną odpowiedź na to pytanie.

XL

Katia wzięła od Ostrowskiego fotografię, która przedstawiała Kozaka przepijającego do dwóch młodych mężczyzn, i przyjrzała jej się uważnie.

– Tak, znam gościa – oznajmiła po chwili. – Pracuje w Komisariacie Grunwald. Konrad Lutowski, operacyjny. Chyba starszy posterunkowy.

Podinspektor Rambert zerknął na Buryłę, który słuchając Katii, krzywił się, jakby przełykał coś bardzo kwaśnego.

– Słyszałaś coś o nim? Jakies plotki? – zapytał naczelnik dochodzeniowego.

– Nie. – Posterunkowa pokręciła głową. – Nic... Poza tym, że szefostwo całkiem go ceniło. Miał dobre informacje, dużo wiedział.

Naczelnik kryminalnego podrapał się po grdyce, sapnął i wbił wzrok w żyrandol.

– To nie może wyciec – burknął i machinalnie spojrzął na zegarek. – Zadzwońę dzisiaj do Mariana, szefa kryminalnego na Grunwaldzie, i pogadam z nim. – Wypuścił głośno powietrze. – A tego drugiego znasz? – Spojrzął wyczekująco na Katię

– Nie.

– Ktoś go kojarzy?

Nikt nie odpowiedział.

– Nikt?

Nikt nie kojarzył.

Buryła odetchnął z ulgą.

– To dobrze. – Westchnął. – Istnieje szansa, że nie jest z policji.

Rambert zmarszczył czoło, usiadł za biurkiem i zapisał coś w zeszytcie.

– Daj mi je – mruknął Harry do Katii i wyjął z ust zapałkę. Przyjrzał się dokładnie fotografii, potem schował ją w wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki. – Sprawdzę go – oznajmił i włożył zapałkę z powrotem między zęby. – Spróbuję też dowiedzieć się czegoś o tym całym Spielbergu. Pierwszy raz słyszę o tej ksywie.

W gabinecie Ramberta zapadła cisza.

Ostrowski i Kowalski z zadowoleniem przyglądali się zespołowi całkowicie skoncentrowanemu na zdjęciach, które wczoraj przywieźli z Gryfina.

Spojrzeni po sobie. Ostrowski podniósł kciuk do góry, Kowalski uśmiechnął się nieznacznie i przejechał językiem po zębach.

– Nie wiedziałem, że Kozak ma taką dużą parówkę – odezwał się nagle Mischcu, zwracając na siebie uwagę zebranych.

Ktoś parsknął.

– No dobrze – powiedział Rambert. – Pooglądaliśmy sobie zdjęcia, czas na wnioski.

Nikt nie kwapił się do zabrania głosu.

– Mamy przełom w śledztwie – dodał po krótkiej pauzie.

– Przełom w śledztwie – zachnął się Buryła. – To mi wygląda na... – Urwał i poszukał w głowie dobrego określenia na zaistniałą sytuację, ale najwyraźniej nie znalazł. Westchnął tylko ciężko. – Mam nadzieję, że dziennikarze tego nie wywęszą – mruknął. – Policjant

z gołą fujarą biega na gangsterskiej imprezie... Totalna kompromitacja.

Ostrowski spojrzał na Buryłę.

– Naczelnik dotknął chyba sedna sprawy – powiedział.

– Że niby co? – zapytał podinspektor, unosząc brwi.

– No że ten, kto stoi za zniknięciem Grandowskiego, też pewnie nie chciał, żeby dziennikarze się o tym dowiedzieli.

Kowalski podniósł rękę.

– Mogę? – zapytał.

– Proszę.

– Wychodzi na to, że Kozak jest jakoś powiązany z tą sprawą. Kumplował się z Kowbojem, który jest prawdopodobnie uwikłany w zniknięcie, a może nawet zabójstwo Grandowskiego. Może coś wiedzieć. Trzeba więc jak najszybciej przesłuchać go na tę okoliczność.

Ostrowski chrząknął i zabrał głos:

– Wiemy, że w dniu, w którym zniknął Wiktor, w okolicach jego zamieszkania pojawili się Niki i Bejzbol, cyngle Kowboja. Załóżmy, że to oni porwali chłopaka i gdzieś wywieźli. A potem... – Sierżant urwał i rozłożył ręce.

– Dlaczego to zrobili?

– Wkurwił Kowboja? Zarąbał im przecież materiały, z których wynika, że mógł istnieć układ pomiędzy Kozakiem, gangiem Kowboja i biznesami Barnaby.

Rambert ściągnął okulary i przetarł oczy.

– Z powodu zdjęć od razu taka akcja?

– W sumie nie wiemy, co się wydarzyło – podsunął Kowalski. – Wiemy tylko, że Grandowski zniknął. Dzięki odnalezieniu notatki służbowej w szufladzie Kozaka

możemy założyć, że to było porwanie na zlecenie Kowboja. No i teraz...

– No i teraz – przerwał mu Harry, uśmiechając się – trzeba zatrzymać Kozaka i go przesłuchać.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

– Gdzie jest Kozak? – zapytał Rambert, spoglądając na Buryłę.

– Dzisiaj ma wolne, jeśli dobrze pamiętam.

– Jutro będzie w robocie?

– Tak.

– Mieszka z rodziną?

– Nie. Sam.

– Sam? Przecież jest żonaty!

– Parę miesięcy temu żona z córkami wyprowadziła się w cholerę. Chyba się rozwodzą.

Naczelnik dochodzeniówki zamyślił się, składając dłonie w wieżyczkę.

– W takim razie jutro o szóstej zatrzymujemy Kozaka w jego mieszkaniu.

Zapadła niezręczna cisza.

– Mischu, Katia i Ostrowski – odezwał się Rambert i spojrzał na wymienioną trójkę – to będzie wasze zadanie.

– Tak jest – wtrącił Buryła. – Potem prowadzicie go do mnie, a potem przejmuje go Harry i wyciąga odpowiednie informacje...

XLI

Zbliżała się szósta.

Energicznym krokiem wdrapali się po schodach na pierwsze piętro i stanęli przed drzwiami opatrzonymi trójką.

Ostry wskazał palcem napis „K+M+B”.

– Zacny katolik z naszego Kozaka – skomentował, potrząsając prześmiewczo głową. – Szczególnie to „K” jest wzruszające.

Miszczu parsknął i zaczął grzebać palcem w zębach.

– Zaczyna mnie boleć kolejny kieł – wymamrotał.

Katia uśmiechnęła się, wzięła głęboki wdech i zapukała.

Policjanci odsunęli się na boki.

Cisza.

Katia przygryzła górną wargę i nacisnęła dzwonek, który zawarczał głośno i nieprzyjemnie. Cisza. Spojrzała na obdarte czubki swoich głąnów i walnęła kilka razy pięścią w drzwi. Po chwili dobiegły ich jakieś dźwięki z głębi mieszkania.

– Chyba obudziliśmy smoka – szepnął sierżant.

– Kto mnie wkurwia z samego...! – Usłyszeli nagle wściekły wrzask, głośne kroki i jakiś przeraźliwy brzęk i odgłos tłuczonego szkła.

– Tylko nie wpadnij w furję, Katia! – Ostry wyszczerzył zęby.

Posterunkowa nie zdążyła odpowiedzieć, bo chwilę później drzwi gwałtownie się otworzyły i w progu stanął

Kozak.

Rozczochrany, zmarnowany, śmierdzący alkoholem, ubrany w biały bezrękawnik, czarne majtki i skarpetki.

Ujrawszy Katię, zdębiał. Potrząsnął głową z niedowierzaniem, podrapał się po karku i burknął:

– Cipuś, co ty tu robisz?

– Wpadliśmy z wizytą – burknęła policjantka i zrobiła krok do przodu.

Miszczu i Ostrowski odsunęli się jeszcze bardziej od drzwi mieszkania.

Kozak przełknął ślinę i dotknął krocza.

– Zajebiecie, ale trzeba było mnie uprzedzić, kochanie. Poprzednią noc spędziłem z dwiema koleżankami. – Wąsaty komisarz oblizał usta i spojrzał łakomie na Katię, która przyglądała mu się z coraz większym obrzydzeniem. – Ale następną noc chętnie zarezerwuję dla ciebie. – Zachichotał, drapiąc się po nabrzmiętym przyrodzeniu.

– Następną nocy nie będzie – burknął Miszczu i jednocześnie stanął w progu.

Kozak drgnął i cofnął się o krok.

– Co jest, kurwa?! – ryknął. – Co wy tu robicie?

– Katia ci wyjaśniła – oznajmił Ostrowski, który wychylił się zza drzwi. – Jesteśmy z wizytą.

– Super, fajny żart, ale teraz wypierdalajcie. Muszę dojść do siebie, pożegnać dziewczuchy i wypić w samotności poranną kawkę. A poza tym mam dzisiaj wolne – warknął Kozak, chwycił klamkę i zaczął zamykać drzwi.

Miszczu błyskawicznie zablokował je nogą.

– Nie tak szybko – rzucił.

– Pytam się, co jest, kurwa?!

– Jesteśmy tu służbowo.

– Że co?

– Odsuń się – powiedziała Katia i przekroczyła próg. – Musimy wejść.

Kozak spurpurowiał, wypiął pierś i zatarasował przejście.

– Wypierdalajcie, bo wam zaraz tak przypierdołę z półobrotu, że się, kurwa, wszyscy osmarkacie – syknął.

– Nie przypierdolisz – warknęła Katia, która poczuła, że zaczyna opanowywać ją wściekłość. Naszła ją wielka ochota, żeby zrobić mu krzywdę. Temu wrzaskliwemu, zakompleksionemu kurdupłowi. – Zrób przejście – warknęła, zaciskając pięści.

Kozak zmarszczył brwi, naparł na nią ciałem i złapał za szyję.

Chciał coś powiedzieć, ale nagle zgiął się w pół, a potem osunął na kolana. Reakcja Katii była bowiem błyskawiczna i skuteczna. Odtrąciła sprawnie agresora, a potem kopnęła go głanem w krocze. Bardzo mocno. Aż sama się skrzywiła.

– Ty pizdo – wysapał, z trudem łapiąc powietrze. – Zaraz cię...

Katia wbiła w niego wściekłe spojrzenie i sięgnęła po kajdanki.

Ostry i Mischu otworzyli szeroko usta i spojrzeli na siebie zdumieni.

– Kozak, co ty tam robisz? – Dobiegł ich nagle kobiecy głos. – Co się dzieje?

Sierżant zerknął na Mischu, który zarechotał, a potem zakomenderował: – Wchodzimy.

XLII

Buryła wydobyl z szuflady kopertę. Wyciągnął z niej fotografie zrobione w Felicji i zaczął je rozkładać na biurku. Gdy skończył, spojrzał na zdumionego komisarza i zapytał smutnym głosem:

– Dlaczego, Kozak?

Oficer ściągnął usta i pociągnął nosem. Na jego czole pojawiły się krople potu.

– Co dlaczego? – odpyskował.

– Taka jest twoja odpowiedź?

– Kurwa, Bury, taka jest moja odpowiedź, bo nie wiem, o co chodzi. Może mi wyjaśnisz?

Policjanci zmierzyli się wzrokiem.

Podinspektor uderzył palcem w zdjęcie, na którym widniała naga prostytutka ściskająca nabrzmiałe penisy Kozaka i Kowboja.

– Co to jest, ja się pytam?!

Komisarz zaczął szybciej oddychać. W końcu trącił palcem nos i burknął:

– Nie wiedziałem, że stanąłem przed komisją moralności.

Naczelnik rąbnął pięścią w blat biurka.

– Nie rznij, kurwa, cwaniaka! – wrzasnął.

Kozak odchylił się gwałtownie.

– To nie jest tak, jak myślisz – powiedział ściszym głosem i wbił wzrok w blat biurka.

– A jak jest, Kozak?! – ryknął Buryła. – Ruchasz się

z miastowymi, którzy robią ci foty z gołym, ospermionym chujem. Zdajesz chyba sobie sprawę z tego, jak to wygląda? Głupi chyba nie jesteś?! – Podinspektor zebrał zdjęcia, schował je do szuflady i napił się kawy. Spojrzał na podwładnego. – Co się stało z Grandowskim?

Kozak zmarszczył brwi.

– Nie wiem. Przecież ci regularnie melduję, że nie znaleźliśmy żadnego punktu zaczepienia.

– Taka jest twoja odpowiedź?

– Taka.

Buryła wyciągnął ponownie kopertę ze zdjęciami.

– Wiesz, gdzie znaleźliśmy te zdjęcia?

– Nie.

– U Grandowskiego.

Kozak drgnął.

– A wiesz, skąd się wzięły u niego?

– Nie.

– Według naszych informacji chłopak podpierdolił je niejakiemu Spielbergowi.

Komisarz zmarszczył czoło.

Buryła wydobył na wierzch fotografię z prostytutką i dodał:

– Podczas tej imprezy. Niecałe dwa tygodnie później zniknął. Podejrzewamy, że stoi za tym Kowboj. I że ma to jakiś związek z tymi pornolskimi zdjęciami. – To powiedziawszy, Buryła wstał i podszedł do okna. Pomilczał chwilę i odwrócił się nagle. – Tego Spielberga znasz?

– Nie. – Kozak pokręcił głową. – To nie jest poznaniak.

Cisza.

Podinspektor spojrział na swoje lśniące czarne buty,

wypuścił powietrze i warknął:

– Zostajesz zawieszony – warknął.

Stanął przy drzwiach i otworzył je. Machnął komuś ręką i stanął przed Kozakiem.

– Oddaj odznakę. I kluczyk do szafki, musimy zarekwirować broń.

Do gabinetu weszło dwóch umundurowanych mężczyzn, którzy podeszli do Kozaka.

– Zaprowadźcie go do Harry’ego – mruknął Buryła.

– To nie jest tak, jak myślisz, Bury! – wrzasnął komisarz.

– Zapewne – mruknął naczelnik.

XLIII

– A to ci niespodzianka! Słynny Harry będzie mnie przesłuchiwał – zawołał Kozak i uderzył dłonią w blat stołu. – Legenda poznańskiej policja kontra moja skromna osoba. – Zarechotał, rozparł się na krześle i nonszalancko rozprostował nogi. – Będziesz mnie bił? – zapytał, udając strach. – Tak jak innych? Będziesz mnie pizgał po miękkim? A może, kurwa, wystawisz mnie za okno jak kiedyś tamtego króliczka? Jak on się nazywał...? No popatrz, pamięć już nie ta... – Wąsaty policjant pociągnął nosem. – Nie ma mrozu, więc nie możesz mnie wychłodzić tak jak kiedyś Henio Kalupa pewnego zbója. To jak, będziesz bił? – Kozak ponowił pytanie i nagle przybrał surową minę.

Komisarz pokręcił głową.

– Co się tak denerwujesz? – zapytał spokojnie. – Kazano mi zapytać cię o jedną rzecz, więc to zrobię. I tyle.

To powiedziawszy, wydobył z kieszeni zapalniczkę i zapalił papierosa. Zaciągnął się mocno, wypuścił dym i zerknął badawczo na Kozaka.

Nie poznałem się na nim – przeszło mu przez głowę. Oszukał mnie. Dałem się wyrolować jak pierwszy naiwny.

Strzepnął popiół i podsunął mu paczkę cameli.

– Zapal sobie – mruknął. – Odśwież płucka.

Kozak wbił wzrok w pudełko ozdobione wizerunkiem sympatycznego wielbłąda. Sapnął. Raz, drugi. W końcu

po chwili wahania kiwnął głową, sięgnął po pudełko i wyjął jednego papierosa. Powąchał i włożył do ust.

Harry uniósł się lekko, nachylił i przypalił koledze, który łąpczywie wessał dym do płuc.

– Nic nie wiem, kurwa – burknął po paru solidnych pociągnięciach. – Wyciągnęliście chujowe wnioski. Popierdoliło wam się coś. – Urwał na chwilę. Wypalił pospiesznie papierosa i zdusił peta w popielniczce. – Owszem, bujam się czasami z miastowymi, ale na tym przecież polega robota operacyjniaka – podjął. – Dobrze o tym wiesz. Nie jesteśmy harcerzami. To brudny fach, w którym chodzi tylko i wyłącznie o skuteczność. Szkieł to nie ministrant. Czasami jest i tak, że musimy włożyć chuja w nielegalną pizdę. Tobie mam o tym mówić?

Harry milczał i bawił się zapalniczką.

– To jest pierdolony front! Wszystkie chwytty są dozwolone!

Komisarz zerknął na zdjęcia z orgii w Felicji, które rzucił na stół na początku przesłuchania.

Kozak westchnął.

– No dobra, najebałem się i popłynąłem. Czasami się zdarza... Wiesz coś o tym przecież, nie?

Harry zignorował przytyk. Wysunął z paczki kolejnego papierosa i przyłożył do nosa. Powąchał.

– Kozak – odezwał się. – Twoją sprawą zajmą się inni. Mam to w dupie teraz. Naprawdę. Chodzi o coś innego.

– O co niby?

Zamilkł i zerknął łąpczywie na papierosa.

– Chcę wiedzieć tylko jedno.

– Co?

– Co się stało z Grandowskim?

– Dlaczego mnie o to pytasz?

– Bo chcę wiedzieć, co się stało z chłopakiem.

Kozak podniósł ręce w geście bezradności.

– Nie wiem – odpowiedział, podnosząc głos. – Próbowaliśmy to naświetlić, ale ślad po nim całkowicie zaginął. Gość po prostu zapadł się pod ziemię.

– Zapadł się?

– No zapadł się.

– Zapadł się czy go zapadnięto?

Kozak ściągnął usta. Westchnął i mruknął, dłubiąc sobie w uchu:

– Mówią, że służby go zwerbowały i zrobiły mu nową tożsamość.

– Nie pierdol.

– Nie pierdołę. Pojawił się taki pomysł przecież.

Harry zaśmiał się ironicznie.

– Widziałeś go na tamtej imprezie? – zapytał.

– Nie.

– Nie?

– No nie. Nie znałem jego ryja. Nazwisko tylko kojarzyłem. Poza tym byłem wtedy dość ostro najebany.

Harry skinął głową i wyciągnął z szuflady zapisaną kartkę papieru.

– Znaleźliśmy to w twojej szufladzie – powiedział.

Kozak uniósł brwi.

– Co to jest? – zapytał.

– To jest, chłopie, notatka służbowa, którą przed nami ukryłeś.

Podsunał Kozakowi dokument. Ten pospiesznie omiół go wzrokiem i zdrętwiał.

– Wynika z niej, że w dniu zniknięcia Wiktora

Grandowskiego widziano w lasku w Koziegłowach Nikiego i Bejzbola. Ludzi Kowboja – odezwał się Harry, zabrał notatkę i wbił wzrok w wąsatego policjanta. – Jeden z twoich ludzi zdał z tego relację, ale ty ją ukryłeś – dodał. – Na szczęście nie zniszczyłeś notatki. Wniosek? – Harry zapalił kolejnego papierosa. – Wniosek – powtórzył, obserwując z zadowoleniem, jak twarz Kozaka zaczyna blednąć – bardzo chujowy dla ciebie. Najwyraźniej próbowałeś ujechać śledztwo, żeby chronić gangusa, którego podejrzewamy o zlecenia zabójstwa dziennikarza.

Cisza.

Kozak skulił się w sobie i zaczął coraz szybciej oddychać.

– Co się stało z Grandowskim? – warknął Harry.

– Nie wiem – wymamrotał Kozak.

– Kto go zajebał?

– Nie wiem.

– Ty?

Kozak drgnął jak oparzony.

– Ochujałeś? Nie jestem zabójcą, jestem policjantem!

– Jesteś kurwą, a nie policjantem! – ryknął Harry i, ku przerażaniu Kozaka, zerwał się z krzesła i walnął pięścią w stół. – Kto zajebał Grandowskiego?! – ryknął. – Mów, kto go zajebał!

– Nie wiem, naprawdę!

– A co wiesz?! Jakie plotki znasz? Mów, kurwa! Powalcz o łagodniejszą karę!

Harry zamilkł i nachylił się nad pobladłym kolegą.

– Jaki związek mają Niki i Bejzbol ze zniknięciem Grandowskiego? Mów. Na pewno coś słyszałeś –

wycedził.

Cisza.

– Kozak, mów, bo inaczej pograżymy cię zupełnie. Na amen.

Cisza.

– Czy ta dwójka uprowadziła chłopaka?

Kozak pokiwał głową.

– Tak czy nie?

– Coś mi się obilo o uszy.

– Gdzie oni są?

Westchnienie.

– Gdzie?

– Podobno Kowboj kazał im zniknąć po tym, jak spierdoliłeś z Baranowa.

– Gdzie oni są?

– Nie wiem!

– Nie chroń tych bydlaków, bo zostaniesz oskarżony o współdział! Mów, gdzie się ukryli.

Cisza.

– Gdzie?

Kozak zgarbił się, a chwilę potem położył łokcie na kolanach. Wbił wzrok w buty i ciężko oddychał.

Harry włożył papierosa do ust, przymknął oczy i czekał w napięciu na to, co Kozak zrobi bądź powie.

No dalej, kurwa, dalej! – zaklinał w duchu.

– W jakiejś leśniczówce. – Usłyszał nagle.

Komisarz pokiwał głową, czując przypływ adrenaliny.

Mamy go!

– Dobra. Gdzie dokładnie?

– Nie wiem.

– Nie kłam!

- Nie kłamie!
- A kto wie, gdzie jest ta leśniczówka?
- Podobno syn Kowboja, Sony, jeździ do nich często, robi za łącznika.

Harry ściągnął usta i usiadł na krześle. *Kłamie czy nie?*
- zastanawiał się. *Docisnąć czy nie?*

Zapalił papierosa, wypuścił dym i zapytał pojednawczym głosem:

- Zapalisz jeszcze, chłopie?

Kozak zerknął na niego i kiwnął głową.

Harry podsunął mu paczkę, a potem zapalniczkę.

Palili w milczeniu i wpatrywali się w zgniecione pety. Gdy skończyli, Harry wyciągnął małą paczkę gorzkiej żołądkowej.

- Masz ochotę? - zagadnął.

Kozak obliznął usta.

- Pewnie - mruknął. - Spociłem się trochę.

Harry podał mu buteleczkę, czując w żołądku coraz intensywniejsze ssanie. Poruszył niespokojnie nozdrzami. Zapach alkoholu wywołał w nim dreszcz, który przebiegł przez ciało, zatrzymując się w okolicach podbrzusza. Miał wrażenie, że usłyszał kobiecy jęk na moment przed orgazmem. Skrzywił się, zacisnął zęby.

Tylko jeden tyk - pomyślał. Nie więcej.

Wziął małą paczkę od kolegi i zwilżył język. Chciał więcej, ale powstrzymał się, co zresztą sprawiło mu satysfakcję. Wstał, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę telefonu. Po paru sekundach mruknął:

- Zrobione.

Kozak prychnął.

Harry odłożył słuchawkę i spojrzał na niego.

– Jedno mnie zastanawia – powiedział, lekko przechylając głowę.

– Co takiego?

– Dlaczego nie zniszczyłeś tej pierdolonej notatki?

Kozak skrzywił się i wypuścił głośno powietrze.

– Zapomniałem, gdzie ją położyłem – bąknął i przygryzł usta.

Harry cmoknął przeciągle, spojrzął na okno i mruknął:

– Taki gwoździak do trumny.

XLIV

Harry wszedł do kabiny, zaryglował drzwi od środka i usiadł na zamkniętej muszli. Wbił wzrok w podniszczone kafelki. Przetarł dłonią zmęczoną twarz i westchnął.

Przesłuchanie Kozaka wprawiło go nieoczekiwanie w stan dziwnego napięcia, którego nie potrafił wyjaśnić. Przynajmniej racjonalnie.

Zaczął szybciej oddychać. Miał wrażenie, że ktoś coraz natarczywiej ugniata mu klatkę piersiową.

Nagle zadrżał. Sięgnął wtedy do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął z niej małąkę. Zlustrował ją dokładnie, przygryzając usta. Odkręcił, zaciągnął się zapachem i przyknał oczy. Wypuścił powietrze i przyłożył butelkę do ust. Gdy poczuł piekący smak wódki, zerwał się gwałtownie, otworzył klapę i wypluł alkohol.

Wytarł usta. Wyszedł z kabiny. Stanął przed lustrem, spojrzał na swoje odbicie. Był blady jak trup.

Odkręcił zimną wodę, podłożył głowę pod kran i zamarł na chwilę. Potem wytarł się i wyszedł na korytarz.

Zaczął iść przed siebie wolnym krokiem. Wydobył z kieszeni paczkę i włożył papierosa do ust. Uśmiechnął się do sekretarki, która maszerowała dziarsko w przeciwnym kierunku, a potem podał dłoń technikowi, który wpatrywał się w tablicę ogłoszeń.

Gdy schodził po schodach, jego umysł zaczął wyświetlać migawki z przesłuchania Kozaka,

koncentrując się przede wszystkim na twarzy wąsatego oficera.

Nigdy nie lubił Kozaka, ale tego się po nim nie spodziewał. Nie spodziewał się też, że kiedykolwiek będzie przesłuchiwał w tak poważnej sprawie drugiego gliniarza, kolegę, swojego podwładnego. Być może to drugie bolało go bardziej.

Oficer przeciwko oficerowi? Czy to nie początek końca?

Było coś jeszcze. Harry nigdy nie widział Kozaka w takiej sytuacji – podległej, bez wyjścia, beznadziejnej. Nie był to budujący widok. Nie sprawiło mu to żadnej satysfakcji.

Pokręcił głową i sapnął. Nieoczekiwanie przyszło mu do głowy, że nie lubi nowych czasów, które wywróciły wszystko do góry nogami.

Gdy znalazł się na trzecim piętrze, ruszył w stronę gabinetu Ramberta. Przystanął przed drzwiami, zapukał, uśmiechnął się do pani Kasi. Ta poprawiła fryzurę, odwzajemniła uśmiech i wskazała brązowe drzwi.

Zapukał i wszedł do środka gabinetu podinspektora.

Rambert żywo dyskutował o czymś z Buryłą.

Skinął im na powitanie, po czym usiadł na fotelu przy ławie.

Podinspektorzy zamilkli i wbili wzrok w komisarza.

– Trzeba założyć obserwację Sony’emu – powiedział Harry. – Dzięki temu dowiemy się, gdzie ukryli się Niki i Bejzbol.

Cisza.

Harry zapalił papierosa i zaciągnął się łapczywie.

– Tak zrobimy – odparł Rambert, zerkając na Buryłę. – Złożę dzisiaj zamówienie u chłopaków.

Harry wypuścił dym i poczuł, że ma wielką ochotę wyjść z komendy, pojechać do pierwszego lepszego monopolowego, kupić parę flaszek, zabarykadować się w mieszkaniu i schlać do nieprzytomności.

XLV

– Dziewczyny, napitek dla was – powiedział barman z bandaną na głowie i postawił przed Ulą i Katią dwa szoty. – Smacznego.

Policjantki uśmiechnęły się i spojrzały na kieliszki, na dnie których osadził się czerwony syrop.

– Dwa Wściekłe Psy dla dwóch suk. – Aspirantka zachichotała i rozpięła dwa guziki swojej niebieskiej obcisłej koszuli.

– Mów za siebie – skomentowała Katia, po czym spojrzała na barmana, który nalewał piwa do kufla i jednocześnie zerkał na odsłonięty biust Uli.

Błysk w oczach chłopaka przypomniawszy jej minę Harry'ego, który w tej samej knajpie jak spłoszone zwierzę wodził spojrzeniem po młodych, roześmianych dziewczynach. Widok jego niespokojnie poruszających się nozdrzy zapadł jej w pamięć.

Nagle ją to rozśmieszyło. Ta męska bezbronność. Męskie autodestrukcyjne libido.

Dotknęła zimnego kieliszka i poczuła ciepły, przyjemny oddech koleżanki, która nachyliła się nad nią.

– Też jesteś suką – szepnęła jej do ucha Ula. – Tylko jeszcze o tym nie wiesz. – Zachichotała, po czym wzniosła kieliszek. – Pijemy, stara! – rzuciła.

Stuknęły się kieliszkami, wychyliły i wytarły usta.

– Powiem ci coś, stara – odezwała się Ula.

– Co takiego?

– Chciałabym się przespać z Harrym.

Zaśmiały się.

Katia zmarszczyła brwi i natychmiast wyobraziła sobie przystojnego operacyjniaka, który bierze od tyłu jej ładną, jasnowłosą kumpelę. Chwilę później poczuła ukłucie. Drgnęła.

Czyżbym była zazdrosna? – pomyślała zaskoczona.

– Chciałabym, żeby zdarł ze mnie ubranie – podjęła Ula, poruszając piersią w rytm przyspieszonego oddechu. – Przycisnął do ściany, powiedział coś ostrego i kazał klęknąć przed sobą.

– Pieprzysz – burknęła Katia i rozejrzała się po zatłoczonej przez młodych ludzi sali. Ktoś w oddali krzyknął, że „chłopaki z Insektów są już na scenie”.

– No, chciałabym, żeby mnie wypieprzył. – W głosie aspirantki wybrzmiało szczere pragnienie.

Posterunkowa zeskoczyła z krzeselka.

– Chodźmy do drugiej sali – rzuciła, dziwiąc się swojej nagłej irytacji. – Posłuchamy młodych punkowców.

Ula pomachała barmanowi, który wyszczerzył do niej zęby.

Przeciskając się przez tłum, wyszły na korytarz wypełniony orzeźwiającym przeciągiem. Potem, dla odmiany, weszły do wielkiego pomieszczenia, w którym panował niesamowity ścisk. Trzymając się za ręce, zbliżyły się do sceny, na której czwórka niespełna dwudziestoletnich chłopaków przygotowywała sprzęt do występu.

Przy mikrofonie stał wysoki chudzielec z imponującym irokezem na głowie, w czarnej skórzanej kurtce. Gdy na chwilę się odwrócił, Katia dostrzegła biały napis: „Olewaj

system”.

Wokalista spojrział na basistę, który zagrał kilka nut, a potem spojrział na salę i uśmiechnął się.

– Czołem, Poznań – odezwał się, wywołując żywy odzew wśród publiczności. Sięgnął po butelkę piwa, wziął parę łyków i beknął głośno.

Sala zarechotała.

– Dajesz! – rozległ się dziewczęcy wrzask.

Wokalista zdjął mikrofon ze stojaka.

– Zaczniemy od piosenki. Jak się domyślicie – zachichotał, po czym zrobił poważną minę – od piosenki o epoce, która nadchodzi. I pustoszy nasze dusze. – Zamilkł. – Macie jeszcze dusze, kurwa?! – zawołał nagle.

Gdy basista uderzył w struny i zaczął wygrywać prostą, ale chwytliwą melodię, wokalista rozpoczął taniec. Dziwny, apatyczny, pokręcony taniec.

Po parunastu sekundach rozległ się ostry dźwięk gitary. Publiczność podrygiwała i potrząsała głowami.

Piosenka opowiadała o faszyzmie, który po czterdziestu latach znowu powraca i zaraża nienawiścią ludzkie umysły.

W pewnym momencie na polu bitwy pozostał tylko bas. Głośny, energiczny, obsesyjny.

– Niszcz faszyzm, niszc faszyzm! – zaczął skandować punkowiec, co natychmiast podłapała cała sala.

– Muszę zrobić siusiu – mruknęła Ula. – Chodź ze mną.

Policjantki wyszły na korytarz, a potem weszły do łazienki, w której dostrzegły kilka dziewczyn czekających w kolejce.

– On mnie elektryzuje – mruknęła aspirantka i spojrzała na koleżankę. – Dobierał się kiedyś do ciebie?

– zapytała figlarnie, zagryzając błyszczące czerwone usta.

– Harry?

– No przecież o nim cały czas mówię!

Katia wzruszył ramionami.

– Nie. Nie dobiegał się. Nigdy. – Posterunkowa się zamyśliła. – To nie ten typ – stwierdziła. – To jest w nim bardzo fajne. Nie pcha się z łapami jak inni.

– No tak, to kobiety do niego się dobiegają.

Katia przewróciła oczami i zrobiła przejście dziewczynie, która właśnie wyszła z kabiny.

Ula zaśmiała się głośno i chwyciła klamkę. Weszły do środka.

Aspirantka usiadła na klozecie.

Katia zerknęła w lustro, przemyła zimną wodą twarz i odgarnęła kosmyk włosów.

– A powiedz mi – odezwała się – co słyhać w sprawie faceta, który ugodził nożem swoją żonę?

Ula podciągnęła spodnie.

– Wyszedł z aresztu.

– Już?

– Tak. Dostał jakieś dwa miesiące.

– Dwa miesiące za coś takiego?

– No w takim kraju żyjemy.

Katia się skrzywiła.

– W sumie to smutna sprawa – powiedziała Ula.

– Dlaczego?

– Tego dnia, gdy wrócił do domu z aresztu, zadzwoniła do mnie jego córka. Do domu.

– Skąd miała numer?

– Nie wiem. Pewnie od znajomych. Buk to jednak mała

mieścina.

– Co chciała?

– Zapytała, czy ktoś może zabrać jej tatusia z powrotem do więzienia.

Katia spojrzała na nią.

– Znowu urządza awantury?

– Podobno zmienił się, całkowicie. Tak wynika z naszego wywiadu. Ale Basia nie wierzy w jego przemianę i cały czas czeka, aż wszystko wróci do normy. To jej słowa.

Spojrzały po sobie i wyszły na zewnątrz.

– Chodźmy się napić – zaordynowała Ula.

Katia skinęła głową, choć nie miała najmniejszej ochoty na picie.

– Co jej powiedziałaś?

– A co niby miałam powiedzieć? „Będzie dobrze”, coś w ten deseń.

– A będzie?

– Chuj wie.

XLVI

Podinspektor Buryła siedział wyprostowany przy swoim naczelnikowskim biurku i z uwagą wysłuchiwał audycji, w której brał udział. Bardzo czynny udział. Z dużą swadą opowiadał sympatycznej dziennikarce Radia Merkury o pracy policji.

Boże, jak ja to lubię – pomyślał nagle, kładąc nogi na blacie. *Jak ja to lubię.*

W pewnym momencie padło pytanie, które zawsze się pojawiało w tego rodzaju rozmowach:

– Jaka była pana najciekawsza sprawa?

Buryła usłyszał swoje chrząknięcie.

– Tu panią zaskoczę.

– Tak?

– Pewnie pani pomyśli, że wspomnę o Edmundzie Kolanowskim, najbardziej spektakularnym przestępcy, jakiego urodziła ziemia wielkopolska.

– Rzeczywiście, przyszło mi to do głowy.

– No właśnie – odpowiedział oficer, w którego głosie dało się wyczuć młodzieńczy, z lekka łobuzerski ton. – A ja bym jednak chciał przywołać inną sprawę. Bez trupa, ale szalenie emocjonującą, niezmiernie melodramatyczną.

– Panie naczelniku, zaintrygował mnie pan.

Śmiech.

– Cieszę się. – Podinspektor znowu chrząknął. – Osiemdziesiąty dziewięty, Tarnowo Podgórne, miasteczko pod Poznaniem, kojarzy pani doskonale.

W okolicznych miejscowościach dochodzi do serii podpażeń. Następuje kolejne, bardzo paskudne, bo w jego wyniku płonie obora z bydłem. Wysyłamy tam naszego człowieka. Takiego jednego młodzika z dochodzeniówki. Facet przyjeżdża na miejsce, ogląda je dokładnie, potem przegląda raport sporządzony przez jakiegoś strażaka, który stwierdził, że pożar to efekt awarii instalacji elektrycznej. Młodzik podnosi zdziwioną brwi. „Przecież tu nie ma żadnej instalacji elektrycznej!”. Odkłada raport i prowadzi dalej czynności. Po dwóch godzinach pisze notatkę. Wniosek brzmi następująco: „Pożar został wzniecony przez człowieka. Umyślnie bądź nie. Tego jeszcze nie można stwierdzić”.

Buryła uśmiechnął się do siebie, wsłuchując się w swój własny głos. Nagle jego opowieść została przerwana głośnym pukaniem.

Ściągnął nogi z biurka i ściszył radio.

– Proszę – powiedział, marszcząc czoło.

W progu stanął młody posterunkowy.

– Panie naczelniku, chłopcy z obserwacji namierzyli miejsce pobytu Nikiego i Bejzboła.

Bury natychmiast się rozpromienił.

– Cudownie! – Sięgnął po telefon.

XLVII

Miszczu oparł się o ścianę, na której ktoś napisał flamastrem „Janek Wiśniewski padł”, podrapał po wąsie i odczytał kolejny fragment:

– „Kern uśmiechnął się... On w ogóle ma uśmiech takiego lubieżnego satyra, śliski, nieprzyjemny, nie znoszę tego uśmiechu, a kiedy jest pijany, staje się po prostu obrzydliwy. Uśmiechnął się tym swoim lubieżnym uśmiechem i stwierdził:

– Absolutnie nic ci z mojej strony nie grozi.

Pomyślałam, że jest dokładnie odwrotnie i chciałam iść w stronę wyjścia, ale pan marszałek zastawił mi sobą drogę i... ściągnął spodnie razem z majtkami. Położył dłoń na swojej męskości i powiedział:

– Weź tego skurwysyna”.

Zawiesił głos i spojrział na otaczających go kolegów, którzy palili i z zaciekawieniem wsłuchiwali się w odczytywane sprośne fragmenty.

Rozległ się rechot.

Podkomisarz uśmiechnął się z zadowoleniem i przekartkował książkę.

– Słuchajcie dalej – mruknął. – Anastazja opowiada tu ostre numery. – Począł, aż odgłos spuszczonej wody ucichnie, przerzedził dłonią gryzące kłęby dymu i kontynuował lekturę: – „W PSL jest największe skomasowanie prostaków. To są głównie chłopci, którzy zachowują się dokładnie tak, jak ktoś, kto prosto od

pługa trafił na salony. Roman Jagieliński lubi rzucać pieprzne teksty. Kiedyś, nawet nie będąc pijanym, powiedział: «Jak mi staje, to mi spodnie rozrywa».

Śmiech.

Miszczu podniósł wzrok.

– Daj sztacha – powiedział do stojącego najbliżej kolegi i zaciągnął się papierosem. – I jeszcze jeden kawałek – oznajmił. – Krótka charakterystyka Sejmu: „Kiedy pierwszy raz wchodziłam z Iwoną do Sejmu, spojrzałyśmy na siebie jak wryte. Każdy facet miał to wypisane w oczach: zerznąłby nas na każdym stopniu schodów, bez mrugnięcia okiem. Jedno co ich trzyma w ryzach, to chyba to miejsce i ludzie. Wystarczy kiwnąć palcem, pójść w jakiś ciemny kąt i nie ma problemu. Tam jest takie zapotrzebowanie na cokolwiek w postaci otworów, gdzie można umieścić swój korzeń, że trudno w to uwierzyć. Obrzydliwe. Nie można traktować tego globalnie, ale to też bije w oczy, bo taka jest większość. Parę razy spotkało mnie coś takiego: podchodzi do mnie jakiś gościu i rzuca na przykład:

– Trzy-cztery-siedem.

I odchodzi. Nie wiedziałam o co chodzi, dopiero Iwona mi wyjaśniła, że to numer pokoju, do którego mam pójść.

– Przecież nie znam w ogóle faceta.

– Nie szkodzi, poznasz w pokoju.

Większość myśli tylko o tym, żeby się napić i popieprzyć. Seks, woda i ploty”.

– To tak jak u nas! – rzucił tubalny głos z wnętrza kabiny.

Rechot. Pierdnięcie. Jeszcze większy rechot.

– Skup się na kupie! – wrzasnął ktoś, wywołując kolejną salwę śmiechu.

– W tej dyscyplinie najlepszy był Kozak – odezwał się łysy mężczyzna ubrany w czarny polar, spodnie moro i trampki. – Pamiętam, jak kiedyś namówił mnie na kurwy pod Kórnikiem.

Wszyscy wbili w niego wzrok.

– Wiecie, w okolicach Gądek, gdzie najczęściej ich stoi – kontynuował funkcjonariusz, widząc zainteresowanie kolegów. – Kozak miał upatrzone dwie fajne panny. Bułgarki. Solidne uda, wielkie cycki, długie czarne włosy. Zaparkowaliśmy, podeszliśmy, zagadaliśmy grzecznie i poszliśmy w głąb lasu. Miało być obciążane. Oparłem się o drzewo, przymknąłem oczy i wiecie, skupiłem się na swoim pieszczonym fiucie. Nagle słyszę, jak Kozak zaczyna sapać, dyszeć, charczeć. Lekko zirytowany zatkałem palcami uszy. Gdy już było po wszystkim, odetkałem uszy i usłyszałem Kozaka: „Jeszcze raz, ale najpierw zakręcę ci pindolem te śliczne loki, ty bułgarska latawico”. – To powiedziawszy, policjant zachichotał.

– Zakręcę ci pindolem loki? Tak powiedział? – zapytał Miszczu.

– Dokładnie tak.

– To był jednak kozak!

Policjanci roześmiali się tubalnie i natychmiast zamilkli. Drzwi do toalety nagle się otworzyły.

W progu stanął podinspektor Buryła, który zmierzył ich surowym spojrzeniem. Wysunął brodę w kierunku Miszcza.

– Co tam masz, chłopino?

– „Pamiętnik Anastazji P.”.

Naczelnik uśmiechnął się lekko, po czym wbił palec w pierś podkomisarza i mruknął:

– Za pięć minut u mnie.

XLVIII

Redaktor Misiński wykręcił kartkę papieru, odłożył ją na bok, nalał sobie do szklanki wódki i wziął spory haust. Westchnął przeciągle, pokręcił głową, chwycił maszynopis opowiadania, uderzył nim w blat biurka i poszedł do kuchni.

Scena, nad którą spędził ostatnią godzinę, bardzo go poruszyła. O czymś takim jeszcze nigdy nie słyszał. I nie czytał. W żadnym kryminale, w żadnym reportażu.

Że też takie rzeczy mają miejsce – myślał, wyciągając z szafki garnek i nalewając do niego wody.

Zagrzechotał pudełkiem zapalek, zapalił gaz na największym palniku i postawił na nim naczynie, do którego włożył kilka serdelków. Z lodówki wyjął musztardę i usiadł przy stole.

Hitchcock zrobiłby z takiej sceny prawdziwie arcydzieło – stwierdził w duchu i zmierzwił swoją czuprynę. Na kinowym ekranie efekt byłby piorunujący.

Oparł się o ścianę.

A może Mieciu to zmyślił? Nie, nie, czegoś takiego nie można zmyślić.

Dziennikarz sięgnął po maszynopis i zaczął czytać od miejsca, w którym zabójca w ramach wizji lokalnej opowiadał o tym, jak zaatakował Krysie. Rzecz się działa w pociągu, w tym samym wagonie, w którym doszło do nieszczęścia.

• • •

– Rzuciłem się na nią, a ta pi... – Urwał, poruszył barkami, podrapał się za uchem, po czym omiół wzrokiem uczestników, którzy tłoczyli się w ciasnym przedziale. – A ona nagle jakimś cudem kopnęła mnie w jaja – odpowiedział. Pokręcił głową jakby z niedowierzaniem. – Wściekłem się strasznie – mruknął. – Coś mnie siekło w środku. Jakaś kurwica mnie wzięła. – Westchnął. – Złapałem ją za nogę i jednym ruchem ściągnąłem jej buta. – Zacisnął zęby. – Potem kopnąłem w ją w brzuch. Z całej siły.

– Proszę to pokazać – powiedziała Ziębińska.

– Ale że z całej siły?

– Tak jak było. Dokładnie.

Zabójca chwycił manekina za stopę i szarpnął gwałtownie. Spojrzał niepewnie na prokurator. Ta skinęła głową.

Technik trzymający mikrofon zrobił krok do tyłu.

Szarak zagryzł usta i kopnął manekina w brzuch. Raz, drugi, trzeci. Zrobił się cały czerwony na twarzy. Na spoconym czole uwydatniła się duża, pulsująca żyła. Lewy kącik ust zaczął dziwnie drgać. Nabrał powietrza, wypuścił je i burknął:

– Potem chwyciłem ją wpół, uniosłem i jebłem o ławkę.

– Spojrzał niepewnie na prokurator, a gdy ta poruszyła brodą, zachęcając go do demonstracji, złapał manekina, zadrżał, spojrzawszy na technika, który celował w niego kamerą, skrzywił się, wznosił ręce i rzucił manekinem o ławkę.

Wszyscy drgnęli, gdy lalka energicznie odbiła się od drewnianego siedziska i poleciała prosto na Harry'ego.

Zapadła cisza. Ktoś głośno przełknął ślinę.

Komisarz podniósł manekina i machinalnie otrzepał go z kurzu.

– Co było dalej? – zapytała Ziębińska.

– Wziąłem buty i kurtkę dziewczyny, podszedłem do drzwi, uchyliłem je i wyrzuciłem te jej klunkry w pizdu z pociągu.

– Uhm.

– Pociąg zaczął hamować. Postanowiłem wysiąść. Wróciłem po dziewczuchę.

– Oddychała, ruszała się?

– Coś tam rzeziła.

– Co podejrzany zrobił następnie?

– No więc wróciłem po nią.

Harry podał mu manekina.

– Pociąg stanął na stacji. – Szarak wyjrzał przez okno. – Nie pamiętam, jak się nazywa ta dziura.

– Radliczyce.

– A tak. Radliczyce.

– Dalej?

– Otworzyłem na oścież drzwi, złapałem dziewczynę pod ramionami i wyniosłem ją na zewnątrz.

Cisza.

Szarak wydał usta i wskazał drzwi przedziału.

– Mam pokazać?

– Tak.

Mężczyzna kiwnął głową jak uczeń i zademonstrował, w jaki sposób wysiadł z pociągu z umierającą dziewczyną. Spojrzał na ekipę, która zgromadziła się wokół niego.

– A co z jej torbą? – zapytała Ziębińska.

– Zabrałem ze sobą – mruknął. Przełknął ślinę i podjął wątek: – Zacząłem ją ciągnąć wzdłuż tego toru w tamtą stronę. – Wskazał ręką rampę i ruszył, obracając głowę za siebie i raz po raz spoglądając pod nogi.

– W jakim celu? – zapytała prokurator.

– Miałem ostrą chcię – odpowiedział Szarak, nie przestając iść. – Musiałem dokończyć sprawę. Musiałem... – Urwał i przygryzł usta. – No wiecie – wymamrotał.

Gdy doszli do rampy, mężczyzna położył manekina na stercie worków. Przetarł ramieniem czoło, sapiąc przy tym głośno.

– Zawsze mam tak po alkoholu – odezwał się. – Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie jest. Wypiję piwko, kielonka, i muszę spuścić z kija. – Gdy wypowiedział ostatnią część zdania, skrzywił się i spojrzał przepaszająco na Ziębińską. Ta zmroziła go wzrokiem i dała znak ręką, żeby kontynuował.

Harwej spojrzał na krocze mężczyzny. Zmarszczył brwi, dostrzegłszy tam wyraźne wybrzuszenie. Zerknął na Kalupę, który cały czas notował w swoim dużym zeszyte. Dotknął kabury i ponownie skupił się na oskarżonym.

Szarak zbliżył się do manekina i przyjrzał mu się łapczywie.

Ziębińska złożyła dłonie jak do modlitwy i przyłożyła je do ust.

– Opuściłem jej spodnie i majtki – odezwał się Szarak, obniżając głos. – Rozpiąłem rozporek, wyjąłem fiuta i... – Przymrużył lekko oczy. – Rozsunąłem jej nogi...

– Nie stawiała oporu? – zagadnęła prokurator.

– Nie. Żadnego. Cały czas tylko rzeziła.

– Nie przeszkadzało to zatrzymanemu?

– Co?

– No to rzeżenie.

– Nie. Nie zwracałem na to uwagi. Po prostu... Po prostu myślałem już tylko o jednym... – Młasnął. – No więc opuściłem trochę gacie, rozsunąłem jej nogi i... zorientowałem się, że fiut... mi oklapł. – Wzruszył ramionami. – No tak było. Oklapł mi. To chyba z zimna.

Bo byłem przecież wtedy strasznie podjarany. Strasznie.

– Pokręcił głową. – Wyjąłem z kurtki zdjęcie fajnej nagiej laski, które wydarłem wcześniej z świerszczyka od kumpla i popatrzyłem sobie – odezwał się po chwili. – Pomogło. Staął mi znowu. – Sięgnął do kieszeni kurtki, pogrzebał w niej i wyjął prostokątną kolorową kartę.

Ziębińska zmarszczyła brwi.

– Co to jest? – zapytała głucho.

– Karta do gry, w makao czy pokera – powiedział, uśmiechając się promiennie. – Z gołą panną. O cudownych cychkach.

– Skąd ją zatrzymany wziął?

– Znalazłem wczoraj w kiblu – oznajmił i spojrzał łapczywie na zdjęcie nagiej kobiety. Wzrok zaszedł mu mgłą. Szarak zatrząsł się i wessał głośno powietrze, jakby zaciągnął się papierosowym dymem. Dotknął ręką nabrzmiałego krocza. Podeszedł do manekina, wciskając się między jego nogi. – Kutas mi stanął – wychrypiał i złapał lalką lewą ręką za szyję. – Więc, więc...

Harwej włożył do ust papierosa, wpatrując się jak zahipnotyzowany w Szaraka, który zaczął naśladować ruchy frykcyjne.

– Wystarczy! – warknęła Ziębińska, ale Szarak nie zareagował. – Wystarczy, mówię! Słyszysz?! Opanuj się, człowieku!

Kamerzysta podniósł jedną rękę, jakby chciał zapytać, czy cały czas ma kręcić.

– Słyszysz?!

Szarak jednak najwyraźniej nie słyszał. Odrzucił kartę, sięgnął do rozporka i na oczach zdumionej ekipy wyciągnął swojego penisa i zaczął gwałcić manekina, dysząc przy tym jak zarzynane zwierzę.

– Co ty robisz?!

Harwej otworzył szeroko oczy i ryknął:

– Przestań, kurwa! – Doskoczył do Szaraka i szarpnął za ramię.

– Mam to kręcić? – szepnął technik z kamerą.

Zabójca odwrócił się i uderzył chorążego w brzuch.

Mężczyźni rzucili się na siebie, upadli na ziemię i zaczęli się po niej tarzać.

– Rozdzielcie ich, do kurwy nędzy! – krzyknęła Ziębińska i zobaczyła, jak Szarak chwytą coś błyszczącego z ziemi, chyba szkło, i przejeżdża tym po twarzy milicjanta.

Prokurator zadrżała, przymknęła oczy, a gdy je po sekundzie otworzyła, dostrzegła, że zabójca odskakuje gwałtownie od Harweja, wydając głuchy odgłos.

Kalupa upuścił zeszyt, szybko wyciągnął broń i wyceLOWał ją w stronę zabójcy.

– Chowaj chuja, bydlaku, i dawaj łapska – warknął, a gdy mężczyzna spełnił jego polecenie, założył mu kajdanki.

Wszyscy spojrzeli na chorążego, który wstał z ziemi,

trzymając się za zakrwawiony policzek.

Zrobił parę kroków, przystanął i przez kilka sekund wydobywał z siebie zduszone przekleństwa. Podniósł wzrok, zerknął na pobladłą Ziębińską i wypuścił głośno powietrze.

– Dajcie mi jakiś plaster – mruknął i spojrzał na swoją zakrwawioną dłoń. – Piecze jak diabli. – Odszukał wzrokiem Szaraka przytrzymywanego przez Kalupę.

Zabójca, spocony i rozedrgany, wpatrywał się w swoje brudne znoszone buty.

– Mam kręcić dalej? – zapytał kamerzysta i spojrzał błagalnie na prokurator przyglądającą się w napięciu przystojnemu komisarzowi.

• • •

Misiński podniósł głowę znad maszynopisu i spojrzał na garnek, w którym woda wrzała już od jakiegoś czasu.

Wstał, wyłączył gaz i wyciągnął serdelki na talerz. Wyjął z szuflady sztucce i zamyślił się. Chrząknął i poszedł do pokoju. Wziął z biurka do rąk tekst Kalupy. Chciał przypomnieć sobie, jak oficer zakończył tę scenę.

„Tam odbył stosunek z umierającą kobietą, podniecając się dodatkowo trzymanym w prawej ręce zdjęciem pornograficznym” – pisał dochodzeniowiec. „Trzymał zdjęcie w prawej ręce między palcem wskazującym i kciukiem. Zdjęcie to zgubił obok ofiary. Zabrał torbę ofiary, a jej ciało przykrył workami po cemente. Nie wiedział, czy ofiara żyje, czy nie. Zamierzał uciec. Był na nieznanym terenie. Udał się w stronę przeciwną do stacji PKP Radliczyce. Nikogo nie zauważył. Szedł przez pola w kierunku widocznego na horyzoncie budynku z wieżą.

Po drodze przebył rowy melioracyjne z wodą. Parę razy wpadł do nich. W trakcie marszu wyrzucał dokumenty ofiary, jej książki, torbę, wyrwane zdjęcie z legitymacji studenckiej oraz kawałek papieru z napisem «P V 1 26». Podczas wizji pytany o tę kartkę stwierdził, że tak zapisał w Poznaniu numer peronu i czas odjazdu pospiesznego do Lublina”.

Misiński poczuł głód, odłożył zapiski Kalupy i wrócił do kuchni.

Usiadł przy stole. Przymknął oczy, chcąc zwizualizować sobie dokładnie ostatni moment swojego opowiadania.

Oczami wyobraźni zobaczył zawstydzonego Szaraka, krwawiącego Harry’ego i zdeorientowanego kamerzystę.

Dopiszę jeszcze, że Ziębińska poszła za rampę i zwymiotowała – postanowił. Bo przecież po takiej dawce samczej agresji można się tylko porzygać.

Pokiwał głową, wziął do rąk sztućce i zaczął ochotczo jeść.

Gdy skończył, stwierdził, że jednak nic nie dopisze, włożył brudny talerz do zlewu, przygotował sobie kawę i poszedł do dużego pokoju.

Cały czas się zastanawiał, jak zakończyć opowiadanie. Nie miał żadnego dobrego, zapadającego w pamięć pomysłu.

Kalupa zakończył uwagą, że widział jakiś czas temu w Wyższej Szkole Oficerskiej w Legionowie portret Ryszarda Szaraka jako przykład „fachowego portretu pamięciowego”, ale to przecież nie nadawało się na pointę.

Potrzebuję czegoś mocniejszego i bardziej sugestywnego. Czegoś, co wbije się jak szpilka w umysł

czytelnika.

Stanął przed półką z kasetami wideo, przejechał palcem po grzbietach i zatrzymał się przy „Milczeniu owiec”.

To sobie dzisiaj obejrzę – zdecydował i sięgnął po amerykański thriller.

XLIX

Narada dotycząca zatrzymania Nikiego i Bejzbola przedłużała się. Katia westchnęła i spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta.

Popatrzyła na kolegów, którzy z uwagą wpatrywali się w podinspektora Ramberta. Rozprostowała nogi, poprawiła kitkę i pociągnęła nosem. Zamyśliła się.

Wczoraj dzwoniła do niej mama z pretensjami, że codziennie wraca bardzo późno z pracy.

– Dlaczego ty się zgodziłaś na przejście z komisariatu do komendy? – zaskrzeczała tym swoim cierpiętniczym głosem. – Przecież tam miałaś dobrze! W domu byłaś o sensownej porze, a teraz... Czy ty w ogóle masz czas dla siebie, dla innych, na modlitwę? W ogóle do nas nie dzwonisz, nie przychodzisz z wizytą! Boję się nawet zapytać, czy byłaś w ostatnią niedzielę na mszy. Nie zapytam więc, czy byłaś. Byłaś? No? Odpowiedz, bo ja sama cię nie...

– Mamo – odburknęła. – Miałam ciężki dzień, nie mam siły na motywujące pogwarki z tobą. Dobrej nocy.

Posterunkowa powachlowała się dłonią. Wspomnienie rozmowy z matką podniosło jej ciśnienie. Jak zawsze zresztą.

To niesamowite, jak ona potrafi podkurwić jednym zdaniem!

Gdyby nie była potwornie zmęczona wielogodzinnymi poszukiwaniami nastolatka, który udusił swoją babcię,

a potem zniknął, chętnie poszłaby po naradzie na siłownię, żeby pomachać ciężarami i pokopać w worek.

Przymknęła na chwilę oczy.

– Nie śpij, Furia! – Usłyszała nagle, gdy w myślach z zacięciem wyciskała sztangę.

To był Miszczu, który delikatnie trącił ją w ramię i wyszczerzył zęby.

Wyprostowała się na krześle, upiła łyk kawy, pomasowała sobie kark i wróciła duchem do narady, na której szefowie omawiali szczegóły zatrzymania Nikiego i Bejzbola. Szykowała się niebezpieczna, ale bardzo emocjonująca akcja.

Katia uprzytomniła sobie, że już nie może się doczekać, że tęskni za ostrą dawką adrenaliny, którą ostatni raz czuła podczas walki z Kramerskim.

Tego właśnie potrzebuję – pomyślała.

Zerknęła na Buryłę, który miętoląc w dłoniach „Pamiętnik Anastazji P.”, przedstawiał im plan na jutro.

– Wieczorem, mniej więcej o dziewiętnastej, otwierają sobie wódeczkę i rzną w karty do późna w nocy – mówił naczelnik kryminalnego. – I dobrze, punkt dla nas. Rano śpią jak zabici. Do jakiejś jedenastej, dwunastej. Wykorzystamy tę okazję i weźmiemy ich o świcie. Czyli o siódmej.

– Nie o szóstej?

– Dopiero przed siódmą zaczyna się przejaśniać.

– Panimaju.

Buryła zamilkł, zakrył dłonią usta, ziewnął, po czym dodał:

– Pojedzie z wami ekipa czarnych, jakieś dziesięć chłopca, coby wam było raźniej. No i kilku techników.

Katia uśmiechnęła się do Ostrego, który mrugnął do niej, po czym przeniosła wzrok na Ramberta. Ten odwrócił się w stronę okna i również ziewnął. Potem pokiwał głową i zakomenderował:

– Jedźcie do domów i wyśpijcie się. – Zamknął notes i dodał: – Dobrych snów.

Gdy wróciła do domu, zrobiła sobie jajecznicę, wzięła gorącą kąpiel, pogapiła się przez chwilę w telewizor i zgasiła światło. Niestety nie mogła zasnąć.

Jej umysł cały czas wracał do sprawy nastolatka, który ostatecznie odnalazł się w mieszkaniu jednego z jego najlepszych kolegów z klasy. Okazało się, że chłopak, po zabiciu swojej babci, zabrał pieniądze schowane w szufladzie z pościelą, kupił parę butelek wódki i zaproponował kumplom popijawę, a ci, nieświadomi jego czynu, z radością poszli na alkoholowe wagary.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała go posterunkowa w czasie pierwszego przesłuchania. – Dlaczego zabiłeś swoją babcię?

– Chciałem się w końcu porządnie zabawić – odburknął. – Jak na filmach – dodał i wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że jest potwornie znudzony całą tą gadaniną o starej, martwej babie.

Katia zamknęła oczy i spróbowała wyobrazić sobie reakcję swojej matki na słowa gówniarza. Gdy usłyszała jej afektowany głos, zerwała się z łóżka i poszła do kuchni.

Dlaczego ja ciągle o niej myślę? – zastanawiała się podirytowana, patrząc na puste wnętrze lodówki.

L

Ostry spojrział na zegarek. Za piętnaście piąta.

Dopił kawę, obejrzał do końca teledysk, w którym ujęcia rosyjskich mundurowców przeplatały się wymownie z ujęciami długowłosych gitarzystów szalejących na moskiewskiej scenie, wyłączył telewizor i wyszedł do przedpokoju.

Ubrał się i spojrział w lustro. Wysunął brodę do przodu, pokręcił głową i odezwał się, zniżając lekko głos:

– Wiem, o czym myślisz. Strzelił sześć razy czy tylko pięć? Szczerze mówiąc, w całej tej zabawie straciłem rachubę. Ale zakładając, że to Magnum 44 urwałoby ci łeb, musisz zadać sobie pytanie: „Czy mam dziś szczęście?”. To jak, śmieciu, masz?

Skrzywił się, wycelował dłoń w swoje odbicie, strzelił.

– Nie masz szczęścia – prychnął.

• • •

Kowalski dojadł pączka, popił go kawą, wytarł usta i stanął przy swojej pancernej szafce. Wyjął z niej pas i założył go. Wydobył z wnętrza broń, stare, sprawdzone P-64. Przejechał palcem po lufie.

Jeszcze nigdy z niego nie strzelałem w czasie akcji. Mam nadzieję, że dzisiaj też nie będę musiał.

Sprawdził magazynek, po czym umieścił pistolet w kaburze.

– Pospiesz się – rzucił Ostrowski, który właśnie uchylił

drzwi i zajrzał do pokoju. – Czarni kończą się przebierać.

– Jestem gotowy – odparł, czując, że powoli podnosi mu się ciśnienie.

Spojrzał na zegarek. Za pięć szósta.

Wzdrygnął się.

• • •

Miszczu uderzał palcami o kierownicę i przyglądał się uzbrojonym po zęby mężczyznom, którzy energicznie wskakiwali do czarnego transportera.

– A gdzie jest Wieżowiec? – mruknął Harry, trzymając w ustach papierosa.

– Nie żyje – odpowiedział podkomisarz.

– Nie żyje?

– Został postrzelony podczas obławy na jakiegoś rosyjskiego gangusa. Prosto w brzuch, kurde. Flaki wyszły na wierzch. Po paru dniach umarł w szpitalu.

Cmoknięcie.

– Kurwa, lubiłem go.

– Ja też.

Policjanci umilkli i w dalszym ciągu wpatrywali się w samochód, do którego wszedł właśnie ostatni komandos.

Siedząca z tyłu Katia podrapała się po nosie, poprawiła kaburę i oparła się wygodnie.

Czuła coraz większy niepokój. Zaczęła głęboko oddychać, ale cicho, żeby koledzy tego nie usłyszeli. Wzdrygnęła się.

Domagała, przestań panikować – skarciła się w myślach i dotknęła dłonią kabury.

– Jedziemy! – zawołał nagle Mischcu, przekręcił kluczyk i ruszył z piskiem opon.

Posterunkowa spojrzała na samochód komandosów i poczuła się spokojniejsza. Nachyliła się nad Harrym.

– Poczęstujesz fajką? – zapytała.

– Myślałem, że nie palisz – odparł komisarz, podając jej paczkę marlboro.

Wyjęła papierosa.

– Bo nie palę – wymamrotała.

– Rozumiem. – Podsunął zapalniczkę, a gdy zobaczył, że dziewczyna zaciągnęła się łapczywie, rzucił:

– To będzie twój rytuał.

– Ćmik przed akcją – skwitował Mischcu i brawurowo opuścił policyjny parking.

• • •

Gdy wyjechali z Poznania, kierując się w stronę Murowanej Gośliny, Ostrowski spojrział na Kowalskiego, który z bardzo poważną miną wpatrywał się w połykaną przez samochód szosę.

Ale zbladł – pomyślał i włączył wycieraczki.

Zaczęło śnieżyć.

– Czuję się jak komandos z Navarony przed akcją – mruknął, żeby jakoś wyciszyć lęk, który zaczął go ogarniać parę minut temu.

– Aha.

Ostrowski prychnął, sięgnął do schowka, pogrzebał chwilę i wyjął jedną z kaset. Pogrzechotał nią z uśmiechem, na co kolega w ogóle nie zareagował, i umieścił w magnetofonie.

Po chwili z głośników wydobył się chrapliwy riff

wspomagany przez głośny bas.

Patrz, płonie dach na światem / Płoną dogmaty i idee /
Dla brata brat jest katem / Płoną marzenia i nadzieje /
Pokój nam, panowie / Pokój z kulą w głowie²⁰.

Kowalski wypuścił powietrze i przyłożył głowę do zagłówka.

– Ale puściłeś nastrojową piosenkę – burknął. – Kula w głowie. Cudownie pasuje do okazji, wielkie dzięki.

– Nie wiedziałem, że jesteś przesądny.

– Kto w takich sytuacjach nie jest przesądny?

Cisza.

– Chyba masz rację – stwierdził Ostrowski, wsłuchując się w warkot gitary, który skojarzył mu się nagle z odgłosem broni maszynowej.

Policjanci zamilkli i skupili się na drodze, na którą spadał coraz intensywniejszy śnieg. „Pokój z kulą głowie” dobiegł końca, zaczął się kolejny utwór, nieco spokojniejszy.

Kowalski spojrzał na magnetofon i zmarszczył brwi.

Najpierw lampy blask i oczu ból / Kilka ciosów i krwi smak /
Potem piwniczny chłód, rozkaz wstać / Za plecami zamka trzask. /
Masz świadomość, że jutro ty / Z katem staniesz twarzą w twarz²¹.

– No nie – odezwał się zirytowany, nachylił się nad pulpitem i energicznym ruchem włączył radio.

Z głośników wyskoczyła gwałtownie skoczna melodia, która wprowadziła Kowalskiego w osłupienie:

Chciałbym cię mydlić mydełkiem Fa / Byłoby fajnie,

20 Fragment utworu „Pokój z kulą w głowie” grupy Proletaryat. Tekst autorstwa członków grupy.

21 Fragment utworu „Dlaczego ja” grupy Proletaryat. Tekst autorstwa członków grupy.

szabadabada / Jeśli się zgodzisz na to spotkanie / Pomachaj ręką mi na ekranie²².

Ostrowski zachichotał, podniósł wyprostowany kciuk i zawołał:

– Dobra nasza!

Kowalski przewrócił oczami i spojrzał w boczną szybę.

• • •

– To chyba tu – mruknął Miszczu, wpatrując się w czarny transporter, który zwolnił i zaczął migać prawym kierunkowskazem.

Harry kiwnął głową, uchylił okno i wyrzucił niedopałek.

Katia poczuła, że jej serce zaczęło mocniej bić. Dotknęła dłonią kabury, poruszyła się i oparła łokcie o przednie siedzenia.

Zjechali z szosy, wjechali w drogę gruntową. Minęli kapliczkę i chwilę później tablicę z napisem „Głębocko”.

Trzymając się samochodu antyterrorystów, sunęli wolno wzdłuż smętnych pól. Przed nimi zarysowała się niewyraźna linia lasu.

Posterunkowa zerknęła na zegarek. Szósta czterdzieści pięć. Śnieg przestał padać, robiło się coraz jaśniej.

Wyjęła z kieszeni paczkę gum i po krótkim wahaniu schowała ją z powrotem. Zaschło jej w gardle, poza tym miała wrażenie, że coś ją ściska w żołądku. Spojrzała na Harry’ego, który sięgnął po broń. Przełknęła ślinę.

Po kilkuset metrach przejechali przez tory. Samochód zakotłosał się. Usłyszeli chrzęst żwiru.

– Uważaj! – krzyknął nagle komisarz.

22 Fragment utworu „Mydełko Fa” Marka Kondrata i Marleny Drozdowskiej. Tekst autorstwa Andrzeja Korzyńskiego.

Miszczu syknął i nadepnął na hamulec.

– O żeż!

Samochód wpadł w poślizg, obrócił się lekko i stanął w poprzek drogi.

– Co to było? – zapytała Katia, opadając na siedzenie.

– Sarna – burknął podkomisarz.

Sapnął, pokręcił głową i uruchomił silnik.

– Prawie ją musnąłem.

Ruszyli znowu, po parunastu sekundach dogonili vana komandosów, który budził coraz intensywniejszy niepokój posterunkowej.

Samochód-widmo – pomyślała.

Wyobraźnia podsunęła jej scenę z filmu, w której grupa uzbrojonych i zamaskowanych mężczyzn wbiega do wnętrza jakiejś posesji. Ciągle nie mogła uwierzyć, że naprawdę bierze udział w tego rodzaju akcji.

Samochód się zatrzymał.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Miszczu.

Katia spojrzała przez przednią szybę. Drzwi transportera otworzyły się. Z jego wnętrza wyskakiwali kolejni antyterrorysty.

Wysiadła. W twarz uderzył ją zimny, przenikliwy wiatr.

Znowu zaczęło śnieżyć.

Zapięła kurtkę po samą szyję i wyjęła z kabury nieprzyjemnie chłodną broń.

Po chwili nadjechał polonez, z którego wysiedli Ostrowski i Kowalski.

– Serwus – powiedział ten pierwszy i mrugnął do Katii.

Ten drugi kiwnął tylko głową i podszedł do komandosów.

– Wczuł się w klimat – skomentował długowłosy

sierżant.

Katia uśmiechnęła się i spojrzała na drogę, na której pojawił się kolejny firmowy polonez. Zaparkował tuż obok transportera. Gdy zgasły światła, wyszła z niego trójka zaspanych techników.

– Żeby mi się chciało, tak jak mi się nie chce – powiedział jeden z nich.

• • •

Weszli do lasu i w milczeniu zaczęli maszerować wąską ścieżką wijącą się wśród wysokich drzew.

Katia, wsłuchując się w głuchoe odgłosy ich kroków, próbowała utrzymać w ryzach oddech i myśli.

Domagała, ty tchórze – karciała się w myślach. Jesteś policjantką, weź się w garść.

Przypomniała sobie ostatni trening karate, w czasie którego po długiej i wyczerpującej walce pokonała swoją partnerkę.

Wspomnienie wygranej poprawiło jej morale. Uśmiechnęła się i postukała pistoletem w udo.

„Jesteś mistrzynią kopnięcia” – powiedział trener podczas pogadanki. „*Mawashi geri* w twoim wykonaniu to jest dopiero coś”.

W końcu przystanęli na wzniesieniu i rozejrzeli się po okolicy. Znowu zaczęło śnieżyć.

– Ale pizdzi – szepnął ktoś.

W dole, w centralnym punkcie polany stał niewielki podmurowany domek otoczony spróchniałym płotem.

Przed drzwiami dostrzegli czarne bmw. Za budynkiem widniała ciemnobrązowa szopa. Obok ktoś usypał niedbale drewno opałowe.

– To tutaj się schowały nasze misie – mruknął Miszczu, potarł ręce i pochuchał w nie.

Szef komandosów zerknął na Harry'ego. Ten odbezpieczył broń i wbił wzrok w sierżantów, którzy formalnie dowodzili akcją.

Kowalski spojrział na zegarek.

Za minutę siódma.

Rozgryzł cukierka, którego ssał od pewnego czasu.

Gdy poczuł orzeźwiający smak i zapach mięty, cmoknął, wyjął z kabury pistolet i zerknął na Ostrowskiego.

Maszeruj albo giń – pomyślał.

Sierżanci skinęli sobie głowami.

– Zaczynamy – mruknął Kowalski i dał znak ręką.

– Idziemy – potwierdził Harry.

Sekundę później komandosi pobiegli w stronę domu. Reszta ruszyła za nimi. Po chwili rozległ się huk taranowanych drzwi, a zaraz po nim wybuch granatu hukowego.

– Policja, gleba! Nie ruszać się! – ryknęli zamaskowani policjanci.

– Kurwa, na ziemię!

– Policja!

Nagle zapadła cisza, którą po paru sekundach zakłócił brzęk tłuczonej szyby.

Nad domem zakołowało stado spłoszonych gawronów.

Katia stanęła przed drzwiami i poczuła mrowienie na skórze, gdy usłyszała nerwowe pokrakiwania.

• • •

Harry włożył do ust papierosa i zerknął na Nikiego

i Bejzbola, którzy siedzieli na taboretach ustawionych na środku pomieszczenia.

Byli ubrani w T-shirty, majtki i skarpetki. Na rękach mieli kajdanki. Drżeli z zimna i wpatrywali się przekrwionymi oczami w komisarza.

Ten wydobyl z kieszeni zapalniczkę, zapalił papierosa, chwycił krzesło i usiadł na nim, kładąc dłonie na oparciu.

– Pamiętacie mnie, chłopaki? – zapytał, wypuściwszy gęsty kłęb dymu z ust.

Burknęli coś nieśmiało.

– Nie słyszę! – powiedział, podnosząc głos.

Gangsterzy skulili się w sobie.

Harry zaciągnął się mocno. Podrapał się po skroni i spojrzał na stół, na którym stała pusta butelka po stolicznej, kilka szklanek, dwulitrowa cola i dwa wielkie talerze z resztkami kurczaka z różna.

Skrzywił się.

– Bo ja was pamiętam. – Wyszczrzył zęby. – I nasze ostatnie spotkanie w motelu. – Sapnął i momentalnie spochmurniał. Zmrużył oczy. – I moment, kiedy Patrycja uderzyła głową o stół i padła martwa. – Westchnął. – Pamiętacie?

Wyciągnął broń z kabury, wstał i odbezpieczył ją. Podeszedł do Bejzbola, który spojrzał na niego spłoszonym wzrokiem. Harry przystawił mu pistolet do skroni.

– Dwa pytania – odezwał się chrapliwym głosem. – Gdzie są ciała Grandowskiego i Patrycji? – wycodził, podkreślając każde słowo. – Gdzie?

Gangster spurpurowiał, pokręcił głową, po czym

spojrzał Harry'emu głęboko w oczy.

– Przecież nie zabijesz mnie, psie – warknął i dotknął dłonią spoconego czoła. Wskazał policjantów, którzy z coraz większym niepokojem obserwowali poczynania czarnowłosego operacyjniaka, i dodał agresywnie: – Nie zabijesz mnie przy świadkach, chuju!

• • •

Zabije – pomyślał przestraszony Kowalski i spojrzął na uczestników zatrzymania, którzy stali jak zahipnotyzowani. *On ich zabije!*

Włożył do ust cukierka, possał go i podszedł do Harry'ego, odnosząc dziwne wrażenie, że wchodzi na plan filmowy.

To się nie dzieje naprawdę!

Położył mu rękę na barku.

– Zostaw ich – powiedział, starając się mówić spokojnie, lecz stanowczo. – Już zrobiliśmy swoje. Reszta należy do góry.

Komisarz poruszył nerwowo barkiem.

– Nie wtrącaj się – burknął.

Sierżant przełknął ślinę i zerknął na Ostrowskiego, który wysunął lekko do przodu szczękę i zaczął pospiesznie oddychać.

Kowalski cofnął się o krok, uniósł rękę.

– Harry – powiedział. – Schowaj broń. Idź do samochodu. Chłopcy przewiozą tych skurwysynów na komendę i tam Dżery zaczną ich słuchać. Dobra?

Cisza.

– Dobra?

Cisza.

– Pamiętaj, że każdy nieostrożny ruch to prezent dla nich. Wszystko możemy zjebać, jak teraz za ostro zagramy.

Harry pokręcił głową i podszedł do Nikiego. Sapnął. Przystawił mu lufę do czoła.

– Boisz się? – szepnął i wykrzywił twarz. – Czy jeszcze nie?

– Harry – odezwał się Ostrowski, czując, że koszulka przykleja mu się do mokrych pleców. – Chłopie, nie wygłupiaj się!

Ruszył przed siebie i stanął obok Kowalskiego.

– Co ty chcesz zrobić? – zapytał.

Nie powstrzymamy go – pomyślał. *On jest...*

– Nie rób głupstw! – szepnął do Harry'ego, kręcąc głową. – Schowaj broń i wyjdź na zewnątrz. Proszę cię.

Harry obrócił się w stronę sierżantów. Miał dziwny, przymglony wzrok.

– Skończcie, kurwa, ten cyrk – krzyknął nagle Bejzbol, przyprawiając wszystkich o dreszcze.

Harry podniósł broń i wycelował w stronę Bejzbola.

– Nie! – krzyknął Miszczu.

Ostrowski zerknął na Katię. Miała kamienną twarz.

Rozległ się huk wystrzału.

• • •

O kurwa – pomyślała Katia, wbijając wzrok w Harry'ego, który właśnie strzelił w okno.

Przerażenie zamieniło się w zaskoczenie. Posterunkowa spojrzała na gangsterów, którzy momentalnie pobledli.

W oczach Nikiego dostrzegła łyzy.

– Nie – odezwał się komisarz. – Najpierw ja po swojemu

wyciągnę z nich informacje, a dopiero potem wy zawieziecie ich na komendę.

Zabezpieczył broń, wsunął ją do kabury i podszedł do stołu. Chwycił butelkę wódki, przystawił ją do nosa i zaciągnął się ostrym zapachem. Wypuścił powietrze, odłożył flaszkę, oblizał usta i przejechał dłonią po twarzy. Spojrzał na skołowanych gangsterów.

– Ubierzcie się, chuj zamazane – warknął, a potem wysunął brodę w stronę antyterrorystów.

– Jak już nałożą na siebie szmaty, zaprowadźcie ich do szopy – rzucił.

– Po chuj do szopy? – warknął Bejzbol. – Wieźcie nas na komendę, kurwa!

– Zamknij mordę, śmieciu!

Sierzanci spojrzeli po sobie i westchnęli.

Niki i Bejzbol, eskortowani przez uzbrojonych policjantów, zniknęli w drugim pomieszczeniu.

Katia poruszyła się i zerknęła na Miszcza.

Ten wzruszył ramionami i nachylił się w jej stronę.

– Tak wygląda ta robota w wykonaniu Harry’ego – szepnął. – Patrz i podziwiaj, bo to ostatni Mohikanin. I nie ucz się – dodał. Włożył ręce w kieszenie i zrobił miejsce komandosom, którzy prowadzili ku wyjściowym drzwiom gangsterów ubranych w kreszowe dresy. – To są ostatnie występy naszego bohatera.

Że co? – Katia zmarszczyła brwi i ruszyła za Harrym, który zapalił papierosa i wyszedł z pomieszczenia. Ostatnie występy? O co mu chodzi? Czyżby nie lubił Harry’ego?

Przytupnęła głanami i zeszała po drewnianych schodkach na zaśnieżoną ziemię.

Przenikliwy wiatr smagnął ją po twarzy.

• • •

Ostrowski gwałtownie odwrócił się w stronę drzwi, które z hukiem zamknęły się pod wpływem uderzenia wiatru.

Co za pogoda! – zamarudził w duchu i po chwili spojrzął na Harry'ego.

Komisarz rzucił niedopałek na ziemię i zdusił go butem.

Słabe światło wydobywające się z żarówki umieszczonej na nisko zawieszonym suficie wyostrzyło rysy jego twarzy.

Sierżant zaczął się go bać.

On chyba naprawdę jest ostro jebnięty – pomyślał i poczuł, że jego wielka sympatia do słynnego oficera odchodzi w niepamięć.

– Stańcie pod ścianą – rzucił ostro Harry. Gangsterzy natychmiast wypełnili rozkaz.

Co on niby zamierza zrobić? Spuści im wpierdol? Zabije ich? To jest jakieś wariactwo!

Ostrowski, ku swojemu zdziwieniu, zatęsknił za spokojną, rozsądną i przewidywalną postacią Ramberta.

Szkoda, że nie pojechał z nami. Akcja zakończyłaby się zupełnie inaczej. Normalnie, po ludzku.

– Nie chcecie mówić, chłopaki? – mruknął komisarz i rozejrzał się po niemiłosiernie zagraconej szopie. – No dobrze. – Po paru sekundach jego wzrok zatrzymał się na młotku, który stał na stalowej skrzyni z narzędziami. Długi, przyczerniony trzonek, wielki stalowy obuch.

Oficer wziął go do rąk, zważył, skrzywił się i zerknął na gangsterów. Splunął.

– Mówić nie będziecie, ale za to zaśpiewacie – warknął.

Poszedł do zaciemnionego kąta, wydobył z za sterty drewna dwa krzesła i postawił je na środku szopy, tuż obok wielkiego pnia.

– Siadać, kurwy.

Gangsterzy usiedli. Krzesła zatrzeszczały.

Harry skinął na Ostrowskiego.

– Rozkuj Bejzbola, a potem połóż mu łapę na pniu – rzucił.

Sierżant zrobił wielkie oczy.

– Że co? – Jęknął i poczuł, że robi mu się słabo.

Harry westchnął.

– Mówię. Żebyś. Położył mu. Łapę. Na pniu.

Ostrowski zerknął na Kowalskiego, który zaczął niespokojnie kręcić głową. Potem spojrzał na Katię. Stała nieporuszona przy drzwiach, lekko przygryzając usta. Była piękna, ale i jakby straszliwie odległa. Sprawiała wrażenie kogoś, kto z rosnącą fascynacją przygląda się ulicznej bójce.

Przez głowę przeszła mu nagle myśl, że to jej sposób bycia. Stać z boku, przyglądać się z kamienną twarzą rozwojowi wypadków, a potem działać, często bardzo agresywnie. Jak dziki kot.

Czy ona lubi przemoc?

W jej oczach dostrzegł wielką sympatię dla Harry'ego.

Co ona w nim widzi?

– Łapa na pień, kurwa! – krzyknął komisarz.

Bejzbol zadrżał.

– Ochujaleś, człowieku?! – wymamrotał.

– Łapa na pień!

Ostrowski podszedł do przerażonego gangstera. Wydobył z kieszeni kluczyk do kajdanek.

– Dawaj łapę, stary – powiedział niepewnie.

– Pierdolcie się! – wrzasnął Bejzbol, rzucając się nerwowo do tyłu.

– Harry – odezwał się Kowalski, – Jak mu rozjebiesz łapę, to wylecisz z roboty.

– Ale przynajmniej dowiemy się, gdzie te skurwysyny pogrzebały Patrycję i Grandowskiego – wycodził oficer.

– Nic wam nie powiem!

– Ale zaśpiewasz! Gwarantuję ci to!

Harry zerknął na Miszcza.

– Pomóż koledze.

Podkomisarz uśmiechnął się, wyciągnął z kabury pistolet i podszedł do Bejzbola, po czym przyłożył mu lufę do skroni. Odbezpieczył broń i nachylił się nad łysym mężczyzną.

– Dawaj łapki, orzeszku – szepnął. – Musimy ci je pomasaować, wtedy będziesz rozmowniejszy.

To się nie dzieje naprawdę!

Bejzbol wziął głęboki oddech i uspokoił się. Pomyślał chwilę, a potem położył dłoń na przybrudzonym pniu. Spojrzał hardo na Harry'ego.

– Zajebią was – wyszczał. – A potem rozpuszczą w kwasie. I tak skończycie, pierdolone brudasy, cioty jebane!

– Rozkuj Nikiego – rzucił komisarz, po czym wydobył z zewnętrznej kieszeni płaszcza metalową piersiówkę.

Otworzył ją, wziął parę łyków, przepłukał usta i wypluł. Przymknął oczy i chwycił oburącz młotek.

Sierżant wykonał polecenie i cofnął się.

– Łapa na pień, Niki!

Ostrowski spojrział na gangstera, w którego oczach

dostrzegł narastający strach. Mężczyzna skurczył się w sobie, przełknął ślinę i przymknął powieki.

Ostrowski znowu zerknął na Katię, która ściągnęła usta.

– Nie! – wrzasnął Niki. – Ja powiem, wszystko wam powiem!

– Stul pysk, pedale! – ryknął Bejzbol. – On przecież blefuje! Nic nam nie zrobią. To w końcu policja, do kurwy nędzy, oni nie...

– Powiem wszystko! – przerwał mu Niki, wykrzykując histerycznie. – Tylko zostawcie nas, odłóż ten młotek!

Gdy zamilkł, nastąpiła cisza, którą po paru sekundach przerwał Harry:

– Grzeczny chłopiec – oznajmił, zniżając głos. – Ładnie śpiewasz. Powinieneś zapisać się do Poznańskich Słowników. – Gdy wybrzmiało ostatnie słowo, komisarz zrobił zamach i rzucił młotkiem w okno. Na dźwięk rozbitej szyby wszyscy drgnęli.

– Dżizas – szepnął Ostrowski.

Harry był jak w transie.

– Teraz Bejzbol nam ładnie zaśpiewa – mruknął. Rozejrzał się wokoło. Wbił wzrok w ścianę, na której wisiała siekierka. Uśmiechnął się, podszedł i zdjął ją z metalowego pręta. – Wiesz co, Bejzbol? – mruknął. – To by była przesada, gdybym młotkiem rozpierdolił ci łapsko. Odetnę ci kciuk. Tak się czasami robi. Nic wielkiego, nie? Przyznaj się. Ile kciuków uciąłeś w swoim życiu? Bo ja dopiero... dwa? Twój będzie trzeci. Nie, nie trzeci, czwarty. – Spojrzał krytycznie na siekierkę i pokiwał niezadowolony głową. – Duża. Najwyżej utnę ci dwa paluchy

Bejzbol zaczął drzeć.

– Jesteś popierdolonym zjebem – odezwał się, blednąc.

– To prawda.

– Powiedz mu – szepnął Niki. – On to zrobi. To pokurwiony wariat!

– Zamknij ryj, cieniasie! – krzyknął Bejzbol.

Harry stanął przed Bejzbolem, który przyglądał mu się zdezorientowany.

– Mischu, Ostry – zakomenderował. – Wiecie, co macie robić.

Podkomisarz znowu wyciągnął pistolet, przystawił lufę do skroni i odbezpieczył.

– Bądź grzeczny – syknął Harry. – Bo inaczej upierdole ci pół ręki.

Ostrowski wypuścił powietrze, złapał gangstera za nadgarstek i położył jego dłoń na pniu – nie poczuł żadnego oporu.

On to zrobi, kurwa jego mać – pomyślał sierżant i poczuł bolesny ucisk w gardle. W uszach zaczęło mu piszczeć. On naprawdę ujiebie mu kciuka! Jak w jakimś tandetnym filmie gangsterskim.

Komisarz zacisnął zęby i przyłożył ostrze siekierki do kciuka Bejzbola. Lekko nacisnął.

Na skórze pojawiły się krople krwi.

Wtedy Ostrowski zerwał się jak oparzony i zrobił parę kroków do tyłu.

– Harry, nie mogę! – wrzasnął. – Kurwa, nie mogę – dodał ciszej, kręcąc bezradnie głową. – To jest chore!

On jest jakimś popierdolonym sadystą!

Oparł się o ścianę i zerknął na Katię.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi, jakby zdziwiona

jego wybuchem.

Czy ona jest cyborgiem? – pomyślał, gdy przeniosła wzrok z powrotem na Harry'ego.

Ten westchnął i znienacka wbił siekierę w pień tuż obok dłoni Bejzbola, przyprawiając wszystkich o dreszcz przerażenia.

Gangster z trudem łapał powietrze.

– No dobrze – powiedział Harry. – Sam to zrobię.

Podszedł do Bejzbola, szarpnął nim i posadził na pniu.

– Siedź tu – rozkazał, wznosząc palec jakby groził niesfornemu uczniakowi. Odwrócił się, podszedł do półki, na której leżała wiertarka. Zanucił jakąś melodię. Podłączył kabel do kontaktu, otworzył pudełko, wyjął z niego wiertło i sprawnie zamocował je w uchwycie. Wiertarka zawarczała. Raz, drugi, trzeci.

Jak pies, którego ktoś zaczął drażnić – pomyślał Ostrowski.

Harry stanął w rozkroku, przechylił głowę i zapytał:

– Gdzie zakopaliście ciało Grandowskiego? Gdzie leży Patrycja?

Milczenie.

– Gdzie, kurwa?!

Cisza.

Policjant przygryzł język i nacisnął czerwony przycisk. Urządzenie znowu zawarczało.

Ostrowski zerknął na Nikiego.

W okolicy rozporoka pojawiła się mokra plama.

– Doigrałeś się, chuju zamazany – warknął Harry, po czym odwrócił się do policjantów. – Wyciągnę od niego informacje, potem go zastrzelę i zakopię – oznajmił niezwykle spokojnie. – To zwykły śmieć. Prędzej czy

później i tak ktoś go przecież odstrzeli. A teraz wyjdźcie z tej śmierdzącej szopy i wracajcie do komendy. Nic nie widzieliście, nic nie wiecie. Zostaną tylko czarni.

Cisza.

– Wypierdalajcie! – krzyknął Harry. – Nie chcę żadnych świadków.

– Zostaniemy – powiedział drżącym głosem Kowalski, gdy nagle uświadomił sobie, że facet ma rację. Podczas takiego bandyckiego przesłuchania nie powinno być żadnych świadków.

Sierzant i komisarz zmierzyli się wzrokiem.

– No to sobie popatrzcie – powiedział oficer, po czym ukląkł, wziął głęboki oddech i wbił, ku zgrozie Bejzbola, wiertło w pień.

Tuż przy kolanie oniemiałego mężczyzny.

Zaatakował wściekle stare, wilgotne drewno.

Niki zamknął oczy i bezwładnie osunął się na podłogę.

– Przestań, kurwa! Ty pojebie! Powiem ci! Tylko wyłącz ten szajs! – wrzasnął Bejzbol.

Harry szarpnął wiertarką do tyłu i powoli wstał, machając wyjąłym przeraźliwie urządzeniem.

– Zamieniam się w słuch.

– Wyłącz to, do chuja!

Policjanci spojrzeli na Bejzbola. Był blady, spocony, rozdygotany. Oczy zaszyły mu mgłą. W kącikach ust pojawiła się ślina.

Komisarz wyłączył sprzęt, a gangster, uspokoiwszy się, wbił wzrok w swoje buty i szepnął:

– Jakieś pół kilometra stąd.

– Dokładniej mów, pitolu!

– Musicie iść ścieżką, która zaczyna się przy furtce

z tyłu domu. Przejdziecie jakieś pół kilometra. Zatrzymacie się przy dębie. Po prawej stronie jest coś w rodzaju wielkiego dołu, to pozostałość po stawie. Na środku rosną jakieś krzaki. Obok zakopaliśmy chłopaka i dziewczynę.

– Nie kłamiesz?

– Nie!

– Jeśli kłamiesz, to dokończę borowanko i rozłupię ci kolana.

– Nie kłamię!

– Co się odwlecze, to nie uciecze.

– Mówię prawdę, kurwa jego mać! Przestań się znęcać!

Harry uśmiechnął i poklepał Bejzboła po ramieniu.

– Grzeczny chłopiec.

Gdy gangster odetchnął z ulgą, komisarz ponownie uruchomił wiertarkę. Zbliżył ją do czoła osłupiałego mężczyzny.

– Kto zajebał pismaka? – warknął.

Cisza.

– Pytam się. Kto?!

Bejzbol westchnął.

– Kto, kto, kto?!

Cisza.

– Kto, kurwa?!

– Kozak – wydusił z siebie resztką sił gangster.

Harry zatrzymał wiertarkę i zastygł w bezruchu.

– Co? – zapytał po chwili, przerywając martwą ciszę, która nagle zapadła w pomieszczeniu.

– Kozak.

Komisarz sapnął i rzucił wiertarkę na ziemię. Spojrzał na Kowalskiego, który otworzył szeroko oczy.

– Ja pierdolę – syknął Miszczu.

Ostrowski przejechał dłonią po mokrych od potu włosach i wpatrywał się oszołomiony w oficera.

On jest naprawdę brudnym Harrym. Bardzo brudnym.

Przymknął oczy i zobaczył Clintę Eastwooda, który stoi nad leżącym zabójcą i pyta:

– Czy masz dziś szczęście, śmieciu?

Najwyraźniej nie.

LI

Kowalski zapiął rozpiorek i wrócił do reszty, która stała w milczeniu w półokręgu i wpatrywała się w techników pracowicie rozkopujących miejsce ukrycia zwłok Wiktora i Patrycji.

Harry drapał się po szramie, krzywiąc się przy tym złowrogo. Katia zgarbiła się, jakby czekała na sygnał do ataku. Ostrowski patrzył w dół i ugniatał butami zbutwiałe liście. Mischu w jednej ręce trzymał nadgryzioną bułkę, w drugiej pistolet.

Obok sosny stali skuci Niki i Bejzbol pod czujnym okiem kilku komandosów. Byli bladzi, spoceni, przerażeni. Nic dziwnego, Harry przeszedł samego siebie.

To jest diabeł – pomyślał Kowalski, czując, że przesywa go dreszcz. *Od kogo on się tego nauczył?*

– Mam – mruknął jeden z techników i wytarł wierzchem dłoni spoczone czoło.

– Ja też – wymamrotał jego partner.

Sierżant wzdrygnął się i spojrzął na Harry'ego, który postąpił krok do przodu.

– Chyba mówiliście prawdę, chłopcy – rzucił komisarz, zapalając papierosa. Gdy wypuścił dym, spojrzął na gangsterów. – Przeżyjecie – dodał i strzepnął popiół.

Kowalski dotknął dłonią ust i zerknął na Harry'ego, który uważnie wpatrywał się w odsłaniane przez techników ciało. Gdy w ziemi zajaśniały długie włosy, sierżant dostrzegł w oczach operacyjniaka łyzy.

CZĘŚĆ

CZWARTA

Styczeń 1993

LII

Dłużej tego nie zniosę – pomyślała, zamykając wieczko cukiernicy.

Przełknęła kanapkę, popiła herbatą i powoli podniosła głowę znad talerza. Adaś, jej mąż, przyglądał się smutnymi oczami swoim dłoniom. Basia, jej córka, nakłuwała widelcem naleśnika, poruszając przy tym bezgłośnie ustami.

Pomiędzy ich trójką panowała nieprzyjemna cisza przerywana raz po raz odgłosami z sąsiednich mieszkań.

Tak dalej być nie może – stwierdziła w duchu. *Bo oszalejemy.*

Zerknęła na córkę, która od powrotu Adasia bardzo się zmieniła. Przycichła, zamknęła się w sobie. Ewidentnie unikała wspólnych nasiadówek w kuchni czy przed telewizorem. Przestała reagować na żartobliwe zaczepki, nie wyciągała pieniędzy na kasety modnych zespołów. Niechętnie wychodziła z nimi na spacer, które kiedyś były przecież ich ulubionym rytuałem.

A co gorsza, omijała swojego ojca szerokim łukiem! Jakby był jakimś zbirem albo co najmniej trędowatym. Patrzyła na niego z lękiem, obawą. Może też z niechęcią.

Gdy wracał z pracy, zamierała, milkła momentalnie, a potem, po obiedzie, znikala im z oczu.

Jego wyjście z aresztu miało być nowym początkiem. Nowym lepszym rozdziałem ich wspólnego życia. Trzeźwego, spokojnego, radosnego.

Niestety, Basia tak tego nie widziała. Basia zupełnie nieoczekiwanie... się zbuntowała. W łagodny, ale jednak stanowczy sposób. Owszem, cały czas była grzeczna, ale i osobna, bardzo osobna – a to bolało.

Adaś szybko się zorientował, że córka nie zaakceptowała jego powrotu. Ku zdumieniu Hanny przyjął to z pokorą i wyrozumiałością.

– Nie dziwię się – powiedział kiedyś przed snem. – Zgotowałem jej piekło.

– Ale przecież nigdy jej nie uderzyłeś – odpowiedziała mu. – Nigdy na nią nie krzyknąłeś. Zawsze byłeś dla niej dobry.

W odpowiedzi zapłakał i wtulił głowę w poduszkę.

Była poruszona. Nigdy nie słyszała płaczu męża. Nigdy.

– Zgotowałem jej piekło – powtórzył, gdy wytarł łzy. – Mój ojciec zgotował mi takie samo piekło, więc dobrze ją rozumiem.

Wtedy ona zapłakała.

Przysunął się do niej, objął ją ramieniem i wtulił nos w jej szyję.

– Wybaczyłeś swojemu ojcu? – zapytała po długim milczeniu.

Westchnął.

– Nie zdążyłem – odpowiedział. – Umarł nagle, gdy miałem czternaście lat.

Zamilkli.

– A chciałeś mu wybaczyć? – dopytała niespokojnie, mając wrażenie, że wchodzi na grząski, niebezpieczny

grunt.

Otworzył usta, ale nie odezwał się.

– Nie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie poczuwał się do winy. Z biegiem czasu był coraz gorszy. Coraz więcej pił, awanturował się coraz częściej i gwałtowniej. Aż w końcu dostał zawału i umarł.

Znowu zapadła cisza.

– Chciałbym mu przebaczyć – odezwał się w końcu. – Teraz, kiedy myślę o nim, bardzo mu współczuję. To była ofiara, która nie dostała swojej szansy... Ja swoją dostałem – dodał cicho i przytulił się do żony. Wkrótce potem zasnęła. To była chyba ich najpiękniejsza noc. Spokojna, czuła, pełna nadziei.

Hanna uśmiechnęła się do tego wspomnienia i spojrzała na męża, który zerkał teraz na córkę.

Basia cały czas maltretowała naleśnika, z którego dziur wypływały krople marmolady.

– Nie smakuje ci? – zagadnął.

Dziewczynka skrzywiła się.

– Nie mam apetytu – mruknęła.

Pokiwał głową.

– Może zrobić frytki? – zaproponował, uśmiechając się.

– Zjemy sobie z keczupem i majonezem, co ty na to?

Pokręciła głową, marszcząc nos.

– Nie, dziękuję. Nie jestem głodna.

– Rozumiem – odparł. – Nic na siłę. Może innym razem.

– Uhm.

– A może na koniec kolacji napijemy się pepsi? Kupiłem dzisiaj po pracy dwie butelki. Chłodzą się teraz

w lodówce. Co ty na to?

– Wolałabym nie.

– Jasne.

Hanna poczuła ukłucie w sercu. Zrobiło jej się strasznie żal męża, który wręcz z nieludzką cierpliwością walczył o przychylność córki, ignorującej wszystkie jego pojednawcze gesty.

Dlaczego ona to robi? – myślała. Dlaczego? Czy nie widzi, że tata się zmienił? Że już jest zupełnie innym człowiekiem? Że można mu zaufać? Dlaczego Basia tak się zafiksowała?

Poczuła ból głowy. Potarła dłonią oczy, próbując przypomnieć sobie, czy są jeszcze jakieś tabletki w ich podręcznej apteczce.

– Mamo – odezwała się nagle Basia.

– Słucham?

– Mogę odejść od stołu? Muszę jeszcze napisać na jutro wypracowanie z polskiego.

Hanna wbiła w nią wzrok.

– Jeśli musisz. – Westchnęła w odpowiedzi.

Zapadła cisza, którą przerwał Derwiniak. Wstał od stołu, potarł nerwowo dłonie. Wypuścił wolno powietrze, jakby się zbierał do wielkiego wysiłku.

– Dziewczyny – powiedział drżącym głosem. – Moje kochane dziewczyny. – Podszedł do nich. – Posłuchajcie mnie – szepnął. – Haniu, Basiu, posłuchajcie mnie. – Przerwał.

Zamknął oczy i po chwili padł przed nimi na kolana.

Spojrzały na niego zdumione.

– Wiem, że byłem złym mężem i złym ojcem. Wiem to, już wiem. – Zaszlochał. – Bardzo was za to przepraszam

i obiecuję, że to się już nigdy nie powtórzy. – Uderzył się w pierś. – Nigdy, przenigdy. Uwierzcie mi! To się już nie powtórzy! – Zamilkł. – Kocham was! – krzyknął. – I nie chcę was stracić. Nie mogę was stracić!

Hanna spojrzała niepewnie na Basię, która zamarła w bezruchu.

Na twarzy dziewczynki pojawiły się rumieńce.

Położyła dłoń na jej dłoni i poczuła, że Basia drży na całym ciele. Przeniosła wzrok na męża, który lękliwie wpatrywał się w córkę.

Przebacz mu, przebacz mu, Basieńko – modliła się w duchu. *Wszystko będzie dobrze.*

Z oczu Basi popłynęły nagle łzy. Dziewczynka przetarła je, przełknęła ślinę i spojrzała na ojca, marszcząc czoło:

– Obiecujesz? – szepnęła, chlipiąc bezradnie. – Powiedz mi, obiecujesz?

LIII

Kowalski spuścił wzrok i dotknął palcem kącika prawego oka. Musiał mocno zacisnąć zęby, żeby nie załkać i nie przyłączyć się do płaczu rodziców Wiktora Grandowskiego, którym powiedział przed chwilą o odnalezieniu zwłok ich syna.

Przez chwilę przyglądał się swoim ubłoconym butom, które kontrastowały z doskonale wyczyszczonym dywanem o żywej kolorystyce.

Przełknął ślinę i wbrew woli przeniósł się pamięcią do chwili, w której technicy wykopali zwłoki dziennikarza i Patrycji.

To był smutny, gorzki, bardzo przejmujący moment. Stało się to, co musiało się stać. Stało się nieubłagane.

Wszyscy w ekipie podejrzewali przecież, że chłopak został zamordowany i w gruncie rzeczy śledztwo polegało na potwierdzeniu tego założenia poprzez odnalezienie ciała.

Podejrzewali?

Nie, wszyscy to wiedzieli. Nikt się nie łudził, że chłopak żyje. Takie rzeczy się nie zdarzają. Nie w rzeczywistości. Zaginął, więc nie żyje. Koniec, kropka.

Nie ma czegoś takiego jak szczęście. Są tylko niefortunne zbiegi okoliczności.

Kowalski pokiwał głową, cały czas omijając wzrokiem rozszlochane małżeństwo. Sięgnął do szklanki, w której tkwiły słone paluszki, i schrupał kilka.

Jego pamięć pracowicie podsuwała mu migawki przedstawiające wyciąganie zwłok, układanie ich na ziemi, wstępne badanie.

Wiał wiatr, padał śnieg. Do tego te pokrakiwania gawronów... Patrzył wtedy na ciało Wiktora i słyszał jego smutny głos nagrany na kasetach magnetofonowych.

Na Patrycję początkowo nie chciał patrzeć.

Wystarczyło mu pełne bólu spojrzenie Harry'ego. Harry cierpiący, Harry wzruszony. Niesamowite. Nigdy tego nie zapomni.

Kim była dla niego ta kobieta?

Potem przypomniał sobie Nikiego i Bejzbola, którzy z przerażeniem spoglądali na warcząca wiertarkę.

A potem Kozaka, jego niewysoką postać, charakterystyczny głos, pyską, agresywną mordę.

Czy to naprawdę on? Czy to on zabił chłopaka? Dlaczego? Z powodu tych pornolskich zdjęć?

A może zrobił to na polecenie Kowboja albo Barnaby? Może był zwykłą kurwą opłacaną przez miastowych?

Nie, nie wierzę.

To był przecież gliniarz, którego bardzo bolały te wszystkie zmiany osłabiające skuteczność polskiej policji.

To nie mogło być udawane!

Kowalski przerwał rozmyślenia i spojrzał na Grandowską, która wytarła oczy, wyprostowała się i mruknęła:

– Przynajmniej wiemy na pewno, że nie żyje. Jest na czym się oprzeć. Jest z czym się pogodzić... – Wypuściła powietrze. Jej usta zadrżały i zacisnęły się. – Ta niepewność, bezustanne oczekiwanie, bezsenne noce...

Koszmar... – Zamilkła. – Przynajmniej wiemy, że nie żyje – powtórzyła po chwili, z trudem panując nad sobą – To już coś. Jakiś konkret.

Cisza.

– A co ze sprawcą? – odezwał się ojciec płaczącym głosem. – Złapaliście go już? Macie tego... zwyrodnialca?

Jest słabszy od niej – pomyślał Kowalski. *Jak większość mężczyzn zestawiona z kobietami.*

Grandowski załkał i ukrył twarz w dłoniach.

Ona oswaja się z bólem, a on szuka winnego tego bólu – sierżant przypomniał sobie pełne pogardy spojrzenie własnej matki, którym obdarzała męża, a jego ojca, gdy sięgał po kolejną butelkę wódki.

Kowalski pokręcił głową.

– Nie, proszę pana – odpowiedział cicho. – Nie złapaliśmy.

Ojciec poruszył się nerwowo w fotelu, łapiąc za drewniane oparcia.

– Ale wiecie już, kto to zrobił? – zagadnął

Sierżant usłyszał w jego pytaniu zaczepny ton.

Westchnął i podrapał się po nadgarstku.

– Cały czas nad tym pracujemy – powiedział, patrząc starszemu mężczyźnie prosto w oczy. – Sprawdzamy różne wersje. W związku z tym prosimy o cierpliwość.

– A może napije się pan jeszcze kawy? – zapytała Grandowska ku jego zdziwieniu. Ostatnio to przecież Grandowski dbał o takie szczegóły, ona była ponad to.

Zerknął na swoją filiżankę. Była opróżniona do połowy.

– Bardzo dziękuję, ale będę już się zbierał – oznajmił i chwycił garść paluszków.

Grandowski nachylił się nad ławą.

– A kiedy, do cholery, zamierzacie go złapać? – burknął.

Kowalski pamiętał głos Grandowskiego, gdy zadzwonił do niego któregoś wieczoru z informacją o historyku, przyjacielu Wiktora. Brzmiał wtedy żwawo, przyjaźnie... jak mądry, dojrzały człowiek.

Sierżant spojrzał na Grandowską.

Była spokojna, zimna, pogrążona w nieprzeniknionym świecie swoich myśli. Jedyne jej zaczerwienione oczy i lekko zapadnięte policzki zdradzały, że cierpi.

– Jak najszybciej, panie Bronku, naprawdę. – Wstał z fotela, poprawił koszulę i skinął głową. – Niebawem się do państwa odezwę.

Grandowski zaszlochał głośno. Żona spojrzała na niego, ściągnęła usta, przeniosła wzrok na sierżanta i ruszyła do przedpokoju.

Otworzyła drzwi i podała mu zimną dłoń.

Uśmiechnęli się nieśmiało do siebie.

– Do widzenia pani – mruknął Kowalski, po czym przekroczył próg i wyszedł na korytarz. Gdy usłyszał zgrzyt zamka, zaczął szybko schodzić po schodach.

Harry usiadł na skraju biurka i wysunął w stronę Kozaka pudełko papierosów.

– Zapalisz? – zapytał.

Policjanci zaciągnęli się, przyglądając się w milczeniu swoim butom.

Harry obrócił się i poszukał wzrokiem czegoś, co mogłoby pełnić rolę popielniczki. Po parunastu sekundach odnalazł wśród stosu dokumentów mały talerzyk. Strzepnął na niego popiół, podał go Kozakowi, wstał i podszedł do okna, z którego rozpościerał się widok na parking.

Zaczęło kropić.

Harry przez chwilę wpatrywał się w gromadę gołębi, która wylądowała na środku placu. Jeden nagle skoczył na drugiego. Zaczęła się bójka. Kilka ptaków odfrunęło, kilka zbliżyło się do walczących. Na teren parkingu wjechał biały opel, płosząc ptaki.

– Władek – odezwał się nagle i odwrócił w stronę kolegi, który z melancholijnym wyrazem twarzy dopalał papierosa. – Władek, jest bardzo źle. Z tobą.

Kozak drgnął na dźwięk swojego imienia, którego nikt z firmy od wielu lat nie używał. Harry też nie. Nawet była żona szybko przestała nazywać go Władkiem.

Władek – to zabrzmiało jak zwiastun katastrofy.

Kozak zdusił papierosa i wyprostował się.

– Co masz na myśli? – wymamrotał, przyglądając się

swoim drżącym dłońmi.

– Jesteś w ciężkiej dupie... – odparł Harry i przysiadł na biurku. – I raczej z niej nie wyjdiesz – dodał głucho. – Przynajmniej nie za szybko. Albo w ogóle.

Kozak zbladł. Nabrał powietrza i spojrzał przeciągle na kolegę, którego wzrok był smutny i jakby nieobecny.

– Niki i Bejzbol mówią, że to ty zabiłeś dziennikarza – wypalił Harry.

– Co?!

– Powiedzieli to na protokół i podpisali.

– Niemożliwe.

– Pokażę ci jutro ich zeznania. – Harry wypuścił powietrze. Skrzywił się, chwycił zapalniczkę i bawił się nią przez chwilę. – Chciałem, żebyś to wiedział – mruknął i zerknął w stronę okna. – I przemyślał to sobie w celi.

Kozak zwiesił głowę i zaczął nerwowo trzeć prawe oko.

– Chcesz tu jeszcze chwilę posiedzieć?

– Nie.

Harry pstryknął zapalniczką i przypalił sobie kolejnego papierosa.

– Chłopcy odwiozą cię na Młyn – oznajmił.

Zapadło milczenie.

Harry zadrżał i poczuł nagle ssanie w żołądku. Zaciągnął się głęboko, a potem wolno wypuścił dym. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że właśnie wbił kumplowi i zarazem podwładnemu nóż w plecy. Gdzieś w tyle głowy wyłonił się zapach gorzkiej żołądkowej. Zacisnął zęby i potarł ręką podbródek.

– Chodźmy – szepnął i ruszył wolno w stronę drzwi, zastanawiając się cały czas, czy Kozak rzeczywiście to

zrobił.

Dlaczego nie zaprzeczył? Dlaczego się nie oburzył, nie kurwował jak zawsze? Co oznacza ten spokój? Dlaczego zwiesił głowę jak zwyczajny przestępca rozpoznany podczas okazania?

Nacisnął kłamkę, obrócił się i spojrzał na Kozaka, który wstał z krzesła, chrząknął, wbił ręce w kieszenie i zacząć iść. Powoli, oswiale, rozpaczliwie.

Siedzieli na pufach przy ławie, na której stały dwie butelki wódki, i wpatrywali się w ekran telewizora.

Mężczyzna w garniturze zrobił parę kroków, gdy za jego plecami pojawił się nieoczekiwanie ten, przed którym uciekał.

– A kto umarł, ten nie żyje – wymruczał zmysłowy głos²³.

Facet przystanął i powoli się odwrócił.

Bogusław Linda i Marek Kondrat zmierzyl się wzrokiem.

– Franz, nie wygłupiaj się, przecież jesteśmy przyjaciółmi, znamy się prawie dwadzieścia lat. Co ty myślisz, że to ja strzelałem? To nie ja, to ten świr. Ja tylko wykonałem wyrok na skurwysynie. Błagam cię, Franz, uspokój się...

Kondrat ukucnął, położył rewolwer na podłodze i popchnął w stronę Lindy mierzącego do niego z karabinu.

– Przecież sam mówiłeś, że trzeba zrobić porządek – mówił dalej, klęcząc. – Myślisz, że ja zdradziłem? Ja nikogo nie zdradziłem! Ciebie nie zdradziłem, Franz! Przecież parę razy chcieli cię stuknąć, nie pozwoliłem im. Franz! Na co miałem czekać? Robiłem to samo, co ty. Na sądy miałem czekać? Skoczyłem do gardła

23 Poniższa scena pochodzi z filmu „Psy” Władysława Pasikowskiego.

skurwysynom!

– Pierdolisz – burknął Linda.

– Nie, przysięgam ci! Mówię prawdę, Franz.

– Pierdolisz moją kobietę – wymruczał przeciągle Linda i nagle znieruchomiał.

Nastąpiła stopklatka.

Kowalski spojrział pytająco na Ostrowskiego, który trzymał w dłoniach pilot.

– Dlaczego zatrzymałeś?

– Zajebista scena, co?

– Niezła.

– Moc! – krzyknął Ostrowski z błyskiem w oku. – Czegoś takiego jeszcze nie było w polskich filmach. Idzie dobre, ja ci to mówię.

Kowalski przewrócił oczami.

– Wypijmy za Bogusia – rzucił Ostrowski, chwycił butelkę wódki i rozlał. – Niech robią dalej takie kozackie filmy.

Stuknęli się, wypili.

Ostrowski wycelował pilotem w odtwarzacz. Cofnął film o parę klatek i nacisnął „Play”.

– Pierdolisz moją kobietę – powtórzył aktor.

Kondrat spojrział zbaraniałym wzrokiem na Lindę.

– Dlaczego? – wykrztusił.

– W imię zasad, skurwysynu.

Kamera pokazała szersze ujęcie, na którym stojący mężczyzna celował do klęczącego.

Padł strzał.

Głowa Kondrata eksplodowała i rozbryzgnęła się na kawałki. Potem padły kolejne strzały.

Na twarz Lindy trysnęła krew.

Nagle w mieszkaniu sierżanta rozległ się głuchy dźwięk. Obraz na ekranie zniknął, sekundę później pomieszczenie pograżyło się w ciemnościach.

– Co się stało? – zapytał Kowalski.

– Wyłączyli prąd. – Ostrowski zachichotał, po czym dodał, zaciskając pięść: – Taki film! Dobrze, że to była końcówka.

• • •

Gdy pokój rozświetliły świece, rzucając cienie na ściany, Ostrowski usiadł na pufie i rozlał wódkę do kieliszków.

– Chlup w ten głupi dziób – powiedział i przepił do kolegi.

Koledzy westchnęli i w milczeniu przyglądali się pomieszczeniu, którego głównym elementem były kasety wideo.

Kowalski zgasił palcem jedną ze świeczek i zbliżył twarz do kłębuszka dymu. Zaciągnął się z lubością.

– Uwielbiam ten zapach – mruknął. – Przenosi mnie w inny wymiar.

Ostrowski pokiwał głową, wyciągnął spod ławy paczkę prażynek i schrupał kilka.

– Pamiętam, jak kiedyś przesłuchiwałem jakiegoś łebka, którego dziewczyna oskarżyła o gwałt – odezwał się. – Po godzinie pogaduszek nawiązaliśmy całkiem niezły kontakt. Odniosłem wrażenie, że chłopak zaraz się przyzna. Westchnął ciężko, położył dłonie na stole, spojrzał na mnie. Wymownie. I wtedy właśnie zgasło światło. Szczeniak się zdezorientował, zapadł w sobie i gdy ponownie włączyli prąd, musiałem zabrać się do

roboty od nowa.

– Niezłe – stwierdził Kowalski.

– Prawda.

Stuknęli się i wypili.

– Masz chipsy?

– Tylko prażynki.

– Zjadłbym zapiekanke.

– A ja frytki w majonezie.

Zapadła cisza.

– Kiedy przyjadą Katia i Ula?

Ostrowski spojrział na zegarek.

– Za jakąś godzinę.

– Wypijemy?

– Wypijemy.

Stuknęli się kieliszkami, wypili i ziewnęli, równocześnie, jak na komendę. Zapadła cisza, którą przerywało chrupanie prażynek.

Po paru minutach Ostrowski podniósł się, chwycił gitarę, która stała w rogu pokoju, usiadł na podłodze, opierając się o tapczan, i zaczął grać coś, co przypominało melodię „Nothing Else Matters” Metalliki.

Kowalski usiadł obok niego, przymknął oczy, po czym położył się na dywanie.

– Mam takie jedno wspomnienie – odezwał się, gdy Ostrowski odłożył gitarę. – To było na obozowisku. W środku lasu. Leżałem w namiocie, wsłuchiwałem się w trzaskanie ogniska, powoli zasypiałem. Nagle zabrzmiała gitara, parę charakterystycznych akordów, chwilę później usłyszałem cudowny dziewczęcy głos wyśpiewujący „Krajkę”. Przeszły mnie ciarki.

Kowalski uśmiechnął się i zanucił:

A ja mam swoją gitarę, spodnie wytarte i buty stare /
Wiatry niosą mnie na skrzydłach / A ja mam swoją
gitarę, spodnie wytarte i buty stare / Wiatry niosą mnie.

Kowalski otworzył oczy, wstał, rozlał wódkę i podał
koledze kieliszek.

– I wiesz, co, stary? – odezwał się, gdy przełknął
alkohol.

– Co? – zapytał głucho Ostrowski, który wpatrywał się
w sufit.

– Niemal się rozpłakałem.

– Dlaczego?

– Wyobraziłem sobie przepiękną dziewczynę, ubraną
w strój harcerski, z włosami upiętymi w koński ogon,
w getrach...

Westchnienie.

– Miała taki czysty, krystaliczny głos... Rozpłakałem
się. I podnieciłem. Jednocześnie.

– Rozumiem.

– Rozumiesz?

– Tak.

Koledzy pokiwali głowami i spojrzeli na ścianę, po
której szybko przemknął ciemny kontur. Za oknem
rozległ się odgłos przejeżdżającego samochodu.

– Kobiety...

Cisza.

– Co z Katią, chłopie?

– A co ma być?

– Wszystko gra?

Cisza.

Kowalski spojrzął na Ostrowskiego, który nieobecny
wzrokiem wpatrywał się w dogasającą świeczkę.

– Co jest? – zapytał.

Ostrowski rozlał alkohol. Napili się.

– Ona była ewidentnie zafascynowana Harrym – powiedział długowłosy sierżant. – Widziałeś ją w czasie tego całego popierdolonego przesłuchania?

– Widziałem.

– I co?

Kowalski nabrał powietrza.

– Przypominała mi młodego wilka, który bardzo uważnie przygląda się, jak przewodnik stada zagryza jakieś niewinne stworzonko – odparł.

Ostrowski zaśmiał się głośno, po czym mruknął:

– No właśnie.

Nakrył dłonią kieliszek.

– Czasami mam wrażenie – odezwał się – że ona dopiero czai się do skoku.

• • •

– Skąd masz kasetę? – zapytał Kowalski. – Przecież film dopiero co wszedł do kin.

– Od znajomego policjanta z Warszawy – odpowiedział Ostrowski, uśmiechając się zawadiacko. – Pirackie nagrania rozchodzą się jak ciepłe bułeczki.

– Chciałbym zobaczyć go na dużym ekranie.

Po jakiejś godzinie włączono prąd i lekko podpici sierżanci wbili wzrok w ekran, na którym pojawił się Linda z twarzą zalaną krwią. Jęknął, przeładował broń i przyłożył sobie lufę do gardła.

Nacisnął spust.

Rozległ się suchy trzask.

Szlochając, Linda przeładowywał karabin i naciskał

spust, ale w magazynku nie było już naboí.

Mężczyźni wpatrywali się w telewizor jak zaczarowani.

• • •

– Kto dzwonił? – zapytał Kowalski, gdy Ostrowski wrócił po paru minutach do pokoju.

– Katia.

– Kiedy będą?

– Nie będą.

– Dlaczego?

– Uła się strasznie nawaliła, więc zostaną w domu – odpowiedział markotnie Ostrowski.

Wziął gitarę, usiadł po turecku na dywanie i zaczął przygrywać „Krajkę”. Po paru minutach przerwał.

– Ty?

– No?

– Myślisz, że Harry naprawdę odrąbał parę kciuków?

– Wiesz co, chłopie? Nie zdziwiłbym się, gdyby odrąbał jakiemuś bandziorowi girę, albo nawet głowę.

Misiński spojrzał na Harry'ego, który odfoliował paczkę papierosów.

– Czego się napijesz? – zapytał.

Komisarz sięgnął po zapalniczkę, pstryknął nią, wydobywając przyjemny zapach benzyny i zapalił papierosa. Zerknął ciekawie na kelnerkę, która podeszła do stolika przy oknie, i zaciągnął się.

– Kawki – mruknął. – Czarnej.

Dziennikarz nastroszył swoje krzaczaste brwi.

– Nic mocniejszego? – zdziwił się.

Harry pokręcił głową.

– Kawa wystarczy.

– No rozumiem. – Misiński oblizał usta. – Pozwolisz jednak, że ja zamówię sobie coś bardziej słusznego?

Operacyjniak się roześmiał.

– O czym chcesz ze mną pogadać? – zagadnął.

– O Rysiu Szaraku.

Harry pokiwał głową.

– Pamiętam dziczka – odparł i przejechał palcem po bliźnie łączącej ucho z nosem. – Mam po nim pamiątkę.

– Zamilkł i zadumał się.

Misiński wyjął długopis z kieszonki flanelowej koszuli. Pstryknął nim parę razy.

– Ale dlaczego chcesz o nim mówić? – zapytał komisarz.

– To stare dzieje, które nikogo już nie obchodzą.

– Mieciu Kalupa opisał tę sprawę.

- Naprawdę? Nie wiedziałem.
- Nikt nie wiedział.
- Gdzieś to opublikował?
- Nie. Po prostu przed śmiercią zaczął spisywać różne swoje śledztwa.

Harry zamyślił się.

- Pamiętam, że jakiś rok temu szukał wśród znajomych maszyny do pisania. Pewnie z tej okazji.
- Jego żona wręczyła maszynopis Buremu, a Bury mnie
- odezwał się Misiński. – To fajne materiały. Chciałbym na ich bazie napisać cykl opowiadań.

Harry strzepnął popiół do przezroczystej popielniczki.

- Dużo tego było? – zapytał.
- Nie. Kilka tekstów.

Znowu cisza.

Harry zaciągnął się, zmarszczył brwi i spojrzał przeciągle na Misia.

- A czy... – Wypuścił kłęb dymu.
- Tak? – podłapał dziennikarz.
- Czy był tam kawałek z przesłuchaniem, które... Które odbywało się zimą...? Przy otwartym oknie? Chodzi mi o sprawę dotyczącą zgwałcenia i zamordowania dziewczynki przez Sebastiana jakiegoś tam.

Dlaczego tak kluczysz? – pomyślał Misiński. Po krótkim zastanowieniu przypomniał sobie ostrożne słowa Burego o nieszczęśliwym przesłuchaniu. *Co się wtedy wydarzyło?*

Redaktor oparł brodę na dłoniach, obiecując sobie, że przy okazji pogrzebie w tej sprawie i przydusi chłopaków.

- Nie – oznajmił. – Ale coś mi się obilo o uszy. Ale o tym później – dodał ciszej.

Komisarz zdusił niedopałek w popielnicy.

– Słuchaj – odezwał się redaktor. – Bury mówił, że byłeś na egzekucji Rysia. To prawda?

– Uhm – odpowiedział Harry. – Prowadziłem sprawę, dostałem zaproszenie. Przyjąłem je. Pomyślałem sobie, że skoro brałem udział w jego schwytaniu, to... to powinienem go odprowadzić do... do samego końca. Mieciu też chciał, ale żona mu zabroniła.

Dziennikarz kiwnął zachęcająco głową.

– Opowiesz, jak było?

Harry nabrał powietrza.

– Jak było? – mruknął i spojrzał na dziennikarza. – Upił tyk kawy, oparł się wygodniej na krześle, wysunął nogi i spojrzał na czubki butów. – Zaprowadziliśmy Rysia na miejsce egzekucji. Tak zwane miejsce egzekucji.

– Tak zwane?

Policjant wzruszył ramionami.

– No wiesz, nie przypominało tych z amerykańskich filmów.

– No tak.

– Zwyczajne pomieszczenie w piwnicach Młyna. Tyle że z dziurą i pętlą.

Cisza.

Harry lekko zapadł się w sobie, sprawiając wrażenie kogoś, kto w skupieniu przetrząsa pamięć.

– Taka sobie cela – odezwał się. – Dość zaniedbana. Paru chłopca nas było plus pani prokurator...

– Był ksiądz?

– Nie, Rysio był antychryst. Na propozycję zaproszenia jakiegoś duchownego powiedział, że „pierdoli czarnych”.

– No tak. A jaki był podczas tego ostatniego spaceru? –

dopytał Misio, który poczuł dziwną satysfakcję z faktu, że drobiazgowo przepytuje policjanta, a ten posłusznie odpowiada.

– Spokojny.

– Naprawdę?

– Tak, wydawał się pogodzony. Z wyrokiem, ze sobą, z tym, co zrobił. Pamiętam, że po procesie, na którym sędzia orzekł karę śmierci, Mieciu Kalupa zapytał go, czy żałuje, że zabił. A Rysiu spojrział na niego, wzruszył ramionami i powiedział: „Raz się żyje. Tylko raz”.

Misio pokręcił głową, rozejrzał się po sali i przywołał kelnera.

– Jeszcze jedną pięćdziesiątkę – poprosił.

Kelner zerknął pytająco na Harry’ego.

Ten podniósł rękę w geście odmowy.

– Stanęliśmy pod celą – odezwał się po chwili i sięgnął po zapalniczkę. Zaczął ją obracać w palcach. – Ktoś go zapytał o ostatnie życzenie. „Ćmika bym zapalił”, odpowiedział. Poczęstowałem go. Powoli wypalił. Rzucił peta na ziemię. Przydeptał, zerknął na kata. Nabrał powietrza, poklepał go po ramieniu.

Harry urwał.

Misio zmarszczył brwi.

– Poklepał go po ramieniu – powtórzył oficer, przymrużył oczy i dodał po krótkim zastanowieniu: – Oblizwał usta, zagwizdał i rzucił: „No to lecimy, mistrzu. Szkoda czasu”.

– Żartujesz?

– Nie. Spokojny był do samego końca. Na moment przed zawiśnięciem spojrział na nas i powiedział: „Dobrego dnia, chłopaki”.

Redaktor westchnął, wychylił pięćdziesiątkę i syknął.
Harry spojrział na niego.

– Zawsze w Merkurym się umawiasz na pogaduchy? – zapytał.

– Często, a co?

Komisarz poruszył dłonią, celując jednym palcem w sufit.

– Te ściany mają uszy – mruknął. – Uważaj, Misio. Stare wcale jeszcze nie minęło. – Wstał, sięgnął po kurtkę. – Będę leciał. – Podał koledze dłoń. – Trzymaj się.

– Serwus – odpowiedział redaktor, spojrział do notesu, zapisał „dziura i pętla”, a potem przywołał kelnera i zamówił kolejną pięćdziesiątkę.

Po jakiejś godzinie ktoś potrząsnął nim i zaproponował pójście do domu. Dźwignął się i chwiejnym krokiem ruszył w stronę wyjścia. Zanim dotknął klamki, nastąpiło cięcie i dziennikarz pograżył się w ciemnościach.

Nad ranem, straszliwie skacowany, otworzył nagle oczy. Śniło mu się, że ktoś go przesłuchuje. Nie bardzo wiedział, kto. Nie mógł się zorientować, czy widzi mundur, czy sutannę.

Wyraziste było tylko pytanie – ostre, dotkliwe, powtórzone wielokrotnie:

– A ty... Czy żałujesz za swój grzech?

Liczba pojedyncza sprawiła, że dziennikarz od razu wiedział, czego dotyczy to pytanie, które brzmi jak oskarżenie.

Mrugnął parę razy powiekami, przełknął ślinę i wyszeptał:

– Tak, żałuję.

Załkał i wsunął głowę pod przeпоconą poduszkę.

LVII

Katia przymknęła oczy i zacisnęła pięści.

Dasz radę – pomyślała i gwałtownie przyspieszyła, przebiegając przez drewniany mostek.

Po chwili, ku swojemu zdziwieniu, poczuła mrowienie na ciele. I radość. Grymas na twarzy zamienił się w uśmiech.

Spojrzała na zegarek, brakowało dziesięciu sekund do pełnych czterdziestu minut.

To lepsze niż orgazm – przeszło jej przez głowę.

Przyspieszyła jeszcze bardziej. Miała wrażenie, że przestała biec, a zaczęła się unosić nad ziemią.

I mogłaby tak bez końca.

Podniosła lewą rękę.

Jeszcze trzy sekundy, dwie, jedna. Koniec.

Zwolniła. Po paru metrach zatrzymała się, stanęła w rozkroku i, ciężko oddychając, lekko pochyliła do przodu.

Gdy doszła do siebie, rozejrzała się po ośnieżonym parku, próbując odnaleźć Ulę, która miała poczekać na nią na którejś z ławek.

Poprawiła czapkę, dopięła kurtkę i ruszyła przed siebie. Śnieg przyjemnie chrzęścił pod stopami.

Po przejściu parunastu metrów dostrzegła sylwetkę przyjaciółki, która przymknęła oczy i wysunęła twarz w stronę słońca.

Gdy Katia stanęła obok niej, Ula otworzyła oczy

i mruknęła:

– Suszy mnie, muszę się napić.

– Nic dziwnego, opróżniłaś wczoraj ze dwie butelki wina.

– Ano, trochę przesadziłam. Ale tylko trochę. – Ula zaśmiała się, przeczesła dłonią swoje lśniące długie włosy i łypnęła na przyjaciółkę: – Ale ty chyba też przesadziłaś?

Katia zmarszczyła brwi.

– Ja? – zapytała zaskoczona.

– Wypiłaś raptem może jedno piwo, stara. Skąd u ciebie taka wstrzeźliwość? To podejrzane. Człowiek narodowości polskiej, który stroni od alkoholu? To jakaś aberracja!

Policjantki zachichotały, po czym ruszyły przed siebie, mijając niedzielnych spacerowiczów, którzy niespiesznie krążyli po urokliwym miejscu.

– Ale przynajmniej się wyspałaś – mruknęła Ula.

Katia nie zareagowała. Nie chciała tego prostować, ale niestety, wbrew słowom przyjaciółki, wcale się nie wyspała.

O jakiejś drugiej czy trzeciej nad ranem otworzyła oczy, przerażona koszmarem, który zaatakował jej umysł. Po raz kolejny przyśniło się jej zatrzymanie Kramerskiego i po raz kolejny zabójca zwyciężył w walce. Obudziła się w momencie, w którym wściekły mężczyzna zaczął zdierać z niej spodnie, krzycząc, że zaraz poczuje moc jego pały.

Dochodziła do siebie przez pół godziny.

– Wszystko w porządku? – Pytanie Uli przywróciło ją do rzeczywistości.

Katia potrząsnęła głową, próbując odepchnąć od siebie nieprzyjemne obrazy.

– Tak, tak. Zamyśliłam się – odparła i kopnęła kamień, który potoczył się prosto pod nogi mężczyzny siedzącego na ławce z zamkniętymi oczami. Śmierdziało od niego wódką.

Policjantki przeszły w milczeniu jakieś sto metrów. A gdy zostawiły w tyle grupkę chłopców, którzy przystanęli nad brzegiem stawu i zażarcie o czymś dyskutowali, Katia spojrzała na Ulę i zagadnęła ją:

– A co słyhać u naszej rodzinki z Buku?

– Masz na myśli Derwiniaków?

– Uhm.

– Widziałam ich ostatnio w kościele.

– Czyżby nastąpiło pełne nawrócenie?

– Tak to teraz wygląda. Siedzieli grzecznie w drugiej albo trzeciej ławce. Przyjęli komunię, a potem poszli na spacer, trzymając się za ręce. Byli uśmiechnięci, wszystkim się kłaniali.

– A co z Basią?

– Wydaje się, że przebaczyła ojcu.

– Naprawdę?

– W podstawówce mam parę znajomych nauczycielek. Pociągnęłam je za język. Wszystkie mówiły, że dziewczynka doszła do siebie. Stała się na powrót uśmiechnięta, energiczna, radosna. Czasami wspomina o domu, rodzicach, zawsze bardzo pozytywnie.

– Czyli mamy happy end?

– No wiesz, życie wciąż się toczy, nigdy nie wiesz, kiedy nastąpi zwrot akcji. No ale póki co wszystko jest w porządku.

Katia zatrzymała się i kucnęła, żeby poprawić sznurówki.

Ula spojrzała w górę, przesłoniła ręką oczy i mruknęła:

– Ale wiesz co, stara?

– Co?

– Mimo wszystko spuściłabym facetowi wpierdol. Prewencyjnie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Bardzo dobrze rozumiem.

Policjantki zaśmiały się i ruszyły przed siebie, wyprzedzając parę staruszków, którzy szli niespiesznie, trzymając się za drżące, stare ręce.

LVIII

Kowboj zaśmiał się głośno do słuchawki.

– Kochanie – powiedział. – Wpadnij za godzinę do mnie na Ranczo. – Wysunął język i oblizał usta. – Tak jest. Weź ze sobą dwie piękne przyjaciółki. Mogą być te, co ostatnio. Były bardzo... miłe i... inteligentne. – Zachichotał. – Podnoszę stawkę – zamruczał zmysłowo. – Płacę dwa razy tyle co zazwyczaj. Co ty na to? – Rozpromienił się. – Że przywieziesz jeszcze jedną boginię? Cudownie, cudownie.

Spojrzał na dwóch mężczyzn, którzy siedzieli w milczeniu na czarnym skórzanym narożniku i przysłuchiwali się rozmowie.

Jeden z nich, ksywa Wietnam, mniej więcej pięćdziesięcioletni, łysy, krępy, o twarzy buldoga, ubrany był w brązowe sztruksowe spodnie oraz niebieską dżinsową kurtkę. Właśnie odwijał kebaba z szeleszczącej folii.

Drugi, ksywa Mechanik, pod sześćdziesiątkę, stanowił przeciwieństwo tego pierwszego. Szczupły, niski, niepozorny, ze skromnym wąsikiem. W dłoniach trzymał kaszkiet. Robił wrażenie kogoś odrobinę spłoszonego albo zażenowanego.

Kowboj potrząsnął energicznie głową, którą zdobył kucyk, i wzniósł w górę kciuk. Oblizał się, a potem wykonał dłonią obsceniczny gest.

– Tak jest! – Wietnam zarechotał, natomiast Mechanik

skrzywił się i spojrział na potężny, rzeźbiony kominek, który przypominał stylistyką wyposażenie domów w amerykańskich operach mydlanych.

– Ożenię się kiedyś z tobą – zawołał Kowboj. – Dziewczyno o cudownym ustach! – Przymknął oczy, złapał się za złotą klamrę od pasa, szepnął coś bardzo cicho do słuchawki i odłożył ją. – Panowie, czeka nas gorąca noc – oznajmił radośnie. – Szykujcie swoje kutasy na klawę rąbankę.

Podszedł do kominka, w którym trzaskał ogień, zatarł ręce, wrzucił do środka kilka polan. Sięgnął po pogrzechacz, przejechał po nim palcem i umieścił w stojaku.

Idąc w stronę kompanów, zrobił nagle poważną minę. Jego oczy zwęziły się, na czole pojawiła się zmarszczka.

Ze szklanego stoliczka zabrał butelkę żytniej, usiadł na fotelu i rozlał do szklanek alkohol. Chwycił swoją szklankę, wysunął ją w kierunku kompanów i wypił połowę zawartości jednym haustem. Wypuścił powietrze, uderzył się po udach i burknął:

– Ten tak zwany Harry... – Skrzywił się, sięgnął ponownie po szklankę i dopił alkohol. Po krótkiej pauzie warknął: – Musi zdechnąć.

Zapadła cisza.

Długowłosey gangster powiódł wzrokiem po salonie, który parę tygodni temu został na nowo zaaranżowany i na skutek jego poleceń przypominał skrzyżowanie gabinetu Blake'a Carringtona z gabinetem Vita Corleonego.

– Zagroza naszym sprawom – oznajmił Kowboj. – Musimy go... – urwał i zerknął na swoich milczących

rozmówców – zlikwidować. To powiedziawszy, sięgnął po wódkę.

– Już próbowałeś i nic z tego nie wyszło – odezwał się Wietnam, przeżuwając kebab.

– Ale teraz musi wyjść i wyjdzie – odburknął Kowboj i zerknął na Mechanika, który siedział w bezruchu i wpatrywał się jak zahipnotyzowany w piramidkę ułożoną ze swoich zadbanych rąk.

– Mechanik – odezwał się, wysuwając brodę w stronę milczącego mężczyzny. – Co mówisz?

Cisza.

– Co mówisz? Bo jestem bardzo ciekaw.

– No właśnie, co mówisz?

Mechanik pomasaował palcem skroń.

– Myślę.

– To widzimy. Ale co wynika z tego myślenia?

– Co wynika? – powtórzył i ponownie ułożył z palców piramidkę. – Przede wszystkim nie robię nerwowych, czyli bardzo głupich ruchów – rzucił szorstko. I zaraz dodał z naciskiem: – Tak jak ty.

Kowboj zmarszczył brwi.

– Tak jak ja?

– Dokładnie. Tak ja ty. – Mechanik pokiwał głową. – Ta twoja nieudolna próba uciszenia znanego policjanta rękami tępych żołnierzy była makabrycznym błędem.

– Makabryczny błąd. – Wietnam zachichotał. – Dobrze. Muszę to zapamiętać.

– Bo? – warknął Kowboj.

– Bo? – Mechanik rozłożył ręce. – Czy ty cały czas uważasz, że to był dobry pomysł?

– Uważam, że pomysł był dobry, choć realizacja była

kiepska – odparł Kowboj, czerwieniąc się. – Ten facet powinien nie istnieć! – warknął. Nabrał powietrza i kontynuował: – Przeszkadza nam. To jakiś popierdoleniec. Nie wiem, do chuja, skąd on się urwał? Nikogo podobnego nie ma w Poznaniu. Chłopaki się go boją, szczególnie ci najmłodsi. Obniża morale... – Urwał. – To niedopuszczalne!

– Kowboj ma rację – odezwał się Wietnam. – Facet niszczy ład, który próbujemy zaprowadzić w mieście. – Przejechał dłonią po łysej czaszce. – Ten pies za dużo warczy. I czasami gryzie, jebaniec. Te jego przesłuchania... To jakiś sadysta! Kto to widział uczciwych gangusów tak traktować? – Wietnam podniósł głos. – To jakiś były esbek? – zapytał szczerze zdziwiony.

– Jego ojciec był ubekiem – oznajmił Mechanik i włożył do ust landrynkę, którą wydobyl ze szklanego pucharka. – Podobno siał grozę wśród osadzonych. Pierdolony kat. – No o tym mówię, że jest jebnięty – rzucił Kowboj. – I dlatego trzeba go usunąć.

Mechanik pokręcił głową i przetarł oczy.

– W porządku – powiedział. – Zgadzam się, że trzeba coś z nim zrobić, ale w nie taki toporny sposób. Zabijając psa, ściągamy na siebie uwagę. Nie rozumiesz tego?

– Tylko w teorii.

– Tylko w teorii?

– No tak. Przecież nic się nie stało.

– Nic się nie stało?

– Musisz cały czas powtarzać po mnie, kurwa?

Mechanik dotknął palcem wąsika.

– Tak, muszę. Dzięki temu usłyszysz być może absurd swojego rozumowania.

Cisza.

– Dowcipniś z siebie.

– Wiecie, to prawdziwe nieszczęście, że gangsterzy przerywają swoją edukację na etapie szkoły zawodowej – mruknął, biorąc do rąk kaszkiet. – Świat jest trochę bardziej skomplikowany niż budowa cepa, z której pisze się kartkówki w szkole dla taniej siły roboczej.

Wietnam zarechotał, wycierając serwetką rękę pobrudzone sosem czosnkowym.

– Chyba nam chce dokuczyć. – Mlasnął i mrugnął do Kowboja porozumiewawczo. – Pan Profesor.

– A jaką ty szkołę skończyłeś, Mechanik? – zapytał.

– Liceum ogólnokształcące plus rok prawa.

– No to szacuneczek.

Mechanik spojrział na Kowboja i uniósł palec.

– To tylko tobie się wydaje, że nic się nie stało. A tak naprawdę dużo się stało. Psy namierzyły ciebie, namierzyły tego papugę z Baranowa. I teraz będą cię tak długo obserwować, sprawdzać, aż zbiorą wystarczająco dużo materiału procesowego i uderzą. Nagle, znienacka. I wtedy będzie... Będzie za późno... Wspomnisz moje słowa. – Urwał. – No i mają teraz Nikiego i Bejzbola, których chciałeś przed nimi ukryć – odezwał się po chwili.

– Chłopcy nie powiedzą nic... niewłaściwego.

Mechanik się zaśmiał.

– Może nie powiedzą, a może powiedzą. Trzeba obstawić to drugie. I... – Zamilkł. – Podobno zatrzymali tego wrzaskliwego kurdupla z komendy – sapnął. – Jak on się nazywał?

– Kozak.

– Co on wie?

– A co ma wiedzieć? – oburzył się Kowboj. – Piliśmy z nim wódkę, ruchaliśmy razem dziwki. No i płaciliśmy mu trochę grosza, żeby nie był zbyt wyrywny w robocie i czasami sprzedawał jakąś pożywną informację.

– Ale dlaczego w ogóle go wsadzili?

– Podejrzewają go o zabicie Grandowskiego, tego dziennikarza.

– Jego? – zdziwił się Mechanik i wbił wzrok w Kowboja.

– Uhm.

– Mają podstawy?

– A co ty taki ciekawy jesteś?

– Tak tylko pytam.

– To nie pytaj. Nie twoja sprawa. Wszystko jest pod kontrolą.

Kowboj sięgnął po butelkę wódki i wysunął ją w stronę rozmówców, Wietnam kiwnął aprobująco głową, Mechanik odmówił. Kowboj rozlał alkohol do szklanek. Upił trochę, odstawił głośno szklankę i syknął.

– W nic go nie wtajemniczyliśmy – odezwał się. – Poznał parę naszych mord. Kilka knajp, w których bywamy. To wszystko.

Wietnam nagle beknął.

– Sorry, chłopaki, odbiło mi się – zarechotał.

Kowboj i Mechanik spojrzeli po sobie i przewrócili oczami. Ten drugi wysunął lekko język, przejechał kciukiem po ustach i zadumał się.

Spojrzał na sufit, a potem przeniósł wzrok na Kowboja.

– Napiłbym się jakiejś porządnej whisky – rzucił. – Poczęstujesz?

Kowboj wyszczerzył zęby.

– Jasne – odparł, po czym podniósł się z fotela i podszedł do barku. Wyciągnął z niej butelkę i trzy szklanki.

– Ja piję czystą – powiedział Wietnam. – Nie uznaję takich wynalazków.

Kowboj rozlał whisky do szklanek, potem uzupełnił szklankę Wietnama wódką.

Mężczyźni stuknęli się szkłem i wypili.

– Musimy być ostrożni, więc żadnych ekstrawaganckich pomysłów – podjął Mechanik. – Musimy wykończyć Harry’ego inaczej. Podstępem.

Wietnam podrapał się po głowie.

– Tyle to wiemy – burknął. – Pytanie, jak to zrobić?

– No właśnie – odezwał się Kowboj. – Jak jesteś taki filozof ostrożności, to podpowiedz, kurwa, jakieś skuteczne rozwiązanie.

Mechanik strącił niewidoczny pyłek ze swojej marynarki.

– Trzeba zrobić go w coś. W jakąś aferę. Jest tu trochę możliwości. Poczytajcie gazety, posłuchajcie, co pismaki mówią między sobą.

– Co niby mówią?

– Chociażby o podejrzanych kontaktach pomiędzy policją a biznesem. Niebiescy są biedni, więc muszą szukać forsy na swoje operacje w dziwnych miejscach, u różnych niesprawdzonych do końca osób... Można by to wykorzystać... jakoś. Podsunąć kogoś odpowiedniego, a potem napuścić na niego pismaków Barnaby. Zrobi się wielki raban i ten cały Harry... – Mechanik urwał. – Jak on się naprawdę nazywa? – zapytał.

– Nie wiem.

– Chyba Harlej. Nie, Harwej, jakoś tak.

– Harwej – powtórzył Mechanik. – Muszę popytać o niego, może ktoś coś wie, co da się spożytkować do naszych celów.

Wziął do rąk szklaneczkę, powąchał ją i upił parę drobnych łyków.

– Ale wracając do rzeczy – odezwał się – pies zostanie zawieszony, potem skazany. Pójdzie siedzieć, to go załamię i...

Wietnam pokiwał z uznaniem głową, a Kozak sięgnął po butelkę whisky.

– Tak go załatwimy – podsumował Mechanik. – Bez śladów prowadzących do nas.

Zapadła cisza. Mężczyźni pokiwali głowami i spojrzeli po sobie.

– A jeśli to nie wypali – kontynuował Mechanik – wtedy sprowadzimy kogoś z Moskwy, kto uderzy w bardziej bezpośredni sposób.

– O – odezwał się Wietnam, unosząc palec. – Pozorny zawsze ubezpieczony.

– Chyba przezorny? – mruknął Kowboj.

– Jeden chuj!

Po krótkim milczeniu gangsterzy chwycili szklaneczki, stuknęli się i ze smakiem dopili alkohol. Zamilkli, zadumali się.

Ciszę przerwał dźwięk telefonu. Kowboj westchnął, po czym się dźwignął.

– Czego? – mruknął, przykładając do ucha słuchawkę. – Po chwili spojrzął na Wietnama. – To do ciebie – rzucił.

Wietnam wstał, podłubał palcem w zębach, podszedł do kolegi i przejął słuchawkę. Słuchając, kiwał głową.

W pewnym momencie skrzywił się i przygryzł język.

– Niegrzeczny chłopiec – szepnął i słuchał dalej. – No dobra, nie ma co dyskutować – podniósł lekko głos. – Do bagażnika z nim i do lasu. Tam, gdzie zawsze. Weźcie wiertarkę, jakiś szpadel. Niech się przestraszy. Wtedy na pewno wszystko wyśpiewa. Z Bogiem. – Odłożył słuchawkę. – Pierdolony – powiedział i wrócił na miejsce.

– Życie, życie – odezwał się Kowboj. – Cały czas trzeba sprzątać jakieś gówna.

Mężczyźni zarechotali.

LIX

Nagle zza czarnych posepnych chmur wyszło słońce.

Ksiądz, niewysoki, pulchnawy mężczyzna, ubrany w fioletową pelerynę, zamilkł i powiódł wzrokiem po smutnych twarzach zebranych. Uśmiechnął się nieznacznie. Wzniósł w górę prawą rękę, jakby chciał zwrócić uwagę wszystkich na to pogodne zjawisko.

– Wiktor był jednym z najodważniejszych młodych ludzi, jakich poznałem – odezwał się. – Pełen pasji, wewnętrzznego żaru. Uparty i wierny. Wierny swoim zasadom, swojemu zawodowi. Wierny prawdzie...

Kowalski zerknął na Ostrowskiego, który w dziwnym skupieniu wpatrywał się w trumnę.

– On naprawdę wierzył, że prawda nas wyzwoli – odezwał się po krótkiej pauzie. – Przyznajmy, że ta jego wiara czasami nas...

Nastąpiło sprzężenie zwrotne, głos księdza został zdławiony. Kapłan zmarszczył brwi, popukał w mikrofon i zbliżył go do ust.

– ...przyznajmy, że ta jego wiara w prawdę czasami nas zawstydziała – powtórzył, podnosząc głos i przymykając na chwilę oczy. – Mnie zawstydziała – powiedział, robiąc przy tym przeproszającą minę. – Niekiedy. Czasami wsłuchiwałem się w jego dziennikarskie opowieści i myślałem, że ma w sobie coś z szeryfa z Dzikiego Zachodu, który nie boi się, że...

Kowalski przestał słuchać mowy pogrzebowej i zaczął

przyglądać się zebranych, których cały czas przybywało.

W pewnym momencie przerzucił wzrok na trumnę, a potem na rodziców Wiktora, stojących tuż obok niej.

Dwa cienie na straży ciała swojego zamordowanego syna.

Ojciec był blady, raz po raz przecierał oczy, z których ciurkiem płynęły łzy. Matka stała nieporuszona, w czarnych, przeciwsłonecznych okularach. Ręce wyciągnięte wzdłuż ciała, jakby stała na baczność.

Kowalski przypomniał sobie fotografię dziennikarza, którą znaleźli w jego mieszkaniu.

Młody, szczupły, uśmiechnięty chłopak. Z burzą jasnych włosów. Obejmujący dziewczynę, która nie chciała z nim być.

To chyba nic dziwnego. Kto chce być z idealistą?

Ciekawe, czy byśmy się polubili? – pomyślał sierżant. *Może na samym początku zirytowałby mnie ten jego optymizm?*

Spojrzał na swoje buty.

Prawda nas wyzwoli? Serio? Załączony obrazek pokazuje, że raczej zaprowadzi nas przedwcześnie do piachu.

Wspomnienie fotografii zostało zaraz wyparte wspomnieniem sceny, w której technicy wykopali zwłoki dziennikarza.

„Diane” – przypomniał sobie głos Grandowskiego i poczuł ucisk w żołądku. „Diane, tu mówi Wiktor Grandowski. Pozwól, że zabawię się w agenta Coopera. Muszę jakoś oszukać swój wybitnie podły humor. Jest sierpień dziewięćdziesiątego drugiego. Wieczór, nie, właściwie to noc. Postanowiłem... Postanowiłem streścić

swój beznadziejny żywot dziennikarza. A potem zadecydować, co dalej. Diane. Zaczynam i zupełnie nie wiem, gdzie mnie to wszystko zaprowadzi”.

Ostrowski zerknął na księdza, który zaintonował pieśń:
Już zgasło światło nad horyzontem / Dobiegł twej
ziemskiej wędrówki kres / Do twego Boga zdążasz
wędrowcze / W szczęśliwości zanurzyć się²⁴.

24 Fragment pieśni religijnej „Już zgasło słońce”.

Podinspektor Buryła rozejrzał się pokoju.

Wszędzie walały się zabawki, pluszowe misie, kolorowe książeczki.

Ten charakterystyczny bałagan przypomniał mu początki małżeństwa i zarazem ojcostwa. Oficer, ku swojemu zdziwieniu, poczuł ulgę, że cały ten bajzel polegający na wychowywaniu dzieci ma już za sobą.

Pociągnął nosem.

Przydałoby się wywietrzyć – pomyślał, po czym zerknął na wpatrującego się w niego w napięciu Konrada Lutowskiego, młodego mężczyznę ubranego w szary dres.

– Gdzie żona? – zapytał.

– Wyszła z małą na spacer – padła odpowiedź.

– To nawet lepiej.

– Lepiej?

Buryła pokiwał głową.

– Tak, Konrad, lepiej – mruknął. – Bo przychodzę do ciebie w dość przykrej sprawie. – Zamilkł, a potem zrobił surową minę, z satysfakcją odnotowując fakt, że na czole jego rozmówcy zaśniły krople potu. – Służbowej sprawie.

– Chrząknął, nachylił się nad ławą i zagadnął: – Domyślasz się, w jakiej?

Mężczyzna przełknął głośno ślinę i pokręcił głową.

– Nie – powiedział, prostując się na krześle.

Buryła sięgnął do torby i wyciągnął kopertę. Wydobył z niej kilka zdjęć, które Kowalski i Ostrowski znaleźli

u Labudy, i rozłożył je na stole.

Wbił wzrok w posterunkowego, westchnął i postukał palcem w fotografię przedstawiającą Kowboja, Lutowskiego i jeszcze jednego młodego mężczyznę w trakcie wzajemnego przepijania wódki.

– Z naszych informacji wynika, że schodzisz, chłopaku, na złą drogę – odezwał się Buryła. – Pijesz z miastowymi, biegasz z nimi... – Urwał i zobaczył, że Lutowski zbladł straszliwie i zaczął niespokojnie oddychać. Przechylił lekko głowę, poruszył ustami i popukał ponownie w zdjęcia. – Niektórzy mówią, że nadajesz Kowbojowi na swoich – powiedział. – Są też tacy, którzy twierdzą, że ty już tak naprawdę bandyta jesteś. Gangus w przebraniu gliniarza.

Mężczyzna zadrżał.

– Nie – zaprotestował i położył ręce na kolanach. – To nieprawda! – Zaczął potrząsać głową.

Podinspektor zacisnął zęby.

– Chcesz mi wmówić, że te zdjęcia to nieprawda, kurwa? – warknął. – Że to, co ja tu widzę, to są omamy? Że wbrew temu, co ja tu widzę, nie chlejesz z Kowbojem?

Lutowski przymknął oczy i zacisnął pięści.

– Na tej imprezie był Wiktor Grandowski, dziennikarz, który został porwany, a potem zamordowany – oznajmił Buryła. – Wiedziałeś o tym?

– Nie.

– Nie kłam! – Oficer uderzył pięścią w ławę.

– Nie wiedziałem, panie naczelniku! – zawołał. – Nie znałem go, nie kojarzyłem! O jego istnieniu dowiedziałem się, gdy media zaczęły trąbić o zniknięciu. Naprawdę, proszę mi wierzyć. Nie mam z tym nic wspólnego. Nie

znam człowieka! – Posterunkowy zaszlochał, przetarł zaczerwienione oczy i spuścił głowę.

Mamy go – pomyślał zadowolony Buryła i zaczął zbierać zdjęcia.

– Dlaczego mam ci wierzyć, skoro moi podwładni mówią mi, że bym ci nie wierzył i kazał twojemu szefowi wypierdolić cię z policji na zbity pysk? – zapytał, podnosząc głos.

Umieścił fotografię w kopercie, którą schował do torby.

– Bo to prawda! – Mężczyzna jęknął. – Na tej imprezie byłem przez jakąś godziną, wypilem parę kielonków i wyszedłem.

– Jak tam się znalazłeś?

– Wprowadził mnie na nią kumpel z osiedla.

– Farmazony pierdolisz – odparł oficer. – Jeśli chcesz przejść na drugą stronę, to ja ci to ułatwię – powiedział.

– Wypuścił powietrze, wstał i podszedł do segmentu, na którym dostrzegł fotografię w ramce. Morze, plaża, słońce, Lutowski, młoda, ładna blondynka i dwuletnia uśmiechnięta dziewczynka.

Podniósł ją i potrząsnął.

– Piękna rodzinka – mruknął, szczerząc zęby. Odłożył fotografię i spojrzał na zegarek. – O której wróci małżonka?

– Powinna już być.

– To poczekamy na nią i opowiemy jej o twoich zawodowych decyzjach.

Lutowski spojrzał przerażony na oficera.

– Że co? – szepnął.

– Powiemy jej, że rezygnujesz z pracy w policji i przechodzisz na garnuszek Kowboja albo jakiegoś

innego gangusa.

– Błagam, nie!

– Boisz się śledztwa?

– Jakiego śledztwa?

– No w twojej sprawie. Musimy sprawdzić, jak daleko posunąłeś się w kontaktach z bandziorami.

Lutowski podniósł się z krzesła i podszedł do Buryły, który stał w rozkroku i wpatrywał się w niego posepnym wzrokiem. Był blady, spocony, drżący.

Dobry chłopak – pomyślał Buryła. *Sprowadzimy go na słuszną drogę.*

– Błagam.

– O co błagasz?

– Nie trzymam z miastowymi – powiedział posterunkowy drżącym głosem. – Nie chcę z nimi trzymać. Chcę być policjantem. Dobrym policjantem.

Naczelnik pokręcił sceptycznie głową.

– To jak mam, kurwa, rozumieć te zdjęcia? – zapytał. – Jak mam rozumieć fakt, że się prowadzasz z ludźmi Kowboja?

Cisza.

– No jak?

Lutowski westchnął.

– To przez Kulawego – oznajmił.

– Jakiego Kulawego?

– To kumpel z osiedla, z dzieciństwa. Jest na tym zdjęciu.

– Tym, na którym przepijacie do siebie z Kozakiem?

– Tak.

Buryła sapnął i wrócił na tapczan.

– Kto to jest, ten Kulawy? – zapytał.

– Od jakiegoś roku biega z ludźmi Kowboja – odparł Lutowski i trochę się uspokoiwszy, usiadł na krześle. – Kumplujemy się od zawsze. Pijemy razem od liceum. Lubię go. Gdy zaczął działać z miastowymi, to się nie zmieniło, to po prostu mój dobry koleżka i tyle. – Posterunkowy urwał i spojrzał na ławę. Wzruszył ramionami. Podniósł gazetę, pod którą leżała paczka cameli i zapalniczka. – Zapali pan naczelnik?

– Nie.

Lutowski włożył papierosa do ust, zaciągnął się i wypuścił dym. Spojrzał niepewnie na Buryłę.

– Dlatego byłem parę razy na imprezach, na których pojawili się ludzie Kowboja – odezwał się i zaraz dodał: – Ale to wszystko.

– Wiedzieli, że jesteś policjantem?

– Niektórzy chyba tak.

– I jak reagowali?

– Czy ja wiem? Normalnie.

– Byli tam jacyś inni policjanci?

– Nie mam pojęcia.

Buryła rozparł się na tapczanie i wyciągnął nogi do przodu. Spojrzał na swoje czarne lakierki.

– A Kowboj? – zapytał. – Piłeś z nim?

– Tylko ten jeden kieliszek.

Oficer się skrzywił.

– Jeden kieliszek. Nie usprawiedliwiaj się, tylko odpowiadaj na pytania – warknął. – Jak się wobec ciebie zachowywał Kowboj?

Lutowski zaciągnął się mocno i zdusił niedopałek na talerzyku, na którym leżały pomięte papierki po krówkach.

– Po tym brudziu, który został sfotografowany, klepnął mnie w ramię i powiedział, że pogadamy przy okazji.

– I pogadaliście?

– Nie.

– Minęło już pół roku – zauważył Buryła i spojrzał pytająco na posterunkowego, który uniósł ręce w geście bezradności.

– Mam mało czasu na picie z kolegami – powiedział cicho. – Praca, rodzina... Czasami w weekendy dorabiam przy remontach mieszkań.

– Uhm...

– Byłem potem na paru imprezach z Kulawym, ale nie widziałem wtedy Kowboja. – Lutowski zamilkł i zerknął na Buryłę. – Podobno za parę tygodni kroi się jakaś impreza, Kulawy namawia mnie, żebym przyszedł.

– Gdzie?

– Nie wiem.

Oficer sięgnął po papierosy, wsunął jednego do ust, zapalił.

– Kulawy nie namawia cię na gangsterkę? – zapytał, zaciągnął się, wypuścił dym i wbił wzrok w Lutowskiego.

Cisza.

– Gadaj.

– Czasami.

– I co wtedy mówisz?

– Zbywam to żartem.

– Ale nie mówisz „nie”, co? – Buryła podniósł głos. – Kusi cię, ale się boisz, co?

Cisza.

Podinspektor uderzył się w kolano.

– Słuchaj, chłopie – powiedział, dusząc jednocześnie na

wpół spalonego papierosa. – Mam dla ciebie propozycję, którą możesz potraktować jako ostatnią szansę.

Zadzwonił telefon.

Lutowski drgnął i spojrzął w kierunku przedpokoju.

– Odbierz – mruknął Buryła.

Posterunkowy wypuścił powietrze, uniósł się z krzesła, zrobił parę kroków i stanął w drzwiach. Podniósł słuchawkę, pokiwał głowę i spojrzął na oficera.

– To do pana naczelnika – odezwał się cicho. – To mój szef.

Buryła uśmiechnął się promiennie i podszedł do telefonu. Odbierając słuchawkę, poklepał Lutowskiego po ramieniu.

– Tak jest, stary, pogadaliśmy sobie i chyba dojdziemy do porozumienia – powiedział tubalnym głosem. Zaśmiał się i odłożył słuchawkę. Wrócił do pokoju, usiadł na tapczanie i zerknął na posterunkowego. – Masz szczęście, że mamy pewien plan – odezwał się po dłuższej chwili. – Inaczej zostałbyś zwolniony dyscyplinarnie. Możesz się zrehabilitować i wykazać jako solidny, uczciwy glina.

Lutowski westchnął.

– Jaki to plan? – zapytał.

Buryła poprawił się na tapczanie i lekko nachylił.

– Pójdziesz na tę imprezę i zaprzyjaźnisz się z gangsterami – powiedział, próbując nadać swojemu głosowi tajemniczy, konfidenacyjny ton.

Lutowski otworzył szeroko oczy.

Harry siedział w kawiarni na Starym Rynku, popijał kawę i przeglądał bez większego zainteresowania „Express Poznański”. Nagle zamarł.

W rogu strony dostrzegł informację o tragicznej śmierci Jerzego Winklera, znanego poznańskiego prawnika. Z tekstu wynikało, że wpadł w poślizg podczas brawurowej jazdy pod wpływem alkoholu.

Samobój? – pomyślał, po czym przymknął oczy i przylgnął plecami do oparcia krzesła. *Zakamuflowana egzekucja?*

Przypomniał sobie smutną Nataszę i usłyszał jej drżący głos: „Czy mój ojciec jest zły, Harry?”.

Wypuścił wolno powietrze, złożył gazetę i spojrzał przez okno, z którego rozpościerał się widok na fragment Starego Rynku. Przy pręgierzu przystanąła grupka długowłosych dziewcząt w glanach, rurkach i skórzanych kurtkach. Wyglądały jak swoje kopie.

Wstał, założył płaszcz, zapłacił rachunek i wyszedł na zewnątrz. Rozejrzał się i ruszył przed siebie, skręcając po chwili w Świętosławską.

Wiatr przyjemnie owiewał mu twarz.

Stanął przed kościołem. Chwycił za klamkę i szarpnął masywne drzwi. Wszedł do środka. Rozejrzał się po zimnym, przestronnym wnętrzu. Zrobił kilka kroków i usiadł w ławce. Przymknął oczy, przywarł plecami do oparcia. Wziął kilka głębszych oddechów.

Wyobraził sobie twarz Kasi, swojej córki.

Przed świętami Bożego Narodzenia dostał list od byłej żony. W kopercie było kilka zdjęć pięknej siedemnastoletniej dziewczyny o brązowych włosach, błękitnych oczach, smukłej, smutnej twarzy.

„Nikommu o tym nie mówi, ale ja wiem, że tęskni za tobą” – napisała żona ku jego wielkiemu zdziwieniu. „Może napisz, spróbuj odzyskać kontakt?”.

Nie spodziewał się takich słów po tym wszystkim, co się pomiędzy nimi wydarzyło. Najwyraźniej nienawiść żony zaczęła się powoli wyciszać.

Przetarł oczy, w których pojawiły się łzy. Wstał i skierował się w stronę konfesjonału.

Po parunastu krokach pociągnął nosem i poczuł zapach miętowych cukierków. Westchnął, wbił ręce w kieszenie. Podszedł do drewnianej barokowej konstrukcji, którą jego brat nazywał „maszyną śledczą”, i ukląkł na klęczniku.

– Cześć – mruknął i schował twarz w dłoniach.

Za kratkami ktoś się poruszył.

– Tomek? – padło pytanie.

Harry poczuł oddech śmierdzący wódką.

– To ja.

– Miło, że wpadłeś, bracie.

– Chciałem cię zobaczyć.

– Byłeś na grobie rodziców?

– Nie.

– A pójdziesz?

Komisarz zignorował pytanie.

– Chcesz się napić? – Usłyszał.

– Nie.

- Nie?
- Nie.
- Nie pijesz?
- Na przesłuchaniu jesteś?
- Przepraszam.

Mężczyźni się zaśmiali.

– Ale ja się napiję – oznajmił ksiądz. Odkręcił małąkę, wziął łyka i wypuścił głośno powietrze.

- Jeszcze cię nie wywalili za gorzałę? – zapytał policjant.
- A ciebie?
- Mało brakowało.
- Tak samo jak u mnie.

Cisza.

- Mam pomysł, żeby nie pić – oznajmił Harry.
- A dlaczego?

Cisza.

- Poczucie winy?

Drzwi skrzypnęły, ktoś wszedł do budynku. Kroki, skrzypnięcie, mamrotanie.

Bracia zamilkli na chwilę.

- Coś cię męczy? Coś zrobiłeś? – dopytywał ksiądz.
- Jednak jesteś na przesłuchaniu – skwitował oficer. – Każdy klecha to inkwizytor. Nawet taki pijak jak ty.
- Może masz rację.

– Nie, racji to ja nie mam na pewno – burknął komisarz i wciągnął łapczywie powietrze. Zrobił wydech i zadrżał, czując, że zaczyna go drapać w gardle. Zacisnął zęby. Na jego plecach pojawiły się krople potu.

Wtedy rozległ się głos brata, który go trochę uspokoił i odciągnął uwagę od nasilającego się pragnienia:

- Ostatnio czytam w kółko „Nowy Testament”. Późnym

wieczorem biorę butelkę wina, zdejmuję z półki Biblię i tak uzbrojony kładę się do łóżka. W tyle głowy mam obraz naszego ojca. Pijanego ojca, który siedzi przed telewizorem i popija wódę... – Westchnięcie. – Kładę się więc do łóżka, sączę wino i czytam sobie o świętym Piotrze, który zapał się trzy razy Jezusa i który stał się opoką kościoła. O Judaszu, który zdradził Jezusa, a potem popełnił samobójstwo...

Cisza.

Komisarz usłyszał dźwięk otwieranej butelki i odgłos przetykania.

– „Za pieniądze, niegodziwie zdobyte, nabył ziemię i spadłszy głową na dół, pękł na pół i wypłynęły wszystkie jego wnętrzności” – wyrecytował szeptem ksiądz. Zakręcił butelkę. – O Szawle, „który niszczył kościół, wchodząc do domów porywał mężczyzn i kobiety, i wtrącał do więzienia” i który potem przeszedł przemianę w Pawła i stał się narzędziem boskim.

Komisarz chrząknął i pokręcił głową.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytał.

– Nie wiem.

– Wspomniałeś starego. On się ma nijak do tych historii. – Oficer wypuścił gniewnie powietrze i wbił wzrok w kratkę, za którą widział cień brata. – Jego pierdolonego życiorysu nie przerobisz na budującą historyjkę – warknął i wstał. Stanął przed frontem konfesjonau. Ksiądz otworzył drzwiczki.

Bracia spojrzeli na siebie.

Dwaj przystojni faceci po czterdziestce, całkiem podobni do siebie, nieogoleni, wymiętoszeni.

Po kilkunastosekundowej ciszy Harry podał dłoń

duchownemu.

– Trzymaj się, Adam – rzucił.

– Wierzę, że umierając, przeprosił za swoje czyny – powiedział ksiądz drżącym głosem. – Że przynajmniej w myślach odpowiednio odniósł się do swych grzesznych postępów.

– Od tego jesteś, żeby wierzyć, sentymentalny pijaku – odparł komisarz, odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę drzwi.

Kowalski przeszedł kilkadziesiąt metrów ulicą Ratajczaka, potem skręcił w lewo i znalazł się na początku Pasażu Apollo.

Uwielbiał ten przesmyk. Gdy w niego wkraczał, miał wrażenie, że przenosi się do jakiejś innej, trochę nierzeczywistej przestrzeni.

Przystanął przed gablotą, w której widniał plakat reklamujący „Psy”, najnowszy film Władysława Pasikowskiego.

Zerknął na twarz młodej brunetki i przez chwilę próbował rozszyfrować emocje odbijające się w jej zagadkowym spojrzeniu. Niepokój, zaciekawienie, fascynacja?

Podrapał się po nosie i przeniósł wzrok na twarz Lindy, którego widział ostatnio w telewizji.

Co to był za film? – próbował sobie przypomnieć. A, „Początek” Kieślowskiego.

Nagle zrobiło mu się niewymownie smutno. Tamtą opowieść o nieprzewidywalności ludzkich losów obejrzał w towarzystwie babci. Świętej pamięci babci. Po projekcji babcia poprosiła o lampkę koniaku i zaczęła zupełnie niespodziewanie opowiadać o swoich doświadczeniach wojennych. Kowalski nie wiedział, dlaczego, ale najmocniej zapamiętał scenę, w której babcia przyglądała się, jak roześmiany młody hitlerowiec rozstrzelał na jej oczach parzące się psy.

Westchnął głęboko i przyjrzał się twarzy aktora. Miał odchyloną głowę, skrzywioną minę, białą koszulę na sobie. Czyżby do kogoś celował?

– Widziałem już dwa razy ten film! – Obok sierżanta przeszła grupka nastolatków, która głośno entuzjasmowała się najnowszym obrazem Pasikowskiego. – I ciągle mi mało.

– No, tam są ekstra teksty!

– To zła kobieta była!

– Za co? Za jajco!

– Nie chce mi się z tobą gadać!

– W imię zasad, skurwysynu!

Kowalski mimowolnie się uśmiechnął i ruszył w głąb pasażu. Po parunastu sekundach zorientował się, że kino przeżywa prawdziwe oblężenie. Kolejka po bilety wychodziła aż na zewnątrz. Przyspieszył kroku i przeciskając się przez tłum rozgadanych ludzi, wszedł do środka. Po chwili wypatrzył Ostrego i Katię, stali tuż przy drzwiach, rozmawiając ze sobą i szczerząc do siebie zęby.

Ciekawe, kiedy się ze sobą prześpią – pomyślał sierżant nie bez ukłucia zazdrości.

Podszedł i przywitał się.

Ostrowski triumfalnie pomachał trzema biletami.

– Ostatnie sztuki! – zawołał. – Sprzedają się jak ciepłe bułeczki.

Gdy Ostrowski poszedł do łazienki, Katia zagadnęła o Edmunda Kolanowskiego.

– Ostry mi mówił, że Edziu przyszedł któregoś razu tutaj na „Wilczycę”.

Kowalski pokiwał głową.

– Zgadza się – odpowiedział. – Podniecił się strasznie, wrócił do domu, uzbroił i ruszył na cmentarz, na Miłostowo.

– Rozmawiałam kiedyś z babką, która w tym śledztwie została wystawiona na wabia na którymś cmentarzu.

– Naprawdę? Nie wiedziałem o tym.

Katia nie zdążyła zareagować na zdziwienie kolegi, bo za ich plecami stanął Ostrowski.

– Wchodzimy – mruknął i położył im ręce na barkach.

Ruszyli w stronę sali, czując za plecami napierający tłum.

Po paru minutach rozpoczął się seans. Na ekranie pojawił się Bogusław Linda, który siedział w niedbałej pozie na krześle i palił papierosa. Jednocześnie rozległ się głos Zbigniewa Zapasiewicza:

– Przed komisją weryfikacyjną staje porucznik Franciszek Mauer, lat trzydzieści siedem, żonaty, jedno dziecko.

Ostrowski wychylił się lekko, spojrzął na swoich towarzyszy i podniósł kciuk w górę:

– Jest dobrze – szepnął.

LXIII

Podinspektor Buryła wyłączył radio, które właśnie skończyło nadawać poranne wiadomości. Wyjął z torby styczniowy numer „Przekroju”, usiadł za biurkiem i zaczął wertować ulubione czasopismo.

Gdy rozległ się dźwięk telefonu, zerknął na zegarek. Dwadzieścia po siódmej.

Odłożył gazetę, sięgnął po bułkę, ugryzł, przeżuł i chwycił słuchawkę.

– Buryła, słucham – mruknął. Kiwnął głową i nastroszył brwi. – Słucham? – zapytał, robiąc wielkie oczy. – Że co? – wykrzyknął i zerwał się z krzesła. Przełknął ślinę. – Żartujesz sobie? Kiedy? – Ściskając mocno słuchawkę, wsłuchiwał się w głos po drugiej stroni linii. Po kilkudziesięciu sekundach opadł na siedzisko. – Dziękuję. Będziemy tam niebawem. – Odłożył słuchawkę. Wbił wzrok w filiżankę. Wziął parę głębszych oddechów. – O kurwa – szepnął do siebie. Wrzucił parę kostek cukru do filiżanki, zamieszał, upił parę łyków. Przetarł ręką lśniąca czoło, chwycił słuchawkę, wykręcił numer, odczekał chwilę i odezwał się grobowym głosem:

– Dżery? Właśnie dostałem informację, że Kozak nie żyje. – Rozłożył ręce. – Nie znam szczegółów. Mówią, że to samobój. – Pokiwał głową. – Znalezione go powieszono w celi. – Westchnął. – Zaraz do ciebie podejść. Moment. – Rzucił słuchawkę na widełki, wstał,

poprawił pas i pospiesznie wyszedł ze swojego gabinetu.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? – gorączkowo pytał sam siebie. *Dlaczego to zrobiłeś, chłopie?*

Gdy zbiegał ze schodów, zaczął się zastanawiać, co ma powiedzieć dziennikarzom, którzy za chwilę zaczną wydzwaniać na komendę.

Jego bujna wyobraźnia podpowiedziała mu kluczowe pytanie: „Czy samobójcza śmierć oficera oznacza przyznanie się do winy?”.

No właśnie. Co oznacza?

Znalazłszy się na trzecim piętrze, wszedł do łazienki, obmył twarz zimną wodą i zerknął na nią w lustrze.

Miał lekko zaczerwienione oczy.

Za dużo telewizji – pomyślał.

Wytarł ręce, wyszedł na zewnątrz i skierował się w stronę gabinetu Dżerego.

Kozak, czy ty się przyznałeś w ten sposób do zabójstwa?

Na myśl o tym, że za chwilę będzie musiał przekazać hiobową – czy też raczej chujową – wieść Bossowskiemu, cierpła mu skóra.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

OD AUTORA

Uff...

Drugi tom „Dekady” zakończony, trzeba więc zabierać się powoli za kolejny. Wykorzystam jednak krótką chwilę przerwy i złożę szczerze podziękowania tym, którzy w taki czy inny sposób pomagają mi w pisarskiej pracy.

Dziękuję Ani W., która pewnego razu zabrała mnie na wycieczkę śladami Edmunda Kolanowskiego (była sąsiadką jego ofiary, Alinki K.) i zupełnie niespodziewanie opowiedziała mi własną historię. Wątek rodziny Derwiniaków, który wplotłem do „Na tropie”, został oparty na jej poruszającym wspomnieniu. Dziękuję Ci za ten niezapomniany spacer zakończony mocnym twistem na naramowickim cmentarzu.

Wyrazy wdzięczności niech zechce przyjąć Michał Czechanowski, emerytowany oficer poznańskiej policji, który podarował mi maszynopis zatytułowany „Opowieści szkieła”. Jedna z tych opowieści, poświęcona autentycznej sprawie Ryszarda S., młodego gwałciciela i zabójcy, stała się podstawą drugiego pobocznego wątku, którym wzmocniłem niniejszy tom.

Dziękuję również Waldemarowi Ciszakowi, Miłosławowi Czarneckiemu i Markowi Bronickiemu – bez regularnych rozmów z Wami nie byłbym w stanie tworzyć fabuł policyjnych.

Kto jeszcze powinien się tutaj pojawić?

Oczywiście Wydawnictwo Czwarta Strona, które

uwierzyło w „Dekadę” i podpisało ze mną umowę.

Ściskam dłoń przede wszystkim Sylwii Smoluch, mojej znakomitej redaktorce prowadzącej i Piotrowi Sternalowi, Johnowi Wayne’owi książkowego marketingu. Wielkie dzięki za znakomitą współpracę! Mam nadzieję, że nie załujecie i będziemy razem dalej działać.

No i Dawid Wiktorski, dzielny redaktor, który pracowicie prostuje kręte myśli i zdania polskich pisarek i pisarzy – dziękuję, chłopie...

Gdy kończę ostatnie zdanie, staje nade mną Żona, Rita, która wbija wzrok w ekran i beznamiętnie wyławia wszelkie moje błędy, te mniejsze i te większe. No cóż, przełykam ślinę, zastygam w bezruchu i czekam na wynik nieludzko czujnej lektury. A w myślach bardzo Ci dziękuję, że jesteś. Prawdę mówiąc, bez Ciebie wszystko to wyglądałoby całkiem marnie...

A – byłbym zapomniał!

Dziękuję wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom za znakomite przyjęcie „Furii”, pierwszego tomu „Dekady”. Wasze komentarze, posty, zdjęcia, rekomendacje, sprawiły, że książka odniosła nieoczekiwany sukces sprzedażowy. Głębokie ukłony, gorące uściski!